



MARY  
BALOGH

*Sekretny romans*



Romans historyczny

MARY BALOGH

**SEKRETNY  
ROMANS**

[Huxtable Quintet 05](#)

# 1

Hanna Reid, księżna Dunbarton, była wreszcie wolna. Wolna od ciężaru dziesięciu lat małżeństwa, wolna od nieskończonej nudnego roku żałoby po śmierci księcia, swojego męża.

Zyskała wolność, na którą czekała tak długo. Dobry powód, żeby świętować.

Poślubiła księcia po pięciu dniach znajomości - jego wysokość, nie mając cierpliwości czekać, postarał się o specjalne zezwolenie, zamiast dawać na zapowiedzi - kiedy miała lat dziewiętnaście, a on ponad siedemdziesiąt. Nikt nie wiedział dokładnie, jak wiele ponad, choć niektórzy twierdzili, że zbliżał się niebezpiecznie do osiemdziesiątki. W chwili zamążpójścia uroda księżnej wprawiała w oszołomienie - zachwycała smukłością figury, kolor jej oczu rywalizował z błękitem letniego nieba, jasna twarz była skora do uśmiechu, długie jasnoblond, niemal białe, falujące włosy lśniły. Za to ciało, twarz i głowa księcia nosiły wszelkie oznaki wieku i trudów życia. Ponadto cierpiał na podagrę. Serce także zaczynało go zawodzić.

Poślubiła go, rzecz jasna, dla pieniędzy, spodziewając się, że najwyżej kilka krótkich lat dzieli ją od zostania bogatą wdową. Teraz była bogatą wdową, bajecznie zamożną, choć czekała nieco dłużej, niż się spodziewała, na wolność, dzięki której mogła się w pełni cieszyć swoim bogactwem.

Stary książę wielbił ziemię, po której stąpała, używając wyświechtanego zwrotu. Obdarował ją tyłoma kosztownymi strojami, że chyba udusiłaby się pod ich ciężarem, gdyby próbowała je kiedyś włożyć wszystkie naraz. Pokój gościnny obok jej garderoby w rezydencji

Dunbarton przy Hanover Square w Londynie przekształcono na drugą garderobę tylko po to, by pomieścić wszystkie jedwabie, satyny i futra - poza innymi strojami i dodatkami - które miała na sobie raz, może dwa, nim odrzuciła je dla czegoś nowszego. A księżę miał niejedną, nie dwa, a nawet nie trzy, ale cztery sejfy wbudowane w ściany swej sypialni, by strzec klejnotów, jakimi obsypał w ciągu tych lat swą ukochaną, która w każdej chwili mogła przyjść i wziąć z nich, co jej się żywnie podobało.

Dogadzał żonie i rozpieszczał ją na wszelkie sposoby.

Księżna nosiła się zawsze wspaniale. I zawsze miała na sobie mnóstwo klejnotów i zazwyczaj były to ostentacyjnie wielkie brylanty. Zdobily jej włosy, uszy, dekolt, nadgarstki, palce obu dłoni. Księżę afiszował się wszędzie ze swoją zdobyczą, rzucając jej spojrzenia pełne dumy i uwielbienia. W młodości przewyższałby ją wzrostem, lecz z wiekiem pochylił się i potrzebował laski, żeby się wspierać, a większość czasu spędzał na siedząco. Księżna nie oddalała się od niego, gdy byli razem, nawet na balu, gdzie nie brakowało chętnych do tańca. Opiekowała się nim, a jej piękne usta nieodmiennie wyginały się w charakterystycznym półuśmiechu. W takich chwilach zawsze wydawała się uosobieniem małżeńskiego oddania. Nikt nie mógł temu zaprzeczyć.

Kiedy księżę nie mógł już wychodzić z domu - a z biegiem lat stawało się to coraz trudniejsze - inni mężczyźni towarzyszyli księżnej na balach, zabawach i przy innych okazjach, których nie brakowało podczas sezonu. Wyróżniali się zwłaszcza trzej spośród nich - lord Hardingraye, sir Bradley Bentley i wicehrabia Zimmer -

przystojni, eleganccy, czarujący dżentelmeni. Powszechnie było wiadomo, że świetnie się bawią w jej towarzystwie, a ona w ich. Nikt nigdy nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, na czym, między innymi, polegała ta zabawa. Jedyne szczegóły, nad którym się zastanawiano - a zastanawiano się, oczywiście, nigdy nie dochodząc do zadowalających wniosków - dotyczył tego, czy owa zabawa odbywa się za wiedzą, czy bez wiedzy starego księcia.

Byli nawet tacy, którzy śmieli się zastanawiać, czy książę nie udzielił im swojego błogosławieństwa. Pomimo cudownie skandalicznych domysłów w tej kwestii większość ludzi lubiła księcia - zwłaszcza że wzbudzał obecnie litość - i wołała widzieć w nim biednego, skrzywdzonego starca. Ci sami ludzie zwykli określać księżnę jako „obsypaną brylantami poszukiwaczkę złota”, dodając często: „niezłe z niej ziółko”. Ci ludzie byli zwykle płci żeńskiej.

A potem olśniewające życie towarzyskie księżnej, skandaliczne miłości i ponure więzienie, jakim było małżeństwo ze starym, niedomagającym mężem - wszystko skończyło się raptownie z nagłą i niespodziewaną śmiercią księcia na atak serca pewnego wczesnego ranka. Choć nie tak szybko, rzecz jasna, jak się spodziewała i miała nadzieję księżna. Nareszcie miała majątek dla siebie, ale drogo ją kosztował. Zapłaciła własną młodością. Miała dwadzieścia dziewięć lat, kiedy umarł, trzydzieści, kiedy zakończyła żałobę wkrótce po świętach Bożego Narodzenia w Copeland, wiejskiej rezydencji w Kent, którą kupił jej książę, żeby nie musiała odejść po jego śmierci, kiedy bratanek przejmie tytuł i związane z nim posiadłości. Właściwa nazwa majątku brzmiała Dworek Copeland, choć

dom bardziej przypominał pałac i otaczał go rozległy park.

Tak więc w wieku trzydziestu lat, mając za sobą najlepsze lata młodości, księżna Dunbarton była wreszcie wolna. I niewiarygodnie bogata. I w pełni gotowa, żeby świętować swoją wolność. Zaraz po Wielkiej Nocy przybyła do Londynu, żeby spędzić w mieście sezon. Wprowadziła się do rezydencji Dunbarton, jako że nowy książę okazał się poczciwym mężczyzną w średnim wieku, który wolał się włóczyć po wsi, licząc swoje owce, zamiast zasiadać w Wyższej Izbie Parlamentu, słuchając parów dyskutujących sprawy mające może zasadnicze znaczenie dla kraju albo i nawet świata, ale pozbawione jakiegokolwiek znaczenia dla niego. Politycy to przeraźliwi nudziarze, powtarzał każdemu, kto chciał słuchać. A ponieważ był kawalerem, nie miał kto mu wyjaśnić, że zasiadanie w Wyższej Izbie to tylko jeden z drobniejszych powodów, dla których socjeta ściągają na wiosnę do Londynu. Księżna mogła zajmować rezydencję Dunbarton i wydawać bale co noc, mając jego błogosławieństwo. Tak ją poinformował. Pod warunkiem że nie będzie mu przysyłać rachunków.

Ta ostatnia uwaga odzwierciedlała jego raczej skąpą naturę. Księżna nie musiała obciążać nikogo swoimi rachunkami. Miała dużo pieniędzy i była je w stanie płacić sama.

Jej młodość mogła minąć, a trzydziestka to naprawdę fatalny wiek dla kobiety, ale jej niewiarygodna uroda wciąż trwała. Nikt nie mógł temu zaprzeczyć, choć kilka osób zrobiłoby to chętnie. W istocie była teraz prawdopodobnie jeszcze piękniejsza niż w wieku lat dziewiętnastu. Zyskała nieco ciała, i to w najbardziej odpowiednich miejscach. Młodzięczo szczupła,

gdzieniegdzie zaokrągliła się powabnie. Twarz, nieco mniej promienna niż za młodu, odznaczała się doskonałością rysów i cery.

Uśmiechała się często, choć jej uśmiech był na pół arogancki, na pół uwodzicielski i zawsze bardzo tajemniczy, jakby uśmiechała się raczej do własnych myśli niż do osób ze swojego otoczenia. Lekko spuszczone powieki przywodziły na myśl sypialnię, senne marzenia i sekrety. Wprawne ręce zawsze układały na jej głowie nienaganną fryzurę - ale taką, by włosy sprawiały wrażenie, że w każdej chwili mogą się rozsypać, spływając bajecznym wodospadem. To że nigdy się tak nie stało, było kolejnym intrygującym szczegółem.

Włosy były jej najmocniejszym atutem, twierdziło wielu ludzi. Może poza oczami. Czy figurą. Albo zębami - olśniewająco białymi, doskonale kształtnymi i równymi.

W taki właśnie sposób socjeta widziała księżnę Dunbarton i związek, jaki tworzyła ze starym księciem, oraz jej powrót do Londynu jako bogatej, wreszcie wolnej, wdowy.

Nikt, oczywiście, nie wiedział niczego na pewno. Nikt nie wiedział naprawdę, jak dobre czy złe było to małżeństwo. Nikt poza księciem i księżną, rzecz jasna. Księżę w ostatnich latach coraz bardziej wycofywał się z towarzystwa, a księżna otaczała się tłumem znajomych, nie mając jednak żadnych bliskich przyjaciół, o których by coś wiedziano. Lubiała kryć się w pełnym świetle, roztaczając aurę luksusu i tajemniczości.

Socjeta, która nigdy nie zmęczyła się plotkami na jej temat podczas dziesięciu lat małżeństwa z księciem, po rocznej przerwie ponownie wzięła ją na języki. W istocie księżna stanowiła ulubiony temat rozmów w salonach i

przy stole. Zastanawiano się, co zrobi teraz ze swoim życiem, kiedy stała się wolna. Była Panną Nikt Znikąd, kiedy złowiła złotą rybkę w postaci księcia Dunbarton i nakłoniła go, żeby ożenił się po raz pierwszy w życiu.

Co zrobi w następnej kolejności?

Ktoś inny zastanawiał się głośno, co księżna uczyni ze swoją przyszłością, ale robił to w obecności jedynej osoby, która mogła zaspokoić tę ciekawość.

Barbara Leavensworth przyjaźniła się z księżną od dzieciństwa, które spędziły razem w Lincolnshire, Barbara jako córka pastora, Hanna zaś jako córka właściciela ziemskiego szlachetnie urodzonego, lecz o skromnym majątku. Barbara wciąż mieszkała z rodzicami w tej samej wsi, choć przed rokiem, kiedy jej ojciec zakończył posługę, wyprowadziła się z plebanii. Panna Leavensworth zaręczyła się ostatnio z nowym pastorem, a ich ślub miał odbyć się w sierpniu.

Dwie przyjaciółki z dzieciństwa pozostały sobie bliskie mimo dzielącej je odległości. Księżna po ślubie nigdy nie wróciła do swojego dawnego domu, a choć często zapraszała do siebie Barbarę, ta rzadko przyjmowała zaproszenie, a jeśli nawet, to nie zostawała na tak długo, jak Hanna by sobie życzyła. Księżę nadto ją onieśmiał. Tak więc utrzymywały przyjaźń, pisując do siebie. Każda z nich wysyłała do drugiej długi list przynajmniej raz w tygodniu przez jedenaście ostatnich lat.

Teraz Barbara przyjęła zaproszenie, żeby spędzić z księżną trochę czasu w Londynie. Miały zrobić zakupy przedślubne w jedynym miejscu w Anglii, w którym warto było to robić, jak napisała księżna, zachęcając przyjaciółkę do przyjazdu. To prawda, pomyślała Barbara, czytając list i kręcąc z lekkim zniecierpliwieniem głową, kiedy się ma



worki pieniędzy jak Hanna - w przeciwieństwie do niej.

Osamotniona księżna potrzebowała jednak towarzystwa, a Barbarę kusiło, żeby przez kilka tygodni pochodzić po kościołach i muzeach, zanim ostatecznie osiadzie na plebanii. Wielebny Newcombe, jej narzeczony, zachęcał ją, żeby wyjechała, zażyła nieco rozrywki i udzieliła wsparcia biednej wdowie, swojej przyjaciółce. A potem, kiedy zdecydowała się na wyjazd, nalegał, żeby wzięła zaskakująco dużą sumę pieniędzy i nakupowała sobie ładnych sukienek, a do tego może kapelusz czy dwa. Rodzice zaś, którzy uważali, że miesiąc z Hanną, którą zawsze ogromnie lubili, to coś wspaniałego dla ich córki, zanim rozpocznie skromne życie jako żona pastora, także wręczyli jej niemałą kwotę.

Barbara czuła się nieprzyzwoicie bogata, kiedy przybyła do rezydencji Dunbarton po całodziennej podróży, podczas której miała wrażenie, że każda kość w jej ciele przesunęła się na inne, mniej odpowiednie miejsce.

Hanna czekała na nią w holu; przez kilka minut obejmowały się, wykrzykując i popiskując z radości, mówiąc jednocześnie i nie słuchając siebie nawzajem, śmiejąc się ze szczęścia, że są znowu razem.

Socjecie, gdyby mogła teraz zobaczyć Hannę, należałoby wybaczyć, gdyby jej nie poznała. Policzki księżnej zaróżowiły się, oczy lśniły, głos stał się niemal piskliwy z podniecenia i zachwytu. Nie wydawała się ani odrobinę tajemnicza.

A potem uświadomiła sobie obecność milczącej gospodyni za plecami i powierzyła Barbarę jej opiece. Spacerowała bez celu po salonie, podczas gdy przyjaciółkę zabrano do jej pokoju, żeby mogła umyć ręce i twarz, przebrać się, uczesać i w ten czy inny sposób zapełnić pół

godziny, zanim sprowadzono ją na dół, na herbatę.

Wyglądała jak zwykle schludnie i tchnęło od niej spokojem. Kochana Barbara, na której zawsze można było polegać i którą kochała bardziej niż kogokolwiek wciąż żyjącego, pomyślała Hanna, uśmiechając się radośnie i przechodząc przez pokój, żeby znowu objąć przyjaciółkę.

- Jestem przeszczęśliwa, że przyjechałaś, Babs - powiedziała z uśmiechem. - Mówię to na wypadek, gdybyś sama tego wcześniej nie zauważyła.

- Cóż, wydawało mi się, że okazałaś odrobinę entuzjazmu - odparła Barbara i obie wybuchnęły ponownie śmiechem.

Hanna próbowała sobie przypomnieć, kiedy się ostatnio śmiała, i nie zdołała tego zrobić. Nieważne. Nie należało się śmiać, będąc w żałobie. Inaczej ktoś mógłby jej zarzucić, że jest bez serca. Rozmawiały bez przerwy przez godzinę, tym razem słuchając siebie nawzajem, po czym Barbara zadała pytanie, które ją najbardziej nurtowało od śmierci księcia Dunbarton, choć nie sformułowała go w żadnym z listów.

- Co teraz zrobisz, Hanno? - zapytała, pochylając się naprzód na krześle. - Musisz się czuć straszliwie samotna bez księcia. Uwielbialiście się.

Barbara była zapewne jedną z niewielu osób w Londynie albo nawet w całej Anglii, które naprawdę w to wierzyły. Być może była jedyną taką osobą.

- To prawda - odparła Hanna z westchnieniem. Rozpostarła dłoń na kolanach, przyglądając się pierścieniom zdobiącym trzy spośród jej wypielegnowanych palców. Wyglądziła biały muślin sukni. - Tęsknię za nim. Myślę o różnych głupstwach, którymi muszę się koniecznie z nim podzielić po powrocie do

domu, a potem przypominam sobie, że on już tu nie czeka, żeby ich wysłuchać.

- Wiem jednak - w głosie Barbary brzmiało szczere współczucie - że cierpiał ogromnie z powodu podagry i narzekał w ostatnich latach na silny ból serca. Ośmielę się powiedzieć, że jego szybka śmierć była błogosławieństwem.

Hanna poczuła niestosowne rozbawienie. Barbara, mając głowę pełną podobnych banałów, będzie doskonałą żoną pastora.

- Obyśmy wszyscy mieli takie szczęście, kiedy nadejdzie nasz czas - powiedziała. - Sądzę jednak, że atak serca nie był bez związku z pofolgowaniem sobie w jedzeniu befsztyka i piciu klaretu w wieczór przed śmiercią. Ostrzegano go przed tym już dziesięć lat albo dłużej, zanim go spotkałam, a potem rok w rok, och, co najmniej raz do roku. Zawsze mówił, że jego nagrobek powinien porastać mchem, kiedy ja kołysałam lalki do snu w pokoju dziecięcym. Zwykł mnie przepraszać od czasu do czasu, że żyje tak długo.

- Och, Hanno. - Barbara zmartwiła się i oburzyła jednocześnie. Nie przychodziła jej do głowy żadna odpowiedź.

- W końcu położyłam temu kres - ciągnęła Hanna - pisząc bardzo złą odę pod tytułem *Do księcia, który powinien był umrzeć* i przeczytałam mu na głos. Śmiał się tak, że dostał ataku kaszlu i o mało nie umarł. Napisałabym kolejny wiersz *Do księżnej, która powinna być wdową*, ale nie mogłam znaleźć rymu do „wdowa”, z wyjątkiem „jego palec”<sup>1</sup>, co nawiązywałoby do jego podagry. Ale rym

---

1 widow (**ang.**) - **wdowa**; his toe - **jego palec**

wydawał się raczej kuleć.

Uśmiechnęła się lekko, kiedy Barbara zrozumiała dowcip i się roześmiała.

- Och, Hanno, jesteś niedobra.

- Tak, nieprawdaz? - zgodziła się Hanna. I obie zanosły się śmiechem.

- Ale co zamierzasz zrobić? - Barbara wróciła do swojego pytania, patrząc Hannie prosto w oczy i czekając na odpowiedź.

- Zamierzam zrobić to, czego spodziewa się po mnie towarzystwo - oznajmiła Hanna, kładąc drugą rękę na oparciu fotela i podziwiając pierścienie na trzecim i małym palcu. Przesunęła dłoń nieznacznie do przodu, żeby brylanty znalazły się w świetle płynącym od okna i efektownie zaśniły. - Zamierzam wziąć sobie kochanka, Babs. Słowa wypowiedziane na głos brzmiały trochę... nieprzyzwoicie. Nie były nieprzyzwoite. Była wolna. Nie była już nikomu nic winna. Wdowom często zdarzało się brać kochanków, pod warunkiem że romans był potajemny i przestrzegano dyskrecji. Cóż, może nie tak często. Ale z pewnością stosowano tę praktykę.

Barbara, oczywiście, pochodziła z innego świata.

- Hanno! - wykrzyknęła. Rumieniec oblał jej szyję, policzki i czoło, żeby zniknąć pod włosami. - Och, ty okropne stworzenie. Powiedziałaś to, żeby mnie zaszokować, i udało ci się znakomicie. O mało nie zasłabłam. Proszę, bądź poważna.

Hanna uniosła brwi.

- Ależ jestem całkowicie poważna. Miałam męża, który odszedł. Nigdy nie zdołam go kimś zastąpić. Mam

---

**(przyp. tłum.).**

kawalerów, którzy mi towarzyszą. Lubię z nimi przebywać, ale to nie daje pełnego zadowolenia. Czuję się z nimi jak z braćmi, co mnie przygnębia. Potrzeba mi kogoś nowego, kogoś, kto by wniósł trochę... trochę urozmaicenia w moje życie. Potrzebuję kochanka.

- Potrzebujesz - odezwała się Barbara dużo pewniejszym głosem - kogoś, kogo byś mogła kochać. Mam na myśli romantyczne uczucie. Kogoś, w kim byś się zakochała. Kogo byś poślubiła i miała z nim dzieci. Wiem, że kochałaś księcia, ale to nie była...

Przerwała i zaczerwieniła się ponownie.

- Romantyczna miłość? - dokończyła za nią Hanna. - I tak to boli, Babs. Fakt, że go straciłam. Boli tutaj. - Położyła dłoń na żebrach pod biustem. - A romantyczna miłość mi nie posłużyła, zanim go poznałam, prawda?

- Byłaś niewiele więcej niż dzieckiem - powiedziała Barbara. - To, co się stało, nie wynikało z twojej winy. Miłość przyjdzie w swoim czasie.

- Być może. - Hanna wzruszyła ramionami. - Ale nie będę czekać, aż mi pokaże swoją twarz. Nie chcę też za nią rozpaczliwie gonić i być może wmówić sobie, że ją znalazłam, choć tak nie będzie, i wpaść w pułapkę ponownego małżeństwa natychmiast po tym pierwszym. Jestem wolna i zamierzam takową pozostać, póki nie zdecyduję inaczej, co może nastąpić w odległej przyszłości. Możliwe że nigdy nie zrezygnuję z wolności. Wiesz, wdowieństwo ma swoje dobre strony.

- Och, Hanno - westchnęła Barbara z wyrzutem. - Bądź poważna.

- Kochanek jest właśnie tym, co zamierzam zdobyć - odparła księżna. - Postanowiłam już, Babs, i jestem jak najbardziej poważna. To będzie związek wyłącznie dla

przyjemności, bez żadnych zobowiązań. Z kimś grzesznie przystojnym. I diabelsko pociągającym. I nieprzyzwoicie zręcznym i doświadczonej jako kochanek. Kimś, komu nie da się złamać serca i kto nie będzie dążył do małżeństwa. Sądzisz, że znajdziesz się ktoś taki?

Barbara uśmiechała się znowu, a jej rozbawienie wydawało się szczere.

- Powiadają, że Anglia obfituje w śmiałych hulaków. A do tego, jak słyszałam, wszyscy są obowiązkowo nieprzyzwoicie przystojni. Sądzę nawet, że prawo zabrania, aby było inaczej. No i, rzecz jasna, większość kobiet ulega im... oraz odwiecznemu przekonaniu, że mogą ich zmienić.

- Dlaczego - zapytała Hanna - ktoś miałby wierzyć w coś podobnego? Dlaczego jakaś kobieta miałaby chcieć zmienić cudownie zepsutego hulakę i nicponia w nudnego, przyzwoitego dżentelmena? Przez chwilę obie śmiały się do rozpuku.

- Pan Newcombe nie jest, jak przypuszczam, hulaką? - zagadnęła księżna.

- Simon? - Barbara nie przestała się śmiać. - To duchowny, Hanno, i bardzo przyzwoity, w istocie. Ale zdecydowanie nie jest nudnym człowiekiem. Odrzucam stanowczo twoje domniemanie, że wszyscy mężczyźni muszą być albo hulakami, albo nudziarzami.

- Nie chciałam tego sugerować. Jestem całkowicie pewna, że twój pastor to doskonały przykład romantycznego dżentelmena.

Śmiech Barbary zamienił się w chichot.

- Och - westchnęła - mogę sobie wyobrazić jego minę, gdybym mu powtórzyła twoje słowa, Hanno.

- Wszystko, czego chcę od kochanka - mówiła dalej księżna - poza wspomnianymi wcześniej obowiązkowymi

cechami, to żeby patrzył tylko na mnie tak długo, jak długo pozwolę mu patrzeć.

- Innymi słowy, tresowany piesek - zauważyła przyjaciółka.

- Wkładasz mi w usta zaskakująco dziwne słowa, Babs. - Hanna wstała i pociągnęła za sznur od dzwonka, żeby służba zabrała tacę z herbatą. - Chcę, a w istocie domagam się, czegoś przeciwnego. Pragnę silnego, bardzo męskiego mężczyzny. Kogoś, nad kim trudno mi będzie zapanować. Barbara pokręciła głową, ciągle się uśmiechając.

- Przystojny, pociągający, zadurzony, oddany - powiedziała, wyliczając na palcach. - Silny, bardzo męski. Czy coś opuściłam?

- Zręczny - odparła Hanna.

- Doświadczony - poprawiła Barbara, zalewając się znowu rumieńcem. - Mój Boże, powinno być całkiem łatwo znaleźć tuzin takich mężczyzn, Hanno. Czy masz kogoś na oku?

- Tak. - Księżna odczekała, aż pokojówka zabierze tacę i zamknie za sobą drzwi. - Choć nie wiem, czy przebywa w mieście w tym roku. Zwykle przyjeżdża. Byłoby szkoda, gdyby nie przyjechał, ale mam też na oku paru innych. To nie powinno być trudne. Czy jestem zarozumiała, jeśli powiem, że mężczyźni zwracają na mnie uwagę, gdziekolwiek się znajdę?

- Zarozumiała, być może. - Barbara nie przestawała się uśmiechać. - Ale to prawda. Zawsze tak było, nawet w dzieciństwie. Mężczyźni i kobiety zawsze oglądają się za tobą, ci pierwsi z tęsknotą, te drugie z zawiścią. Nikt się nie zdziwił, kiedy książe Dunbarton na ciebie spojrział i musiał uczynić cię swoją księżną, choć był zatwardziałym

kawalerem przez całe życie. I nawet jeśli, w gruncie rzeczy, wcale tak nie było.

Barbara niebezpiecznie zbliżyła się do tematu, który stanowił tabu przez jedenaście lat. Wspominała o tym kilka razy w swoich listach, ale Hanna nigdy się do tego nie odniosła.

- Oczywiście, że tak było - powiedziała teraz. - Czy myślisz, że spojrzalby na mnie po raz drugi, gdybym nie była piękna, Babs? Ale był dobry. Uwielbiałam go. Możemy wyjść czy jesteś zbyt zmęczona po podróży? Może masz ochotę na łyk świeżego powietrza i spacer dla rozprostowania nóg? O tej porze Hyde Park, jego modna część przynajmniej, jest pełen ludzi i każdy musi się tam pokazać. Obowiązkowo, jeśli jest się w mieście.

- Z poprzedniego razu pamiętam - dodała Barbara - że o tej godzinie po południu w parku jest więcej ludzi niż w całej naszej wsi w dniu święta majowego. Nikogo nie znam i będę się czuła jak kuzynka z prowincji, ale to nie ma znaczenia. Chodźmy koniecznie. Bardzo pragnę się poruszać.



Zabrały kapelusze i poszły do parku. Dzień był piękny, choć lato w gruncie rzeczy jeszcze się nie zaczęło. Słońce przeświecało przez chmury, wiał lekki wietrzyk.

Hanna trzymała nad głową białą parasolkę, choć było bardziej pochmurno niż słonecznie. Na co komu taka ładna rzecz, jeśli nie miałby jej pokazywać wszem wobec?

- Hanno - odezwała się Barbara niepewnie, kiedy przekroczyły bramę parku - nie mówiłaś poważnie przy herbacie, prawda? Mam na myśli twoje zamiary?

- Ależ oczywiście, że mówię poważnie - odparła księżna. - Nie jestem już ani panną, ani mężatką. Jestem niezwykle pociągającą istotą płci żeńskiej, bogatą wdową, zajmującą wysoką pozycję na drabinie społecznej. Jestem nawet wciąż dosyć młoda. A od wdów z eleganckiego towarzystwa niemal wymaga się, żeby wzięły kochanka, pod warunkiem, rzecz jasna, że także należy do socjety. I najlepiej, żeby nie był żonaty.

Barbara westchnęła.

- Miałam nadzieję, że żartowałaś, choć bałam się, że tak nie jest. Przejęłaś, jak widzę, maniery i moralność świata, do którego weszłaś dzięki małżeństwu. Nie pochwalam twoich zamiarów. Nie pochwalam takiej moralności, Hanno. Ale co ważniejsze, nie pochwalam twojej nieroztropności. Nie jesteś tak pozbawiona serca ani tak... och, jak to określić? ... wyrafinowana czy zblazowana, za jaką chcesz siebie uważać. Jesteś zdolna do okazywania uczuć i wielkiej miłości. Romans w najlepszym wypadku może ci przynieść rozczarowanie, w najgorszym złamie twoje serce.

Hanna zachichotała.

- Widzisz te tłumy ludzi przed nami? Każdy z nich mógłby cię zapewnić, Babs, że księżna Dunbarton nie ma serca, które można by złamać.

- Oni cię nie znają - powiedziała Barbara. - Ja tak. Nic z tego, co powiem, oczywiście cię nie powstrzyma. Powiem więc tylko jedno.

Będę cię kochać bez względu na wszystko, Hanno. Zawsze będę cię kochać. Nic, cokolwiek zrobisz, mi w tym nie przeszkodzi.

- Wolałabym jednak, żebyś już przestała mówić - stwierdziła Hanna - bo inaczej socjeta ujrzy ciekawe widowisko z zapłakaną księżną Dunbarton w ramionach swojej towarzyszki w roli głównej. Barbara prychnęła nieelegancko i obie się roześmiały.

- Oszczędzę sobie zatem fatygi i porozglądam się po prostu. Czy ten twój wspaniały mężczyzna, który być może jest w Londynie, ma tak przy okazji jakieś imię?

- Byłoby dziwne, gdyby nie miał - odparła Hanna. - To Huxtable. Constantine Huxtable. Pan Huxtable. To upokarzające, nieprawdaż? Przez ostatnich dziesięć czy więcej lat nie miałam do czynienia z nikim poniżej księcia, markiza czy hrabiego. Przystawałam nawet z królem. Niemal zapomniałam, co oznacza słowo „pan”. Oznacza naturalnie, że to człowiek z niższych sfer. Ale nie aż tak niskich. Jego ojcem był hrabia Merton, a on przyszedł na świat jako pierworodny. Jego matka, gdybyś miała co do tego wątpliwości, była hrabiną. Jej rodzina i ona sama, Babs, popełnili jakieś ogromne głupstwo. A hrabia, jak sądzę, także się do tego przyczynił. Pobrali się, ale dopiero kilka dni po tym, jak urodził się ich najstarszy syn. Czy możesz sobie wyobrazić gorszą dla niego katastrofę? Wydaje mi się, że to były dwa dni. Dwa dni pozbawiły go

na zawsze tytułu hrabiego Merton, którym byłby w chwili obecnej, i uczyniły z niego zwykłego pana Constantine'a Huxtable'a.

- Jakże nieszczęśliwy zbieg okoliczności - zgodziła się Barbara.

Nieco dalej przed nimi przedstawiciele socjety zebrali się w znacznej liczbie, udając, że zażywają przechadzki, podczas gdy powozy wszelkich rodzajów, jeźdźcy na rozmaitych wierzchowcach i przechodnie w najmodniejszych strojach kręcili się po zabawnie małej przestrzeni, biorąc pod uwagę rozmiary parku, starając się wszystkich zobaczyć i każdemu pokazać, przekazując plotki, które właśnie usłyszeli, oraz słuchając tych, które im powtarzano. Była wiosna i socjeta prowadziła swoją grę. Hanna zakreśliła parasolką.

- Książę Moreland to jego kuzyn. Są bardzo podobni, choć moim zdaniem książę odznacza się czystą, szlachetną urodą, podczas gdy pan Huxtable jest raczej szatańsko przystojny. Obecny hrabia Merton także jest jego kuzynem, ale różni się od siebie znacząco. Hrabia jest jasnowłosy i piękny jak anioł. Wydaje się ujmująco miły i ani trochę niebezpieczny. Poza tym poślubił w zeszłym roku lady Paget, choć wówczas wciąż krążyły plotki, że swojego pierwszego męża zamordowała siekierą. Ta historia dotarła do mnie nawet na wieś. Być może hrabia wcale nie jest taki nieśmiały i łagodny, na jakiego wygląda. Mam nadzieję, że nie jest, biedaczysko. Jest taki przystojny.

- Pan Huxtable nie jest blondynem? - zapytała Barbara.

- Och, Babs. - Hanna ponownie zakreśliła parasolką.  
- Widziałaś popiersia greckich bogów i herosów wykute z

białego marmuru? Są piękne ponad wszelkie wyobrażenie, ale są też zwodnicze, ponieważ Grecy żyli nad Morzem Śródziemnym i nie mogli wyglądać jak duchy. Matka pana Huxtable'a była Greczynką. A on odziedziczył urodę wyłącznie po niej. To ożywiony cudownym sposobem grecki bóg: czarnowłosa, o smagłej cerze i ciemnych oczach. A jego postura... Cóż, sama oceń. Oto i on. Był tam w istocie, wraz z hrabią Merton i jego szwagrem baronem Montford. Wszyscy trzej siedzieli na koniach.

Och, nie myliła się co do niego, uznała Hanna, przyglądając się krytycznie panu Huxtable'owi. Pamięć jej nie zawiodła, mimo że nie widziała go przez dwa lata - ostatnią wiosnę, pogrążona w żałobie, spędziła na wsi. Figurę miał doprawdy doskonałą i świetnie się prezentował konno. Był wysoki i szczupły, ale też umięśniony w odpowiednich miejscach. Miał długie, silne nogi, co zawsze ogromnie dodawało mężczyźnie urody. Twarz okazała się może surowsza i bardziej kanciasta, niż zapamiętała. Zapomniała także o jego nosie, który musiał kiedyś ulec złamaniu i widocznie nie złożono go dostatecznie szybko. Nie zmieniła jednak zdania o jego twarzy. Była dość przystojna, żeby wywołać przyjemną słabość w jej kolanach. Szatańsko przystojna.

Miał dobre wyczucie, ubierając się na czarno - z wyjątkiem brązowych bryczesów do konnej jazdy i białej koszuli. Czarny jeździecki strój opinał potężną klatkę piersiową i ramiona niczym druga skóra.

Buty i kapelusz także były czarne. Nawet koń był czarnej maści.

Mój Boże, wyglądał zdecydowanie niebezpiecznie, pomyślała z aprobatą Hanna. Wydawał się niedostępny. Niczym forteca nie do zdobycia. Miała wrażenie, że

mógłby chwycić ją jedną ręką - to jest, podczas szturm na fortecę - i zgnieść wszystkie kości w jej ciele.

To był ponad wszelką wątpliwość właśnie ten. Przynajmniej na rok. W następnym wybierze kogoś innego. Albo może zastanowi się wtedy poważnie nad tym, żeby znaleźć kogoś do kochania, kogoś, z kim zwiąże się na dobre. Ale teraz nie była jeszcze na to gotowa. W tym roku była gotowa na coś zupełnie innego.

- Och, Hanno - odezwała się Barbara przygnębionym głosem - nie wydaje się przyjemnym człowiekiem. Wolalabym...

- Ale kto - zaczęła Hanna, wchodząc w tłum i uśmiechając się lekko - pragnie przyjemnego mężczyzny na kochanka, Babs? To brzmi jak okropny nudziarz, kimkolwiek by był.

A zatem znowu tu był, myślał Constantine Huxtable. Z powrotem w Londynie na kolejny sezon. Z powrotem w Hyde Parku, w otoczeniu połowy socjety, z kuzynem Stephenem, hrabią Merton, jadącym z jednej strony, z Montym - Jasperem, baronem Montford, mężem jego kuzynki Katherine, jadącym z drugiej.

To mogło być wczoraj, kiedy tu był ostatnio. Trudno uwierzyć, że minął kolejny rok. Sądził, że nie będzie sobie zawracać w tym roku głowy powrotem do Londynu. Myślał tak, rzecz jasna, za każdym razem. Ale co roku przyjeżdżał.

Coś go nieodparcie przyciągało do Londynu na wiosnę, jak przyznał sam przed sobą, kiedy wszyscy trzej uchyliłi kapelusza przed dwiema starszymi damami w wielkich czepkach, które mijały ich powoli, siedząc w wiekowej kolasce, powożonej przez jeszcze bardziej wiekowego woźnicę. Damy odpowiedziały na

pozdrowienie, podnosząc jednocześnie dłonie i kiwając głowami. Jakby należały do królewskiego rodu.

Uwielbiał przebywać w Ainsley Park w Gloucestershire. Nigdzie nie był taki szczęśliwy jak tam, mogąc się zanurzyć w pracowitym życiu farmy i równie urozmaiconych zajęciach domowych. Rzadko miał chwilę dla siebie, kiedy przebywał na wsi. I z pewnością nie mógł narzekać na samotność.

Sąsiedzi zawsze chętnie zapraszali go do uczestnictwa we wszelkich rozrywkach towarzyskich, nawet jeśli mieli jakieś wątpliwości co do jego poczynań w Ainsley.

A w samym Ainsley... Cóż, w domu tak roilo się od ludzi, że dwa lata wcześniej przeniósł się do domku w ogrodzie, żeby zachować odrobinę prywatności w życiu, a także udostępnić swoje pokoje w rezydencji nowo przybyłym. Wszystko było w porządku, póki grupka dzieci zeszłej zimy nie odkryła przylegającej do małego domu cieplarni i nie urządziła tam sobie placu zabaw. No i, oczywiście, potrzebowały kuchni, żeby przygotowywać jedzenie i herbatę na podwieczorki dla lalek. A...

Cóż, a pewnego dnia pod nieobecność kucharki Constantine stwierdził, że przeszukuje spiżarnię, żeby dać dzieciom słodkie herbatniczki, a potem przyłączył się do ich zabawy, na miłość boską.

Nic dziwnego, że na wiosnę uciekał do Londynu. Człowiek potrzebuje nieco ciszy i spokoju w życiu.

Nie mówiąc już o zdrowiu psychicznym.

- Dobrze znaleźć się znowu w mieście, czyż nie? - zawołał wesoło Monty.

- Nawet jeśli właśnie wygnano mnie z własnego domu - odparł Stephen.

- Trzeba damom pozwolić podziwiać dziedzica bez udziału jakichś tam mężczyzn - stwierdził Monty.

- Nie chciałbyś chyba tam zostać, co, Stephenie? Kiedy twoje siostry zadały sobie trud i zaprosiły tuzin innych dam, żeby przyłączyły się do grona podziwiających i przyniosły prezenty, którymi Cassandra będzie się obowiązkowo zachwycać i które obejrzą wszystkie, wydając radosne „ochy” i „achy”? - Zadrżał teatralnie.

Stephen się uśmiechnął.

- Punkt dla ciebie, Monty - powiedział.

Jego hrabina urodziła mu niedawno syna. Pierworodnego. Dziedzica. Przyszłego hrabiego Merton. To naprawdę nie miało dla Constantine'a znaczenia. Po ojcu jego brat Jonathan - Jon - nosił tytuł hrabiego przez parę lat, a teraz przejął go Stephen. Potem hrabią zostanie syn Stephena. On i Cassandra, jeśli będą mieli ochotę, mogą się postarać w ciągu następnych lat o kolejnych potomków. Constantine'owi nie sprawiało to różnicy. Nigdy nie zostałby hrabią.

To nieistotne. Zawsze o tym wiedział. Nie dbał o to, tak naprawdę.

Zatrzymali się, żeby wymienić uprzejmości z kilkoma znajomymi panami. W parku było mnóstwo znajomych twarzy, zauważył Constantine, rozglądając się leniwie. Prawie nie dostrzegął nowych, a tych kilka, których dotąd nie widział, należało głównie do bardzo młodych dam - ostatniego zbioru panien na wydaniu, które miały nadzieję na znalezienie na rynku matrymonialnym odpowiedniej partii.

Było wśród nich, na Jowisza, kilka piękności. Constantine jednak zdziwił się, a nawet nieco zaniepokoił chłodem, z jakim analizował tę sytuację. Żadna naprawdę

go nie zainteresowała. A mógł okazać zainteresowanie bez obawy. Fakt, że nie był uznanym dziedzicem, stanowił jedynie prawną bagatelkę. Nie mógł dziedziczyć tytułu ojca i związanych z nim posiadłości, bez wątpienia, ale to pozostawało bez wpływu na jego pozycję hrabiowskiego syna w łonie socjety. Wychował się w Warren Hall. Ze śmiercią ojca otrzymał odpowiednie zabezpieczenie.

Mógłby rozejrzeć się po rynku matrymonialnym, oczekując znaczącego sukcesu. Ale miał trzydzieści pięć lat. Nowe piękności sprawiały na nim przygnębiające wrażenie dzieci. Większość musiała mieć siedemnaście albo osiemnaście lat.

To naprawdę zaczynało być niepokojące. Nie stanie się przecież młodszy, prawda? A nigdy nie zamierzał przejść przez życie jako samotny mężczyzna. Kiedy zatem miały się ożenić? I, co istotniejsze, z kim?

Swoje widoki na małżeństwo uczynił, oczywiście, nieco bledszymi, kiedy przed kilku laty nabył Ainsley Park i zaczął go zaludniać wyrzutkami społeczeństwa - włóczęgami, złodziejami, byłymi żołnierzami, niesprawnymi umysłowo, prostytutkami, pannami z dziećmi i innymi ludźmi tego pokroju. Ainsley stało się ośrodkiem ożywionej wytwórczości i przynosiło niezły dochód po paru latach wydatków... oraz ciężkiej pracy.

Młoda żona, zwłaszcza szlachetnie urodzona, z pewnością nie chciałaby żyć pośród takiego towarzystwa i w takim miejscu - na dodatek w małym domu przy głównej rezydencji. Około miesiąca wcześniej jego salon został przekształcony na pokój dziecięcy dla lalek, które padały ze zmęczenia po podwieczorkach w cieplarni.

- Pozwól, że zgadnę - odezwał się Monty, pochylając się ku Constantine'owi. - Ta w zieleni?



Constantine uświadomił sobie, że wpatrywał się w dwie młode damy, za którymi podążały służące o surowych twarzach - i wszystkie cztery to zauważyły. Dziewczęta chichotały i przeżyły się, podczas gdy służące zmniejszyły dystans do półtora kroku.

- Jest ładniejsza z tej dwójki - przyznał Constantine, odwracając wzrok. - Ta w różowym ma jednak lepszą figurę.

- Ciekaw jestem - powiedział Monty - która ma bogatszego papę.

- Księżna Dunbarton wróciła do miasta - zauważył Stephen, kiedy ruszyli naprzód. - Wygląda ślicznie jak zawsze. Musiała niedawno zakończyć żałobę. Zbliżymy się do niej i przywitamy?

- Naturalnie - odparł Monty - pod warunkiem że zdołamy tam dotrzeć, nie wpadając pod koła kolejnych sześciu powozów i nie rozjeżdżając sześciu kolejnych przechodniów. Zawsze schodzą ze ścieżki, narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Jechał na przodzie, zręcznie lawirując między powozami i jeźdźcami, aż dotarli do spacerowiczów, których większość poruszała się przeznaczoną do tego ścieżką.

Constantine w końcu ją zobaczył. Ale jakże można by nie zwrócić na nią uwagi, kiedy już ktoś rozejrzał się wokół siebie? Była smukła jak wierzba, delikatna i cała w bieli, o lekko zaróżowionych cerze i ustach oraz przepastnym, sennym spojrzeniu.

Gdyby owa kobieta wybrała życie kurtyzany zamiast żony Dunbartona, byłaby obecnie najśłynniejszą damą w Anglii. I zbiłaby prawdziwą fortunę. Oczywiście i tak zdobyła fortunę, nakłaniając starego grzyba, żeby się ożenił

po raz pierwszy i jedyny w życiu. A potem wyciskając go do sucha i ogałając ze wszystkiego, co nie było związane z tytułem.

Miała przy sobie godnie wyglądającą towarzyszkę. Wokół niej zebrał się dwór, złożony głównie z mężczyzn, których nagradzała enigmatycznym półuśmiechem, poruszając od czasu do czasu dłonią w białej rękawiczce. Na jej palcu lśnił brylant na tyle duży, by można nim wybić oko każdemu mężczyźnie, który okazałby się na tyle nieostrożny, żeby zachować się zbyt śmiało.

- Ach - powiedziała, odwracając senne spojrzenie od swojego dworu, na który napierał tłum. - Lord Merton. Anielsko piękny jak zwykle. Spodziewam się, że lady Paget docenia wartość tego, co zdobyła.

Mówiła cicho, lekkim, przyjemnym tonem. Oczywiście, nigdy nie musiała podnosić głosu. Kiedy otwierała usta, żeby przemówić, wokół zapadała cisza.

Podąła łaskawie Stephenowi rękę, którą ten podniósł do ust, uśmiechając się do księżnej.

- To teraz lady Merton, pani - powiedział. - Ja z pewnością doceniam wartość tego, co zdobyłem.

- Dobry człowieku - powiedziała - udzielił pan właściwej odpowiedzi. I lord Montford. Wydaje się doprawdy całkiem... oswojony. Zasluga lady Montford.

Podąła mu rękę.

- Wcale nie, pani - odparł Monty, całując wierzch jej dłoni i uśmiechając się szeroko. - Spojrzałem na nią tylko raz i... natychmiast byłem oswojony.

- Miło mi to słyszeć, choć niezupełnie to powiedział mi kiedyś mały ptaszek. I pan Huxtable. Jak się pan ma?

Spojrzała na niego niemal lekceważąco, choć zerknęła ciekawie spod rzęs, psując nieco efekt - jeśli

chodziło jej o okazanie lekceważenia. Nie podała mu dłoni.

- Doskonale, księżno, dziękuję. I lepiej jeszcze, dzięki temu że, jak widzę, jest pani w tym roku w mieście.

- Pochlebca. - Machnęła lekceważąco zdobną w pierścienie dłonią. Odwróciła się do swojej milczącej towarzyszki.

- Babs, czy pozwolisz, że przedstawię ci hrabiego Merton, barona Montford i pana Huxtable'a? Panna Leavensworth, panowie, to moja najdroższa przyjaciółka na świecie. Była tak miła, że przyjechała i zostanie ze mną przez jakiś czas, zanim wróci do domu, aby poślubić pastora ze wsi, w której wyrosłyśmy. Wysoka i szczupła panna Leavensworth o pociągłej nordyckiej twarzy, lekko wystających górnych zębach i jasnych włosach, nie była brzydka kobietą.

Dygnęła. Trzej panowie skłonili się w siodłach.

- Jestem zachwycony, że mogłem panią poznać, panno Leavensworth - odezwał się Stephen. - Czy ślub odbędzie się wkrótce?

- W sierpniu, milordzie. Ale przedtem mam nadzieję zobaczyć tyle londyńskich atrakcji, ile zdołam. W każdym razie wszystkie muzea i galerie.

Księżna, jak zauważył Constantine, przyglądała się jego koniowi. A potem jego butom. I jego udom. A potem... jego twarzy. Uniosła brwi, kiedy stwierdziła, że patrzy wprost na nią.

- Musimy iść dalej, Babs - powiedziała. - Obawiam się, że blokujemy drogę, a panowie powstrzymują ruch. Są tacy... wielcy.

Odwróciła się i ruszyła ku kolejnej fali wielbicieli, pragnących powitać ją w mieście.

- Mój Boże - mruknął Monty. - Oto idzie bardzo niebezpieczna dama. I właśnie została spuszczone ze

smyczy.

- Jej przyjaciółka wydaje się bardzo rozsądna - stwierdził Stephen.

- Wydaje się - stwierdził Constantine - że tylko utytułowani dżentelmeni mogą dostąpić wyjątkowego zaszczytu ucałowania jej dłoni.

- Na twoim miejscu nie przestałbym spać spokojnie z tego powodu, Con - odezwał się Monty. - Być może tylko nieutytułowani dżentelmeni dostępują takiego honoru, że ogląda się ich skrupulatnie od stóp do głów, zamiast podawać dłoń do ucałowania.

- Należałoby pewnie powiedzieć „niezonaci dżentelmeni”, Monty - sprostował Stephen. - Być może podobasz się damie, Con.

- Ale być może mnie się dama nie podoba - odparł Constantine. - Nigdy nie byłem tak ambitny, żeby dzielić kochankę z połową socjety.

- Hm - mruknął Monty. - Myślisz, że tak było z tym biedakiem, Dunbartonem? Choć, skoro o nim mowa, wydaje się, że za młodu cieszył się reputacją niebezpiecznego człowieka. Nigdy nie sprawiał wrażenia rogowca po ślubie, prawda? Zawsze bardziej przypominał kota, który wlaźł do miski ze śmietaną, żeby się w niej kąpać, jednocześnie ją smakując.

- Właśnie coś sobie przypominałem - powiedział Stephen. - To było w zeszłym roku, może nawet tego samego dnia i właśnie w tym miejscu, kiedy pierwszy raz zobaczyłem Cassandrę. Byłeś ze mną, Con. I, o ile pamięć mnie nie zawodzi, Monty podjechał do nas z Kate, kiedy na nią patrzyliśmy, zastanawiając się, jak niewygodnie i gorąco musi jej być w ciężkich wdowich szatach.

- A potem zakręciłeś się koło tego, żeby żyć z nią

długo i szczęśliwie. - Monty uśmiechnął się znowu.

- Czy przewidujesz, że podobny los spotka Cona i piękną księżnę?

- Słońce nie pali - stwierdził Constantine - i z pewnością nie jest gorąco. A księżna nie nosi ciężkiej żałoby. Ani też nie spaceruje sama z towarzyszką, podczas gdy nikt nie zwraca na nią uwagi. A ja nie marzę o tym, żeby dać się usidlić i doprowadzić do ołtarza, dzięki wielkie, Monty.

- W porządku, Con - rzekł Stephen, unosząc brwi - ale to samo mógłbym powiedzieć o sobie. Zachichotali, a potem zauważyli Timothy'ego Hooda powożącego nowiutką bryczką, zaprzęzoną w dwa wspaniale dopasowane siwki. Ten widok skutecznie odwrócił ich uwagę od wdowy w bieli, która wcześniej patrzyła na niego, Constantine uświadomił sobie teraz, po chwili zastanowienia, nie tyle lekceważąco, ile prowokująco.

Naprawdę nie był zainteresowany. Dobierał sobie kochanki - a zwykle to robił, przebywając co roku w mieście podczas sezonu - żeby zapewnić sobie maksimum wygody.

Nie miałby żadnej wygody z kobietą, która regularnie zabawiała się, gromadząc wokół siebie tłum adoratorów, a jej zdolności w tym zakresie były godne podziwu.

Nie tańczył tak, jak mu zagra jakaś kobieta.

Ani też nie pozwalał powodować sobą jak marionetka na sznurkach.

A już z pewnością nie sławetnej księżnej Dunbarton.

### 3

W ciągu następnych paru dni Barbara upewniła się co do tego, że Hanna żyła w zdumiewająco i niepokojąco innym świecie niż ten, który obie znały ze swojej wsi w Lincolnshire. Świecie mniej moralnym. W tym czasie przyjaciółka skłamała dwukrotnie, choć z pewnością by się do tego nie przyznała.

Nie uznałaby tych kłamstw za prawdziwe.

Pierwszy raz miał miejsce pewnego przedpołudnia, kiedy wychodziły z pracowni modystki przy Bond Street, z lokajem na pół ukrytym za czterema wielkimi pudłami na kapelusze. Miały zamiar dopilnować, aby pakunki zostały bezpiecznie złożone w czekającym powozie, a następnie udać się do piekarni nieco dalej przy tej samej ulicy, żeby się nieco posilić. Ale zrzędzeniem losu pan Huxtable zbliżał się samotnie chodnikiem w ich stronę. Wciąż był dość daleko i łatwo można było uniknąć spotkania z nim, zwłaszcza że wydawał się nie zauważać ich w tłumie kupujących. Hanna jednak poczekała, aż podejdzie bliżej i je zobaczy.

Dotknął róna kapelusza, skłónił uprzejmie główę i je pozdrowił.

- Robiłyśmy zakupy przez kilka godzin - oznajmiła Hanna, wzdychając.

Te słowa wydały się Barbarze bardziej zwykłą przesadą niż kłamstwem. Półtorej godziny to ostatecznie dłużej niż godzina.

- I umieramy wprost z pragnienia - dodała księżna.

Barbara czuła się nieswojo. Hanna próbowała, oczywiście, zwrócić uwagę pana Huxtable'a, ale czy musiała robić to tak ostentacyjnie? Ale wielkie kłamstwo

miało zaraz nastąpić, a tego Barbara nie przewidziała. Pan Huxtable zachował się tak, jak zachowałyby się w podobnych okolicznościach każdy nienagannie wychowany dżentelmen.

- Niedaleko stąd jest piekarnia czy też ciastkarnia - powiedział. - Czy pozwolą panie, że je tam zaprowadzę i zamówię paniom herbatę?

Zamiast jednak ucieszyć się czy może okazać zmieszanie, Hanna posmutniała. Barbara patrzyła na nią zaskoczona.

- To niezwykle uprzejmie z pana strony, panie Huxtable - odezwała się księżna - ale spodziewamy się gości i musimy szybko wracać do domu.

Woźnica musiał w pośpiechu chwycić lejce, lokaj otworzył drzwi, pan Huxtable skłonił się i pomógł im wejść do środka. Hanna skinęła mu wdzięcznie głową, kiedy odjeżdżały.

- Hanno? - zapytała Barbara.

- Nigdy nie należy okazywać zbytniego zapału - wyjaśniła.

- Ale ty praktycznie poprosiłaś go, żeby nas zabrał na herbatę - zauważyła Barbara.

- Wspomniałam tylko, że jestem spragniona. A to była szczerza prawda. - Czy spodziewamy się gości? - zapytała Barbara.

- Nic o tym nie wiem - przyznała Hanna. - Ale nigdy nie wiadomo.

Innymi słowy, skłamała. Barbara potępiała kłamstwa. Przemilczała to jednak. Hanna prowadziła swoją grę, której Barbara także nie pochwałała, ale księżna była dorosłą kobietą. Sama wybierała swoją drogę w życiu.

Drugie kłamstwo padło kilka wieczorów później,

kiedy były na balu wydanym przez lorda i lady Merriwether. Barbara nie miała ochoty tam pójść. To był bal socjety, a ona nigdy w życiu nie uczestniczyła w czymś większym od wiejskiej zabawy.

- Nonsens - oznajmiła Hanna, kiedy Barbara podzieliła się z nią swoimi obawami. - Pokaż mi swoje stopy, Babs. Barbara uniosła spódnicę ponad kostkę, a Hanna spojrzała na dół, marszcząc brwi.

- Tak jak podejrzewałam - stwierdziła. - Masz jedną prawą i jedną lewą stopę. Znakomite do tańca. Pozwoliłabym ci zostać w domu, gdybyś miała dwie lewe stopy, jak niektórzy ludzie, biedaczyska. Zwykle mężczyźni. Ale ty idziesz na bal. To nie podlega dyskusji. Idziesz. Powiedz mi, że idziesz. Barbara oczywiście poszła się na bal i stwierdziła, że jeśli nie będzie uważać, to oczy wypadną jej z orbit. Nigdy nie śniła o takim przepychu. Jutro czekało ją pisanie bardzo długich listów do domu. Otoczył je tłum, gdy tylko postawiły stopę w sali balowej. Albo raczej to Hanna została otoczona, a Barbara tkwiła przy niej w środku ciżby. Zdumiewała ją i nieco bawiła przemiana, jakiej przyjaciółka ulegała, kiedy występowały gdzieś publicznie. Niemal nie przypominała osoby, którą Barbara знаła całe życie. Wyglądała jak... Cóż, jak księżna.

Pan Huxtable był w sali. Wraz z dwoma dżentelmenami, z którymi widziała go w parku, oraz dwiema damami. Nie został jednak z nimi długo. Krążył wśród gości, zatrzymując się często, żeby wymienić z kimś parę słów.

A Hanna, jak zauważyła Barbara, zawsze starała się ustawić tak, żeby mógł ją widzieć. Przy wymianie spojrzeń Hanna poruszała zwykle białym wachlarzem z piór; raz czy dwa udało jej się przybrać minę niemal przygnębioną.



Jakby była nieszczęśliwa w tłumie i potrzebowała pomocy.

W sali, pomyślała Barbara, znalazłoby się zapewne parę tuzinów dam, które byłyby zachwycone, mogąc okazać się równie nieszczęśliwymi i potrzebującymi ratunku. Wpływ, jaki Hanna wywierała na mężczyzn, był w istocie zdumiewający, zwłaszcza że nie wydawała się wkładać w to większego wysiłku. Oczywiście, zawsze przyciągała wzrok, w każdym miejscu, nawet jako młoda dziewczyna.

Była jednym z najpiękniejszych stworzeń, jakie nosiła ziemia.

W końcu pan Huxtable odpowiedział na jej milczącą prośbę i podszedł do nich.

Najpierw skłonił się przed Barbarą, życząc jej przyjemnego wieczoru. Potem ukłonił się Hannie.

- Księżno, czy zechciałaby pani zatańczyć ze mną na otwarcie balu? Posmutniała znowu.

- Żałuję, ale nie mogę. Obiecałam to już komuś innemu.

Co? Barbara zamruła. Hanna wyjaśniła jej po drodze, że nigdy nie pozwalała żadnemu mężczyźnie rezerwować sobie tańca z wyprzedzeniem, w każdym razie nie od czasów, kiedy księżę jeszcze tańczył. A Barbara nie słyszała, żeby Hanna przyjęła czyjeś zaproszenie, odkąd tu przyszły. Czekala ją kolejna niespodzianka.

- A zatem, być może, drugi? - zapytał pan Huxtable.  
- Albo trzeci? Hanna zamknęła wachlarz i dotknęła warg jego czubkiem.

- Przykro mi, panie Huxtable - powiedziała naprawdę zgnębionym głosem. - Obiecałam wszystkie tańce. Może innym razem.

Skłonił się i odszedł.

- Hanno? - odezwała się Barbara.

- Będę tańczyła cały czas - oznajmiła księżna. - Nie można okazywać zbyt dużego zapału, Babs. Ponownie otoczył ją dwór, domagając się jej uwagi.

Co za jawne i dziwne kłamstwa, pomyślała Barbara. Jak zwrócenie uwagi mężczyzny, a potem odrzucenie go mogło w istocie zachęcić go do romansu? Jak można w ten sposób z obcego człowieka uczynić kochanka?

Barbara miała nadzieję, że plan tak czy inaczej się nie powiedzie. Szczerze wierzyła, że Hanna popełni poważny błąd, biorąc sobie kochanka. A pan Huxtable, choć wydawał się dżentelmenem o nienagannyh manierach, sprawiał też wrażenie niebezpiecznego i kogoś, kto nie pozwoli się sobą bawić bez końca.

Barbara mogła tylko mieć nadzieję, że w końcu mężczyzna przestanie całkiem zwracać na Hannę uwagę. A potem myśli Barbary ruszyły zupełnie innym torem, kiedy jeden z dżentelmenów poprosił księżną, aby go przedstawiła, a potem pochylił się nad dłonią Barbary i zapytał, czy mógłby ją poprowadzić w tańcu na otwarcie balu.

Ledwie powstrzymała się, żeby nie spojrzeć w dół, żeby sprawdzić, czy w istocie ma jedną prawą i jedną lewą stopę. Nagle poczuła suchość w ustach, serce zaczęło jej walić jak młotem i bardzo zateśkniła za Simonem.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się pogodnie, kładąc dłoń na rękawie dżentelmena. Zdążyła już zapomnieć jego imię. Hanna w tym czasie rozwijała jedną z najważniejszych umiejętności, jakie nabyła w ciągu minionych jedenastu lat, a mianowicie cierpliwego czekania. Nigdy nie należy okazywać zbyt dużego zapału - czy też w ogóle zapału - kiedy chce się coś zdobyć. A ona chciała Constantine'a

Huxtable'a.

Okazał się nawet bardziej pociągający, niż pamiętała z poprzednich lat, i nie miała wątpliwości, że będzie zadowolającym kochankiem. W gruncie rzeczy, dużo więcej niż zadowolającym.

Wiedziała jednak, że on sądził, iż nie chce jej za kochankę. To wydawało się oczywiste, kiedy spotkali się w Hyde Parku. Patrzył na nią raczej niechętnie, siedząc na koniu, i uznała, że jej nie lubi. W wielu osobach budziła niechęć, choć wcale jej nie znali, i należało sprawiedliwie przyznać, że to było głównie jej zasługą. Jednak otaczali ją tłumnie. Nie mogli oderwać od niej oczu.

Księżę nauczył ją nie tylko tego, jak przyciągać uwagę, ale też jak sprawić, żeby nikt nie mógł jej się oprzeć.

„Nikt nie podziwia ludzi nieśmiałych czy skromnych, moja najdroższa miłości”, powiedział jej kiedyś na początku ich małżeństwa, kiedy miała obie te cechy w nadmiarze. „Moja najdroższa miłości” - tak się do niej zwracał. Nigdy nie nazywał jej Hanną, tak jak ona nigdy nie zwracała się do niego inaczej niż „księżę”.

Nauczyła się nie okazywać nieśmiałości. I nigdy, przenigdy nie być skromną. I zachowywać cierpliwość.

Trzy wieczory po balu Hanna i Barbara brały udział w prywatnym koncercie w domu lorda i lady Heaton. Stały w owalnym holu w tłumie innych wcześniej przybyłych gości, popijając wino z kieliszków przed przejściem do sali muzycznej. Jak zwykle otaczał je dwór przyjaciół i adoratorów Hanny.

Dwóch wielbicieli walczyło ze sobą o zaszczyt siedzenia przy niej podczas wieczoru. Mogła im uświadomić, że ma dwa boki, nie sądziła jednak, aby to

rozstrzygnęło spór ku zadowoleniu obu panów.

Uniosła wachlarz, zasłaniając nieznacznie twarz, i zauważyła przybycie hrabiego i hrabiny Sheringford, pary, której małżeństwo przed wieloma laty rozpoczęło się w atmosferze straszliwego skandalu, a potem okazało się szczęśliwym, udanym związkiem.

Hrabina zauważyła Hannę i skinęła jej głową z uśmiechem. Hrabia także się uśmiechnął i podniósł dłoń na powitanie. Pan Huxtable przyszedł z nimi. Był spokrewniony z hrabiną, siostrą hrabiego Merton. Skłonił głowę przed Hanną i Barbarą, zachowując poważny wyraz twarzy.

Wszyscy pozostali goście zbledli przy nim, niemal rozplywając się w tle. A on miał zostać jej kochankiem.

Tak miało się stać. Nie pozwalała sobie w to wątpić.

„Jeśli czegoś chcesz, moja najdroższa miłości - powiedział jej kiedyś książę - nigdy tego nie dostaniesz. Chcieć to nieśmiałe, nędzne słowo. Zakłada, że wiesz, iż zostaniesz z tym pragnieniem, wiesz, że nie zasługujesz na przedmiot swoich marzeń i możesz tylko liczyć na cud. Musisz się spodziewać czegoś, a będzie twoje. Cuda nie istnieją”.

- Obawiam się, że nie mogę siedzieć z panem, lordzie Netherby - odezwała się Hanna, żeby zakończyć sprzeczkę pomiędzy rywalizującymi ze sobą wielbicielami - choć jestem wdzięczna za pańską uprzejmość. - Nie musiała podnosić głosu. Wszyscy wokół zamilkli, żeby usłyszeć, co powie. - Ani też nie będę mogła siedzieć z panem, sir Bertrandzie. Przykro mi. Usiądę z panem Huxtable'em. Tydzień temu nie miałam niestety czasu, żeby przyjąć jego uprzejme zaproszenie, kiedy chciał mnie i Barbarę poczęstować herbatą i ciastkami na Bond Street.

Nie miałam też wolnych miejsc, kiedy prosił mnie o taniec na balu u Merriwetherów parę dni temu. Zamiast tego dzisiaj z nim usiądę.

Zamknęła wachlarz i dotknęła nim zaciśniętych warg, patrząc na pana Huxtable'a. Nie okazał żadnej reakcji - zaskoczenia, lekceważenia czy zachwytu. Nie wdziękzył się do niej jak wielu mężczyzn, niemądre istoty. Ani też nie odwrócił się i nie odszedł. Przyjęła to z ulgą.

- Dobry wieczór, księżno - powiedział, podchodząc bliżej, kiedy jej dwór się rozstał, tworząc dla niego przejście. - Tłoczno tu raczej, nieprawdaż? W salonie muzycznym jest spokojniej. Czy pospacerujemy tam chwilę?

- Brzmi zachęcająco - odparła, wręczając pusty kieliszek dżentelmenowi po prawej stronie i wsuwając panu Huxtable'owi rękę pod ramię.

Państwo Parkowie, jak widziała, konwersowali z Barbarą, której właśnie zostali przedstawieni. Ich drugi syn, jak sobie przypomniała, został duchownym.

Ramię, które trzymała, okazało się bardzo solidne. I całe było obleczone w czern, z wyjątkiem śnieżnobiałego mankietu przy nadgarstku. Miał śniadą dłoń o długich, zadbanych palcach, choć nie było w niej nic zniewieściałego. Przeciwnie. Miało się wrażenie, że wykonała wiele pracy w swoim czasie. Pokrywał ją miejscami ciemny puszek. Jego ramiona dzieliło od jej ramion kilka cali. Roztaczał zapach wody kolońskiej, który pobudzał silnie jej zmysły. Nie potrafiła go rozpoznać. Salon muzyczny rzeczywiście był wciąż prawie pusty. Tego rodzaju rozrywki nigdy nie zaczynały się punktualnie. Zaczęli się wolno przechadzać po pomieszczeniu.

- A zatem - podjął, spoglądając na nią z góry - mam

zostać pocieszony po ostatnich rozczarowaniach, księżno, mogąc usiąść obok pani dziś wieczorem?

- Był pan rozczarowany?

- Rozbawiony.

Odwróciła głowę, patrząc w jego bardzo ciemne oczy. Nie dało się z nich nic wyczytać.

- Rozbawiony, panie Huxtable? - Uniosła brwi.

- Zabawnie patrzeć, jak kukielkarz manipuluje sznurkami, żeby kazać kukielce tańczyć, i odkrywa, że sznurki nie są przymocowane.

Ach. Ktoś, kto zna grę, ale odmawia przestrzegania jej reguł - to znaczy, reguł narzuconych przez księżnę. Tym bardziej jej się podobał.

- Ale czy to nie intrygujące - powiedziała - że kukielka i tak tańczy? Czy to dowód, że on jednak nie jest kukielką, ale kimś, kto lubi tańczyć?

- Widzi pani, księżno, ten ktoś nie lubi tańczyć z trupą tancerzy. Czuje się wtedy taki... zwyczajny. W istocie nie chce być zaledwie nic nieznaczącą częścią takiej grupy.

Ach. Ustalał własne reguły, czyż nie?

- Można jednak dopilnować, żeby zatańczył partię solową, panie Huxtable. Albo *może pas de deux*. W gruncie rzeczy właśnie *pas de deux*. A jeśli dowiedzie, że jest wspaniałym partnerem, a jestem przekonana, że tak będzie, może otrzymać zabezpieczenie w postaci prawa wyłączności do roli na cały sezon. Żadna trupa nie będzie potrzebna. Można się jej pozbyć.

Szli teraz pomiędzy niskim podium dla orkiestry, na którym spoczywały instrumenty muzyczne, a pierwszym rzędem połączonych, obitych aksamitem krzeseł.

- A więc ma zostać, zaraz na wstępie, poddany próbie? - zagadnął. - Rodzaj przesłuchania?

- Nie jestem pewna, czy to będzie potrzebne. Nie widziałam, jak pan tańczy, ale jestem pewna, że robi to znakomicie. - Jest pani zbyt uprzejma i ufna, księżno. On jest może ostrożniejszy. Jeśli ma ostatecznie tańczyć *de deux*, także musi mieć możliwość wypróbowania ewentualnej partnerki, aby sprawdzić, czy jest równie zręczna w tańcu jak on sam, czy dostosuje się do jego stylu na cały sezon i nie okaże się za szybko nudna.

Hanna otworzyła wachlarz wolną ręką i pomachała nim przed twarzą. W salonie wciąż nie było ludzi, ale nagle zrobiło się w nim duszno i gorąco.

- „Nudna” jest słowem, które nie należy do jej słownika oznajmiła.

- Ach - odparł - ale w jego słowniku występuje.

Hanna mogłaby się obrazić albo rozgniewać. Zamiast tego czuła zadowolenie. Słowo „nudny” występowało w jej słowniku w obfitości, a to oznaczało, że znowu skłamała. Barbara wpadłaby w przygnębienie, gdyby to usłyszała. Ale znakomicie się złożyło, że nie uczestniczyła w tej rozmowie. Doznałaby szoku. Większość dżentelmenów znanych Hannie była nudna. Nie powinni doprawdy ustawiać jej na piedestale i czcić. Piedestały to smutne, opustoszałe miejsca, a oddawanie czci komuś, kto jest bardzo śmiertelny, jest po prostu śmieszne. Ruszyli wzdłuż bocznej ściany salonu.

- Ach - westchnęła, patrząc przed siebie - oto księżę i księżna Moreland. Podejźmy, żeby z nimi porozmawiać?

Księżę, kuzyn pana Huxtable'a, wyglądał zupełnie jak on. W gruncie rzeczy mogliby z łatwością uchodzić za braci.

- Wydaje się - szepnęła, kiedy skierowała się w tamtą

stronę - że właśnie to robimy.

Książę i księżna byli dla niej bardzo uprzejmi, ale bardzo chłodni dla niego. Hanna przypominała sobie mętnie, że słyszała jakieś plotki o tym, że kuzyni się kiedyś poróżnili. Powstrzymała się jednak w porę, zanim osądziła ich w myślach za to, że żyją w niezgodzie, choć są rodziną. To byłoby raczej tak, jakby kocioł przygadywał garnkowi, nieprawdaż?

Nie myliła się w swojej wcześniejszej ocenie. Książę był przystojniejszy z nich dwóch. Miał doskonałe klasyczne rysy twarzy i zaskakująco niebieskie oczy, podczas gdy można by się spodziewać czarnych. Jednak pan Huxtable wydawał się bardziej pociągający - przynajmniej dla niej, a to dobrze się składało, jako że książę był żonaty.

- Zajmiemy teraz z panem Huxtable'em miejsca - powiedziała Hanna, zanim atmosfera stała się zbyt napięta.  
- Byłam tak długo na nogach, że czuję się zmęczona.

Wszyscy skinęli głowami i uśmiechnęli się do siebie nawzajem, a pan Huxtable posadził ją obok siebie w środku czwartego rzędu.

- To niezbyt dobry znak - powiedział - kiedy tancerkę bołą nogi po tym, jak spacerowała niecałą godzinę.

- Ale kto - odparła, zamykając wachlarz i kładąc go na chwilę na jego rękawie - mówi o tańcu? Dlaczego pokłócił się pan z księciem Moreland?

- Rzykując, że to zabrzmiało niegrzecznie, muszę panią zapewnić, że to nie jej sprawa. Westchnęła.

- Och, ależ jest. Albo będzie. Interesuje mnie absolutnie wszystko, co pana dotyczy. Zwrócił na nią swoje bardzo ciemne oczy.



- Zakładając, że po przesłuchaniu otrzyma pani rolę? Postukała go wachlarzem po rękawie.

- Po przesłuchaniu, panie Huxtable, będzie mnie pan błagać, żebym przyjęła tę rolę. Ale pan już o tym wie. Tak jak ja wiem, że w pana wypadku przesłuchanie jest absolutnie niepotrzebne. Mam nadzieję, że jest pan bardzo tajemniczym człowiekiem, który ma więcej sekretów do ujawnienia niż jedynie powód pańskiej kłótni z kuzynem. Och, mam nadzieję, że tak jest. Wierzę gorąco, że się nie rozczaruję. - Za to pani, księżno, jest jak otwarta księga, czyż nie? Musi pani wymyślić jakieś inne sposoby, żeby podtrzymać moje zainteresowanie aniżeli odsłanianie swoich nieistniejących tajemnic. Uśmiechnęła się lekko spod rzęs.

- Pokój się zapełnia. Koncert powinien się zacząć za jakiś kwadrans. Jednak nie zdążyliśmy jeszcze, panie Huxtable, porozmawiać o niczym istotnym. Jakie jest pana zdanie na temat pogody, jaką mieliśmy ostatnio? Za dobra za wcześnie, nie sądzi pan? Będziemy cierpieć z tego powodu później tego lata? Wielu tak uważa. A pan?

- Myślę, księżno, że zbyt gorąco za wcześnie nie jest czymś, co panią niepokoi. Jest pani niewątpliwie optymistycznej natury i spodziewa się, że temperatura nie spadnie, kiedy wiosna przejdzie w lato.

- Naprawdę muszę być jak otwarta książka. Tak dobrze pan we mnie czyta. I nie powie mi pan, panie Huxtable, że jest pan tego rodzaju człowiekiem, który woli chłodną wiosnę w nadziei, że latem nieco się ociepli. Jest pan Grekiem.

- Pół Grekiem, a pół nie. Pozostawię pani domysły, która połowa jest która.

Krzesa przed, za nimi i obok nich zapełniły się i w

pomieszczeniu zapanował gwar, dopóki lord Heaton nie wstąpił na podium. Zapadła cisza przed koncertem.

Hanna pozwoliła, aby wachlarz opadł jej swobodnie, i nieznacznie dotykała palcami rękawa jednej ręki pana Huxtable'a.

To wszystko bardzo ją intrygowało. Po spotkaniu na Bond Street i na balu u Merriwetherów zamierzała posunąć się o krok tego wieczoru, żeby cofnąć się następnym razem, kiedy się zobaczą. Nie musiała się śpieszyć. Preliminaria mogły być równie podniecające jak sama gra.

Nie pozwolił jej jednak grać tak, jak ona chciała. Zamiast jednego małego kroczyka miała wrażenie, że posunęli się co najmniej o milę. Niemal brakowało jej tchu.

I drżała w oczekiwaniu.

Nie mogła dopuścić, żeby miał ostatnie słowo. Nie na tak wczesnym etapie ich znajomości. Ani w gruncie rzeczy nigdy.

- Widzę, że pan Minter się spóźnił - odezwała się, kiedy godzinę później nastąpiła przerwa i publiczność wstała, żeby napić się wina i porozmawiać. - Muszę do niego podejść i go zbesztać. Błagał, żeby móc siedzieć przy mnie tego wieczoru, a ja przystałam na to z litości. Przypuszczam, że powinnam posiedzieć koło niego do końca koncertu. Nieszczęśnik jest całkiem sam.

- Tak - powiedział cicho do jej ucha pan Huxtable. - Sądzę, że lepiej będzie, jeśli pani odejdzie. Mógłbym uznać, że jest pani zbyt śmiała, gdyby pani została.

Dotknęła go jeszcze raz w ramię wachlarzem i ruszyła ku niczego niepodręczającemu panu Minterowi, który prawdopodobnie nie wiedział nawet, że księżna miała być dzisiaj na koncercie.

Wiosenne kochanki Constantine'a - jak je kiedyś nazwał Monty - pochodziły niemal wyłącznie z szeregów wdów z eleganckiego towarzystwa. Przyjął zasadę, że nigdy nie odwiedzi burdelu i nie zatrudni kurtyzany ani aktorki. Ani też, oczywiście, nie uwiedzie zamężnej kobiety, choć zdumiewająca liczba pań wydawała się chętna. Nie brał również pod uwagę kobiety niezamężnej - chciał kochanki, nie żony.

Wiele wdów, jak przekonał się niejednokrotnie, nie spieszyło się z ponownym zamążpójściem. Choć większość w końcu ponownie stawała przed ołtarzem, zwykle pragnęły przez parę lat cieszyć się wolnością i czerpać zmysłową przyjemność z przelotnych miłości.

Prawie zawsze znajdował sobie kochankę na sezon. Rzadko więcej niż jedną i nigdy nie więcej niż jedną w tym samym czasie. Jego kochankami były zwykle piękne kobiety, młodsze od niego, choć nigdy nie uważał urody czy wieku za niezbędne kwalifikacje. Preferował damy, które cechowała dyskrecja, duma, elegancja i inteligencja, pozwalająca rozmawiać na wiele interesujących tematów. Potrzebował także towarzystwa, nie tylko satysfakcji seksualnej. A w tym roku?

Stał na rozległym, brukowanym tarasie za rezydencją Fonteynów w Richmond - jakkolwiek „za” i „przed” to były tylko względne określenia w tym wypadku. Front domu kierował się ku drodze i zbliżającym się powozom i wywierał rzeczywiście wielkie wrażenie. Tył domu z kolei wychodził na Tamizę, a między nim a rzeką rozciągał się taras, szerokie ozdobione kwiatami schody, schodzący ku rzece trawnik z ogrodem różanym i małym

sadem z jednej strony, i ze szklarniami po drugiej. Drugi taras, wyłożony płytami, zbudowano wzdłuż rzeki. Małe molo rozciągało się nad wodą, dla wygody tych, którzy mieliby ochotę popływać którąś z łodzi zacumowanych po obu stronach. W tej chwili tył siedziby, który mógłby z łatwością uchodzić za prawdziwy front, kąpał się w słońcu. W upale wyczuwało się powiew chłodu, właściwego dla tej pory roku. Wszystko to było bardzo malownicze i przyjemne dla oka.

Fonteynowie okazali śmiałość, wydając party w ogrodzie na początku sezonu, na długo przedtem, zanim ktokolwiek inny odważył się zaufać pogodzie. Oczywiście, w domu znajdowały się wielka sala balowa, jak również obszerny salon oraz inne pokoje mogące pomieścić wszystkich gości w razie chłodnej pogody czy deszczu.

W tym roku w mieście pojawiła się nowa wdowa, która dość otwarcie i natrętnie ofiarowała mu siebie w charakterze kochanki na ten sezon. O ile naturalnie przejrzało się jej dość oczywistą grę i próbę przedstawienia siebie jako trudnej do zdobycia. Naprawdę rozbawiło go jej zachowanie na Bond Street i balu u Merriwetherów.

Teraz robiła to samo. Stała na trawniku w pobliżu sadu, z ręką na ramieniu lorda Hardingraye, jednego z jej dawnych kochanków, z którym przyjechała przed półgodziną. Otaczali ich inni goście, mężczyźni i kobiety. Poświęcała im całą uwagę, obracając nad głową elegancką parasolkę. Białą, rzecz jasna, jak całe jej ubranie. Prawie zawsze chodziła w bieli, ale nigdy nie wyglądała tak samo.

Zdumiewające.

Ani razu nie posłała spojrzenia w stronę Constantine'a. Co mogło oznaczać jedną z dwóch rzeczy - jeszcze go nie zauważyła albo straciła zainteresowanie

wchodzeniem z nim w jakikolwiek związek.

Wiedział doskonale, że żadna z tych odpowiedzi nie była prawdziwa.

Postanowiła go zdobyć. I z pewnością już go zobaczyła. Z pewnością tak ostentacyjnie nie unikałaby patrzenia w jego kierunku, gdyby było inaczej.

Znowu ogarnęło go rozbawienie.

Popijał wino, rozmawiając z grupką przyjaciół. Nie śpieszyło mu się, żeby do niej podejść. W istocie nie zamierzał robić pierwszego kroku. Jeśli pragnęła ignorować go całe popołudnie, nie wyjdzie stąd ze złamanym sercem.

Ale kiedy tak rozmawiała, śmiała się i rozglądała, witając nowo przybyłych uśmiechem albo gestem dłoni, powtarzał sobie w duchu pytanie, które dręczyło go od trzech dni.

Czy naprawdę chciał mieć księżnę Dunbarton za kochankę?

W Hyde Parku odpowiedział bardzo stanowczo „nie” na to pytanie, i nie żartował.

Większość mężczyzn uznałaby jego wątpliwości za niedorzeczne. Była w końcu jedną z najdoskonalej pięknych kobiet jego czasów i - jeśli to możliwe - jej uroda zyskiwała z wiekiem. Wciąż była stosunkowo młoda i pociągająca. Ubiegano się o nią, mówiąc oględnie. Mogła mieć za kochanka niemal każdego mężczyznę, którego by wybrała, w tym także większość żonatych.

Ale...

Coś sprawiało, że się wahał, a nie był wcale pewien, co to było.

Czy chodziło o to, że to ona go wybrała? Dlaczego jednak kobieta nie mogłaby się ubiegać o to, czego chce,

tak samo śmiało jak mężczyzna? Kiedy on zdecydował się na jakąś kobietę, zawsze chodził za nią uparcie, aż się poddała - albo nie. Poza tym, czyż to nie pochlebne, że został wyróżniony przez piękną, budzącą pożądanie księżną, która mogła mieć niemal każdego?

A zatem może chodziło o to, że była zbyt dostępna? Czyż nie miała legionu kochanków za życia starego księcia? Czy teraz miało być inaczej, skoro była wolna? Książę odszedł i zakończył się okres obowiązującej żałoby. Constantine nigdy jednak nie bał się rywalizacji. A gdyby okazało się, że księżna chce zatrzymać innych kochanków, zawsze mógł odejść. Nie szukał przecież miłości ani małżeńskich zobowiązań. Tylko kochanki. Jego serce nie miało się do tego mieszać.

A ona zapewniała go tak wymownie na koncercie u Heatona, że kiedy zostanie jej kochankiem, innych nie będzie. A może rzecz w tym, że zanadto przypominała otwartą księgę, jak jej powiedział na koncercie? Wszyscy wszystko o niej wiedzieli. Pomimo sennych oczu i półuśmiechu, który nie schodził z warg księżnej, nie otaczała jej żadna tajemnica, nic, co dałoby się odsłaniać w miarę upływu czasu niczym płatki róży.

Z wyjątkiem ubrania.

Nigdy nie wiadomo, jak kobieta wygląda nago, choćby wiele razy błędziło się wzrokiem po jej osłoniętym ciele. Nigdy nie wiadomo, jaka będzie w dotyku, jak będzie się poruszać, jakie dźwięki wydawać...

- Constantine. - Jego ciotka, lady Lyngate, siostra jego matki, podeszła do niego z tyłu i położyła mu rękę na ramieniu. - Powiedz, że nie byłeś jeszcze nad rzeką. A jeśli byłeś, to skłam i powiedz, że chętnie się tam ze mną przejdiesz.

Przykrył jej dłoń swoją i się uśmiechnął.

- Nie skłamałbym, ciociu Mario, nawet jeśli byłbym tam już dziesięć razy, co nie jest prawdą. Zawsze z przyjemnością będę ci towarzyszyć, dokądkolwiek chciałabyś pójść. Nie wiedziałem, że jesteś w mieście. Jak się masz? Piękniejesz z każdym rokiem i każdym siwym włosiem. Szlachetniejesz.

Nie kłamał i teraz. Zbliżyła się prawdopodobnie do sześćdziesiątki, a wciąż odwracały się za nią głowy.

- Cóż - odparła ze śmiechem - chyba po raz pierwszy usłyszałam komplement w związku z siwymi włosami.

Wciąż miała bardzo czarne włosy, ale siwiała interesująco na skroniach. Matka Elliotta - księcia Moreland - nigdy nie odcięła się od Constantine'a tylko dlatego, że jej syn rzadko z nim rozmawiał. Podobnie jak siostry Elliotta.

- Jak się miewa Cece? - Pytał o Cecily, wicehrabinę Burden, najmłodszą z nich i swoją ulubienicę; jednocześnie prowadził ciotkę po tarasie i w dół szerokimi schodami na trawnik. - Czy rozwiązanie ma wkrótce nastąpić?

- Na tyle szybko, że zostali w tym roku razem z Burdenem na wsi, z pewnością ku zachwytowi pozostałych dwojga dzieci. Co za wspaniały pomysł, żeby ustawić stoły tutaj, na tarasie. Można posiedzieć, posilić się i pobyć nad wodą.

Tak też zrobili i siedzieli około dziesięciu minut, zanim przyłączyła się do nich trójka przyjaciół ciotki - jedna dama i dwóch dżentelmenów.

- Proszę się nade mną ulitować, lady Lyngate, jeśli pani siostrzeniec zechce się z panią rozstać - odezwał się samotny dżentelmen po chwili rozmowy. - Przyszliśmy,

żeby wziąć łódź, aleja zawsze miałem awersję do występowania w pojedynkę. Proszę się zgodzić popłynąć jako czwarta.

- Och, chętnie - odparła. - Doskonale! Constantinie, czy wybaczysz?

- Bardzo niechętnie - przyznał, mrugając do niej. Patrzył, jak wsiadają do niedawno opuszczonej łodzi, a jeden z mężczyzn bierze wiosła i odpychają od brzegu.

- Sam, panie Huxtable? - odezwał się z tyłu znajomy głos. - Jak taki dżentelmen może się w ten sposób marnować?

- Siedziałem tu, czekając, aż zwróci pani na mnie uwagę i się zlituje - powiedział, wstając. - Proszę się do mnie przyłączyć, księżno.

- Nie jestem ani głodna, ani spragniona, ani też nie potrzebuję odpoczynku - oznajmiła. - Niech mnie pan zabierze do szklarni. Chcę zobaczyć orchidee.

Czy ktoś jej kiedyś odmówił, zastanawiał się, podając jej ramię.

Kiedy na koncercie u Heatona oświadczyła, że usiądzie koło niego w salonie muzycznym, czy pomyślała o tym, jak zakłopotana musiałaby się poczuć, gdyby odmówił? Dlaczego jednak miałaby się obawiać odmowy, skoro nawet nieprzystępny, zręczliwy stary książę Dunbarton nie zdołał jej się oprzeć po tym, jak opierał się wszystkim kobietom przez ponad siedemdziesiąt lat?

- Czułam się wielce urażona - poskarżyła się, biorąc go pod ramię. - Nie podszedł pan po przyjeździe, żeby się ze mną przywitać.

- Sądzę, że przyjechałem przed panią, księżno. I nie podeszła pani, żeby się ze mną przywitać.

- Czy przystoi kobiecie śpieszyć na powitanie



mężczyzny, gdy jest akurat zajęta?

- Tak jak zrobiła to pani teraz?

Spojrzał na nią. Dzisiaj była bez budki<sup>2</sup>. Zamiast niej miała na głowie nedorzecznie maleńki kapelusik, który umieściła na ukos ponad prawą brwią i który wyglądał - naturalnie - doskonale. Blond loki opadały jej w nieładzie, którego stworzenie zajęło zapewne jej pokojówce co najmniej godzinę. Białą muślinową suknię, jak widział teraz z bliska, zdobił haft z maleńkich blad różowych różyczek.

\*

- To niemiła odpowiedź, panie Huxtable. Jaki wybór mi pan zostawił? Byłabym niepokieszona, mając wrócić do domu, nie porozmawiawszy z panem.

Poprowadził ją na ukos przez trawnik w stronę szklarni. Poddał się temu, co nieuniknione. Była wyraźnie zdecydowana, żeby go zdobyć. A wbrew wszelkim obawom, nie mógł zaprzeczyć, że ta myśl nie budziła w nim niechęci. Pójście z nią do łóżka zapowiadało się na niebezpieczną przygodę, w to nie wątpił. Walka o władzę? I wzajemna, ogromna przyjemność, podczas gdy będą ze sobą o nią walczyć? Czasami zapowiedź zmysłowej przyjemności wystarczała, żeby zawrzeć związek. Tajemnice duszy, które warto by zgłębić, mogły poczekać do następnego roku i kolejnej kochanki. Kapitulował, w istocie, nie stawiając większego oporu. A to oznaczało, że miał do czynienia z wprawną uwodzicielką. Nic dziwnego. I nie zamierzał mieć o to do niej pretensji, jako że bycie

---

<sup>2</sup> Budka - damski kapelusz z szerokim rondem sterzącym ponad czołem i okalającym policzki, zawiązywany wstążkami pod brodą (przyp. red.).

uwodzonym zaczynało mu sprawiać przyjemność.

- Gdzie jest panna Leavensworth? - zapytał.

- Państwo Parkowie zaprosili ją do jakiegoś muzeum i wołała pójść z nimi aniżeli ze mną tutaj. Potrafi pan sobie wyobrazić coś takiego, panie Huxtable? Potem mają ją zabrać na kolację i do opery. Zadrżała lekko.

- Nigdy nie była pani w operze, księżno? Ani w muzeum?

- Ależ byłam, oczywiście. Nie można uchodzić za zupełną ignorantkę w oczach towarzystwa. Należy okazać zainteresowanie kulturą wyższą.

- Ale nigdy nie sprawiało to pani przyjemności?

- Naprawdę zaciekała mnie karetą Napoleona Bonaparte w... och, w jakimś muzeum - powiedziała, machając lekceważąco ręką, w której trzymała parasolkę. - Ta, w której jechał na bitwę pod Waterloo. Nie mógł jechać konno, ponieważ cierpiał na hemoroidy. Wiedział pan? Książę mi o tym powiedział i wyjaśnił, co to są hemoroidy. Wydaje się, że są bardzo bolesne. Być może książę Wellington wygrał bitwę dzięki hemoroidom Napoleona Bonaparte. Ciekawa jestem, czy ten fakt znajdzie się w podręcznikach historii.

- Prawdopodobnie nie. - Rozmowa wybitnie go bawiła. - Historia z pewnością będzie wołała przedstawiać Wellingtona zgodnie z obecną tendencją jako wielkiego, niepokonanego bohatera, który odniósł zwycięstwo dzięki swojemu nieprzeciętnemu talentowi wojennemu.

- Tak przypuszczam - zgodziła się. - Taka również była opinia księcia. To jest, mojego księcia. Zabrał mnie też kiedyś, żebym obejrzała starożytne marmurowe rzeźby, i wcale nie byłam zaszokowana widokiem nagości. Nie wywarły na mnie nawet szczególnego wrażenia. To tylko

blady marmur. Dużo bardziej wolałabym zobaczyć mężczyznę z krwi i kości. Greka. O brązowej od słońca skórze. A nie zimny kamień. Nie żeby prawdziwy mężczyzna mógł być tak doskonale piękny, oczywiście. Westchnęła i zakręciła ponownie parasolką. Hultajka, pomyślał Constantine.

- A opera?

- Nie rozumiem włoskiego. Byłaby straszliwie nudna, gdyby nie ta cała namiętność i tragedia, które powodują, że wszyscy na scenie padają trupem. Zwrócił pan uwagę, jak wspaniale ci wszyscy umierający śpiewają, zanim wydadzą ostatnie tchnienie? Co za strata. Wolałabym widzieć taką namiętność w życiu.

- Ale jako że opery powstają dla żywych śpiewaków i dla publiczności złożonej z żywych ludzi, a nie dla umierających nieszczęśników - zauważył - zatem tak właśnie się dzieje. Namiętność zdarza się w prawdziwym życiu.

- Nigdy już nie będę oglądać opery w ten sam sposób. - Zakręciła ostatni raz parasolką, po czym opuściła ją, kiedy podeszli do pierwszej szklarni. - Ani jej słuchać. Dziękuję, panie Huxtable, za pańskie uwagi. Musi mnie pan któregoś wieczoru zabrać do teatru, żebym mogła jej wysłuchać we właściwy sposób w pańskiej obecności. Zaproszę parę osób.

W szklarni było duszno i ciepło. Krzaki paproci rosły pośrodku, a pod szklanymi ścianami stały drzewka pomarańczowe. Nie było tam nikogo.

- Jak tu ślicznie. - Stała za ławką w centrum pomieszczenia, odchylając głowę do tyłu i wdychając zapach roślin. - Czy nie sądzi pan, że byłoby cudownie mieszkać w tropikach, panie Huxtable?

- Nieustające upały. Robactwo. Choroby.

- Ach. - Opuściła głowę, żeby na niego spojrzeć. - Brzydota w sercu piękna. Czy wszędzie, pana zdaniem, jest brzydota? Nawet jeśli coś jest bardzo, bardzo piękne?

Jej oczy stały się nagle ogromne i przepastne. I smutne.

- Nie zawsze - odparł. - Wolę wierzyć w coś przeciwnego... że w sercu ciemności zawsze kryje się niepokonane piękno.

- Niepokonane - szepnęła. - Zatem jest pan optymistą.

- Nie można nim nie być. Inaczej ludzka egzystencja byłaby nie do zniesienia.

- Tak łatwo - powiedziała - jest wpaść w rozpacz. Zawsze żyjemy ma krawędzi katastrofy, nieprawdaż?

- Tak. Sekret polega na tym, żeby nigdy nie ulec chęci skoczenia w przepaść.

Patrzyła mu w oczy. Zauważyła, że nie opuściła powiek do połowy. Jej usta się nie uśmiechały. Ale rozchyliły się lekko. Wydawała się... inna.

Wewnętrzny rzeczowy głos poinformował go, że w szklarni nie ma nikogo poza nimi i że tam, gdzie stoją, nikt nie może ich zobaczyć. Opuścił głowę i dotknął lekko wargami jej ust. Były miękkie, ciepłe, nieco wilgotne i poddawały się naciskowi. Dotknął językiem szczeliny między jej wargami, obrysował nim najpierw górną, a potem dolną wargę, po czym wsunął język głębiej. Jej zęby nie stanowiły przeszkody. Przesunął leciutko czubkiem języka po jej podniebieniu i odsunął głowę.

Smakowała winem i ciepłą, kuszącą kobietą.

Zajrzał jej głęboko w oczy, a ona odwzajemniała spojrzenie przez parę chwil, aż w wyrazie jej twarzy

nastąpiła bardzo subtelna zmiana. Powieki księżnej opadły, usta wygięły się ku górze i znowu była sobą. Miało się wrażenie, że zakłada maskę.

Interesujące.

- Mam nadzieję, panie Huxtable, że potrafi pan dorównać obietnicy tego pocałunku. Inaczej naraziłby mnie pan na straszliwe rozczarowanie.

- Sprawdzimy to dziś wieczorem.

- Dzisiaj? - Uniosła brwi.

- Nie może pani zostać sama, podczas gdy panna Leavensworth udała się do kogoś na kolację, a potem do opery. Czułaby się pani samotna i znudzona. Zamiast tego zje pani ze mną.

- A potem? - Wciąż miała uniesione brwi.

- A potem - odparł - spożyjemy dekadentcki deser w mojej sypialni.

- Och. - Wydawała się coś rozważać. - Ale na ten wieczór jestem umówiona, panie Huxtable. Jakże niedobrze się składa. Może kiedy indziej.

- Nie, nie kiedy indziej. Nie bawią mnie gierki, księżno. Jeśli pani mnie chce, to dziś wieczorem. Nie w nieokreślonej przyszłości, kiedy uzna pani, że poddała mnie dostatecznym torturom.

- Czuje się pan torturowany?

- Przyjdzie pani dzisiaj wieczorem albo wcale. Przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu.

- Cóż, mój Boże. Wierzę, że mówi pan poważnie.

- Tak jest - potwierdził.

Tak było. Ostrzegł ją wcześniej, że nie jest kukielką na sznurkach. Zabawnie było poflirtować, ale nie należało tego przeciągać w nieskończoność.

- Och - powiedziała. - Lubię władczych,

niecierpliwych mężczyzn. Wie pan, to naprawdę podniecające. Nie żebym zamierzała się poddać władzy mężczyzny, panie Huxtable. Żadnego. Nigdy. Sądzę jednak, że muszę rozczarować dżentelmena, z którym obiecałam spędzić wieczór. On ma do zaofiarowania tylko kolację, bez deseru. Czy też dekadenceckiego deseru, w każdym razie. To brzmi nieodparcie kusząco.

- To deser, który może zostać spożyty tylko we dwoje - dodał. - Zrobimy to wieczorem. Pośle...

Przerwała mu, słysząc skrzypnięcie otwieranych drzwi.

- Ale to są tylko paprocie - odezwała się lekceważąco. - Paprocie mogę w Anglii znaleźć przy każdej wiejskiej dróżce. Chcę zobaczyć orchidee. Proszę mnie do nich zaprowadzić, panie Huxtable.

- Z przyjemnością - odparł, kiedy ujęła go pod ramię.

- A potem może mnie pan zabrać na herbatę na górnym tarasie - dodała, zanim wymienili uprzejmości z grupą gości, którzy weszli do szklarni.

- W trzeciej cieplarni z kolei znajdują się orchidee, wasza wysokość - powiedziała panna Gorman.

- Ach, dziękuję. Jak miło z pani strony. - Księżna uśmiechnęła się. - Zaczęliśmy ze złej strony.

Tak więc, pomyślał Constantine, kiedy znaleźli się znowu w promieniach wiosennego słońca i ruszyli na poszukiwanie orchidei, wydawało się, że układ został zawarty. Miał kochankę na ten sezon. Bardzo satysfakcjonujące, zwłaszcza że związek miał zostać skonsumowany dzisiaj w nocy. Długo żył w celibacie.

Ale... czy coś go wciąż niepokoiło?

Pomimo faktu, że była piękną, pociągającą,

fascynującą istotą? Która, jak się wydawało, pragnęła go tak samo jak on jej?

Nie bardzo wiedział, dlaczego ten rok wydawał mu się inny niż zwykle.

„Musisz zawsze zdawać sobie sprawę z mocy tego, co niespodziewane, moja najdroższa miłości - oznajmił kiedyś Hannie książkę. - Musisz także wiedzieć, że nie można tego wykorzystywać zbyt często, gdyż wtedy to już nie będzie zaskakujące”.

- Oczywiście szmaragdy, Adele - zwróciła się Hanna do pokojówki.

Miała ubrania i biżuterię w rozmaitych żywych kolorach, chociaż rzadko ubierała się inaczej niż na biało. Tego od niej oczekiwano - białych strojów i brylantów. No i naturalnie biel, obejmująca wszystkie kolory spektrum, zawsze rzucała się w oczy w tłumie bardziej niż tęcza kolorów, w które ubierali się inni. Tego także nauczył ją książkę.

Dzisiaj w nocy jednak nie będzie występować w tłumie.

Dzisiaj zrobi coś niespodziewanego i zaskoczy jakże pewnego siebie Constantine'a Huxtable'a. Włożyła na siebie suknię ze szmaragdowozielonej satyny. Miała doprawdy szokująco niski dekolt i lśniła w świetle świec przy każdym ruchu. Dzisiaj ozdobiła się także szmaragdami, a nie brylantami. I największa niespodzianka - tego wieczoru nie zamierzała upinać włosów wysoko, jak czyniła zazwyczaj, jak zresztą robiła większość dam. Gładko uczesane, na karku zostały spięte wysadzaną szmaragdami zapinką. Włosy poniżej zapinki spływały swobodnymi falami i lokami prawie do pasa.

- Nie czekaj na mnie, Adele. - Wstała ze stołka, na

którym siedziała przed toaletką. Wszystkie klejnoty znajdowały się, ku jej zadowoleniu, na miejscu. - Wróć bardzo późno. I przekaz koniecznie mój liścik pannie Leavensworth, kiedy wróci z opery.

- Tak, wasza wysokość. - Pokojówka dygnęła i wyszła z garderoby.

Hanna przyjrzała się sobie krytycznie w wysokim lustrze. Wyprostowała się, odchyliła ramiona do tyłu, uniosła brodę i uśmiechnęła się lekko.

Nie była całkiem pewna co do włosów. Teraz jednak uznała, że podjęła właściwą decyzję. A nawet gdyby było inaczej, to nie miało znaczenia. Oto w jaki sposób postanowiła się ukazać kochankowi.

Zatem podjęła właściwą decyzję.

Kochanek. Jej uśmiech stał się prawie kpiący.

Nie rzuci jej swojego zwykłego, nieodgadnionego spojrzenia ciemnych oczu, kiedy ją dziś wieczorem zobaczy. Pojawi się w nich błysk pożądania, które - jak księżna wiedziała - odczuwał.

Diabeł miał zostać oswojony.

Ta myśl wcale nie była przyjemna, jakby się nad tym zastanowić. Gdyby go oswoiła, dlaczego miałby ją dłużej interesować? Oswojony diabeł to zapewne najnudniejsze i najżałośniejsze stworzenie na świecie.

Chciała kochanka. Chciała mieć wszystko, cokolwiek miał do zaoferowania świat zmysłowych przyjemności, nawet gdyby miała zstąpić do piekieł z samym diabłem.

Miała trzydzieści lat. Dlaczego wydawało się, że to dużo więcej niż dwadzieścia dziewięć?

Co by powiedziała Barbara, gdyby tu była? - pomyślała Hanna, odwracając się od lustra i podnosząc



pelerynę wiszącą na oparciu krzesła. Włożyła ją, zapięła pod szyją i starannie nasunęła kaptur na głowę. Wzięła też małą torebkę, ale zostawiła wachlarz. Nie będzie jej potrzebny.

Barbara pewnie nic by nie powiedziała. Nie musiałyby. Popatrzyłyby tylko oczami pełnymi wyrzutu.

Uznałyby, że jej przyjaciółka zamierza zrobić coś straszliwie niemoralnego. Hanna nie mogła się z tym zgodzić. Nie była już mężatką. Barbara myślała także, że z takiej przygody księżna wyjdzie ze złamanym sercem. Z tym także Hanna nie mogła się zgodzić. Zamierzała jedynie spać z niezwykle atrakcyjnym, doświadczonym mężczyzną. Niemal każda część jej ciała miała być w to zaangażowana, z wyjątkiem serca.

Bardzo szczęśliwie zaangażowana.

Nie popełniała błędu. Wypadki potoczyły się szybciej, niż przewidziała, to prawda. Nie była pewna, czy dobrze się stało, że uległa tak szybko tego popołudnia. Prawdopodobnie nie mówił prawdy, twierdząc, że nie zechce mieć z nią nic wspólnego, jeśli nie przyjdzie do niego dzisiaj wieczorem. A gdyby mówił poważnie, to co? Byli inni. Ale poddała się. Pragnęła przecież władczego mężczyzny, nie takiego, który - tak jak powiedziała Barbara - byłby jedynie pieskiem pokojowym.

Nie, nie popełniała błędu.

Spojrzała jeszcze raz na swoje odbicie. Tak. Znowu była cała w bieli.

Powóz, po który posłała, stał już pod drzwiami, kiedy kazała Adele przynieść szmaragdy. Zjawił się punktualnie.

A to znaczyło, że spóźniła się już około piętnastu minut. W sam raz.

Zeszła po schodach do holu, gdzie lokaj w eleganckiej liberii czekał, żeby otworzyć przed nią drzwi.

## 5

Constantine Huxtable nie wynajmował kawalerskiego mieszkania w rejonie St. James i wszystkich klubów dla dżentelmenów, jak robiło wielu panów, którzy przebywali samotnie w mieście. Zamiast tego co roku brał w wynajem dom w dzielnicy na tyle eleganckiej, żeby to odpowiadało jego pozycji towarzyskiej, ale nie na tyle modnej, żeby narażać się na zakłócanie swojej prywatności.

Tak przynajmniej pomyślała Hanna, kiedy woźnica pomógł jej wysiąść przed drzwiami Constantine'a, a ona rozejrzała się z zaciekawieniem po ulicy. Wciąż było jasno. Mieli spożyć kolację stosunkowo wcześnie.

Służący otworzył drzwi domu. Hanna uniosła skraj sukni i peleryny, wspięła się po schodach i wsunęła się za lokajem do kwadratowego, obszernego holu z podłogą wyłożoną czarnymi i białymi płytkami i pejzażami wiszącymi w ciężkich pozłacanych ramach.

Constantine Huxtable stał pośrodku holu, ubrany cały na czarno jak zwykle. Wyglądał w istocie niezwykle diabolicznie.

- Księżno. - Ukłonił się elegancko. - Witaj w moim domu.

- Mam nadzieję - powiedziała - że pański kucharz przeszedł dzisiaj samego siebie. Nie jadłam od przyjęcia w ogrodzie i umieram z głodu.

- Zwolnię go jutro rano bez referencji, jeśli okaże się inaczej. - Podszedł do niej, żeby wziąć pelerynę.

- Jakże jest pan bezwzględny - stwierdziła, stojąc wciąż w miejscu, parę kroków od drzwi. Zaciśnęła lekko wargi i podszedł jeszcze bliżej, żeby zsunąć jej z głowy

kaptur i rozpiąć pelerynę pod szyją. Zdjął ją i podał milczącemu lokajowi, nie odrywając oczu od księżnej. Powoli przesunął wzrokiem po jej ciele, a potem powędrował spojrzeniem w górę, do głowy i do oczu.

W jego oczach nie było ani odrobiny zaskoczenia. Ale coś w nich było. Jakiś żar, być może. Jednak go zaskoczyła.

Hanna żałowała, że w końcu nie wzięła wachlarza.

- Wygląda pani dzisiaj wyjątkowo pięknie, księżno - odezwał się, podając jej ramię.

Zaprowadził ją do małego, przytulnego pokoju. Ciężkie draperie w oknach nie pozwalały przeniknąć do środka słabemu już światłu dnia. Oświetlenie zapewniały ogień płonący na kominku oraz dwie długie świece w kryształowych świecznikach, umieszczone na niewielkim stole na środku pokoju. Stół nakryto dla dwojga.

To nie była jadalnia, domyśliła się Hanna.

Pokój zapewniał intymność.

Podszedł do kredensu i nalał dwa kieliszki wina, zanim pociągnął za sznur od dzwonka. Wręczył Hannie jeden z kieliszków.

- Na pusty żołądek, panie Huxtable? Chce pan, żebym tańczyła na stole?

- Nie na stole, księżno. - Stuknęli się kieliszkami w milczącym toaście. Upiła trochę wina.

- Wcale nie potrzebuję zachęty, żeby tańczyć gdzie indziej. Szkoda na mnie wina.

- Więc mam nadzieję, że przynajmniej dobrze smakuje. Tak było w istocie.

Służba wkroczyła zjedzeniem, a oni usiedli przy stole. Kucharz okazał się znakomity, jak wkrótce odkryła Hanna. Jedli przez jakiś czas niemal w milczeniu.

- Proszę mi opowiedzieć - odezwała się w końcu - o swoim domu, panie Huxtable.

- O Warren Hall?

- To był pański dom. Teraz należy do lorda Merton. Czy jest pan z nim w dobrych stosunkach? Jeździli przecież razem w parku.

- W doskonałych.

- A gdzie pan teraz mieszka? Wskazał pokój jedną ręką.

- Tutaj.

- Ale nie przez cały rok - zauważyła. - Gdzie pan mieszka, kiedy nie przebywa w mieście?

- Mam dom w Gloucestershire.

Przyglądała mu się, gdy zabrano talerze po zupie i postawiono przed nimi danie rybne.

- Nie zamierza mi pan o nim opowiedzieć, prawda? Jakie to męczące. Kolejny sekret do dodania do tajemniczego powodu pańskiej kłótni z księciem Moreland. Oraz do tajemnicy pańskich znakomitych stosunków z hrabią Merton, który ukradł tytuł należący się słusznie panu.

Odłożył powoli nóż i widelec na talerz. Zajrzał jej w oczy poprzez stół. Jego wydawały się niezwykle czarne.

- Źle panią poinformowano, księżno - stwierdził. - Tytuł nigdy nie miał należeć do mnie. Nigdy nie powstała taka możliwość. Kiedyś należał do mojego ojca, potem do mojego młodszego brata, teraz należy do mojego kuzyna. Nie mam powodu, żeby mieć żal do któregokolwiek z nich. Kochałem ojca i brata. Ogromnie lubię Stephena. To moja rodzina. Należy kochać rodzinę.

Ach, dotknęła go do żywego. Panował całkowicie nad głosem i manierami, ale... Za bardzo panował?

- Z wyjątkiem księcia Moreland? Wciąż na nią patrzył, nie tykając jedzenia. Talerze zabrano i wniesiono kolejne danie.

- A co z twoją rodziną, księżno? - zapytał. Wzruszyła ramionami.

- Jest księżę - odparła. - To znaczy, obecny księżę. Nie można mu niczego zarzucić i jest nieszkodliwy, i równie interesujący jak kukurydza i owce, które uwielbia. A księżę, mój mąż, miał armię innych krewnych, z którymi nigdy nie był blisko.

- A pani rodzina? - zapytał.

Podniosła kieliszek, obróciła go wolno, obserwując załamanie światła w kryształach, i upiła łyk wina.

- Nie mam żadnej. Tak więc nie mam nic do powiedzenia. Żadnych sekretów do ukrycia czy wydania. Proszę mi pozwolić opowiedzieć o moim domu w Kent, Copeland. Księżę kupił go dla mnie pięć lat temu. Zawsze go nazywał moją staromodną wiejską chatką, ale to ani chatka, ani staromodna. To dworek, a nawet pałacyk. Park rozciąga się na cztery strony wokół domu, na pół zagospodarowany, na pół dziki. Wszystko jest dobrze utrzymane, ale są tam naturalny las, naturalna trawa i naturalne jezioro. Nie ma altanek, kwietników ani szlaków spacerowych. Naprawdę jest tam całkiem... wiejsko. Księżę mógłby tak to określić, nie odbiegając od prawdy. Ukroiła kawałek wołowiny, która sprawiała wrażenie świetnie przyrządzonej.

- To wszystko jest może trochę nadto naturalne dla pani, księżno? - zapytał.

- Czasami obawiam się, że tak. Czuję, że powinnam narzucić temu miejscu swoją ludzką wolę, że powinno tam być ładnie, tak jak ogród dzisiaj wyglądał ładnie.

- A jednak? - Znowu przestał jeść.

- A jednak muszę wyznać, że podoba mi się tak, jak jest. Czasami trzeba naturę oswajać. W moim parku jest niewiele śladów ręki człowieka. Ale czyż powinniśmy zmuszać przyrodę, żeby była taka, jaką jej nie stworzono, żeby tylko zaspokoić naszą potrzebę piękna? Cóż to jest piękno?

- Cóż, to pytanie zadajemy sobie od wieków.

- Musi pan przyjechać i zobaczyć na własne oczy. I powiedzieć mi, co pan o tym sądzi.

- Muszę przyjechać? - Uniósł brwi. - Do Kent?

- Urządzą krótkie przyjęcie w domu trochę później w sezonie, kiedy wszystkim zaczną się nudzić nieustające bale. Wszelkie zasady przyzwoitości zostaną zachowane, zapewniam pana, chociaż do tego czasu, rzecz jasna, nie będzie tajemnicą dla nikogo, że jesteśmy kochankami. Socjeta zawsze wie takie rzeczy, nawet jeśli to nieprawda. Ale z nami tak nie będzie. Powie mi pan, co myśli o moim parku.

- A pani posłucha mojej rady?

- Zapewne nie posłucham. Ale chętnie o tym porozmawiam.

- Czuję się zaszczycony.

- A ja jestem najedzona - oznajmiła. - Przekáže pan kucharzowi wyrazy uznania, panie Huxtable?

- Tak jest. Przyjmie z ogromną ulgą wiadomość, że nie zostanie zwolniony jutro rano. Czy nie chce pani sera albo kawy? A może herbaty?

Nie chciała. Cały wieczór próbowała zająć swoją uwagę rozmową. Usiłowała też udawać przed sobą, że jest głodna - powinno tak być, bo rzeczywiście nie wzięła nic do ust od przyjęcia w ogrodzie, kiedy przyniósł jej talerz z

łakociami z górnego tarasu. Oparła łokieć o blat stołu, położyła podbródek na dłoni i spojrzała na niego między dwiema świecami.

- Tylko deser, panie Huxtable - odparła i poczuła słodkie podniecenie, o którym marzyła przez drugą połowę roku żałoby i planowała przez parę miesięcy po świętach Bożego Narodzenia. Podniecenie i niepokój. Nie mogła okazać tego drugiego. To by było nie na miejscu.

Cieszyła się, że to on. Rozczarowałaby się, gdyby nie przyjechał w tym roku do miasta. Nie wpadłaby w rozpacz. Miała na oku innych doskonałych kandydatów. Ale nikogo, kto by dorównywał Constantine'owi Huxtable'owi.

Sądziła, że może być niezwykłym kochankiem. W gruncie rzeczy była pewna, że się nie zawiedzie.

Właśnie miała się przekonać, czy się nie myliła. Podniósł się, odsunął krzesło nogą i obszedł stół, żeby podać jej rękę.

Była ciepła i silna, jak stwierdziła, wkładając w nią swoją dłoń. Wydawał jej się wyższy i szerszy w ramionach, kiedy wstała. Zapach wody kolońskiej, który poczuła już wcześniej, znowu podrażnił jej zmysły.

- Chodźmy zatem i spożyjmy go - powiedział - bez dalszych ceregieli. Spojrzała na niego spod rzęs.

- Mam nadzieję, że ten kucharz nie zawiedzie.

- Jeśli tak, księżno, to nie tylko zwolnię go rano, ale zabiorę w jakieś odległe miejsce i zastrzelę.

- Drastyczne kroki, w istocie. I co za strata greckiego piękna. Ale bez wątpienia to nie okaże się potrzebne. On nie zawiedzie. Nie pozwolę mu.

W języku angielskim czasami brakowało słów, żeby wyrazić myśli, uświadomił sobie tego wieczoru



Constantine. Jakimi słowami opisać coś, co jest piękniejsze niż piękne i doskonalsze niż doskonałe?

Zawsze uważał księżną Dunbarton za doskonale piękną kobietę, nawet kiedy go szczególnie nie pociągała.

Dzisiaj wzniosła się ponad te superlatywy.

Nie pamiętał, żeby ją kiedyś widział w innym kolorze niż biały. Zawsze uważał, że to niezwykle mądre z jej strony, że - w pewnym sensie - wybrała ten kolor jako swój znak. Ale, rzecz jasna, to odstępstwo od normy było równie mądre... i oszałamiające.

Wyglądała... Cóż, nie istniały określenia, które by mogły to opisać. „Oszałamiający” to może jedyne słowo choć w przybliżeniu adekwatne.

Kucharz mógłby im podać wyprawioną skórę i zwir na kolację, a on nie zwróciłby najmniejszej uwagi najedzenie. I cały czas musiał się pilnować, żeby się na nią nie gapić.

Barwa jej sukni i klejnotów przekształciła ją z królowej lodu w rodzaj bogini płodności. A włosy, które zapewne każdy członek socjety płci męskiej pragnął w marzeniach widzieć rozpuszczone na ramionach, opadały jej na plecy burzliwymi falami, obejmując jednocześnie głowę lśniąca gładzią.

Dekolt sukni niewiele pozostawiał wyobraźni, a jednak intrygował. Załedwie cał niżej...

Monty nazwał ją niebezpieczną tamtego popołudnia w Hyde Parku.

Była bardziej niebezpieczna niż mityczne syreny.

A w ich rozmowie nie było dzisiaj zmysłowego podtekstu, który zwykle charakteryzował wymianę zdań między nimi. W istocie, kiedy zaczęła mówić o domu w Kent, wydawała się ciepła. Jakby rzeczywiście lubiła to

miejsce.

Była bardzo, bardzo sprytna. Musi się mieć na baczości, myślał, prowadząc ją po schodach do sypialni. Chociaż nie wiedział, przed czym właściwie miałby się bronić. Za chwilę mieli przecież zostać kochankami. I zapewne pozostaną nimi do końca sezonu.

Ale nie dłużej, oczywiście. A jeśli ona nie życzyła sobie, żeby to trwało aż tak długo, no cóż, jej wybór. Nie złamie mu serca, prawda?

Na niskiej komódce w kącie pokoju stał świecznik z kilkoma zapalonymi świecami. Poślanie było zaścielone, okna zasłonięte, na tacce przy łóżku stała karafka z winem i kieliszki. Wszystko przygotowano. Zamknął za nimi drzwi.

Księżna Dunbarton westchnęła, wysuwając rękę spod jego ramienia i odwracając się do niego. To zabrzmiało niemal jak pomruk zadowolonego kota.

- Nic nie dorównuje przyjemności oczekiwania, prawda? - powiedziała. - Przyznaję, że czekałam na tę chwilę przez całe popołudnie. Wcale nie żałuję, że zdecydowałam się odwołać umówione spotkanie i przyszłam tutaj. Opuszką palca dotknęła lekko jego podbródka i wodziła nim w jedną i drugą stronę. Jej wzrok podążał tym śladem.

- Ja także nie żałuję - stwierdził.

- Wierzę, że będzie pan smakować każdą chwilę. Mam nadzieję, że nie należy pan do mężczyzn, którzy sądzą, że okazują swoją męskość, starając się jak najszybciej zakończyć wyścig. Podniosła ku niemu wzrok, choć nie poruszyła głową.

- Jednakże, księżno, zamierzam przeprowadzić wyścig. Maraton. Zna pani historię Grecji?

- Wiele mil? - powiedziała. - Mnóstwo godzin?

Niemal nadludzka wytrzymałość?

- Wie pani, co mam na myśli.

Jej dłoń zsunęła się, żeby spocząć na jego ramieniu. Wolną rękę umieściła z drugiej strony.

- A zatem lepiej, żeby nie tracił pan więcej energii na rozmowę, panie Huxtable. Powinien pan zacząć swój bieg na wytrzymałość, ten maraton, bez dalszej zwłoki.

## 6

Wspaniałe, senne błękitne oczy spojrzały na niego z rozmarzeniem.

Opuścił głowę i położył usta na jej wargach.

Objął dłońmi wąską talię, podczas gdy ona otoczyła jego szyję ramionami, oddając mu pocałunek.

Była podniecona, bardzo podniecona, wbrew wyraźnemu ostrzeżeniu, żeby nie zapomniał o grze wstępnej.

Nie spodziewał się namiętnej kobiety i być może miało się okazać wkrótce, że miał rację. Może jednak była zręczną, doświadczoną, zmysłową, panującą nad sobą kochanką, za jaką ją uważał. I być może była dość sprytna i pewna siebie, żeby dorzucić do tego namiętność.

Tęsknił za namiętnością, ale - jak sobie uświadomił - rzadko jej doznawał ze swoimi kochankami.

Namiętności towarzyszą uczucia, emocje, świadomość ryzyka. Większość kobiet, z którymi sypiał, szukała towarzystwa i zdrowego, satysfakcjonującego seksu. Jemu to także zawsze odpowiadało.

Brak namiętności jest lepszy niż nadmiar tej niewłaściwego rodzaju.

Namiętność mogła prowadzić do niepożądanego związku uczuciowego. Nie chciał, aby jakaś kobieta przywiązała się do niego w ten sposób. Nigdy nie zamierzał nikogo zranić.

Ale takie myśli szybko umykały. Przycisnęła się do niego piersią, brzuchem i udami, rozchylając usta przy jego ustach.

Ogarnęło go gwałtowne pożądanie.

Nareszcie!

Od wielu miesięcy nie miał kobiety. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był wygłodniały.

Podniósł ręce, żeby objąć twarz księżnej i trzymać ją o parę cali od własnej. Przesunął dłonie na jej kark do zapinki trzymającej włosy. Rozpiął ją i pozwolił spaść na dywan. Palcami obu rąk wzburzył włosy. Nie potrzebowały zachęty, żeby opaść na ramiona i plecy kochanki lśniąca chmurą.

Niemal jęknął.

Wydawała się dziesięć lat młodsza. Wydawała się... niewinna. Z sennymi oczami, które nawet w słabym świetle świec robiły wrażenie bardzo niebieskich. Niewinna syrena - intrygujący oksymoron.

- Nie mogę zrobić tego samego dla pana - stwierdziła - choć można powiedzieć, że pańskie włosy są nieco dłuższe, niż nakazuje moda. Jednak nie wolno ich panu ścinać. Zabraniam panu.

- Mam być pani niewolnikiem miłośnym i zawsze okazywać posłuszeństwo? - zapytał, pochylając głowę, żeby pocałować ją za uchem, odsuwając jej włosy jednym palcem. Musnął językiem miękką skórę i z satysfakcją zauważył, że przez ciało kobiety przebiegł lekki dreszcz.

- Wcale nie - odparła - ale będzie pan robił, co mnie się podoba, ponieważ to się i panu podoba. Zdejmę panu frak, skoro nie ma pan spinki do włosów.

To nie było łatwe. Lokaj musiał się sporo nameńczyć, wkładając na niego ten strój tak, aby leżał na nim - z godnie z obowiązującą modą - jak druga skóra. Jej palce jednak przesunęły się po jego piersi pod frakiem, wzdłuż ramion i rąk, a frak posłusznie poszedł za dłońmi i zsunął się na podłogę. Pomyślał, że nie robiła tego po raz pierwszy.

Spojrzała na jego koszulę i fular; podniosła ręce i zręcznie go usunęła. Odpięła mu guzik pod szyją i rozchyliła koszulę.

Constantine przyglądał się jej; skupiła się na tym, co robiła, rozchylając lekko wargi.

Nie było pośpiechu. Żadnego pośpiechu. Mieli całą noc i nie przyznawano nagród za to, ile razy będą się kochać. Jeden raz mógł zupełnie wystarczyć jak na pierwsze spotkanie.

- Wygląda pan cudownie w koszuli - skomplementowała go. - Bardzo męsko. Niech pan ją zdejmie. Nie zamierzała sama tego zrobić?

Patrzył na jej twarz, kiedy wyciągnął koszulę ze spodni, rozpiął guziki przy nadgarstkach, skrzyżował ramiona i ściągnął ubranie przez głowę. Przyglądała mu się, kiedy to robił, po czym zaczęła błędzić oczami po jego ramionach, piersi, spuszczać wzrok w dół, do paska spodni. Dotknęła jego piersi czubkami palców.

Odsunął rękami jej dłonie, rozsunął suknię na ramionach, a potem wsunął kciuki w dekolot pośrodku. Przesunął je tak, że suknia zatrzymała się pod biustem - było to coś, o czym myślał bez przerwy przy kolacji.

Nie miała szczególnie obfitych piersi. Były jednak jędrne, kształtne i uniesione do góry - dzięki gorsetowi, to prawda - i pasowały, cudownie miękkie i ciepłe, do jego dłoni. Skórę miała jasną, w porównaniu z nim niemal przezroczystą. Schylił głowę i musnął wargami jej pierś. Poczul bardziej, niż usłyszał, jak wciąga głęboko powietrze.

Przesunął usta do drugiej piersi.

- Mmm - wydała z głębi gardła pomruk zadowolenia, wsunęła palce w jego włosy i uniosła mu

głowę. Własną odchyliła do tyłu; jej włosy spłynęły swobodnie w dół. Przyłgnęła do niego piersią i całym ciałem. Przyciągnęła jego twarz do swojej, otwierając usta.

Objął ją, przyciągając jeszcze bliżej, zatracając się na długą chwilę w pocałunku, w którym języki obojga pieściły się i drażniły. Oddychali coraz szybciej.

Potem jej ręce przesunęły się po jego plecach, a palce wpijały się mocno w ciało. W końcu dosięgły pasa - pod pantalonami i bielizną. Rozłożyła dłonie na jego pośladkach.

- Zdejmij to - szepnęła, napinając materiał wierzchami dłoni.

Znowu... Nie zamierzała sama tego zrobić? Dowiodła już jednak tego wieczoru, że jest mistrzynią niespodzianek. Patrzyła, jak zdejmuje najpierw buty i pończochy, potem pantalon i bieliznę. Przytrzymała suknię pod biustem, póki nie skończył. Potem zwolniła uchwyt, szmaragdowozielona satyna zsunęła się na podłogę i oto stała przed nim w gorsecie, jedwabnych pończochach i pantoflach.

Z pewnością wzięłby ją tam i wtedy, gdyby nie domyślał się, jak krępująca musi być kobieca bielizna... i gdyby nie obiecał maratonu. Zamiast tego rozsznurował gorset i rzucił go na suknię. Dziwna rzecz, moda. Bez gorsetu czułaby się pewnie nieubrana, ale wcale go nie potrzebowała. Miała szczupłe, silne i zgrabne ciało, piersi jędrne i młode. Nogi były długie i szczupłe. Czasami sprawiała wrażenie niewysokiej, ale to była tylko iluzja.

Usiadła na brzegu łóżka, opierając się na rękach i wyciągając ku niemu stopę o obciążniętych palcach. Ściągnął pończochę, a potem drugą, kiedy podsunęła mu drugą nogę.

Pochylił się nad nią, przyciskając ją plecami do materaca, i pocałował głęboko z otwartymi ustami, przykrywając jej piersi dłońmi. Ułożył się między jej rozsuniętymi nogami. Ramiona rozłożyła szeroko na łóżku.

- Jak długo trwa maraton? - zapytała, kiedy chwilę później uniósł głowę. Miała zaróżowione policzki.

- Jeśli trzeba, całą noc. Oczywiście, zawsze można trochę oszukiwać, biec na skróty, kiedy nikt nie patrzy, i dotrzeć na metę znacznie wcześniej niż o świcie.

- Bardzo mi odpowiada niegrzeczne zachowanie, kiedy nikt nie patrzy - powiedziała, muskając opuszkami palców jego ramię.

- A więc dobrze.

Poczuł w istocie ogromną ulgę. Był już podniecony do granic możliwości.

Wyprostował się i wsunął pod nią dłonie, kładąc ją całą na łóżku i odwracając tak, żeby leżała wzdłuż, a nie w poprzek. Odsunął nakrycie do stóp łóżka i położył się na boku, częściowo na niej, opierając głowę na ręce.

Jej dłonie spoczywały na materacu.

Ujął podbródek Hanny i pocałował, podczas gdy drugą rękę przesunął w dół, między jej piersi, po płaskim brzuchu i między nogi.

- Mmm - z jej gardła dobył się znów pomruk zadowolenia. Wtoczył się na nią, rozsunął jej kolana swoimi nogami, wsunął pod nią ręce, chwycił mocno i wsunął się środka.

Odczuł szok gorąca, wilgoci, naprężonych mięśni, miękkiego kobiecego ciała.

Zmusił się do kontrolowania oddechu i swoich cielesnych reakcji. Nadeszła pora największej przyjemności - nareszcie - i nie zamierzał tego przyśpieszać, mimo



zachęty, jakiej mu udzieliła, i własnej potrzeby. Nie ruszał się i zauważył, że napięcie jej ciała stopniowo ustępuje. Czekał na nią.

Księżna Dunbarton. Hanna.

Nagle stanął mu przed oczami obraz Hanny podczas ich spotkania w parku - tamtego popołudnia, kiedy był ze Stephenem oraz Montym.

Jej ramiona obejmowały go luźno w pasie. Nogi uniosły się, po jednej, z łózka, oplatając jego ciało.

Promieniała gorącem.

Podniósł głowę i spojrzał jej w twarz.

Oczy miała w cieniu. Dolną wargę przytrzymywała zębami.

- Widać metę - szepnął - choć nadal jest do niej kawałek.

Nie miała nic do powiedzenia. Zamknęła oczy.

Cofnął się, usłyszał cichy protest i wsunął się znowu głęboko. Rytm ruchów zbiegł się w końcu z rytmem jego serca. Była cudowna.

To było cudowne.

Jednak miłość cielesna nie sprawiłaby mu takiej przyjemności, gdyby nie wiedział, kto mu ją daje. A ona była mądra do końca. Zamiast poruszać się jak doświadczona kobieta, czego się spodziewał - i czego, jak mu się wydawało, pragnął - leżała otwarta, niemal bierna.

Przygotowywał się na długie czekanie podczas gry wstępnej, ale zostało mu darowane, choć rozkoszowałby się każdą chwilą, gdyby było inaczej. Wykorzystał energię i umiejętności w prawdziwej grze, w akcie cielesnym z kobietą, która miała być jego kochanką przez następnych parę miesięcy. Poruszał się długo, wchodząc mocno i głęboko, aż ulotniła się wszelka myśl i została tylko

rozkosz - ból wchodzenia i wycofywania się, i kobiece oddanie.

Oddanie Hanny.

Była rozgrzana i sływała potem. Oddychała ciężko.

A potem stracił wszelką kontrolę. Trzymał ją mocno, poruszając się gwałtownie, aż odczuł ulgę.

Całe napięcie uszło z jego ciała, kiedy ułożył się na niej. Opierała głowę na jego ramieniu, twarz miała odwróconą. Trzymała go ramionami i nogami - czuł, jak rozluźnia się razem z nim.

Odsunął się, poczuł chłód powietrza na wilgotnym ciele i sięgnął po nakrycia. Odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć. Włosy miała wilgotne i wzburzone. Niebieskie oczy lśniły w blasku świec i patrzyły na niego.

- Miałam rację co do ciebie - powiedziała.

- To dobrze czy źle?

- Uczciwie mówiąc, nie miałam racji. Jesteś dużo lepszy, niż się spodziewałam, panie Huxtable.

- Constantine. Dla większości ludzi jestem Con.

- Zawsze będę cię nazywać Constantine'em. Po co skracać takie doskonale wspaniałe imię? I przeszedłeś przesłuchanie z wyróżnieniem. Otrzymałeś tę rolę na dłuższy czas.

Dłuższy? - To znaczy, do lata - oznajmiła. - Póki nie wrócę do Kent, a ty pojedziesz, gdziekolwiek to jest, do Gloucestershire.

- Skąd wiesz, że ty pomyślnie przeszłaś próbę? Uniosła brwi.

- Nie bądź niemądry, Constantine.

Uderzyło go, że nie był pewien, czy doznała rozkoszy razem z nim. Z pewnością nie stało się to ani przedtem, ani potem. Odczuła to? To jest, rozkosz?

A co jeśli nie? Czy to by znaczyło, że ją zawiódł? Jej słowa mówiły co innego. A zatem dla niej miłość cielesna była kwestią siły i kontroli? Och, ale i przyjemnością. Niewątpliwie czerpała z tego przyjemność. Wolałby jednak wiedzieć, czy osiągnęła spełnienie. Ale nie chciał jej o to zapytać.

- Później znowu poddam cię próbie - oznajmił. - Na razie jednak czuję się wyczerpany, księżno, i muszę odzyskać siły.

- Hanno - powiedziała. - Mam na imię Hanna.

- Tak, wiem. - Przetoczył się na plecy, zakrywając oczy dłonią. - Księżno.

Nie zamierzał za bardzo się do niej zbliżać. Ta myśl wydawała się nieco absurdalna, ze względu na okoliczności.

Nie zamierzał zbliżać się do niej uczuciowo. Nie pozwoli jej nad nim zapanować. Do tego nie dopuści.

Naprawdę czuł się wyczerpany. W przyjemny sposób. Przeciągnął się leniwie pod kołdrą. Czuł jej gorące ciało po swojej prawej stronie. Czuł jej zapach - mieszaninę drogich perfum i potu. Erotycznie podniecający zapach.

Zasnął.

I obudził się jakiś czas później, żeby stwierdzić, że łóżko obok niego jest puste, firany w oknie odsunięte, a księżna Dunbarton, owinięta jedynie w jego białą koszulę i swoje białe włosy, siedzi na szerokim parapecie, z podciągniętymi nogami, obejmując się ramionami i wyglądając przez okno.

Na szczęście - naprawdę dobrze się złożyło - świece zdażyły się już wypalić. Przedstawiałyby w istocie niezwykle interesujący widok jako ozdoba okienna, dla każdego, kto zerknąłby z ulicy, nawet ubrana w jego

koszule.

Fakt, że świece się wypaliły, musiał, rzecz jasna, oznaczać, iż przespał większość nocy. Spojrzawszy na komódkę, zauważył jednak, że były wciąż dosyć długie.

A zatem miała dość rozsądku, żeby je zgasić, zanim usiadła w oknie.

- Dzieje się tam coś ciekawego? - zapytał, składając ręce pod głowę. Odwróciła się ku niemu.

- Nie, zupełnie nic - odparła. - Podobnie jak tutaj. Cóż. Wpakował się prosto w pułapkę.

Na zewnątrz była tylko ciemność nocy i pustka, stwierdziła Hanna, rozsunąwszy zasłony i wyjrawszy na ulicę. Nie było powozów, przechodniów, w domach naprzeciwko nie paliły się światła, może z wyjątkiem migającego światełka na parterze, jakieś sześć domów dalej. Pogasiła świece w pokoju, zanim wyjrzała przez okno.

Zaciągnęła firany i stała chwilę w nogach łóżka. Constantine spał głęboko, z jednym ramieniem zasłaniającym twarz. Oddychał miarowo. Jego uniesione kolano tworzyło mały namiot z pościeli.

Widziała go całkiem wyraźnie nawet w mroku.

Ciekawa była, czy prześpi całą noc, i uśmiechnęła się lekko. Powiedział, że go wyczerpała, a ona wcale nie była zaskoczona. Przebiegł jednak swój maraton.

Naprawdę czuła się obolała. Nie było to całkiem nieprzyjemne uczucie.

Zadrzała w chłodnym powietrzu nocy i rozejrzała się za suknią. Dostrzegła ją w ciemnym stosie pod gorsetem, z pewnością straszliwie pogniecioną. Zauważyła też nieco jaśniejszy zarys jego koszuli.

Schyliła się, podniosła ją i przysunęła do twarzy.

Pachniała nim i jego wodą kolońską.

Naciągnęła ją przez głowę, wsunęła ręce w rękawy i owinęła się nią. Boże, ależ on był wielki. To jej się podobało.

Zastanawiała się, czyby nie wsunąć się z powrotem do łóżka pod przykrycie i nie zwinąć przy nim w kłębek, żeby się ogrzać w ciepłe bijącym od jego ciała. Ale nie chciała z nim spać. Sen powodował pewną utratę kontroli. Nigdy nie wiadomo, co człowiek wtedy wyszepcze albo co powie, kiedy się obudzi, zanim odzyska w pełni świadomość. Ani też co może czuć podczas tych godzin nieświadomości.

Wróciła do okna, rozchyliła firany i spojrzała na parapet. Nie była to po prawdzie ławeczka do siedzenia przy oknie, ale i tak wydawał się dostatecznie szeroki. Odsunęła zasłony, usiadła na parapecie, stawiając na nim stopy i obejmując się ramionami, żeby nie zmarznąć. Oparła głowę o szybę.

Panowała cisza. I ciemność. I spokój.

Wciąż słyszała jego głęboki oddech. To jej dziwnie dodawało otuchy. Druga ludzka istota, tak blisko.

Niczego nie żałowała. Nigdy nie żałowała niczego, co zrobiła, zwłaszcza że rzadko działała pod wpływem impulsu. W jej życiu wszystko było starannie zaplanowane i przemyślane - tak, jak jej odpowiadało.

Jedyną rzeczą, jakiej nie możesz ani zaplanować, ani kontrolować, moja najdroższa miłości, powiedział jej kiedyś książę, to miłość. Kiedy ją spotkasz, musisz się jej poddać. Ale tylko wtedy, jeśli to jest jedyna, prawdziwa miłość twojego życia. Nigdy, jeśli to coś mniej istotnego, inaczej życie cię zniszczy.

„Ale skąd mam wiedzieć?” - zapytała wtedy.

„Będziesz wiedziała”, to była jedyna odpowiedź, jakiej zechciał jej udzielić.

Bała się trochę, że nigdy nie pozna miłości. Takiej miłości, w każdym razie. Wszechogarniającego, jedynego w życiu uczucia, o którym mówił książę - na podstawie własnego doświadczenia. Z pewnością taka miłość nie zdarzała się każdemu. Być może w ogóle niewielu ludziom. Może nie jej. Kochała go. Zadrżała i mocniej objęła się ramionami. Czasami myślała, że nikogo w życiu nie kochała poza nim. Ale to z pewnością nieprawda. Są różne stopnie miłości. Kochała przecież Barbarę. Nie, nie żałowała dzisiejszej nocy.

I nie czuła się winna. Nie istniał żaden powód na świecie, dla którego nie powinna być tutaj z kochankiem, w jego sypialni, po akcie małżeńskiej miłości. Tylko że nie byli małżeństwem, prawda? Jej słownictwo bywało dosyć purytańskie. Musi coś z tym zrobić. Była wolna, niezwiązana z nikim, podobnie jak on. Mogli odbywać stosunki tak często, jak im się podobało, nie narażając się na poczucie winy.

Powinna zwrócić uwagę na to, że już nie słyszy jego oddechu. Głos ją zaskoczył. - Dzieje się tam coś ciekawego? - zapytał.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, ale jej oczy przyzwyczyaiły się do nieco jaśniejszego światła na zewnątrz, tak więc przez chwilę widziała tylko ciemny zarys sylwetki.

- Nie, zupełnie nic - odparła. - Podobnie jak tutaj.

- Skarżysz się, księżno, ponieważ zużyłem tyle energii, że musiałem się przespać?

- Czekasz na kolejny komplement, Constantine? - zapytała w odpowiedzi. - Zapewniłam cię już, jak sądzę, że

znacznie przewyższyłeś moje oczekiwania.

Odrzucił nakrycie i wyszedł z łóżka. Schylił się, żeby pogrzebać w stosie ubrań, i włożył na siebie najpierw bieliznę, potem pantalon. Odwrócił się do niej tyłem, usłyszała brzęk szkła. Podszedł do niej z dwoma kieliszkami wina. Podał jej jeden i oparł się nagim ramieniem o ramę okna. Wydawał się wysoki, szczupły i bardzo męski.

Wszystkie te atrybuty Hanna podziwiała z jawną aprobatą, popijając wino z kieliszka. Nie zdołałaby pewnie znaleźć wspanialszego okazu mężczyzny, gdyby próbowała. Był nawet jeszcze wspanialszy bez ubrania - albo na pół ubrany - niż w pełnym stroju. U wielu ludzi ubranie przykrywało niedoskonałości. I naprawdę przewyższył jej oczekiwania.

Niemądrze, biorąc pod uwagę ból, poczuła znowu podniecenie na myśl o tym, jak bardzo ją usatysfakcjonował.

Wypił wino, odstawił kieliszek na parapet i skrzyżował ręce na piersi.

- Jesteś straszliwie piękna - powiedział.

- Straszliwie? - Widziała, jak unosi brwi. - Budzę w tobie strach? Napila się jeszcze.

- Często nazywają cię diabłem - kontynuowała. - Na pewno o tym wiesz. To trochę przerażające przebiec pół maratonu z samym diabłem.

- I przeżyć - dodał.

- Och, ja zawsze jestem w stanie przeżyć. I żywię się strachem, bo widzisz, ja się nigdy nie boję.

- Tak, tak przypuszczam.

Wyglądali w milczeniu na ulicę, póki dopijała wino. Wziął od niej pusty kieliszek i postawił obok swojego.

- Twój brat, hrabia - odezwała się. - Czy to było twoje jedyne rodzeństwo?

- Jedyne, jakie przeżyło. Najstarszy i najmłodszy, jedyni na tyle twardzi, żeby przetrwać dzieciństwo. A potem Jon umarł w wieku szesnastu lat.

- Dlaczego? Jaka była przyczyna śmierci?

- Powinien umrzeć pięć czy sześć lat wcześniej - powiedział - w opinii lekarzy. Zawsze różnił się od innych: rysami twarzy, wyglądem. Ojciec nazywał go imbecylem, podobnie jak większość ludzi. Ale nie był nim. Jego umysł pracował wolno, to prawda, ale wcale nie był głupi. Przeciwnie. I był samą miłością.

Hanna siedziała bez ruchu, przyciskając do siebie koszulę. Patrzył przez okno, jakby zapomniał o jej obecności.

- Właśnie tak. Był samą miłością, bezinteresowną, bezwarunkową i bezgraniczną. I umarł. Miałem go cztery lata dłużej, niż się spodziewałem.

To noc i ciemność sprawiły, że mówił tak otwarcie, przypuszczała Hanna, oraz to, że jeszcze przed chwilą spał i nie zdążył przywdziać swojego zwykłego pancerza. Miała rację, że sama nie zasnęła.

- Kochałeś go serdecznie - stwierdziła cicho. Zwrócił na nią oczy. Były bardzo czarne.

- Także go nienawidziłem. Miał wszystko, co powinno należeć do mnie.

- Poza zdrowiem - zauważyła.

- Poza zdrowiem - zgodził się. - I mądrością. On kochał nawet mnie. Zwłaszcza mnie.

Hanna zadrżała znowu, a on sięgnął po nią oburącz i zdjął ją z parapetu, jakby nic nie ważyła. Objął ją mocno ramionami, jak tylko dotknęła stopami podłogi, i



przyciągnął mocno do siebie; pocałował ją gorąco.

Próba sprzeciwu na nic by się nie zdała, pomyślała w pierwszej chwili zaskoczona Hanna, a najlepiej nie angażować się w walkę, której nie można wygrać. To nie znaczy, że nie walczyłyby, gdyby czegoś bardzo, bardzo nie chciała, ale...

Cóż, łatwiej było przestać myśleć. I się cieszyć. Ponieważ ona tego chciała. I chciała jego.

Przysunęła się bliżej, aż jej nagie stopy dotknęły jego stóp, objęła go i oddała pocałunek z zapalem.

Różnił się jakoś od poprzednich. Zmieniła się gra, odkąd poszli razem do łóżka. Było w tym coś bardziej ... prawdziwego. Coś bardziej naturalnego.

Przestała myśleć.

A potem ściągnął jej koszulę przez głowę, jego ubranie znowu znalazło się na podłodze i ponownie trafili do łóżka, spleceni ze sobą, turlając się, jedno na górze, potem drugie, ręce i usta wszędzie, nawet zęby, i to naprawdę nie była zabawa. To była dzika namiętność.

A ona dawała tyle samo, co dostawała.

To było...

Powinna to zakończyć, pomyślała Hanna. Powinna powiedzieć „nie” i on by przestał. Wiedziała, że tak by było. Nie bała się wcale. Nie żeby musiała się czegoś bać. Był jej kochankiem. Po to go wybrała.

Ale...

Leżał na niej, rozsuwając jej nogi, a ona o chwilę za późno powiedziała „nie”. W gruncie rzeczy w ogóle tego nie powiedziała. Zanurzył się w niej.

Miała wrażenie, że wbito jej sztylet w otwartą ranę. Skrzywiła się, wciągnęła gwałtownie powietrze, próbowała się rozluźnić i... I się wycofał.

Wysunął się z jej ciała, ale wciąż leżał na łóżku obok niej, wsparty na łokciu, górując nad nią. Cieszyła się, że zgasła świeca. Chociaż ciemność nie dawała ochrony, jeśli wzrok się do niej przyzwyczaił.

- Co? - zapytał.

Podniosła rękę i przesunęła palcem po jego piersi.

- Co, w istocie? - odparła.

- Zraniłem cię?

- Należało już skończyć. Jeden raz zupełnie wystarczy na jedną noc, Constantine. Muszę wrócić do domu. Nie możesz oczekiwać, że spędzę z tobą całą noc teraz, kiedy zostaliśmy kochankami. To byłoby nużące.

- Chyba nie byłaś dziewicą? - zapytał.

Zadał to pytanie żartem, oczywiście. Ale odrobinę za długo zwlekała z odpowiedzią, a kiedy w końcu odpowiedziała, to dumnie unosząc brwi, co w ciemności nie wywołało należytego efektu.

- Byłaś dziewicą? - Tym razem nie żartował. Nawet w gruncie rzeczy nie pytał.

Miała trzydzieści lat. Nie czuł żadnego oporu. Nie było też krwi. Ale pod każdym liczącym się względem pozostała dziewicą.

- Czy są jakieś prawa przeciwko dziewictwu? - zapytała. - Nigdy nie chciałam kochanka, Constantine, aż do chwili, kiedy wybrałam ciebie. Sądziłam, że jesteś najlepszy, i tak jest. Nie mam, co prawda, z kim cię porównać, ale tylko głupiec mógłby podejrzewać, że czegoś ci brakuje do doskonałości.

- Byłaś zameżna - powiedział - przez dziesięć lat.

- Ze starszym dżentelmenem, który nie interesował się tym aspektem relacji małżeńskich. Dobrze się składało, bo ja także nie. Poślubiłam go z innych powodów.

- Zostałaś księżną - stwierdził, podając jedyny możliwy powód - i to bogatą.

- Nurzającą się w bogactwie - zgodziła się. - I mało prawdopodobne, żebym kiedyś uzyskała ten okropny tytuł „księżnej wdowy”, ponieważ obecny ksiązę prawie na pewno nigdy się nie ożeni. Ma dziesięcioro dzieci w wieku od dwóch do ośmiu lat z kochanką, ale wyciągnął ją z burdelu i, rzecz jasna, nigdy nie poprowadzi jej do ołtarza.

- To raczej niesmaczne fakty dla damy.

- Na szczęście - odparła - ksiązę, mój ksiązę, nigdy nie ukrywał przede mną najciekawszych informacji. Słuchał najsmakowitszych, najbardziej nieprzyzwoitych plotek, wracał do domu i zabawiał mnie nimi.

- A więc żadnego pożycia małżeńskiego, księżno. A co z armią kochanków, których miałaś podczas trwania twojego małżeństwa? To jest, wydaje się, że miałaś.

- Słuchasz zbyt wielu plotek. Albo raczej, jako że wszyscy ich słuchamy, za bardzo im wierzysz. Czy naprawdę sądzisz, że złamałabym przysięgę małżeńską?

- Nawet jeśli mąż nie dawał ci satysfakcji?

- Mogę być teraz wesołą wdówką, Constantine - powiedziała. - W istocie zamierzam spędzać z tobą bardzo wesoło czas przez całą wiosnę, chociaż już nie dzisiaj w nocy. Mogę być wesołą wdówką, ale byłam wierną żoną. I nie dlatego, że tę wierność na mnie wymuszono, choć taka wstrętna myśl może ci przyjść do głowy. To byłoby ohydne. Mój ksiązę nie był w żaden sposób tyranem, w każdym razie nie dla mnie. Wybrałam wierność, tak jak teraz wybrałam kochanka. Zawsze panuję nad własnym życiem.

Przyglądał jej się w milczeniu dłuższą chwilę i po raz pierwszy uświadomiła sobie, że z jego strony

wycofanie się, kiedy był w stanie pełnego pobudzenia, wymagało ogromnego panowania nad sobą, tak samo jak później pozostawanie w bezruchu i rozmowa z nią.

Gdyby w porę powiedziała „nie”, przestałby wcześniej i nie doszłoby do tej rozmowy. Dostała nauczkę, że nie należy się wahać.

To jednak bez znaczenia. Nic się nie zmieniło. Nie dla niej. Być może dla niego. Sądził, że będzie miał doświadczoną kochankę.

- Cóż - odezwał się cicho - zewnętrzny płatek opadł z róży. Ciekaw jestem, czy jest ich więcej? Nie oczekiwał odpowiedzi. I nie otrzymał jej. A poza tym co właściwie miał na myśli?

- Mógłbym ten wyścig przeprowadzić nieco mniej, hm, energicznie, gdybym wiedział. Mógłbym...

- Constantine - przerwała mu - jeśli będziesz próbował traktować mnie z góry albo silić się na delikatność, albo cackać się ze mną jak z delikatną damą, to...

- Tak?

- Rzucę cię jak płonący węgiel. A następnego dnia znajdę innego kochanka, dwa razy przystojniejszego i trzy razy bardziej męskiego. Nie poświęcę ci ani jednej myśli więcej.

- Czy to groźba? - W jego głosie brzmiało wszystko, tylko nie obawa.

- Oczywiście, że nie - powiedziała urażona. - Nigdy nie rzucam gróźb. Po co miałabym to robić? To jedynie informacja. O tym, co się stanie, jeśli kiedyś zdarzy ci się potraktować mnie gorzej, niż na to zasługuję.

- Chciałem tylko powiedzieć, że inaczej wygląda akt cielesny z dziewczyną niż z kobietą doświadczoną. Nie

dałbym ci mniej przyjemności, księżno. Być może dałbym ci jej więcej.

Uświadomiła sobie, że wolną ręką gładzi ją po brzuchu. Jego dłoń była cieplejsza niż jej własne ciało.

- Przypuszczam, że kochasz się z dziewicą co najmniej raz na dwa tygodnie.

Widziała jego bardzo białe zęby, kontrastujące z resztą twarzy. Uśmiechał się. To było dosyć rzadkie wydarzenie, a mrok nie pozwalał dokładnie go zobaczyć.

- Nie należy się chwalić - powiedział - czy przesadzać. Raz na miesiąc. Pocałował ją delikatnie w usta.

- Przepraszam - szepnął. Puknęła go palcem w policzek - Nigdy nie wolno ci przepraszać. Nie wolno ci się nawet czuć winnym. Jeśli zawsze postępujesz w sposób zamierzony, nie ma powodu, żeby ci było przykro. A jeśli działasz w niewiedzy, nie masz za co przepraszać. Ja nie przepraszam za to, że byłam dziewicą jeszcze godzinę czy dwie temu. Tak chciałam. I nie przepraszam za to, że ten fakt ukryłam przed tobą. Nie musiałeś tego wiedzieć. To nie była, jak sam powiedziałaś, kiedy zapytałam cię na koncercie o powód niezgody z księciem Moreland, twoja sprawa. A skoro poruszyliśmy ten temat, powiem ci, że przez całą wiosnę, póki będzie trwać nasz romans, będę ci wierna. I oczekuję wierności z twojej strony. Teraz wrócę do domu.

- Róża może nie mieć więcej płatków - rzekł - ale na łożysce nie brakuje z pewnością kołców. Sądzę, księżno, że możesz polegać na mojej wierności przez następnych kilka miesięcy. Nie starczyłoby mi sił na drugą taką albo nawet inną od ciebie. Poleż chwilę, a ja pójdę obudzić woźnicę. Nie będzie zachwycony. Spodziewa się wezwania wczesnym rankiem, a ta pora bardziej kwalifikuje się jako

środek nocy niż rano.

Wyszedł z łóżka i włożył ubranie.

Hanna nie poruszyła się, dopóki nie wyszedł z pokoju.

Cóż, to była interesująca noc. I nie całkiem taka, jakiej się spodziewała. W gruncie rzeczy wszystko potoczyło się inaczej, niż sądziła.

Po pierwsze, to doświadczenie było bardziej cielesne, niż potrafiła sobie wyobrazić. Och, i co najmniej dwa razy takie przyjemne, mimo że wyszła z tego denerwująco obolała.

Wywołało w niej także niepokojące podejrzenie, że posiadanie kochanka może wiązać się z czymś więcej niż dowcipną i dwuznaczną wymianą zdań oraz energiczną rozrywką w łóżku. A ona naprawdę nie oczekiwała ani nie chciała niczego więcej.

Podejrzała, że romans z Constantine'em Huxtable'em doprowadzi do jakiejś głębszej relacji, podobnie jak jej małżeństwo.

Nie chciała żadnej relacji. Nie tym razem.

Tylko że właściwie chciała. Chciała, żeby ta relacja była jednostronna albo na jej warunkach. Zdała sobie z tego sprawę ku własnemu zaskoczeniu. Od samego początku chciała wiedzieć o nim więcej, a właściwie wszystko. Powiedziała mu to. Był taki mroczny i tajemniczy. Niektóre fakty z jego życia były powszechnie znane. Ale nie знаła nikogo, kto by wiedział, jaki on jest naprawdę. Jej księżę go nie znał, choć wspominał o nim od czasu do czasu. Podejrzała, że za mroczną tajemniczością Constantine'a kryła się nienawiść, a za czarującymi manierami - miłość, i w związku z tym był niejednoznacznym, niebezpiecznym, niezwykle

interesującym mężczyzną. To były słowa księcia.

Stąd zapewne wzięła się jej decyzja, żeby wziąć Constantine'a Huxtable'a za kochanka.

Dzisiaj wieczorem powiedział, że nienawidził swojego młodszego, upośledzonego umysłowo brata.

A jednak ona była w stanie oznajmić mu z największą pewnością siebie, że także go kochała. Prawdopodobnie tak mocno, że sprawiało mu to ból.

Z czego aż do dzisiejszego wieczoru, w swojej głupocie, nie zdawała sobie sprawy, to z faktu, że relacja nie może być wyłącznie jednostronna. Dzisiaj dowiedział się o niej więcej niż ona o nim.

Dobry Boże! Jej reputacja legnie w gruzach, jeśli towarzystwo dowie się, co Constantine odkrył. Ale on nic nie powie. Jednak teraz wie. Jakie to irytujące!

Nie chciała związku uczuciowego. Chciała tylko... cóż, musi się nauczyć używać tego słowa. Książę używał go w jej obecności, a ona nie była aż taka wstydliva. Z Constantine'em Huxtable'em pragnęła tylko seksu.

Noc naprawdę okazała się pod tym względem wspaniała. Nie czuła nawet bólu, dopiero potem. W trakcie było wszystko w porządku... dla niej mogłoby to trwać całą noc. Biedny Constantine. Pewnie by umarł.

Hanna parsknęła nieelegancko, przerzucając nogi nad brzegiem łóżka i sięgając po pończochy.

Nie chciała, żeby z nią jechał, ale Constantine nie dał Hannie wyboru. Pomógł jej wsiąść do powozu i wdrapał się obok niej. Ujął jej rękę i położył na swoim udzie.

W białej pelerynie, z szerokim kapturem naciągniętym na głowę bardziej przypominała zwykłą siebie.

Jednak nie miał już nigdy widzieć jej w ten sam sposób. To było zrozumiałe. Zobaczył ją bez ubrania i bez starannie upiętej fryzury. Posiadał jej ciało.

Ale nie tylko to.

Przynajmniej pod jednym względem nie była kobietą, za jaką wszyscy ją uważali, przyjmując, że ją znają. Kobieta, za jaką bardzo starała się uchodzić w oczach socjety.

Jej małżeństwo z księciem nigdy nie zostało skonsumowane. Fakt sam w sobie nie wydawał się szczególnie zaskakujący. W istocie spekulowano na ten temat bez końca. I ci wszyscy kochankowie, którymi popisywała się wobec socjety - Zimmer, Bentley, Hardingraye, żeby wspomnieć tylko kilku.

Nie kochankowie.

On był pierwszy.

Oszałamiająca myśl. Nigdy dotąd nie był dla nikogo pierwszy. Nigdy nie chciał nim być. Dobry Boże!

- Potrzebujesz kilku dni, żeby dojść do siebie, księżno - odezwał się, kiedy powóz zbliżał się do Hanover Square. - Czy może być następny wtorek, po balu u Kitteridge'ów?

Nigdy nie pozwoli, oczywiście, żeby do niego należało ostatnie słowo, chociaż pozwoliła na to na przyjęciu w ogrodzie wczoraj po południu, nieprawdaz? A zatem teraz była jej kolej.

- Następny poniedziałek w nocy - powiedziała. - Ksiązę ma łożę w teatrze, ale nikt z niej, poza mną, nie korzysta. Obiecałam Barbarze, że pójdziemy do teatru. Zaproszę także panią i pana Park, i być może ich syna, duchownego, jeśli jest w mieście. Będziesz mi towarzyszyć.



- Doskonałe zestawienie - stwierdził. - Duchowny, narzeczona duchownego, chociaż nie wspomnianego wyżej duchownego, rodzice tego pierwszego duchownego oraz księżna Dunbarton ze swoim nowym kochankiem, czasami nazywanym diabłem.

- Zawsze przyjemnie dostarczyć interesującego tematu do rozmowy w salonach. Tak, mógł sobie wyobrazić, że tak jest, zwłaszcza jeśli było się księżną Dunbarton.

Podniósł jej rękę do ust, kiedy powóz skręcił na plac, a potem zwolnił i się zatrzymał. Schylił głowę i pocałował ją w usta.

- Będę czekał na poniedziałkową noc z największą niecierpliwością - zapewnił.

- Ale nie na poniedziałkowy wieczór? - zapytała.

- Zniosę go. Deser ostatecznie zawsze najlepiej smakuje na koniec posiłku, jak przekonaliśmy się tego wieczoru.

Zastukał w drzwi powozu, dając znak woźnicy, że są gotowi do wyjścia.

W domu ktoś już na nich czekał. Drzwi otworzyły się, kiedy Constantine stanął na chodniku i odwrócił się, żeby pomóc księżnej wysiąść.

Chwilę później patrzył, jak wchodzi na schody bez pośpiechu, wyprostowana, z wysoko uniesioną głową. Drzwi zamknęły się za nią cicho.

To wydawało się trochę inne niż jego zwykłe wiosenne romanse, pomyślał Constantine. Trochę mniej wygodne. Trochę bardziej erotyczne.

Co on, do diabła miał na myśli, mówiąc: „także go nienawidziłem”?

Nigdy nie nienawidził Jona. Nawet przez najkrótszą

chwilę. Kochał go. Wciąż go opłakiwał. Czasami myślał, że nigdy nie przestanie rozpaczać. Tam, gdzie był Jon, powstała wielka, pusta czarna dziura.

„Także go nienawidziłem”.

Ze wszystkich ludzi musiał wymówić słowa przy księżnej Dunbarton.

Co on, do diabła, miał na myśli?

I co jeszcze ukrywała ona przed nim poza drobnym, obecnie ujawnionym, faktem, że przyszła do niego dzisiaj w nocy jako dziewczyna?

Oczywiście, nie było nic takiego. Przyznała otwarcie, że poślubiła Dunbartona dla tytułu i pieniędzy.

A teraz korzystała z wolności i majątku, żeby zapewnić sobie trochę zmysłowej przyjemności.

Nie mógł mieć o to do niej pretensji.

Odwrócił się i zmarszczył brwi, patrząc na woźnicę, który czekał, aż zajmie znowu miejsce w powozie.

- Zabierz go do domu - polecił. - Przejdę się. Woźnica pokręcił lekko głową i zamknął drzwi.

- Tak jest, sir - powiedział.

Duchownego, syna państwa Parków, nie było w mieście. Jednak przebywał u nich właśnie młodszy brat pani Park i bardzo się ucieszył z zaproszenia do teatru, do loży księżnej Dunbarton, gdzie miał się udać razem z siostrą i szwagrem. Hanna zaprosiła także lorda i lady Montford po tym, jak z Barbarą spotkały tę ostatnią w bibliotece Hookhama w poniedziałek rano i odbyły krótką pogawędkę.

Lady Montford była kuzynką pana Huxtable'a.

- Opera i teatr w jednym tygodniu - powiedziała Barbara, kiedy usiadły z Hanną w powozie w poniedziałek wieczorem. - Nie mówiąc już o galeriach, muzeach, bibliotece i zakupach. Codziennie piszę pół książki do mamy i papy, i do Simona zamiast zwykłych listów. Zużyję ci cały atrament, Hanno.

- Musisz częściej bywać w mieście - stwierdziła księżna. - Choć nie sądzę, żeby twój pastor zechciał się z tobą rozstawać, kiedy cię już poślubi, paskudny człowiek.

- Prawdopodobnie sama nie będę chciała wyjeżdżać po tym, jak weźmiemy ślub. Tak bardzo nie mogę się doczekać, Hanno, żeby zostać żoną pastora i znowu zamieszkać na plebanii. Przekonam jednak Simona, żeby mnie tu czasem przywoził, i wtedy będziemy cię odwiedzać. I może ty przyjedziesz... Przerwała raptownie i odwróciła głowę, patrząc na Hannę w półmroku powozu. Uśmiechnęła się przepraszająco.

- Ale, naturalnie, nie zrobisz tego. Chociaż chciałabym, żebyś przyjechała. Być może już czas...

- Czas - zauważyła Hanna - żeby pójść do teatru, Babs.

Powóz zwalniał przed Drury Lane; widziały kręcące się przez teatrem tłumy ludzi, z których wielu czekało z pewnością na innych, mających dopiero przybyć, żeby wejść razem do środka. Wśród nich dostrzegły Constantine'a Huxtable'a, który wyglądał zarówno elegancko, jak i diabolicznie w długim, czarnym wieczorowym płaszczu i kapeluszu.

- Och, jest tutaj - szepnęła Barbara. - Hanno, czy jesteś całkowicie pewna...

- Jestem, niemądra gąsko. Jesteśmy kochankami, Babs, i daleko mi jeszcze do tego, żeby z nim skończyć. Założę się, że o tym szczególnie nie wspomniałaś w listach do pastora.

- Ani do mamy i papy - odparła przyjaciółka. - Bardzo by się zmartwili. Mogli cię nie widzieć przez jedenaście lat czy więcej, ale i tak kochają cię ogromnie.

Hanna poklepała ją po kolanie.

- Zobaczyl nas - powiedziała.

W istocie to właśnie Constantine, a nie woźnica, otworzył drzwi powozu i rozstawił schodki.

- Dobry wieczór, moje panie - przywitał się. - Mamy szczęście, że deszcz przestał padać, przynajmniej na trochę. Panno Leavensworth?

Podał rękę Barbarze, która przyjęła ją, witając się z nim uprzejmie. Barbara nigdy, rzecz jasna, nie zapomniała o dobrych manierach.

Hanna wciągnęła powoli powietrze. Widziała go po raz pierwszy od zeszłego tygodnia. Noc w jego domu wydawała się niemal snem, jeśli nie liczyć fizycznych skutków, które odczuwała przez parę dni.

I niepokojącej fali podniecenia, która ogarnęła ją, jak tylko go zobaczyła. I tęsknoty za dzisiejszą nocą.

Och, Boże, był naprawdę wspaniały.

W ciągu paru minut wszyscy, którzy dziś wieczorem zjawili się w teatrze, dowiedzą się albo uznają, iż wiedzą, że Constantine jest jej najnowszym kochankiem. Kolejnym na długiej liście kochanków. Jutro o tej porze będą wiedzieć o tym także wszyscy ci, których dzisiaj w teatrze nie było.

Pan Constantine Huxtable został najnowszym kochankiem księżnej Dunbarton.

Po raz pierwszy będą mieli rację. Barbara stanęła bezpiecznie na chodniku.

- Księżno? - Wyciągnął do niej rękę i ich oczy się spotkały. Nigdy w życiu nie widziała piękniejszych czarnych oczu. Albo bardziej zniewalających. Czy też takich, które by wywołały taką słabość w jej kolanach.

- Mam nadzieję - powiedziała, wkładając dłoń w jego rękę - że uprzątnięto chodnik. Nie chciałabym zamoczyć sobie sukni.

Ktoś to najwyraźniej zrobił. Ktoś też sprawił, że tłum rozstąpił się i otworzyła się przed nimi ścieżka prowadząca do wejścia do teatru. Hanna uśmiechnęła się lekko, wspierając się na prawym ramieniu Constantine'a, podczas gdy Barbara ujęła go pod lewe.

Księżęca łoża, znajdująca się na najniższym z trzech poziomów otaczających teatr niczym końska podkowa, była blisko sceny. Siedząc w niej, miało się wrażenie, jakby się samemu weszło na podwyższenie. Wątpliwe, żeby ktokolwiek w teatrze nie odwrócił się, aby im się przyjrzeć, jak weszli i witali się z innymi gośćmi księżnej, którzy przybyli wcześniej i stali przez parę minut, rozmawiając, zanim zajęli swoje miejsca. Czy też, żeby uwagi wszystkich umknął fakt, że podczas gdy przyjaciółka

księżnej usiadła w końcu między panią Park a jej bratem, sama księżna zajęła miejsce obok pana Constantine'a Huxtable'a.

Swojego nowego faworyta. Pierwszego od śmierci starego księcia i jej powrotu do miasta. Swojego nowego kochanka.

Nietrudno było zgadnąć, dlaczego w teatrze zapanował nagle nieco większy gwar.

Hannie także nie było trudno rozejrzeć się dokoła z leniwą obojętnością, jak to czyniła dziesiątki razy w podobnych okolicznościach, kiedy księżę jeszcze żył. Nauczył ją rozglądać się w ten sposób, zamiast wpatrywać się we własne kolana. Jedyna różnica polegała na tym, że tym razem nie czuła lekkiego rozbawienia jak zwykle przedtem, kiedy wiedziała, że wszyscy bardzo się mylą w swoich spekulacjach co do jej męskiego towarzysza.

Dzisiaj się nie mylili.

Bardzo ją to cieszyło.

Położyła dłoń w białej rękawicze na rękawie Constantine'a i pochyliła się ku niemu nieznacznie.

- Czy widziałeś już *Szkolę obmowy*? - zapytała. - To naprawdę stara sztuka. Musiałam ją widzieć z tuzin razy, ale zawsze jest taka zabawna. Mam nadzieję, że nie okaże się dla ciebie zbyt nużąca czy zbyt długa.

- Założywszy, że będę niecierpliwie czekać, aby się skończyła, żebyśmy mogli zająć się tym, na czym najbardziej nam zależy dzisiejszego wieczoru, księżno?

- Wcale nie. Sądziłam jednak, że tragedia może cię bardziej interesować.

- Pasuje do mojego diabolicznego wyglądu?

- Właśnie tak. Chociaż wyjaśniłeś mi, że okropne tragedie operowe wcale nie są w istocie tragediami. To

mnie podniosło na duchu.

Przypuszczam, że następnym razem zapewnisz mnie, iż bohaterowie tragedii wcale nie umierają na końcu przedstawienia.

- Pociuszające, czyż nie? Wyglądasz dzisiaj olśniewająco w bieli. W istocie, promieniejesz. W jego oczach pojawił się błysk, być może kpiny.

- Radością? Nigdy nie promienieję radością. To byłoby wulgarne. Masz pewnie na myśli moje klejnoty. - Podniosła lewą rękę. - Brylant na środkowym palcu to prezent ślubny. Wtedy nie wierzyłam, że jest prawdziwy. Nie wiedziałam, że bywają takie duże. Ten na małym palcu to prezent na dwudzieste urodziny. - Wyciągnęła obie dłonie. - Potem dostawałam pierścienie na każde urodziny, na kolejne palce, aż w końcu mi ich zabrakło i musieliśmy zacząć od początku, ponieważ sądziłam, że nie byłoby mi wygodnie nosić je na stopach. Pierścionki upamiętniały także rocznice ślubu i inne podobne okazje. - A na Boże Narodzenie? - zapytał.

- Na święta zawsze naszyjnik i kolczyki - odparła - i bransoletka na walentynki, które księżę obchodził, niemądry człowiek. Był bardzo hojny.

- Jak wszyscy widzą.

Położyła dłonie na kolanach i spojrzała mu prosto w twarz.

- Klejnoty są po to, żeby je oglądać, Constantine. Tak samo jak piękno. Nigdy nie będę przepraszać za to, że jestem bogata czy piękna.

- Czy próżna?

- Czy to oznaka próżności mówić prawdę? Jestem piękna od dziecka. Prawdopodobnie zachowam część urody do późnej starości, jeśli będę żyła tak długo.

Powiedziano mi, że mam dobry kościec. Nie poczytuję sobie za zasługę mojej urody, podobnie jak muzyk czy aktor nie mogą przypisywać sobie zasługi za talent. Ale naszą zasługą jest właściwe wykorzystanie darów, jakie otrzymaliśmy w tym życiu. - Uroda jest darem?

- Tak. Piękno należy chronić i podziwiać. Zbyt wiele jest wkoło brzydoty. Piękno może nieść radość. Dlaczego ozdabiamy nasze domy obrazami, wazonami i kilimami? Dlaczego nie chowamy ich w ciemnej szafie, żeby przypadkiem nie wyblakły i nie uległy uszkodzeniu?

- Bardzo by mi się nie podobało, księżno - stwierdził - gdybyś się ukryła w ciemnej szafie. Chyba że mógłbym się tam schować razem z tobą.

O mało nie parsknęła śmiechem. Śmiech jednak nie stanowił części jej publicznego wizerunku, a nie wątpiła, że wciąż obserwuje ją wiele oczu.

- Sztuka zaraz się zacznie - powiedział, a ona odwróciła się, kierując wzrok na scenę.

Nie wyjaśniła tego chyba zbyt dobrze. Książę nauczył ją, żeby nie przeklinała własnej urody, nie wstydziła się jej ani nie ukrywała. Ani jej nie zaprzeczała. A robiła to wszystko, kiedy ją poślubił. Nauczył ją podkreślać swoje piękno i cieszyć się nim.

I naprawdę to robiła. Przez dziesięć lat była światłem jego oczu i to w pewien sposób wystarczało. Prawie wystarczało.

Teraz zadawała sobie pytanie, ile radości w istocie przyniosła jej uroda. Jemu tak. Ale komuś innemu?

Czy to ważne, jeśli tak nie było? Był jej mężem. Obowiązkiem i przyjemnością księżnej było sprawiać mu radość.

Kiedy ostatnio czuła się rzeczywiście radosna? Tak



żeby tańczyć na łące wśród kwiatów, z rozpostartymi ramionami i twarzą zwróconą ku słońcu? Albo biec wzdłuż plaży, z wiatrem we włosach?

Czy uroda naprawdę była darem, podobnie jak talent?

I skąd brały się te ckliwe myśli, podczas gdy na scenie grano komedię? Publiczność śmiała się jak jeden mąż, a Hanna wachlowała sobie twarz.

Bawiła się znakomicie w sypialni Constantine'a w zeszłym tygodniu. Ale co to miało wspólnego z radością?

Znajdzie ją tam dzisiaj. Może nawet zostanie u niego na całą noc. To musi być dziwne uczucie spać z mężczyzną w łóżku. Obudzić się koło niego. I...

- Księżno. - Czują jego ciepły oddech koło ucha. Mówił niemal szeptem. - Bujasz w obłokach?

- Constantine - szepnęła w odpowiedzi, nie odrywając oczu od sceny - przyglądasz się raczej mnie, a nie aktorom na scenie?

Nie odpowiedział.

Constantine odbył wcześniej krótką rozmowę z Montym w łóży, zanim zszedł na dół, do holu, żeby czekać na przybycie księżnej i panny Leavensworth. Katherine rozmawiała z państwem Park i bratem pani Park, którzy także byli wśród zaproszonych gości.

- Pozwól mi zgadnąć, Con - powiedział Monty. - Panna Leavensworth, czy tak? Nie jest nieprzystojna, ale... Cóż, szkoda. Jest zaręczona, jak sobie przypominam. Z duchownym.

- Nie panna Leavensworth, jak wiesz doskonale - odparł Constantine. Monty cofnął się, udając zdumienie.

- Nie powiesz mi, że to księżna. Po tym, jak potraktowała cię w parku, lustrując cię spojrzeniem od stóp

do głów i nie podając ci ręki do ucałowania?

- Mężczyźnie wolno czasem zmienić zdanie.

- A zatem księżna ma być twoją kochanką w tym roku. - Monty uśmiechnął się, kręcąc głową. - Niebezpieczne, Con. Niebezpieczne.

- Wierzę - oznajmił Constantine - że dam sobie radę ze wszelkim niebezpieczeństwem, na jakie zechce mnie wystawić, Monty.

Monty poruszył brwiami.

- Ach, ale czy ona da sobie radę z tym, na co ty zechcesz ją narazić, Con? Wiosna zapowiada się interesująco. Tak samo pomyślał Constantine, kiedy po przedstawieniu jego powóz jechał za powozem księżnej Dunbarton w kierunku Hanover Square - nalegała naturalnie, żeby wrócić do rezydencji Dunbarton z przyjaciółką. Miała się przesiąść do jego powozu, kiedy przyjadą na miejsce.

Tak, to miała być interesująca wiosna. Satysfakcjonująca, jeśli chodzi o przyjemności zmysłowe, w to nie wątpił. Oczekiwanie na dzisiejszą noc ciągnęło się w nieskończoność i podejrzewał, że nie zdąży nasycić apetytu księżną Dunbarton, zanim nadejdzie pora, kiedy oboje wyjadą na lato do swoich domów.

Ich romans nie zostanie, oczywiście, wznowiony wiosną przyszedłego roku. Żadne z nich by tego nie chciało.

Ale czy w tym roku popełnił błąd?

Była piękna, godna pożądania i próżna. Była bogata, zarozumiała i płytką.

Nie sądził, że mógłby nie zwracać uwagi na takie rzeczy tylko pod wpływem pożądania. Jednak wyłącznie pożądanie kierowało nim, kiedy wziął sobie księżną Dunbarton za kochankę.

Być może także pewien rodzaj fascynacji. Którą dzielił naturalnie z większością męskiej połowy socjety i ze znaczącą częścią jego żeńskiej połowy, z innych powodów.

Ale tylko on poznał pewien bardzo interesujący szczegół dotyczący jej osoby - że dożyła trzydziestego roku życia, nie zaznawszy ani razu rozkoszy miłości cielesnej.

Wciąż trudno mu było w to uwierzyć.

Drzwi frontowe pozostały zamknięte przez osiemnaście minut. Constantine garbił się na siedzeniu, zastanawiając się, jak długo przyjdzie mu czekać i ile osób stoi teraz w ciemnych pokojach wokół placu, za firankami, gotowych jutro wystawić go na pośmiewisko.

Czuł większe rozbawienie niż gniew.

Nie zamierzała zostawić mu kontroli nad czymkolwiek, prawda? Ciekaw był, czy stary książę miał z nią trudne życie. Ale niech to diabli, nigdy go nie zdradziła. Jak długo miał czekać?

Po osiemnastu minutach drzwi rezydencji Dunbarton otworzyły się i ukazała się w nich księżna, ubrana w białą pelerynę, jak w zeszłym tygodniu, z szerokim kapturem na głowie.

Przebrała się?

Constantine wysiadł z powozu, podał jej rękę i pomógł wejść do środka. Wszedł za nią i usiadł obok.

Woźnica zamknął drzwi, powóz zakołysał się na sprężynach, kiedy wdrapywał się na kozła, i pokierował konie wokół placu i na ulicę.

Constantine popatrzył na nią w ciemności. Żadne z nich się nie odezwało. Sięgnął do zapinki przy jej szyi i rozpiął ją, zanim ściągnął kaptur i rozpiął pelerynę.

Włosy miała znowu rozpuszczone, przytrzymywane ciężkimi, wysadzanymi klejnotami spinkami powyżej uszu.

Suknię włożyła ciemną - być może niebieską albo fioletową. Królewski błękit, stwierdził, przyglądając się jej w smudze światła z ulicznej latarni, którą mijali. Suknia była głęboko wycięta, z wysokim stanem. Brylanty znikły z szyi i uszu księżnej.

Była gotowa dla swojego kochanka.

Pocałował ją. Usta miała ciepłe, lekko rozwarte, chętne do pocałunków.

Wsunął ramię za jej plecy, drugie włożył pod kolana i posadził ją sobie na udach.

Pocałował ją znowu, a ona objęła go ramionami za szyję. Och tak, to było pożądanie. I coś innego, być może?

To czysta racjonalizacja sprawiała, że tak pomyślał. W tym wypadku nie chodziło o relację towarzyską, o przyjaźń, jak zwykle w jego romansach. To było czyste pożądanie.

Miłość cielesna.

Którą mieli zacząć uprawiać z zapamiętaniem w ciągu najbliższej godziny. To wystarczyło. Lato i zima ciągnęły się długo. Z pewnością można mu było wybaczyć na wiosnę trochę niepohamowanej żądzy.

Nie odezwali się do siebie ani słowem, odkąd wyszli z teatru.

Nie miała zostać zaniesiona na górę i rzucona bez ceregieli na łóżko, odkryła Hanna, kiedy weszli do domu i Constantine zwolnił lokaja, mówiąc, że nie będzie mu już potrzebny.

Potem ujął ją za łokieć i zaprowadził do pokoju, w którym poprzednio jedli kolację. Stół był ponownie zastawiony, tym razem mięsami na zimno, serem, chlebem i winem. Na środku stołu paliła się świeca.

W kominku trzaskał ogień.

Hanna stwierdziła, że sprawiło jej to zarówno ulgę, jak i rozczarowanie. Nie żeby była szczególnie głodna. Albo miała ogromną ochotę na wino. I z pewnością cały wieczór bardzo pragnęła tego mężczyzny. Z trudem śledziła sztukę, która należała do jej ulubionych. A w powozie pożądanie wyczuwało się w powietrzu, zwłaszcza po tym, jak posadził ją sobie na kolanach.

Jakże był cudownie silny, że zdołał to zrobić, nie ciągnąc jej i nie sapiąc z wysiłku. Ostatecznie ważyła niewiele więcej niż piórko.

Była zadowolona, że pożądanie nie przeważało. Dziwna myśl. Robiła to przecież wyłącznie, żeby ją zaspokoić, czyż nie? Tej wiosny wolno jej było wziąć kochanka, bardzo starannie przemyślała tę decyzję i bardzo starannie wybrała Constantine'a Huxtable'a.

Po to, by odkryć, że sama żąda nie wystarcza.

Jakie to niezwykle!

Naprawdę powinno się być w stanie skupić umysł na jednym celu - zwłaszcza jeśli się go wybrało i przemyślało - i przeć do przodu, póki się go nie osiągnie.

Ona postawiła sobie za cel nacieszyć się osobą Constantine'a Huxtable'a, póki lato nie wygna jej do Kent, a jego gdzieś do Gloucestershire, gdzie miał dom.

Jaka tajemnica dotyczyła tego miejsca, zastanawiała się, że nie chciał jej nic o nim powiedzieć?

A teraz odkrywała, że jego osoba - jakkolwiek wspaniała i doskonała - to za mało.

Może była po prostu zmęczona. Och, ale wciąż czuła pożądanie. Odpowiadało jej jednak, że najpierw mieli zjeść kolację, nawet jeśli ona niczego by nie jadła.

Zdjął jej pelerynę z ramion, stojąc za nią. Jego dłonie ledwie jej dotknęły.

- Księżno? - odezwał się, wskazując krzesło, na którym siedziała w zeszłym tygodniu. - Zechcesz usiąść?

Nalał wino, kiedy usiadła. Nałożyła sobie na talerz po odrobinie wszystkiego.

- Podobała ci się sztuka? - zapytała.

- Byłem roztargniony przez większość czasu. Ale sądzę, że była zabawna.

- Barbara była zachwycona. Ma na wszystko świeże spojrzenie, a jej oczy nie zdążyły się jeszcze znużyć.

- Nigdy tu przedtem nie była?

- Ależ tak. Po ślubie kilka razy nakłoniłam ją do przyjazdu na tydzień czy dwa, choć na ogół były to wizyty na wsi, a nie w mieście. I nigdy nie zostawała na długo. Bała się księcia.

- Czy miała jakiś powód?

- To był książe. Od dwunastego roku życia. Był księciem ponad sześćdziesiąt lat, kiedy za niego wyszłam. Oczywiście miała powód, żeby czuć obawę, chociaż on zawsze robił wszystko, żeby czuła się u nas dobrze. To córka pastora, Constantine.

- Ale ty się go nie bałaś?

- Uwielbiałam go - odparła, podnosząc kieliszek i obracając go w palcach.

- W jaki sposób go poznałaś?

Jak to się stało, że rozmowa potoczyła się w tym kierunku? Na tym polegał kłopot z konwersacją.

- Miał rodzinę, którą zwykł określać jako ogromną i nijaką - powiedziała. - Ignorował ich, kiedy to było możliwe, czyli większość czasu. Ale miał także poczucie obowiązku. Udał się na ślub krewnego, czternastego w kolejce do jego tytułu. Zawsze czuł się zobowiązany wobec wszystkich poniżej dwudziestego miejsca, jak mi

powiedział. Byłam na weselu. Tam się poznaliśmy.

- I pobrali wkrótce potem. To musiała być miłość od pierwszego wejrzenia.

- Gdybym nie usłyszała ironicznej nutki w twoim głosie, Constantine, powiedziałabym ci, żebyś nie był śmieszny.

Przyglądał jej się przez chwilę w milczeniu.

- Twoja młodość i uroda, jego pozycja i majątek?

- Powód, dla którego zawiera się tysiące małżeństw - odparła i odgryzła kęs sera. - W twoich oczach ja i księżę wydajemy się bardzo pospolici, Constantine.

- Jestem przekonany, księżno, że nie potrzebujesz mojego zapewnienia, iż w istocie tworzyliście niezwykłą parę, ale i tak ci go udzielam.

- Był wspaniały, nieprawdaż? Wytworny i majestatyczny, i jakże arystokratyczny do samego końca. Swoją prezencją przyciągał wszystkie oczy, ale niewielu ludzi. Większość bała się do niego zbliżyć. Och, musiał przedstawiać wspaniały widok, kiedy był młody. Z pewnością zakochałabym się w nim beznadziejnie, gdybym go wtedy знаła.

- Beznadziejnie?

- Tak - westchnęła. - To byłoby całkiem beznadziejne. Nie poświęciłby mi ani jednego spojrzenia.

- Trudno uwierzyć, księżno. Ale sądzę, że byłaś w nim trochę zakochana.

- Kochałam go. I on mnie kochał. Czy towarzystwo nie byłoby zdumione, gdyby wiedziało, że byliśmy szczęśliwym małżeństwem? Ale nie, nie zdumione. Niedowierzające. Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć, tak jak ty.

- Ostatnio przekonałaś mnie, że straszliwie się

pomyliłem - powiedział.

- Nazwałeś mnie dzisiaj próżną, podczas gdy w rzeczywistości jestem tylko uczciwa.

- Byłoby szaleństwem, gdybyś wmawiała wszystkim, że jesteś brzydka.

- I absolutnym kłamstwem.

Dopiła wino, a on przyglądał jej się poprzez stół.

- I nazwałeś mnie chytrą - dodała. Uniósł wysoko brwi.

- Mam nadzieję, księżno, że jestem za bardzo dżentelmenem, żeby oskarżać kogoś o chytrość, a najmniej damę, która jest moją kochanką.

- Ale dałeś do zrozumienia, że tak myślisz. W teatrze patrzyłeś na moje klejnoty i słuchałeś o nich z rozbawieniem. A tutaj, przy tym stole, uznałeś, że znasz motyw, dla którego poślubiłam księcia.

- Myliłem się?

Położyła dłonie na stole, po obu stronach talerza. Wszystkie klejnoty zdjęła w domu i odłożyła do sejfów. Włożyła jednak inne pierścienie. Prawdę mówiąc, zawsze czuła się bez nich trochę dziwnie. Iskrzyły się na każdym palcu z wyjątkiem kciuków. Zdjęła je po jednym i położyła na środku stołu, obok świecznika.

- Ile są warte? - zapytała, kiedy wszystkie się tam znalazły. - Same kamienie.

Spojrzał na pierścienie, potem na nią i znowu na pierścienie. Wyciągnął rękę i chwycił największy.

Trzymał go między kciukiem a palcem wskazującym, obracając, tak żeby klejnot mienił się w świetle.

Och, Boże, pomyślała Hanna. Widok jednego z jej pierścieni w jego ciemnej dłoni o długich palcach miał w



sobie coś niespodziewanie erotycznego.

Odłożył pierścień i podniósł następny.

Rozsunął je czubkiem palca, żeby nie leżały ciasno jeden obok drugiego.

A potem wymienił sumę, która wskazywała, że znalazł się nieco na brylantach.

- Nie - powiedziała. Podwoił sumę.

- Nawet nie blisko. Wzruszył ramionami.

- Poddaję się.

- Sto funtów - oznajmiła.

Oparł się na krzesło, patrząc jej w oczy.

- Fałszywe? - powiedział. - Szkło ołowiowe?

- Te tak - odparła. - Niektóre są prawdziwe, te które dostałam na najważniejsze okazje. Wszystkie klejnoty, które włożyłam dzisiaj do teatru, były prawdziwe. Około dwóch trzecich, które mam, to imitacje. - Dunbarton nie był aż taki hojny, jak się wydawał? - zapytał.

- Był samą szczodrością - zapewniła. - Obsypałby mnie połową swoich bogactw i pewnie to zrobił, chociaż, oczywiście, większość majątku jest związana z tytułem. Wystarczyło, że coś mi się spodobało, i było moje. Wystarczyło, żebym nie wyraziła podziwu, i też było moje. Tym razem nie miał nic do powiedzenia. Nie spuszczał z niej wzroku.

- Były prawdziwe, kiedy je dostałam. Wymieniłam brylanty na kopie ze strasu. To bardzo dobre imitacje. W gruncie rzeczy zapewne zaniżyłam wartość tych pierścionków na stole. Mogą być warte jakieś dwieście funtów. Być może nawet trochę więcej. Nie ukrywałam tego przed księciem. Udzielił mi niechętnie zgody, ale jak mógł odmówić? Nauczył mnie, żebym była niezależna, żebym myślała samodzielnie, wiedziała, czego chcę, i nie

przyjmowała odmowy w charakterze odpowiedzi. Myślę, że był ze mnie dumny.

Opierał się łokciem o stół, podtrzymując głowę kciukiem i palcem wskazującym.

- Są pewne... cele, którymi się interesuję - powiedziała.

- Poświęciłaś niewielką fortunę uzyskaną ze sprzedaży brylantów dla realizacji jakichś celów, księżno? - zapytał. - I to pewnie nie taką małą.

Wzruszyła ramionami.

- To zaledwie kropelka w ogromnym oceanie. Na świecie, Constantine, jest dość cierpienia, żeby zaspokoić filantropijne skłonności tysiąca bogaczy, którym wydaje się, że mają sumienie i mogą je uspokoić, oddając odrobinę swoich pieniędzy.

Powstrzymała się przed powiedzeniem czegoś więcej. Z pewnością by nie zrozumiał. Albo uznałby ją zaekliwą gęś. I może tak właśnie było. Dlaczego czuła potrzebę, żeby się z nim tym podzielić, nawet w niewielkim stopniu? Uważał, że jest frywolna, bogata i zepsuta, tak jak wszyscy inni. Uważał, że zależało jej na pieniądzach księcia, że należała do kobiet, które korzystały ze swojej urody, żeby się wzbogacić.

Do pewnego stopnia miał rację.

Ale to nie była cała historia.

Nigdy dotąd nie czuła najmniejszej potrzeby, żeby przed kimkolwiek usprawiedliwiać swoje istnienie.

W każdym razie nie przez ostatnich jedenaście lat. Czuła się bezpiecznie. Raczej lubiła samą siebie. Książę także ją lubił. Nie interesowała się tym, co inni o niej sądzą. On także nie dbał o to ani trochę. W istocie wodzenie socjety za nos zawsze dosyć ją bawiło, jeśli

miałaby być szczerą.

Czy Constantine różnił się od innych tylko dlatego, że był jej kochankiem?

Spodziewała się jedynie bliskości fizycznej.

Niczego więcej nie pragnęła.

Ale te pierścienie włożyła dzisiaj celowo. Chciała, żeby wiedział. Nazwał ją próżną i niemal oskarżył o chciwość. Czy obchodziło ją, co o niej myślał? Jakie to denerwujące, że właśnie tak było. Czy ta wiosenna przygoda miała się okazać nie tak błaha i przyjemna, jak planowała? Wstał i obszedł stół. Wyciągnął do niej rękę.

- Nie jesteśmy tu po to, księżno - stwierdził - żeby rozmawiać o filantropii czy sprawach sumienia.

- Myślałam - odparła, podnosząc się z krzesła - że nigdy sobie nie przypomnisz, Constantine. Całował ją doprawdy z ogromnym zapałem, przyciskając jej ciało od głowy po kolana. Objęła go rękoma za szyję, poddając się temu z rozkoszą.

Ach, miał takie mocne, męskie, młode ciało.

Niczego nie żałowała. Tego właśnie, przynajmniej tej wiosny, pragnęła bardziej niż czegokolwiek w życiu. Miała tyle do nadrobienia, czekało ją wiele przyjemności, jakich nigdy wcześniej nie doznała. Podniósł głowę i spojrzał na nią, a ją znowu zaskoczyło to, jak czarne są jego oczy; mogła się tylko domyślać, ile kryją tajemnic. Nie musiała ich poznawać. A jednak zawsze chciała je odkryć. Nie był jedynie, niestety, męskim ciałem, którego mogła używać dla własnej przyjemności. Żałowała, że tak nie jest. Życie byłoby wtedy o wiele prostsze.

I o ileż mniej warte, żeby je przeżyć.

Wyciągnęła rękę i położyła palec wskazujący na jego nosie.

- Jak to się stało? - zapytała.  
- Złamany nos? W bóje.  
- Constantine, nie bądź męczący. Nie każ mi pytać.  
- Z Morelandem, chociaż wtedy nie był jeszcze księciem. Z moim kuzynem Elliottem. Byliśmy tylko chłopcami.

- I ty gorzej na tym wyszedłeś? - zapytała.  
- Wyglądał przez cały miesiąc jak zamaskowany bandyta. Niestety, podbitego oka nie trzeba zręcznie „nastawić”, żeby się zagoiło. Robi się to z nosami, ale mojego nie nastawiono zręcznie. Dzieło zwykłego wiejskiego konowała.

- Jest ci z nim bardzo do twarzy - oznajmiła. - Może konował doskonale wiedział, co robi. O co wam poszło? - Bóg jeden wie. Zdarzyło nam się parę razy odbyć bardzo satysfakcjonujące potyczki na pięści, kiedy dorastaliśmy. Ta była najlepsza.

- Czy to znaczy, że zawsze byliście wrogami? A może byliście przyjaciółmi?

- Mieszkaliśmy zaledwie parę mil jeden od drugiego i byliśmy w podobnym wieku. Elliott był... jest trzy lata starszy ode mnie. Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, z wyjątkiem okazji, kiedy się biliśmy.

- Ale potem pokłóciliście się i nie pogodziliście. - Coś w tym rodzaju.

- Co się stało? - zapytała.

- Był nadętym durniem, a ja byłem uparty jak muł. Chyba nie powinienem używać czasu przeszłego. On nadal jest nadętym durniem. - A ty wciąż jesteś uparty jak muł?

- On użyłby dosadniej szych słów.

- Czy nie powinniście porozmawiać? - Zmarszczyła brwi.

- Nie - odparł zdecydowanie. - W ogóle nie powinienem o tym mówić, księżno. Ty także nie. Powinniśmy być już w tej chwili w łóżku i oddawać się przyjemnościom.

- Ach, ale w ten sposób, możemy się nadal cieszyć przyjemnością oczekiwania, Constantine.

- Do diabła z oczekiwaniem. - Chwycił ją w ramiona i wyniósł z pokoju.

- Władczy mężczyzna - zauważyła z aprobatą, ponownie zarzucając mu ramiona na szyję. - Gdybym się opierała, z pewnością zawłókłbyś mnie na górę, ciągnąc za włosy.

- I wymachując nabijaną kolcami maczugą, którą trzymałbym w wolnej dłoni - zgodził się. - Czy chciałabyś stawiać opór?

- Wcale nie. Czy możesz poruszać się szybciej? Na przykład wbiegać po dwa stopnie? Ach, w końcu udało jej się zmusić go do śmiechu.

- Będziesz miała szczęście, księżno, jeśli zostaną mi jeszcze resztki energii, kiedy dotrzemy do sypialni.

- Zatem oszczędzaj powietrze w płucach, niemądry człowieku. Wydawało się, że nie brakuje mu ani energii, ani powietrza w płucach, kiedy w końcu postawił ją w sypialni.

Hanna przeciągnęła się, obejmując go i wzdychając z ukontentowaniem. Była przepełniona pożądaniem, które sprawiało, że krew szumiała jej niemal słyszalnie w żyłach.

- Jeśli chcesz - powiedziała - możesz nadal być władczy, Constantine, rzucić mnie na łóżko i zaspokoić swoje nieczne zachcianki. Jeśli nie chcesz, też to zrób.

Podniósł ją znowu i rzucił na łóżko.

Prawie dosłownie. Podskoczyła o trzy cale w górę,

zanim opadła na materac.

Och, niewątpliwie wybrała właściwego mężczyznę.

Zabrał się do zaspokajania swoich niecnych zachcianek, nie tracąc czasu, żeby siebie czyją rozebrać.

To się okazało warte, pomyślała Hanna, kiedy już było po wszystkim, poświęcenia wieczorowej sukni w kolorze królewskiego błękitu, nawet jeśli należała do jej ulubionych. Musiała się pognieść nie do uratowania.

A ona sama poświęciła się całkowicie swojej wiosennej przygodzie.

- Mmm - mruknęła, kiedy zsunął się z niej i ułożył w ten sposób, że jej głowa spoczęła na jego ramieniu, a jej ciało zwinęło się obok niego w kłębek; nakrycie jakimś sposobem znalazło się tuż obok. Szybko zasnęła.

Hanna siedziała, z nogami podciągniętymi do góry, na ławeczce pod oknem w swoim prywatnym saloniku w rezydencji Dunbarton. To była jedna z jej ulubionych pozycji, kiedy nie występowała publicznie. Przypomniała jej się pierwsza noc u Constantine'a przed tygodniem. Ta ławeczka była szersza i wyłożona wygodnymi poduszkami, na dworze świeciło słońce, a za oknem rozciągał się widok na długi zielony trawnik i barwne kwiaty na klombach, a nie na ulicę. Dzień był piękny. A jednak siedziały w domu.

- Jesteś pewna, że nie chcesz wyjść, Babs? - zapytała, odwracając głowę, żeby spojrzeć na przyjaciółkę. Jak zwykle, kiedy Barbara nie miała specjalnego zajęcia, siedziała wyprostowana na krześle, podczas gdy jej zręczne palce trudziły się nad haftem o zawitym wzorze. - Czuję się winna, że cię tu przetrzymuję.

- Jestem całkiem zadowolona - zapewniła Barbara. - Tyle się działo, odkąd przyjechałam, Hanno, że nadal nie mogę dojść do siebie. Miło mieć jeden spokojny dzień.

- Ale dzisiaj jest bal u Kitteridge'ów - przypomniała jej Hanna. - Starczy ci na to siły?

- Oczywiście - stwierdziła Barbara. - Jeśli ja nie pójdę, ty też nie będziesz mogła, Hanno.

- Ponieważ nie będę miała przyzwoitki? - zapytała księżna z uśmiechem.

- Nawet ty nie możesz być na tyle śmiała, żeby udać się na bal bez towarzystwa - odparła przyjaciółka, podnosząc głowę.

- Mogłabym posłać liścik lordowi Hardingraye albo panu Minterowi, albo tuzinowi innych i w mgnieniu oka miałabym eskortę - oznajmiła Hanna.

- Ale nie w postaci pana Huxtable'a? - Barbara uniosła brwi.

- Po naszym wczorajszym wspólnym wyjściu do teatru - powiedziała Hanna - nawet jeśli ty, państwo Parkowie, brat pani Park oraz lord i lady Montford byliście z nami, wcale nie wątpię, że w londyńskich salonach dzisiaj po południu uznano nas za kochanków. Jednak nadal toczy się gra zwana przyzwoitością, Babs. Pan Huxtable nie będzie mi dzisiaj towarzyszyć, nawet jeśli nie znajdzie się nikt inny i będę zmuszona pozostać w domu.

- Och, pójdę - oznajmiła Barbara, biorąc się znowu do robótki. - Nie potrzeba pisać do żadnego dżentelmena.

- Tylko jeśli naprawdę masz ochotę. Nie jesteś płatną towarzyszką, Babs. Jesteś moją przyjaciółką. I jeśli wolałabyś spędzić wieczór w domu, zostanę z tobą.

- Muszę wyznać - odparła Barbara - że po pierwszym balu z tobą, Hanno, cieszę się na kolejny. Staję się dosyć dekadenska, nie sądzisz?

Hanna uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- Musisz przejść długą drogę, zanim zasłużysz na podobny epitet. W przeciwieństwie do mnie. Wpadające przez okno światło słońca sprawiało, że czuła się senna. Obudziła się o piątej rano i kazała się Constantine'owi odwieźć do domu, ale było dobrze po szóstej, kiedy w końcu wyszli. Miała rację co do niebezpieczeństw związanych ze spaniem z mężczyzną w jednym łóżku, zwłaszcza z mężczyzną, który w jakiś sposób zdołał wstać w nocy, nie budząc jej, i się rozebrać. Oboje byli ciepli, senni i spragnieni miłości, i do tego już spleceni ze sobą. Cała godzina upłynęła bardzo przyjemnie, zanim wstali z łóżka.

- Czy to było bardzo trudne - odezwała się Barbara



po paru minutach milczenia, pochylając głowę nad robótką - zmienić się z osoby, którą byłaś, w osobę, którą jesteś, Hanno? To jest po tym, jak wyszłaś za mąż. Hanna nie odpowiedziała natychmiast. Barbara nigdy dotąd nie zadała podobnego pytania.

- Wcale nie - odparła w końcu. - Miałam doskonałego mentora. W gruncie rzeczy najlepszego. I wcale nie podobałam się sobie taka, jaką byłam. Spodobało mi się to, kim się stałam. Kim teraz jestem. Książę nauczył mnie, jak dorosnąć, docenić siebie taką, jaką mnie stworzono. Nauczył mnie także, jak być księżną, to był jego dar dla mnie. Nauczył mnie być niezależną i polegać na sobie. Nauczył mnie obywać się bez kogokolwiek. To ostatnie nie było ścisłą prawdą. Nie uświadamiała sobie, jak bardzo jego potrzebuje, póki nie umarł. I nigdy jej nie mówił, że ona nikogo nie potrzebuje. Naprawdę było zupełnie inaczej. Zawsze powtarzał, że potrzebuje miłości i cennego grona osób, które będą tę miłość otaczały, kiedy ją znajdzie - małej wspólnoty, do której będzie należeć, jak to nazwał. Zapewnił, że pewnego dnia ją znajdzie. Poleciał jej, żeby do tego czasu nie działała pochopnie i polegała na własnej wewnętrznej sile, i nie dała się skusić nędznym substytutom miłości.

Jak seks, pomyślała, zamykając na chwilę oczy. Bardziej uderzał do głowy, niż się spodziewała.

Łatwo byłoby mu się oddać, żyć tylko dla tych godzin spędzanych u Constantine'a, który zaspokajał jej potrzeby.

Ale nie wszystkie. Nie wolno o tym zapominać. Nie wolno jej popełnić błędu i uwierzyć, że potrzeby, jakie zaspokajał Constantine, stanowiły potrzeby fundamentalne.

To nie miało nic wspólnego z miłością. On nie miał

nic wspólnego z miłością.

- Lubiłam cię, Hanno - powiedziała Barbara. - W istocie, kochałam cię serdecznie. Często wspominam, jak cudownie było mieć cię zawsze blisko, dzielił nas tylko krótki spacer przez pola i łąki. I często żałuję, że już cię tam nie ma.

- Zostałabym wkrótce sama, gdybym tam była - zauważyła Hanna. - Wychodzisz za mąż za swojego pastora.

- Nie jest wyłącznie moim pastorem - przyjaciółka uśmiechnęła się znad robótki - choć jest wyłącznie moim Simonem. Kocham go ogromnie. Jest czytany i inteligentny, i zupełnie nie potrafi prowadzić frywolnej rozmowy, choć próbuje, biedaczysko. Nosi okulary i rzedną mu włosy na czole i skroniach, mimo że ma niewiele ponad trzydzieści lat. Jest może o cal niższy ode mnie, chociaż w butach dojazdy konnej dorównuje mi wzrostem. I uśmiecha się najmilej na świecie, wszyscy tak mówią. Ma jednak specjalny uśmiech dla mnie. Przenika wprost do mojego serca.

Igła zawisała nad robótką. Policzki Barbary lekko pokraśniały, jej oczy lśniły, kiedy wpatrywała się w haft i widziała mężczyznę, który znajdował się daleko stąd. Hanna poczuła ukłucie zazdrości.

- Cieszę się twoim szczęściem, Babs - powiedziała. - Wiem, że uważałaś się za skazaną na staropanieństwo, mimo że w ciągu paru lat miałaś kilka korzystnych propozycji. Jednak czekałaś i odnalazłaś miłość.

- Hanno - zapytała przyjaciółka, z igłą wciąż zawieszoną w powietrzu - czy kiedyś żałowałaś, że nie poczekałaś?

Jej rumieniec pogłębił się; opuściła igłę.

- Nie - odparła cicho Hanna. - Ani przez chwilę.

- Ale... - Barbara odłożyła robótkę na kolano, nie dodając ani jednego ściegu. - Ale nie byłaś w odpowiednim stanie, żeby akurat wtedy podjąć tak poważną decyzję. Byłaś tak straszliwie zrozpaczona. I miałaś powody.

- Miałam anioła stróża - stwierdziła Hanna - którym był ksiązę Dunbarton. Powiedziałam mu to kiedyś. Myślałam, że udławi się porto.

- Ale Hanno, on był taki stary. Och, wybac, proszę.

- Był tylko pięćdziesiąt cztery lata starszy ode mnie - zauważyła Hanna z lekkim uśmiechem. - Wystarczająco stary, żeby być moim dziadkiem. W istocie kiedyś przedstawił mi liczby, które wskazywały, że mogłby być nawet moim pradziadkiem. Zaprzestań tego, Babs. Nigdy nie przyznam, że poślubiłam go w pośpiechu i zawsze potem żałowałam. Wyszłam za niego w ogromnym pośpiechu i ani przez chwilę tego nie żałowałam. Dlaczego miałabym żałować? Byłam rozpieszczana i bogata, i dostałam się do tego świata. - Wskazała pokój dookoła. - A teraz jestem wolna.

Odwróciła dość gwałtownie głowę, żeby wyjrzeć przez okno. Łzy? Łzy?

- Hanno - odezwała się Barbara - powinnaś wrócić do domu. Powinnaś...

- Jestem w domu - przerwała jej księżna.

Przyjaciółka spojrzała na nią smutnymi oczami.

- Przyjedź na mój ślub - poprosiła. - Mogłabyś zatrzymać się u mamy i papy. Dom ani trochę nie przypomina tego, do czego się przyzwyczaiłaś, ale wiem, że bardzo chcieliby cię gościć. A mnie by niczego nie brakowało do szczęścia, gdyby moja najdroższa przyjaciółka była wtedy ze mną. Wiem, że Simon pragnie

cię poznać. Och, przyjedź, proszę.

- Nie będzie tego pragnął, kiedy się dowie, kim się stałam - odparła Hanna. - A ja postąpiłabym nieuczciwie wobec wielebnego i pani Leavensworth, gdybym zamieszkała pod ich dachem. Ich świat jest inny od tego, w którym zamieszkuje, Babs. Twój świat jest inny. To bardziej niewinny, bardziej moralny świat.

- Przyjedź, tak czy inaczej. Będą cię kochać dla ciebie samej, tak jak ja. Jestem staroświecka i purytańska, Hanno. Wciąż jestem starą panną, która wyrosła blisko kościoła. Gdybyś mną potrząsnęła, to pewnie zniknąłabym w chmurze kurzu. Bardzo mi się nie podoba to, co sobie zrobiłaś w ciągu ostatnich paru dni, ponieważ nie wierzę, że jesteś szczęśliwa. I sądzę, że z czasem staniesz się jeszcze bardziej nieszczęśliwa w związku z panem Huxtable'em. Myślisz, że pragniesz przyjemności, kiedy w istocie potrzebna ci jest miłość. Ale zbaczam z tematu, a przyrzekłam sobie, że nigdy nie będę ci robić wyrzutów. Przyjedź na mój ślub. Czy już nie czas, żeby wrócić? To już ponad dziesięć lat.

- Właśnie o to chodzi - powiedziała Hanna. - Prowadzę teraz inne życie, żyję w innym świecie. Dawny już dla mnie nie istnieje. Nie chcę, żeby istniał.

- A ja? - zapytała przyjaciółka. - Czy stałam się wobec tego duchem?

- Och, Babs. - Hanna znowu musiała odwrócić głowę, żeby ukryć wzbierające w oczach łzy. - Nie opuszczaj mnie nigdy.

Usłyszała szelest za plecami, a potem znalazła się w mocnym uścisku. Przez chwilę trwały tak w milczeniu, a Hanna czuła się bardzo niezręcznie. I, co dziwne, czuła niemal tak wielką rozpacz, jak w dniu, w którym umarł

książę.

- Niemądra gąsko - Barbara odezwała się nieco drżącym głosem. - Dlaczego miałabym się wyrzec przyjaźni z tobą, skoro jesteś taka bogata? I skoro zabierasz mnie na eleganckie bale i upierasz się, żeby kupować mi frywolne kapelusze za każdym razem, kiedy wyciągam od ciebie zaproszenie do Londynu?

Hanna przerzuciła nogi przez ławeczkę i otarła ręce o muślinową suknię.

- To był wyjątkowo wspaniały kapelusz, nieprawdaż? Gdybyś wczoraj nie pozwoliła mi go dla ciebie kupić, Babs, kupiłabym go dla siebie, a gdzie bym go schowała? Mam już garderobę i sąsiadujący z nią pokój gościnny, które pękają w szwach od strojów, przynajmniej tak głosi plotka, a wszyscy wiedzą, jak można polegać na plotkach.

- Ja zajmuję pokój gościnny obok twojej garderoby.  
- Barbara wyprostowała się i zaczęła składać robótkę. - Można ci tylko współczuć - powiedziała Hanna. - Musi być okropnie trudno przedostać się przez drzwi, nawet bokiem.

Barbara roześmiała się.

- Przyjedziesz na mój ślub? - zapytała cicho.

Hanna westchnęła w duchu. Miała nadzieję, że nie wrócą do tego tematu.

- Nie mogę, Babs. Nie wrócę tam. Ale może ty i twój pastor zechcecie przyjechać i spędzić chociaż część miesiąca miodowego razem ze mną w Kent.

Do pokoju weszła pokojówka, niosąc herbatę, i damy zmieniły temat.

Nie była nieszczęśliwa, pomyślała Hanna. Barbara myliła się co do tego głęboko. I wcale nie miała stać się bardziej nieszczęśliwa. Jakże by mogła, skoro w ogóle nie

była nieszczęśliwa?

Nie mogła się doczekać nocy, kiedy bal się skończy. Potrzeba, którą odczuwała, mogła być powierzchowna, ale jednak nią owładnęła.

Nie wierzyła, że mogłaby się kiedyś znudzić Constantine'em. Będzie musiała, oczywiście, z końcem sezonu. Ale to była odległa przyszłość. Nie musiała się jeszcze nad tym zastanawiać.

Podniosła się, żeby nalać herbaty.

Wczesnym popołudniem do domu Constantine'a dostarczono liścik od Cassandry, hrabiny Merton, żony Stephena, z zaproszeniem na kolację w Merton House przed balem u Kitteridge'ów. Nie miał żadnych zobowiązań i z przyjemnością zawiadomił ją, że przyjdzie.

W ciągu ubiegłych lat wiele razy próbował myśleć o Stephenie z niechęcią, nawet z nienawiścią;

Stephen odziedziczył tytuł po Jonie i zamieszkał w Warren Hall w wieku siedemnastu lat jako nowy właściciel, przyjechawszy tam wraz ze swoimi siostrami. To byli dla Constantine'a obcy ludzie; nie wiedział o ich istnieniu, póki Elliott i jego doradcy nie przeszukali drzewa genealogicznego i nie odnaleźli odległego dziedzica. Nawet wtedy nie było łatwo go wytropić w jakiejś zapadłej wsi w Shropshire.

Constantine dławił się nienawiścią, zanim ich spotkał. Mieli najechać jego dom, podeptać wspomnienia, przejąć coś, co wedle prawa powinno należeć do niego. Co ważniejsze, Jona pochowano w ziemi, która teraz przeszła na własność obcego.

Nawet później nienawidził ich jeszcze trochę.

Ale jak można było nienawidzić Stephena, kiedy się go już poznało? To tak jakby nienawidzić anioły.

Jego sióstr było równie trudno nie lubić. Tak się cieszyli wszyscy, że go odnaleźli. Obejmowali go jak odzyskanego członka rodziny. Domyślali się, jak musiał się czuć w związku ze sprawą sukcesji.

Margaret i Duncan, hrabia Sheringford, także zostali zaproszeni na kolację, jak stwierdził Constantine, kiedy zjawił się w rezydencji Merton. Margaret, najstarsza z trzech sióstr, była głową rodziny po przedwczesnej śmierci rodziców. Uporczywie trzymała się stanu panieńskiego, póki pozostali nie dorośli. Dopiero wtedy wyszła za mąż. Jej wybór wydawał się w swoim czasie katastrofą, ale małżeństwo przetrwało i - jak się wydawało - kwitło.

Constantine odprężył się i z przyjemnością spożywał kolację. Dania podano smakowite, a przy stole toczyła się lekka, miła rozmowa. Póki nie przeszli do salonu na godzinę przed tym, jak mieli wyruszyć na bal, nie podejrzewał, że istniał być może jakiś ukryty powód, dla którego go zaproszono.

- Razem z Cassandrą odwiedziłyśmy dzisiaj rano Kate - powiedziała Margaret, podczas gdy Cassandrą nalewała herbatę. - Nessie także z nami poszła. Kate jest znowu w odmiennym stanie po tak długim czasie. Wiedziałaś o tym, Constantine? Jest szczęśliwa, ale rano nie czuje się zbyt dobrze. Opowiedziała nam o miłym wieczorze, jaki wczoraj spędziła z Jasperem w teatrze.

Ach, pomyślał Constantine.

- Nie wiedziałem o jej stanie - odparł. - Przypuszczam, że oboje się cieszą.

Podczas tej porannej wizyty musiały o nim rozmawiać, mógłby się o to założyć. Czekał, aż mu o tym powiedzą.

- Rozmawialiśmy o tobie - oznajmiła Margaret.

- O mnie? - zapytał z najgłębszym zdumieniem. -  
Czy mam się czuć zaszczycony?

- Jesteś po trzydziestce - stwierdziła Margaret.

Hm. Jak się do tego zabiorą? Nie mogły przecież tak po prostu zmyć mu głowy za to, że wziął sobie księżnę Dunbarton za kochankę, prawda? Jako szlachetnie urodzone damy, nie mogły przyznać, że wiedzą o takich rzeczach ani nawet, że się ich domyślają.

Rozmowę prowadziła oczywiście Margaret. Cassandrę pochłonęło całkowicie nalewanie herbaty. Stephen i Sherry starali się sprawiać wrażenie, że rozmowa toczy się na kolejny, niewinny temat.

- Tak, owszem - odparł Constantine z westchnieniem - siła wyższa nie dopuszcza, abyśmy mieli dwadzieścia lat dłużej niż przez dziesięciolecie, Margaret. To doprawdy niezbyt ładnie z jej strony. Parsknęli śmiechem, nawet Margaret, ale to nie odwiodło jej od celu, jaki obrała - jakikolwiek był.

- Wszystkie zgodziłyśmy się co do tego, Constantine - powiedziała - że powinieneś pomyśleć o małżeństwie. Jesteś naszym kuzynem i...

- Kuzynem z drugiej linii - zauważył - dla Cassandry nawet jeszcze dalszym.

- Jest akurat w dobrym humorze, Meg - stwierdziła Cassandrą - który tak się różni od jego ponurych nastrojów. Będzie się upierał, żeby nie brać niczego poważnie.

Stephen upił parę łyków herbaty. Constantine wymienił nic niemówiące spojrzenia z Sherrym.

- Małżeństwo, zaiste, traktuję z największą powagą - zapewnił. - Zwłaszcza własne. A jeszcze bardziej jeśli nakłania mnie do niego delegacja moich damskich krewnych. To jest delegacja, jak rozumiem? Czy jest jakaś



dama, na którą mam zwrócić szczególną uwagę?

Margaret otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Cassandra ograniczyła się do uśmiechu. Obaj dżentelmeni zajęli się piciem herbaty.

- Czy też jakaś, na którą szczególnie nie powinienem zwracać uwagi? Cassandra się roześmiała.

- Mówiłam ci, że on się od razu zorientuje, o co w tym wszystkim chodzi, Meg. Ale, Con, wierz mi, jej chodzi wyłącznie o twoje szczęście. Należę do tej rodziny zaledwie od roku, nawet krócej, ale ja także pragnę cię widzieć szczęśliwym.

- Strzeżcie się kobiety szczęśliwej w małżeństwie - odparł. - Będzie konspirować i spiskować, żeby wszystkich innych także zmusić do szczęścia.

Stephen uśmiechnął się, a Sherry zachichotał.

- I jest w tym coś niewłaściwego? - zapytała Margaret, wyraźnie nastroszona. Patrzyła na Sherry'ego.

- Katherine zauważyła wczoraj w teatrze, w którą stronę wiatr wieje, czyż nie? - powiedział Constantine. - Nie spodobało jej się to, co zobaczyła? A wy wszystkie zgodziłyście się z jej opinią dzisiaj rano? Ciekawe, czy Vanessa także.

- Masz faworytę niemal co roku, Constantinie - stwierdziła Margaret, sadowiac się na krześle z filiżanką herbaty oraz spodeczkiem w ręku. - To zawsze były miłe damy. Zwłaszcza podobała mi się pani Hunter w tamtym roku, kiedy poznaliśmy się i pobraliśmy z Duncanem.

Jej policzki zapewne spąsowiałyby niczym najczerwieńsze róże, gdyby ją zapytał, co dokładnie ma na myśli, mówiąc o faworycie, pomyślał Constantine.

- Ja także ją lubiłem, Margaret. Dlatego została moją faworytą. Mam jednak nadzieję, że nie zamierzasz poprosić

mnie, abym rozważył możliwość poślubienia jej. Dwa lata temu wyszła za lorda Lund. - I urodziła mu w zeszłym roku dziedzica, o ile wiem - odezwał się Sherry. - Mądrze z twojej strony, Con, że za nią nie tęsknisz.

Margaret rzuciła mu oburzone spojrzenie.

- Księżna Dunbarton jest piękna - powiedziała. - Nikt nie może zaprzeczyć. Przyciąga wzrok wszystkich, gdziekolwiek się znajdzie, i to nie tylko ze względu na swoją urodę. Jest doprawdy fascynująca.

- Słyszę „ale” w twoim głosie - zauważył Constantine. Cassandra przejęła pałeczkę.

- Kate uważa, że księżna postanowiła uczynić ciebie swoim faworytem, Con - oznajmiła. - A, jak się wydaje, księżna zawsze dostaje to, czego chce. Ale powiadają o niej, że jest niestała w swoich upodobaniach. W przyszłym czy jeszcze następnym tygodniu to zapewne będzie ktoś inny. Wydawała się wyraźnie zmieszana; odwróciła głowę i zmarszczyła brwi, patrząc na Stephena, który się uśmiechał.

- W istocie cieszy się reputacją nieco w gorącej wodzie kapanej, Constantine - ciągnęła Margaret. - Wierzę, że zasłużenie.

Co by powiedzieli, zastanowił się, gdybym im powiedział, że księżna była dziewicą niewiele ponad tydzień temu i że to dzięki mnie straciła dziewictwo?

- Boicie się, że mnie zrani i złamie mi serce, jeśli ulegnę jej zachciankom w tym, a może i w przyszłym tygodniu? - zapytał. - Nie jestem odpowiednim partnerem dla kogoś o, hm, doświadczeniu księżnej? Nawet jeśli często porównuje się mnie do samego diabła? Wzrusza mnie wasza troska.

Bardzo go to rozbawiło.

- O mój Boże - powiedziała Cassandra, odstawiając z hałasem filiżankę z herbatą. - To nie tak zamierzałyśmy poruszyć ten temat, prawda, Meg? Kate będzie na nas zła. Oczywiście, że możesz przestawać z jej wysokością, jeśli ma zostać twoją, hm, faworytą, Con.

W gruncie rzeczy, muszę przyznać, że pewni ludzie ostrzegają ją, żeby się nie zadawała z tobą. Chciałyśmy ci powiedzieć czy też dać do zrozumienia bądź zasugerować z czystej siostrzanej troski o ciebie, że być może nadszedł czas, żebyś zamiast o flircie pomyślał o małżeństwie. Jesteś niezwykle korzystną partią. I do tego niezwykle przystojnym mężczyzną, choć nie wiem, czy to odpowiednie słowo, żeby cię opisać. Wszyscy z zachwytem wodzą za tobą oczami, gdziekolwiek się znajdziesz, podobnie jak za księżną.

- Wszystko popsuliśmy, Constantine - przyznała Margaret. - Chciałyśmy w subtelny sposób skierować twoje myśli raczej na małżeństwo niż... Cóż.

- Być może - zaproponował Sherry - powinniśmy, moja droga, porozmawiać o jutrzejszej pogodzie. Albo tej z zeszłego tygodnia. Albo zapowiadanej na następny miesiąc.

Uśmiechnęła się, a potem roześmiała, jak się wydawało, szczerze rozbawiona.

- Czy możemy zapomnieć o poprzednich pięciu minutach i zacząć od nowa? - zapytała.

- Broń Boże - odparli chórem Sherry i Stephen.

- Chcę wiedzieć - dodał Constantine - co Vanessa miała do powiedzenia na ten temat.

Vanessa, trzecia siostra, przyjaźniła się z nim serdecznie, póki nie poślubiła Elliotta, obecnego księcia Moreland. Potem, próbując się odegrać na Elliotcie w niemądry, dziecinny sposób, do czego miał skłonność w

owym czasie, nieświadomie - ale przewidywalnie - zranił ją i upokorzył. Od tego czasu traktowała go ledwie uprzejmie.

Nie był wówczas w najlepszej formie. W gruncie rzeczy, raczej w najgorszej. Poczucie winy dręczyło go za każdym razem, kiedy spotykał Vanessę czy nawet o niej myślał.

- Szczerze mówiąc, Con - powiedziała Margaret - rozmawialiśmy o tym, kiedy Vanessa poszła na górę do pokoju dziecięcego z prezentem dla Hala i po to, żeby przywitać się z Jonathanem. Cassandra zabrała go ze sobą.

Hal był czteroletnim synem Katherine i Monty'ego.

Po tym, jak urodził mu się syn, Stephen napisał do Constantine'a z pytaniem, czy nie miałby nic przeciwko temu, żeby nadali dziecku imię Jonathan. W pierwszej chwili chciał zdecydowanie odmówić. Powstrzymała go jednak myśl, że jego brat Jon byłby zachwycony tym pomysłem. Niemal słyszał jego szczery, radosny śmiech. Nowym dziedzicem tytułu został więc Jonathan.

Constantine znajdował w tym dziwną pociechę, kiedy złożył im wtedy wizytę w mieście, żeby zobaczyć dziecko.

- Nie powinniśmy o tym wspominać - ciągnęła Margaret. - Duncan i Stephen zachowują się paskudnie, śmiejąc się pod nosem, odkąd wyszliśmy z jadalni, a ty wcale nie jesteś lepszy, Constantine. Wolisz uważać to za żart.

- Lepiej tak niż gdyby się obraził, Maggie - zauważył Sherry.

- Widzisz, Con, rzecz w tym - odezwał się Stephen - że moje siostry spodziewały się odgrywać role swatek jeszcze przez wiele lat w związku ze mną. Okazałem się jednak na tyle niewdzięczny, że zakochałem się w Cass w

zeszłym roku, kiedy miałem zaledwie, bezradny osesek, dwadzieścia pięć lat. Teraz tylko ty zostałeś, nawet jeśli jesteś tylko kuzynem, toteż musisz się przygotować na objawy serdecznej troski, póki się nie ożenisz z godną siebie kobietą i nie osiądziesz, żeby żyć długo i szczęśliwie. Najmądrzej by było zrobić to w tym roku i zachować spokój na resztę życia.

- Tyle że - stwierdził Constantine - byłbym żonaty.

- Dosyć! - Margaret podniosła się zdecydowanie. - Idziemy na bal, a nie chciałabym zjawić się tak późno, żeby nie miał nas kto przywitać.

Na tym, pomyślał Constantine, koniec. Przynajmniej na razie.

Rodzina nie pochwałała jego wyboru tegorocznej wiosennej kochanki. Czy też faworyty, używając eufemizmu, który damom łatwiej przechodził przez usta.

## 9

Na balu u Kitteridge'ów zjawili się późno, ale niejako ostatni z gości. Przyszli wcześniej niż księżna Dunbarton, co nie było zaskoczeniem.

Constantine rozmawiał właśnie z grupą znajomych, kiedy nieznaczna zmiana w natężeniu dźwięków wokół dała mu znać o jej przybyciu. Margaret niewątpliwie miała rację. Księżna rzeczywiście przyciągała wzrok, gdziekolwiek się znalazła, i tym razem nie było inaczej. Przesuwała się jedynie wraz z przyjaciółką wzdłuż szeregu witających, a prawie wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę.

Znowu wystąpiła w lśniącej bieli - włożyła jedwabną suknię ozdobioną przetykaną srebrem białą koronką. Włosy miała upięte wysoko w kunsztownych lokach, chociaż kilku pasemkom pozwolono wic się na jej skroniach i szyi, pobudzając wyobraźnię. Brylantowy diadem stanowił dodatkową ozdobę. Brylanty w jej uszach, na dekolcie, nadgarstkach i palcach okrytych rękawiczkami dłoni iskrzyły się i połyskiwały w świetle świec. Brylantowe rozetki przyszyto nawet do jej białych tanecznych pantofelków.

A może to nie były brylanty?

Zeszłej nocy z róży opadł kolejny płatek, każąc się Costantine'owi zastanawiać, czy mimo wszystko nie było ich więcej. Sprzedała dwie trzecie swoich brylantów, bez wątpienia za ogromną sumę, ponieważ interesowały ją pewne „cele”.

Cele dobroczynne, jak się domyślał. Dama miała zatem serce, a nawet sumienie.

W pewien sposób było to równie oszałamiające

odkrycie, jak fakt, że przysłała do niego jako dziewczica.

Męczyło go poczucie, że pomylił się co do księżnej, że być może nie była taka płytka, jak sądził. W swojej dawnej opinii na jej temat nie był jednak odosobniony, czego dowodziły słowa Margaret. Nie miał powodu się na nią oburzać.

Constantine ruszył przez salę balową w stronę księżnej, świadomy zainteresowania wszystkich wokół.

Niewielu ludzi w sali nie wiedziało zapewne, że była jego nową kochanką albo że on był jej nowym kochankiem - w zależności od punktu widzenia poszczególnych osób. W gronie socjety nie istniało coś takiego jak sekretny związek.

Skłonił się przed obiema damami, zarezerwował sobie walca z księżną później tego wieczoru i poprosił pannę Leavensworth, żeby zatańczyła z nim na otwarcie. Do tego czasu wokół księżnej zdążył zebrać się jej zwykły dwór.

Wprowadził pannę Leavensworth na parkiet, gdzie ustawiały się już szeregi tańczących. Poprosił ją do tańca, ponieważ była przyjaciółką księżnej, jej gościem i uczestniczką wyprawy do teatru poprzedniego wieczoru, kiedy to miał okazję porozmawiać z nią przez parę minut i polubić. Wydawała się inteligentną, rozsądną damą.

Nie miał żadnego ukrytego powodu, żeby z nią tańczyć - w każdym razie, nie na początku. Zapytał ją o dom rodzinny, domyślając się, że za nim tęskni, zwłaszcza że jej narzeczony został w odległej wiosce.

- Przykrą stroną londyńskich sezonów - odezwał się, kiedy oboje czekali na sygnał do tańca - jest to, że choćbyśmy się bawili jak najlepiej, zawsze tęsknimy za domem na wsi. Ja zawsze tęsknię. Czy z panią jest

podobnie?

- W istocie, panie Huxtable, choć wydaje się niewdzięcznością do tego przyznać - odparła z powagą. - Cudownie jest być tutaj i nigdy nie zapomnę balów, teatru i opery oraz tego, że mogłam zwiedzić niektóre z najslawniejszych londyńskich muzeów i galerii. A najlepsze z tego wszystkiego jest to, że mogę być z Hanną, którą widuję zbyt rzadko. Nawet zakupy są bardziej podniecające, niż myślałam. Ale ma pan rację, przyznaję, że tęsknię za rodziną i narzeczonym.

- I za swoją wsią?

- Za nią także. Londyn jest taki... wielki.

Dostrzegł wtedy możliwość zaspokojenia zwykłej ciekawości. A może nie takiej zwykłej. Wszyscy wiedzieli, jak księżna wykorzystała swoją urodę, żeby wyjść z cienia i zostać żoną arystokraty, który opierał się małżeństwu przez ponad siedemdziesiąt lat. Byłoby to źródłem legend, gdyby potężna luka nie pozbawiła tej historii romantyzmu, czyniąc ją raczej mało ciekawą. Jednakże wydawało się, że nikt nic nie wiedział o cieniu, w którym księżna dorastała. Kiedy zapytał ją o rodzinę, wzruszyła ramionami i odparła, że nie ma żadnej. Ale kiedyś musiała mieć rodzinę.

- Jak nazywa się pani wieś? - zapytał.

- Markle, w Lincolnshire. Nikt poza tymi, którzy mieszkają w promieniu dziesięciu mil, o niej nie słyszał. Ale jest cicha, ładna i jest moim domem.

- Pani rodzice wciąż żyją?

- Tak. Mam to szczęście. Mój ojciec był pastorem, ale zakończył posługę i obecnie mieszkamy razem w domu na skraju wsi. Jest mniejszy niż plebania, ale bardzo przytulny. Moja matka i ojciec są tam bardzo szczęśliwi. Ja także, ale oczywiście przeprowadzę się na plebanie, kiedy



w sierpniu wyjdę za mąż.

- I wtedy będzie pani panią domu - stwierdził - zamiast córką.

- Tak. - Uśmiechnęła się. - To takie dziwne. Ale nie mogę się już doczekać.

- Markle - powiedział, marszcząc brwi. - Ta nazwa brzmi znajomo. Jaka rodzina tam mieszka?

- Sir Colin Young? - odparła w formie pytania. - Mieszka w Klonowym Dworze tuż za wsią z lady Young i trojgiem dzieci. Lady Young jest w istocie...

Przerwała raptownie. Zaczerwieniła się.

Czekał chwilę z uniesionymi brwiami, ale milczała.

- Sądzę, że tańce zaraz się zaczną - powiedział.

- Och, tak - odparła żywo. - Ma pan rację. Och, proszę tylko popatrzeć na te wszystkie kwiaty. I wszystkie świece. Muszą ich być dziesiątki. I tylu gości. Będzie mi się to śniło, kiedy wyjadę. Domyślał się, że nie należała do kobiet, które tryskały entuzjazmem przy lada okazji. Coś ją wytrąciło z równowagi. Prawdopodobnie jego pytanie, zwłaszcza ostatnie. Oraz odpowiedzi, jakich udzieliła... i prawie udzieliła. Czy uświadomiła sobie w tej chwili, że on próbuje wyciągnąć od niej informacje? Nie zabrał się do tego zgrabnie.

Ale kim była lady Young? Nigdy nie słyszał o Markle ani o sir Colinie Youngu. Mógł być baronetem, ale - na ile Constantine wiedział - nigdy nie obracał się w sferach towarzyskich Londynu.

Zatańczyli elegancki taniec o zawiłych, niemal majestatycznych figurach. Okazała się dobrą tancerką.

Księżna także musiała dorastać w Markle. Czy to tam poznała Dunbartona na weselu? Czyim weselu?

Younga?

Już sprawił, że panna Leavensworth czuła się niezręcznie. Zbeształ sam siebie za wścibstwo. Nie miał zatem pretekstu, żeby ciągnąć to dalej. Ale ciągnął.

- Sir Colin Young - odezwał się, kiedy figury tańca sprawiły, że spotkali się znowu na około minutę. - Czy nie był jakoś spowinowacony z księciem Dunbarton?

- Bardzo odległe pokrewieństwo, jak sędzę.

Mniej więcej czternasty w kolejce do tytułu księcia, o ile Constantine się nie mylił.

Nie mógł tak po prostu zapytać o panięskie nazwisko księżnej. Ale w hierarchii społecznej jej rodzina musiała plasować się niżej od Younga, inaczej panna Leavensworth wymieniłaby ich jako najważniejszą rodzinę. Chyba że księżna była siostrą albo córką Younga. To było prawdopodobne. W każdym razie powiodło jej się wspaniale, kiedy złapała księcia na męża, nawet jeśli był starym człowiekiem. A może zwłaszcza dlatego, że był starcem. Ślub wyniósł ją natychmiast na szczyty hierarchii społecznej, zapewnił jej bogactwo oraz perspektywę niezbyt odległej wolności.

W ten sposób zazwyczaj osądzano księżnę Dunbarton.

Ale...

Ale zamieniła mnóstwo klejnotów, jakie dostała od Dunbartona, na pieniądze, które przeznaczyła na interesujące ją cele. Inne klejnoty zachowała ze względu na ich wartość sentymentalną.

Jeśli, oczywiście, można jej było wierzyć. A on wierzył.

Czyż księżna nie była jednak tajemnicza?

Dlaczego to go interesowało? Cóż go mogło obchodzić, kim była teraz? Albo kim była kiedyś? Nigdy

nie czuł ciekawości w stosunku do innych kochanek.

A potem inna myśl przyszła mu do głowy. Czy podobałoby mu się, gdyby ona usiłowała zgłębić tajemnice jego życia? Nie wolno mu zadawać więcej pytań.

Dotarli na początek szeregów i teraz przyszła ich kolej, żeby przejść między nimi, wykonując obroty, wrócić na koniec i zacząć od nowa. Panna Leavensworth śmiała się, a Constantine uśmiechał się do niej. Nie mógł jednak zapanować nad myślami.

Przyjaźniły się od dzieciństwa, ona i księżna. Aż dotąd nie zauważył w tym nic dziwnego. Panna Leavensworth była kobietą o skromnym pochodzeniu i aspiracjach, córką nieposługującego już pastora i narzeczoną jego następcy. A jednak księżna pozostała z nią w bliskich stosunkach, nawet jedenaście czy więcej lat po zawarciu małżeństwa, które nadało jej status o wiele wyższy niż córki pastora. Jeszcze jedna zagadka.

- Czy pani i księżna Dunbarton pisujecie do siebie, kiedy jej pani nie odwiedza? - zapytał, kiedy znowu nadarzyła się okazja, żeby wymienić kilka zdań.

- Och, przynajmniej raz na tydzień. Czasami częściej, jeśli akurat znajdzie się coś szczególnie interesującego, o czym by można napisać. Jesteśmy zapalonymi miłośniczkami pisania listów, Hanna i ja.

- Nigdy pani nie odwiedza?

- Nie - odparła. Żadnych wyjaśnień.

- Chociaż próbuję ją przekonać, żeby przyjechała na mój ślub w sierpniu - dodała chwilę później. - To dla mnie takie ważne, żeby najbliższa przyjaciółka była wtedy ze mną. Odmawia, ale nie porzuciłam jeszcze nadziei.

A zatem nie pojechałaby do Markle nawet na ślub panny Leavensworth? Księżna Dunbarton, którą, jak mu się

wydawało, znał i którą rzekomo znała socjeta - z pewnością skorzystałaby z okazji, żeby wrócić do domu w otoczeniu służby i popisać się tytułem oraz bogactwem wobec wiejskich prostaczków, wśród których wyrosła. Czy rzeczywiście nie miała rodziny?

- Nie ma rodziny, u której mogłaby się zatrzymać? - zapytał.

- Mogłaby się zatrzymać u moich rodziców. Byliby przeszczęśliwi, mogąc ją gościć.

To mogło oznaczać tak albo nie. Musiał jednak na tym poprzestać. Miał niejasne poczucie winy. Może nawet nie takie niejasne. Wtrącał się w cudze życie.

- Czy odwiedziła już pani londyńską Tower? - zagadnął.

- Nie - odparła. - Ale bardzo chciałabym to zrobić, zanim wrócę do domu.

- Być może pani i księżna pozwolicie mi towarzyszyć sobie w tej wycieczce któregoś popołudnia?

- Och, to bardzo miło z pana strony, panie Huxtable. Nie jestem jednak pewna, czy Hanna interesuje się...

- Przypomnę jej - powiedział - że będzie miała okazję znaleźć się dokładnie w tym miejscu, w którym Annie Boleyn, między innymi, ucięto głowę. Sądzę, że to wzbudzi jej zainteresowanie. Roześmiała się.

- Ma pan zapewne rację. To jednak jedyne miejsce, którego ja sama będę starannie unikać.

- Umówię się z księżną.

Skupił się na tańcu. Zawsze lubił tańczyć. W szeregu dam naprzeciwko widział kuzynki - wszystkie, włącznie z Vanessą, a także Averil i Jessicą, siostrami Elliotta. Brakowało tylko Cecily, która została w domu na wsi w związku ze zbliżającym się trzecim porodem.

Księżna również tam była - oszałamiająco piękna, jak zwykle. Obok niej stała hrabina Lanting, młodsza siostra Monty'ego. No i oczywiście były tam wszystkie młode panny, które debiutowały ostatnio w towarzystwie i na rynku matrymonialnym, niektóre z nich ożywione i pełne zapału, inne udające modne *ennui*, jakby ten wspaniały bal był dla nich czymś tak zwyczajnym, że aż nudnym.

W jego szeregu stali wszyscy dżentelmeni.

Orkiestra grała żywą muzykę. Stopy uderzały rytmicznie o drewnianą podłogę, a ten dźwięk zawsze skłaniał jego nogi do podrygiwania, nawet jeśli tylko stał z boku i się przyglądał. Powietrze zgęstniało od zapachu kwiatów, perfum i ludzkiego potu.

Kitteridge'owie z pewnością oddychali z ulgą. Ich córka tańczyła z wicehrabią Doran, bardzo odpowiednim młodym dżentelmenem, którego z pewnością starannie wybrano na tę okazję, tak więc bal można było uznać za wspaniały sukces.

Constantine i panna Leavensworth ponownie zbliżali się ku początkowi szeregów.

Hanna tańczyła na otwarcie balu z lordem Netherby, następny taniec z lordem Hardingraye, bliskim przyjacielem, przy którym czuła się swobodnie i z którym mogła niewymuszenie rozmawiać. Czuła ogarniające ją, przyjemne podniecenie. Później miała zatańczyć walca z Constantine'em. Zatańczy z nim tylko raz, ale to wystarczy. Żaden taniec nie mógł się równać z walcem, jeśli miało się przystojnego partnera, a nikt nie był tak przystojny jak Constantine Huxtable.

Zatańczy z nim, a potem, kiedy bal się skończy, on pojedzie za jej kareta do domu, tak jak poprzedniego wieczoru, a potem ona pojedzie do niego, żeby z nim

spędzić noc czy też resztę nocy.

Tak będą wyglądały jej dni - i noce - do końca wiosny. Och, pragnęła, żeby to trwało wiecznie. Raz przynajmniej wcale nie chciała, żeby lato szybko nadeszło. W tym roku mogło poczekać. Nie czuła się winna w stosunku do Barbary. Nie zamierzała przecież zaniedbać przyjaciółki. Codziennie będą razem przez wiele godzin.

Och, to się zapowiadało bardzo, bardzo przyjemnie po posępnym roku. A był posępny. Księżę nie spodziewałby się, żeby udawała, że było inaczej. Bardzo długo go oplakiwała, ale żaloba w samotności i w czerni przez cały rok zmęczyła ją straszliwie. Kazałby jej wyjść z domu i poszukać rozrywki - wiedziała, że tak by było. Ona jednak tylko jeździła konno po okolicy w pobliżu Copeland i co parę dni odwiedzała przyjaciół w Land's End. Była wierną żoną za życia księcia. Była wierną wdową przez cały rok żaloby.

A teraz... cóż, teraz bawiła się doskonale. Nie zamierzała udawać, że tak nie jest. Marzyła o tym, zaplanowała wszystko, a teraz to się działo. A najlepsza była świadomość, że księżę nie miałby do niej żalu. Wiedziała, że nie.

- Można powiedzieć, wasza wysokość - odezwał się lord Hardingraye - że pani promienieje, odkąd wróciła pani do miasta. W istocie, gdyby roztaczała pani silniejszy blask, musiałbym założyć osłony na oczy i pomówiono by mnie o to, że jestem skończonym dziwakiem.

- Już uchodzi pan za ekscentryka - odparła z uśmiechem. - Wszyscy tak mówią. Jego oczy roziskrzyły się z rozbawienia. Constantine tańczył z lady Fornwald.

Barbara... nie było jej w sali balowej. Hanna rozejrzała się dookoła, ale nigdzie nie dostrzegła śladu

przyjaciółki. Nie kryła się nawet w najcichszym kącie. Po pierwszym tańcu przeprosiła i udała się do saloniku dla dam. Ale to było jakiś czas temu.

Nie pojawiła się, kiedy taniec dobiegł końca. Hanna rozejrzała się wśród tłumu, a potem poszła sprawdzić, czy jest w saloniku. Barbara nie mogła chyba wciąż tam siedzieć.

Ale tak było.

Siedziała w kącie, plecami do drzwi, nie zwracając uwagi na gromadkę rozszczebiotanych młodych dam, które także ją ignorowały, chichocząc i rozprawiając o czymś piskliwymi głosami. W innym kącie siedziała milcząca pokojówka, gotowa pomóc każdej damie, która naderwała rąbek sukni albo której należało poprawić fryzurę.

- Babs? - Hanna usiadła obok niej. - Źle się czujesz? Barbara nie chciała na nią spojrzeć. Mięła w dłoniach chusteczkę.

Nie miała śladów łez na policzkach, ale wydawała się bardzo bliska płaczu.

- Znienawidzisz mnie - powiedziała. - Już nigdy mi nie zaufasz.

- Babs? - powtórzyła Hanna.

- Zdradziłam cię - szepnęła Barbara. - Wiem, jak bardzo zależy ci na dyskrecji, a ja cię zdradziłam. Dziwne słowa. Hanna czekała na wyjaśnienie.

- Powiedziałam panu Huxtable'owi, jak nazywa się nasza wieś. Powiedziałam mu o sir Colinie Youngu. Niemal powiedziałam mu o... o Dawn. Zatrzymałam się w porę. I powiedziałam mu, że sir Colin jest odległym krewnym księcia Dunbarton.

- I to jest zdrada? - odezwała się Hanna po krótkiej chwili milczenia. - Czy przekazałaś mu te wszystkie

informacje bez żadnej zachęty, Babs?

- Nie - odparła. - Pytał mnie o to. A ja mu powiedziałam. Tak mi przykro, Hanno. Nie wiem, jak zdołasz mi wybaczyć. Nie pozwoliłaś mi nawet przy sobie samej wspominać tych imion. A jednak wypaplałam je twojemu... panu Huxtable'owi.

- Czy to były niewinne pytania? - zapytała Hanna. - To znaczy te, które ci zadał?

- Nie sądzę. - W oczach Barbary wezbrały łzy i spłynęły po policzkach. - Nie, nie sądzę. Chciał się tego dowiedzieć, więc zaczął wypytywać prostą wieśniaczkę, nieobytą w świecie wyższych sfer. Tak mi przykro. - Niemądra gąsko - rzekła Hanna, kładąc dłoń na pochylonej szyi Barbary. - Nie dowiedział się od ciebie niczego poza paroma faktami, które mógł bez najmniejszego trudu odkryć innym sposobem. Nie oznajmiłaś mu przecież, że jestem morderczynią, bigamistką czy... Kim jeszcze mogłabym być, żeby nim wstrząsnąć?

- Rozbójnikiem? - podpowiedziała Barbara przez łzy.

- Albo rozbójniczką - odparła Hanna. - Nic mu takiego nie powiedziałaś. I doprawdy, nie ma za wiele do powiedzenia, prawda? Same głupstwa. Nie ma mrocznej tajemnicy. Jeśli zatrzymałam dla siebie szczegóły swojej przeszłości, to dlatego że tak chciałam. Nie mam niczego do ukrycia. Ani też nie muszę się przed nikim ukrywać.

- A więc dlaczego... - zaczęła Barbara.

- Nie ukrywam się, Babs - stwierdziła Hanna. - Tylko prowadzę zupełnie nowe życie i lubię je dużo bardziej niż poprzednie. Nie chcę oglądać się za siebie, wracać do wspomnień, robić czegoś, co ożywiłoby przeszłość.



- Gniewasz się. - Łzy Barbary popłynęły wartkim strumieniem.

- Tak - przyznała Hanna. - Ale nie na ciebie, Babs. - Potarła mocniej dłonią po szyi przyjaciółki. - Jestem zła ze względu na ciebie. Gniewam się na pewnego dżentelmena, który dziś wieczorem musi sobie poszukać innej partnerki do walca. Z pewnością nie zatańczy go ze mną.

Barbara otarła oczy i wydmuchała nos.

- Powinam była wyjść stąd - powiedziała - wrócić do sali i się uśmiechać. Wiesz, że nie pochwalam twojego związku z panem Huxtable'em, Hanno, ale nie chciałabym, abyście poróżnili się z mojego powodu. - Jeśli się poróżnimy, to nie z twojej winy, Babs - stwierdziła Hanna. - O Boże, masz czerwone oczy. Nawet nos masz czerwony.

- Staram się nigdy nie płakać. Zawsze tak się dzieje, kiedy to robię, zwłaszcza jeśli chodzi o nos. Hanna się roześmiała.

- Pamiętasz - zagadnęła - jak to czasami wykorzystywałyśmy w dzieciństwie? Kiedy na przykład stłukłyśmy, grając w piłkę, okno w szklarni i ogrodnik ruszył w naszą stronę, ziejąc ogniem i siarką?

- Kazałaś mi płakać. - Barbara uśmiechnęła się przez łzy.

- Twoja twarz niemal z miejsca poczerwieniała - ciągnęła Hanna. - Wszystkim natychmiast zrobiło się ciebie żal. I jak mieli mnie ukarać, skoro pocieszali ciebie i zapewniali, że to był przypadek i nie powinnaś się martwić?

- O Boże - westchnęła Barbara. - Ależ byłyśmy bezwstydne.

Roześmiały się obie. Przez chwilę bardzo przypominały owe młode damy, które zdażyły już wrócić

do sali balowej. Dobiegały stamtąd dźwięki muzyki. Tańce rozpoczęły się po raz trzeci. Hanna się podniosła. Pomogła Barbarze dojść do siebie, ale wciąż czuła gniew. A właściwie wściekłość. - Wracamy do domu - zdecydowała. - Jestem zmęczona, a ty masz czerwony nos. To dostateczne powody.

- Ale Hanno... - Barbara się zmieszała.

Hanna rozmawiała już z pokojówką, która po chwili wybiegła z pokoju, żeby przekazać polecenie przyprowadzenia książęcej karety pod drzwi.

- Jedźmy do domu - powiedziała Hanna, odwracając się do Barbary z uśmiechem - napijmy się herbaty i porozmawiajmy chwilkę, zanim pójdziemy spać. Nie będę już cię tu miała długo, chyba że chcesz napisać do pastora, iż zmieniłaś zdanie co do ślubu i postanowiłaś zostać ze mną na zawsze, ot co.

- Och, Hanno...

- Nie - odparła Hanna z teatralnym westchnieniem. - Wiedziałam, że tego nie zrobisz. Tak więc muszę jak najwięcej nacieszyć się twoim towarzystwem, póki tu jesteś.

- Czy zamierzasz... zerwać swój związek z panem Huxtable'em? - zapytała Barbara.

- Tym związkiem oraz panem Huxtable'em zajmę się jutro - oznajmiła Hanna, wychodząc z pokoju. Barbara ruszyła za nią.

Księżna Dunbarton znowu prowadzi swoją grę, uznał Constantine. Znikła wcześniej z balu. Kiedy po czwartej turze tańców - walc, na który się umówili, był następny - wszedł do pokoju gry w karty, tam także jej nie znalazł.

Panny Leavensworth również nie było.

Został do końca balu. Tańczył przez cały czas, nawet walczył. A potem wrócił prosto do domu i przespał resztę nocy. Niech się bawi w swoje gierki.

Ale to do niej należy następny krok. Z pewnością nie będzie za nią biegał.

Uczyliła ten krok bardzo szybko. Liścik od niej znalazł obok talerza rano, przy śniadaniu, razem z rozwlekłym, tygodniowym sprawozdaniem od Harveya Wexforda, zarządcy jego majątku w Ainsley.

Księżna, jak zauważył, miała raczej śmiały, wyrazisty charakter pisma. I pisała podobnie jak mówiła.

W liście nie było pozdrowienia na początku, tylko jego nazwisko na kopercie.

*Przyłączy się pan do moich gości w porze podwieczorku - napisała księżna - a potem zawiezie mnie do parku. H. , księżna Dunbarton.*

Zacisnęła wargi. Nie zapraszała go. Rozkazywała mu. Czy listy do pozostałych gości były w podobnym tonie? Czy wszyscy posłuchają?

Czy on posłucha?

Oczywiście, że tak. Nie był jeszcze gotowy, żeby pozwolić jej odejść. Odpowiadała mu jako kochanka, pomimo szokującego odkrycia pierwszej nocy, i spodziewał się po tym związku dużo więcej zmysłowej rozkoszy, zanim się rozstaną. I ponadto intrygowała go. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej o tym, co kryło się za pozorną płytkością jej charakteru.

Dlaczego kobieta miałaby poświęcić dziesięć lat życia wyłącznie dla zdobycia pozycji i bogactwa, żeby potem przeznaczyć sporą część majątku na jakieś tajemnicze cele? I dlaczego miałaby pozostać wierna fikcyjnemu małżeństwu? A nawet sprawiać wrażenie, że

lubiła starego księcia? Dlaczego tak wartościowa kobieta jak panna Leavensworth pozostała wierna ich przyjaźni przez tyle lat? I dlaczego księżna pisała do niej co tydzień, podtrzymując przyjaźń, która nie mogła jej przynieść materialnej korzyści?

I dlaczego wciąż zadawał sobie podobne pytania?

Nie, jeszcze z niej nie zrezygnuje. Odpowie na wezwanie i stawi się dziś po południu na podwieczorku u księżnej Dunbarton.

A potem zawiezie ją do parku.

A wieczorem? Cóż, to się okaże.

A na razie skupił się na sprawozdaniu Wexforda, które zwykle pochłaniał bardzo szybko, żeby potem przeczytać ponownie powoli, zwracając uwagę na szczegóły.

Kiedy Constantine zjawił się w rezydencji Dunbarton, zastał już licznych gości w salonie; większość znał w mniejszym czy większym stopniu. Jedynymi jednak, na których naprawdę zwrócił uwagę, byli Elliott i Vanessa, księżę i księżna Moreland.

Hanna podeszła ku niemu, wyciągając rękę. Przybrała swój zwykły wyraz twarzy - lekki uśmieszek i nieznacznie opuszczone powieki.

- Panie Huxtable - odezwała się - jak miło, że pan przyszedł.

- Księżno. - Skłonił się nad jej dłonią, którą wysunęła z jego uścisku, zanim podniósł ją do ust.

- Przypuszczam, że zna pan wszystkich - powiedziała. - Proszę więc wziąć sobie herbatę i ciasteczka i wmieszać się w towarzystwo.

Wskazała niedbale stół, przy którym służąca nalewała herbatę. Odeszła, żeby przyłączyć się do Elliotta i Vanessy, z którymi rozmawiała na osobności przez jakiś czas.

Czy to było celowe? Constantine zastanowił się nad tym? Ależ tak, oczywiście, że tak.

Elliott, który naburmuszył się wyraźnie, kiedy Constantine wszedł do pokoju, zajął się rozmową.

Wydawał się teraz odprężony, zainteresowany, szczęśliwy. Uśmiechał się z pewnością częściej niż kiedyś. Chociaż w sposób nieunikniony obaj spotykali się regularnie podczas wiosennego sezonu w tych samych salonach, niekiedy zmuszeni stanąć twarzą w twarz i wymienić uprzejmości, Constantine rzadko przyglądał się dawnemu przyjacielowi. Ale tak było, widział to już wiele

razy, nie poświęcając temu wiele uwagi. Elliott był szczęśliwy. Żonaty od niespełna dekady, z trojgiem dzieci w wieku od ośmiu lat do poniżej roku, cieszył się z życia.

Constantine pamiętał czasy, kiedy Elliott traktował małżeństwo jak pułapkę, której należało unikać możliwie najdłużej. Ado tego czasu starać się wycisnąć przyjemność z każdej chwili. Obaj tak robili.

Im dziksza eskapada, tym bardziej im się podobała. Śmierć ojca Elliotta zmieniła wszystko - także jego samego. Ponieważ nagle został wicehrabią i dziedzicem księcia, a także opiekunem Jonathana, hrabiego Merton. I niespodziewanie stracił poczucie humoru i pogodę ducha, poświęcając się wyłącznie spełnianiu obowiązków.

Constantine wziął talerzyk i filiżankę z herbatą i - zgodnie z poleceniem - wmieszał się w tłumek gości. Był w tym dobry. Który džentelmen czy która dama tego nie potrafili? Zdolność do prowadzenia towarzyskiej rozmowy stanowiła niezwykle istotny atrybut arystokracji.

Cechą takiej powierzchownej wymiany zdań było to, że umysł pozostawał wolny, żeby błędzić, gdzie mu się podoba, zajmując się różnymi myślami czy obserwacjami.

Vanessa korzystnie się starzała. Z pewnością była po trzydziestce. Nigdy nie dorównywała urodą siostronom, ale zawsze odznaczała się serdecznością i żywym, pogodnym usposobieniem, które to przymioty wydawały się istotniejsze niż wygląd zewnętrzny. Constantine polubił ją od początku. Kiedy przybyła do Warren Hall ze Stephenem i siostrami wkrótce po śmierci Jona, zżerały go nienawiść i uraza. Został do ich przyjazdu tylko dlatego, że Elliott kazał mu wyjechać. Jednak najdziwniejszą rzeczą związaną ze śmiercią Jona było to, że wcale nie oszedł, kiedy jego ciało spoczęło w ziemi na przykościelnym dziedzińcu.

Zamieszkał gdzieś wewnątrz Constantine'a, gdzieś blisko serca, i nie dało się już patrzeć na świat i ludzi, nie widząc ich oczami Jonathana. Jon byłby zachwycony odkryciem nowych kuzynów. Nowych ludzi, których mógłby pokochać. A Vanesę, nawet bardziej niż pozostałą trójkę, łatwo było polubić, a zupełnie nie dało się nie lubić. Od lat starał się nie myśleć o Vanessie. Zranił ją. Specjalnie przedstawił ją byłej kochance Elliotta, w teatrze, wkrótce po ich ślubie, a potem towarzyszył byłej kochance na balu wydanym przez Elliotta i Vanesę. Zobaczyła ją tam cała socjeta. Chciał, oczywiście, zawstydzić Elliotta. Skończyło się jednak na upokorzeniu Vanessy i sprawieniu jej bólu. Elliott powiedział jej różne nieciekawe historie na jego temat, a ona, w bezpośredni sposób, w jaki wydawała się zmagać ze wszystkimi trudnymi sprawami w życiu, pewnej nocy w Vauxhall wzięła go na stronę i powiedziała dokładnie, co o nim myśli, dodając, że w przyszłości nie będzie z nim rozmawiać. Słowa dotrzymała.

To wspomnienie wciąż dręczyło jego sumienie. Nic nie mógł zrobić, żeby to zmienić. Przeprosił Vanesę w owym czasie za to, że celowo naraził ją na upokorzenie. Nie chciała mu wybaczyć. Nie było nic więcej do powiedzenia.

Dlaczego księżna zaprosiła ich i jego, wiedząc, że są skłóceny? Jaką grę teraz prowadziła? I jak długo miał na to pozwalać?

Niedługo, postanowił. Da jej to jasno do zrozumienia, kiedy później zabierze ją do parku. To nie znaczy, że tam znajdzie się dużo czasu na prywatną rozmowę. Ale trochę czasu powinno się znaleźć.

Księżna nie ograniczyła się do towarzystwa Elliotta i Vanessy. Krążyła wśród gości, okazując się przemiłą

gospodynią. Constantine bywał kiedyś na jej balach, ale nigdy nie uczestniczył w prywatnych przyjęciach.

Lord Enderby zapytał księżnę, czy uczyni mu zaszczyt i pozwoli później zawieźć się do parku.

- Muszę z żalem odmówić, lordzie Enderby. Przyjęłam już zaproszenie pana Huxtable'a. Constantine uświadomił sobie, że wszystkie oczy skierowały się na niego. Jeśli ktoś nie dowierzał plotkom, które z pewnością krążyły co najmniej od tygodnia, teraz musiał porzucić wszelkie wątpliwości. Ponieważ z pewnością nie zaprosił jej podczas podwieczorku? To musiało zostać ustalone wcześniej.

- Może innym razem - zwróciła się do lorda Enderby.

Jej słowa podziałały na wszystkich jak sygnał do wyjścia. Constantine stał przy oknie, wyglądając na zewnątrz, z rękoma założonymi na plecach, podczas gdy księżna żegnała się z gośćmi.

- Wezmę kapelusz i spotkamy się na dole - powiedziała, kiedy zostali sami. Odeszła, zanim Constantine się odwrócił.

Czy to tylko wyobraźnia, czy też jej głos brzmiał chłodno, kiedy zwróciła się do niego? O co chodziło?

Nagle zrozumiał. Albo prawie zrozumiał. Był głupcem, że nie dotarło to do niego wcześniej, jak tylko otrzymał od niej związły list dzisiaj rano. Albo kiedy znikła bez słowa poprzedniej nocy.

Zadał jej przyjaciółce kilka wścibskich pytań, a ona jakoś się o tym dowiedziała.

A tak przy okazji, gdzie się podziewała tego popołudnia panna Leavensworth?

Zszedł na dół po schodach. Jego dwukółka stała już



pod drzwiami.

- Gdzie jest panna Leavensworth? - zapytał Constantine, jak tylko pomógł Hannie usiąść na wysokiej ławce powozu, a sam zajął miejsce z drugiej strony. Ujął lejce w dłonie.

Hanna uwielbiała jazdę szybkimi powozikami. Ale ta przejażdżka nie była dla przyjemności. Czuła się nieswojo. Otworzyła parasolkę i uniosła ją wysoko nad głową.

- Przy śniadaniu dostała list od krewnych wielebnego Newcomba, jej narzeczonego. Przyjechali do miasta na parę dni i zaprosili ją na spacer po Kew Garden z nimi i z ich dziećmi.

- To sprawi przyjemność im wszystkim - powiedział. - I mają wymarzoną pogodę na taką wycieczkę. Nie za gorąco i niezbyt wietrznie.

- Można by, jak sędzę - odezwała się, kiedy wyprowadził powóz z placu - gawędzić spokojnie o pogodzie, póki nie dojedziemy do parku, panie Huxtable. Wolę jednak pana poinformować, że wybitnie jestem z pana niezadowolona.

- Tak - odparł, patrząc na nią. - Domyśliłem się tego.

- Odkryłam wczoraj wieczorem Barbarę bliską łez w salonie.

- Ach. - Patrzył znowu przed siebie.

- Sądziła, że nadużyła mojego zaufania. Bała się, że zerwę naszą przyjaźń. Ale jako nieuleczalnie uczciwa i prawa dama, czuła się w obowiązku raczej wyznać, co się stało, aniżeli ukryć to przede mną. Nie zapytał, o czym mówi. Zamiast tego zręcznie prowadził konie, wymijając powolny powóz jadący przed nimi. - Wyrosłam we wsi Markle w Lincolnshire - powiedziała - jako córka pana

Josepha Delmonta, dżentelmena bez szczególnej pozycji społecznej czy majątku. Miałam jedną siostrę, Dawn. Obecnie jest lady Young, żoną sir Colina Younga, baroneta. To na ślubie jego kuzyna, obecnie zmarłego, poznałam księcia Dunbarton, którego poślubiłam pięć dni później. Od tamtego czasu nie byłam w Markle ani nie porozumiewałam się z żadnym z członków mojej rodziny. Czy chciałby pan wiedzieć coś jeszcze, panie Huxtable?

Patrzył przed siebie. Wielki, staromodny miejski powóz posuwał się ku nim środkiem drogi, pomimo raczej kwiecistych uwag, kierowanych pod adresem jego woźnicy przez innych uczestników ruchu. Constantine musiał się usunąć, żeby uniknąć zderzenia. Zaciśnął wargi.

- Być może dlatego nigdy nie wróciłam do domu? - odpowiedziała.

Czuła, jak serce wali jej w piersi, a krew szumi w uszach. Potem uświadomiła sobie, że powóz należy do hrabiny wdowy Blackwell, a dama owa kiwa do niej głową królewskim gestem z jednego z okien. Hanna uśmiechnęła się i uniosła rękę.

- Powiem ci, dlaczego - oznajmiła, odpowiadając na własne pytanie. - Podczas tego wesela odkryłam Colina Younga, mojego narzeczonego, za krzakiem róż wraz z moją siostrą, w sytuacji, którą można by określić jako kompromitującą tylko wówczas, gdybyśmy usiłowali nie szokować słuchaczy bardziej plastycznym opisem. A potem, kiedy się... rozdzielili i poprawili ubranie, zachowywali się wyzywająco, zamiast okazać wstyd i przerażenie czy przeprosić. Miała śmiertelnie dosyć pozostawania wiecznie w moim cieniu, powiedziała mi Dawn, tego, że nikt nie zwraca na nią uwagi, ponieważ wszyscy chcą patrzeć na mnie, tego, że wiecznie czuje się

brzydka. Kocha Colina i on ją kocha, i co ja mogę zrobić? Ma rację, powiedział Colin. Dostyc niedawno przybył w tę okolicę i początkowo oszołomiła go moja uroda, póki nie poznał Dawn i nie zrozumiał, że charakter liczy się bardziej niż cokolwiek innego. I że ważna jest miłość. Bardzo mu przykro, ale uznał, że woli prawdziwą kobietę od takiej, która ma tylko urodę. Nie chce mnie urazić, oczywiście. Naprawdę jestem piękna. Ma nadzieję, że zrozumie i zwolnię go ze zobowiązania, które zaczęło mu ciążyć. Tak jakbym była nieprawdziwa. Niezdolna do miłości i przyjaźni. Jakby nie można mnie było zranić dlatego, że jestem piękna. A kiedy zaprowadziłam ojca do biblioteki i rzuciłam mu się w ramiona, szukając pociechy i wsparcia, westchnął i powiedział, że moja uroda przez całe życie była dla niego tylko kłopotem, w każdym razie odkąd moja matka umarła, kiedy miałam trzynaście lat. Zawsze byłam jej ulubienicą, ale on pamiętał, że ma dwie córki. Wszystkie dziewczęta zawsze mnie podziwiały i chciały się ze mną przyjaźnić, ignorując Dawn, a wszyscy młodzi mężczyźni kręcili się przy mnie, starając się zwrócić moją uwagę i zupełnie nie dostrzegając siostry. Czy muszę mieć do niej żal o to, że jest wreszcie szczęśliwa i mimo wszystko znalazła miłość? Gdybym miała w sobie choć odrobinę siostrzanej miłości, już dawno zauważyłabym, w którą stronę wieje wiatr. Czy jak zwykle zachowam się samolubnie i odmówię zwolnienia Colina Younga z przyrzeczenia, które złożył pośpiesznie i natychmiast potem pożałował? Czy raz w życiu nie mogę zatroszczyć się o kogoś innego? Przecież mogę znaleźć sobie kogoś, kiedy tylko zechcę. Aleja całe życie... przynajmniej tak mi się wydawało... starałam się być taka jak inni. Kochałam Dawn i chciałam, żeby ją lubiono. Nigdy nie rozumiałam,

dlatego nie cieszyła się powszechną sympatią. To nie tak, że spychałam ją w cień. Nie tak. A ona czasami odciągała ode mnie przyjaciół, a potem cieszyła się złośliwie. Nie zawsze byliśmy przyjaciółkami. Czasem walczyłyśmy zaciekle i ja byłam tak samo winna jak ona. Ale była moją siostrą. Kochałam ją. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że spróbuje odebrać mi narzeczonego. Zareczyłam się. Czas gier minął. Być może mieli rację. Może to wszystko była moja wina. Być może... Przerwała, żeby odetchnąć. Brakowało jej powietrza. Brama parku znajdowała się tuż przed nimi.

- Księżno - powiedział Constantine. Podniosła dłoń. Jeszcze nie skończyła.

- Kochałam go. Otworzyłam przed nim całe serce. Nie widziałam innych mężczyzn, tylko jego. Wiedziałam, że moja uroda była często przekleństwem. Wiedziałam, że czasem inne dziewczęta mają do mnie żal, kiedy w pobliżu znaleźli się młodzi mężczyźni. Próbowалам nie być piękna. Nawet jako dziecko próbowałam, ponieważ zawsze czułam się zmieszana, kiedy mojej matce prawiono komplementy z powodu mojego wyglądu, w obecności Dawn i innych dziewcząt, a ona patrzyła na mnie z przyjemnością i poprawiała moje loki. Staralam się nosić zwyczajne stroje, kiedy trochę podrosłam, i czesać się zwyczajnie. Zwieszałam głowę i starałam się nie zwracać uwagi w towarzystwie. Chciałam udowodnić, że nie jestem zarozumiała. Ale w końcu przy Colinie poczułam się wolna, mogłam kochać i być wreszcie sobą. Nie potrafię opisać, jak się czułam, kiedy ojciec mnie zostawił, mówiąc, żebym się wzięła w garść i wróciła do zabawy... To była pustka, samotność, strach. I wtedy właśnie odkryłam, że nie byliśmy sami. Książę Dunbarton był tam przez cały czas.

Schował się w bibliotece znudzony uroczystościami i siedział sobie w fotelu przy oknie, zwrócony plecami do pokoju. Zauważyłam to dopiero, kiedy zaczęłam płakać tak strasznie, że myślałam, iż umrę. Dosłownie umrę. Constantine wjechał w bramę parku, ale kazał koniom biec nieco wolniej.

- Na zawsze zapamiętałam słowa, jakimi się do mnie zwrócił - powiedziała Hanna, zamykając oczy. - „Droga panno Delmont”, odezwał się tym swoim znudzonym głosem, jakby wzdychał, „nie ma i nie było nigdy kobiety piękniejszej od pani. Widzę, że muszę się z panią ożenić i powtarzać tę lekcję, póki mi pani nie uwierzy ponad wszelką wątpliwość. To będzie moja ostatnia życiowa misja”. Dziwne, niewiarygodne, ale zaczęłam się śmiać, płacząc jednocześnie. Wszyscy byliśmy przerażeni, wiedząc, że pojawi się na weselu. Omijaliśmy go starannie ze strachu, jak sądzę, że spiorunuje nas jednym spojrzeniem, jeśli ośmielimy się przeciąć mu drogę albo podnieść wzrok na tak dostojną osobę. A jednak oznajmiał mi teraz, że musi się ze mną ożenić i że kształcenie mnie będzie jego ostatnią misją w życiu. I wręczył mi delikatną lnianą chusteczkę z wyrazem troski na twarzy.

Constantine niemal zatrzymał konie.

- Czy teraz jesteś usatysfakcjonowany? - zapytała.

- Tak - odparł z westchnieniem. - Czuję się należycie ukarany, księżno. Nie mogłaś w istocie zrobić tego skuteczniej niż odpowiadając na wszystkie pytania, których nie wolno mi było zadać wczoraj wieczorem ze względu na poczucie taktu i delikatność. I dałaś mi odczuć ich impertynencję. Proszę o wybaczenie, choć zdaję sobie sprawę, że przeprosiny niemal zawsze są nieadekwatne. Bo czy błagałbym cię teraz o wybaczenie, gdyby się rzecz nie

wydała? Nie wiem, choć miałem wyrzuty sumienia już wówczas, kiedy zrozumiałem, że panna Leavensworth czuje się zmieszana moimi pytaniami i że postępuję niegodnie, zwracając się do niej zamiast do ciebie.

Raczej ładne słowa, uznała, jak na przeprosiny.

- Odwiedzę jutro pannę Leavensworth, jeśli pozwolisz - powiedział - i przeproszę ją osobiście.

Nawet w ślimaczym tempie, w jakim się posuwali, wkrótce musieli się znaleźć wśród eleganckiego tłumu.

- Co teraz? - zapytał. - Czy chcesz, żebym cię odwiózł do domu? Czy wolałabyś, żebyśmy nie kontynuowali naszej znajomości?

Ostatnie pytanie ją poruszyło. Chciałaby tego? Wczoraj wieczorem czy dziś rano prawdopodobnie odpowiedziałyby twierdząco. Nawet dzisiaj przed południem. Ale w gruncie rzeczy wszystko, co zrobił, to zadał kilka pytań na jej temat. Czy tak bardzo się od niej różnił? Ona także chciała się czegoś o nim dowiedzieć. Tylko że zamierzała to od niego wyciągnąć osobiście.

- Och - odparła, obracając energicznie parasolką - potrzebuję romansu. Nie potrzebuję małżeństwa. Na razie nie, w każdym razie. Może nigdy. Jakoś nadal nie mogę się pozbyć przekonania, że jestem żoną księcia, mimo że on nie żyje od ponad roku.

- Kochałaś go - powiedział.

Spojrzała na niego, szukając na jego twarzy ironii. Nie znalazła jej jednak ani w oczach, ani w głosie.

- Kochałam go całym sercem. Był dla mnie jak skała i opoka przez dziesięć lat. On mnie kochał bezwarunkowo i całkowicie. Uwielbiał mnie i ja go uwielbiałam. Nikt, oczywiście, nigdy w to nie uwierzy, ale naprawdę mnie to nie obchodzi.

Przeraziła się, zauważywszy, że jej głos lekko drży.

- Wierzę ci - rzekł cicho.

- Dziękuję. Potrzebuję kochanka, Constantine. Jest za wcześnie na cokolwiek innego: miłość, małżeństwo... A pod pewnym względem, tylko jednym, lata małżeństwa sprawiły, że czuję niedosyt. Jeśli cię zostawię, będę musiała zaczynać z kimś od początku, a to by było męczące.

- Zatem otrzymałem wybaczenie? - zagadnął. - Nie będę więcej wtrącać się w twoje sprawy, księżno. Możesz zachować swoje tajemnice, jeśli jakieś pozostały. Nie będę próbować ich odkryć.

- A zatem nie chcesz mnie poznać? - zapytała. - Nie chcesz wiedzieć o mnie wszystkiego?

- Podobnie jak ty, księżno, pragnę kochanki, nie żony. Nie ulegnę ciekawości.

- Ja natomiast wciąż pragnę dowiedzieć się wszystkiego o tobie. Kochanek nie jest w końcu martwym przedmiotem. Ani tylko ciałem, nawet jeśli to wspaniałe ciało i kocha się w niezwykle satysfakcjonujący sposób.

Spojrzała na niego i zauważyła, że się uśmiecha; nie robił tego często. Ten wyraz twarzy sprawiał, że zaczynało jej brakować tchu.

- Przebaczenie ma swoją cenę, Constantine - powiedziała. - Jesteś moim dłużnikiem. Odpowiesz na parę moich pytań dzisiaj wieczorem, kiedy skończymy się kochać.

- Jedź teraz ze mną do domu. - Odwrócił ku niej głowę.

- Barbara będzie w domu na kolacji - odparła. - A ja nie przyjąłam żadnego zaproszenia na dzisiaj. Zamierzamy spędzić spokojny wieczór, rozmawiając i ciesząc się swoim

towarzystwem. Jest mi najbliższa na świecie teraz, kiedy księżę nie żyje. Przyślij powóz o jedenastej.

- Czy ktoś nie słucha twoich rozkazów, księżno? Uśmiechnęła się lekko.

- Nie chcesz mnie dzisiaj widzieć? Ani kochać się ze mną? O mało się nie roześmiała.

- Przyślę powóz o jedenastej - oznajmił. - Bądź gotowa. Jeśli nie przyjedziesz w ciągu kwadransa, osobiście zarygluję drzwi.

Parsknęła śmiechem. Pochłonął ich tłum.

Niespodziewanie poczuła się oszałamiająco szczęśliwa.

Barbara czuła się zmęczona po dniu spędzonym w Kew Gardens, chociaż bawiła się świetnie i opowiedziała Hannie o wszystkim, zwłaszcza o pagodzie, którą uznała za jeden z najpiękniejszych budynków, jakie widziała. Była także zachwycona kuzynami Simona, których przedtem nie znała.

Traktowali ją jak członka rodziny; rozbawiła ich, doszukując się podobieństw między nimi a Simonem. Bawiła się z dziećmi w chowanego. To były bliźniaki, dwunastoletni chłopiec i dziewczynka.

Chciała dowiedzieć się wszystkiego o podwieczorku, który Hanna zaplanowała i zorganizowała w takim pośpiechu zaraz po śniadaniu.

Wiadomość, że Constantine zamierza złożyć jej wizytę, żeby ją przeprosić za poprzedni wieczór, wzbudziła w niej pewien niepokój.

- Powiedz panu Huxtable'owi, że mu wybaczyłam - powiedziała. - I tak jest, w istocie. Myślę, że nie chciał nic złego, Hanno. Pragnął się tylko dowiedzieć czegoś o tobie, a to z pewnością świadczy o tym, że ceni cię jako osobę.



Być może zakochał się w tobie. Być może.

Hanna się śmiała.

- Możesz sobie wmawiać, że jesteś zakurzoną starą panną, Babs - oznajmiła - ale mnie nie przekonasz. Jesteś romantyczką, jak zawsze. Kto inny czekałby z wyborem towarzysza życiowego, póki nie zbliży się niebezpiecznie do trzydziestych urodzin? Uczucia Constantine'a Huxtable'a wobec mnie nie mają, zapewniam cię, nic wspólnego z miłością. I dobrze się składa, bo moje uczucia także nie.

- Nie pozwól mu przyjść tutaj jutro, żeby ze mną porozmawiać - powiedziała błagalnie Barbara. - Byłabym taka zmieszana.

- Postaram się go od tego odwieść - obiecała Hanna. Barbara wycofała się do sypialni wkrótce po dziesiątej. Powóz przybył pięć przed jedenastą. Hanna, gotowa do wyjścia od wpół do jedenastej, odczekała piętnaście minut. Kiedy powóz dotarł do domu Constantine'a, było później niż kwadrans po jedenastej i zastała zamknięte drzwi. Hanna próbowała je otworzyć osobiście, kiedy nie otworzyły się, jak zazwyczaj, w chwili jej przyjazdu i kiedy dyskretne pukanie woźnicy nie odniosło skutku.

- Cóż - powiedziała, częściowo przestraszona, a po trosze rozbawiona.

A wtedy, jakby na dźwięk magicznego zaklęcia, drzwi się otworzyły. Wsunęła się do środka i Constantine zamknął je za nią. Odwróciła się do niego i zobaczyła, że na jednym palcu kołysze mu się spory klucz.

- Tyran! - zawołała.

- Hultajka!

Roześmieli się oboje; podeszła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i mocno pocałowała. Jego ramiona

opasały ją ciasno niczym imadła i oddał pocałunek...  
jeszcze mocniej.

Jej stopy ledwie dotykały podłogi, kiedy skończyli.  
Albo też kiedy zakończyli preliminaria.

- Popełniłeś błąd taktyczny - stwierdziła. - Jeśli  
chciałeś trzymać mnie krótko, należało pozostawić drzwi  
zamknięte.

- A jeśli ty chciałaś mi pokazać moje miejsce, nie  
powinnaś wysiadać z powozu, żeby skradać się po  
schodach i próbować otworzyć drzwi.

- Wcale się nie skradałam - zaprotestowała. -  
Wbiegłam po nich.

- To wciąż pokazuje, jak bardzo byłaś  
zdesperowana, żeby się do mnie dostać.

- A dlaczego właściwie - zapytała - ukrywałeś się za  
drzwiami z kluczem w pogotowiu? Ponieważ nie chciałeś,  
żebym się do ciebie dostała? I dlaczego otworzyłeś drzwi?

- Zlitowałem się nad tobą - oznajmił.

- Ha!

Nawet palce jej stóp oderwały się od podłogi, kiedy  
się znowu pocałowali.

- Mam do ciebie kilka pytań - powiedziała, kiedy  
była w stanie to zrobić. - Chciałam je zapisać, ale nie  
zdołałam znaleźć dostatecznie długiej kartki.

- Hm. - Postawił ją na podłodze. - Pytaj zatem,  
księżno. Jego ciemne oczy odrobinę spoważniały.

- Jeszcze nie. Zrobię to potem.

- Potem? - Uniósł brwi.

- Po tym, jak będziesz mnie kochać. Po tym, jak ja  
będę się z tobą kochać. Po tym, jak będziemy się kochać ze  
sobą.

- Trzy razy? Jak ja będę jutro wyglądać, księżno?

Potrzebuję odpoczynku.

- Bez tego będziesz wyglądać dużo żałośniej.

Odłożył klucz na stół w holu i podał jej rękę. Włożyła w nią swoją dłoń, a jego palce zamknęły się na niej, kiedy poprowadził ją w stronę klatki schodowej.

Boże, pomyślała, wciąż czuła się szczęśliwa. Powinna być z tego zadowolona. Przez całą zimę czekała niecierpliwie na wiosenny romans.

A pod względem cielesnym ta przygoda pod każdym względem sprostała jej oczekiwaniom.

Dlaczego więc nie była zadowolona? Z powodu sprzeczek, przekomarzania się i śmiechu? Ponieważ ogarnęło ją dziwne, niepokojące uczucie, że dzisiaj w jakiś sposób przekroczyli barierę i ze zwykłych kochanków stali się dla siebie kimś więcej?

Ponieważ czuła się szczęśliwa?

Czyż nie mogła być szczęśliwa i cieszyć się z tego?

Pomyśli o tym później, postanowiła, kiedy weszła do słabo oświetlonej sypialni, a Constantine zamknął za nimi drzwi.

Czasami zdarzały się rzeczy dużo lepsze niż myślenie.

Kochali się za pierwszym razem z szaleńczą energią, z sennym rozmarzeniem - za drugim, jeśli można czuć senne rozmarzenie, oddając się miłości cielesnej. Tak czy inaczej, oboje padali ze zmęczenia, kiedy skończyli.

Hanna skuliła się na boku, plecami do niego, a on przytulił się do niej, wsuwając jej ramię pod głowę, a drugim ją obejmując. Przysunęła się bliżej i podniosła jego rękę, tak żeby móc położyć na niej policzek.

Zasnęła.

Constantine nie spał. Nieczyste sumienie to znakomity przepis na bezsenność.

Ciekaw był, czy inni ludzie zachowywali się tak jak on. Czy wszyscy, w regularnych odstępach, popełniali w życiu straszliwe głupstwa, żeby potem ich żałować po wsze czasy? Czy życie każdego człowieka wypełniała niepokojąca, wewnętrznie sprzeczna mieszanina poczucia winy i niewinności, nienawiści i miłości, troski i obojętności oraz innych uczuć stanowiących swoje przeciwieństwa? Czy też większość ludzi jest jednoznaczna - dobrzy albo źli, weseli albo marudni, hojni albo skąpi, i tak dalej.

Jako chłopiec nienawidził Jona, najmłodszego brata - tego samego, którego kochał najbardziej na świecie. Nienawidził go za pogodną naturę, dobre serce i szczerść, które zachował wbrew wszelkim trudnościom życiowym - otyłości, bardziej azjatyckim niż angielskim rysom twarzy, temu, że jego umysł pracował wolniej, i temu, że miał umrzeć młodo. Constantine nienawidził go, ponieważ nie mógł niczego naprawić... i dlatego, że Jon dostał coś, czego Constantine i tak nigdy nie pragnął. Dziedzictwo.

Jak mógł nienawidzić i zarazem tak głęboko kochać? Wyszedł z domu, jak tylko osiągnął odpowiedni wiek, i oddał się szaleństwu młodości, na ogół w towarzystwie Elliotta. Constantine nie dbał o to, jak życie go potraktowało, ani o ludzi, których zostawił. Dlaczego miałyby być inaczej? Wiedział jednak, że Jon za nim tęskni, i nienawidził go bardziej niż kiedykolwiek, i wrócił do domu, ponieważ kochał go ponad życie i wiedział, że wkrótce go straci.

Czy życie każdego człowieka pełne jest podobnych sprzeczności? Z pewnością nie. Świat by zwariował. Po śmierci ojca, kiedy Jon w wieku trzynastu lat został hrabią Merton, Constantine zarządzał majątkiem i innymi sprawami, mimo że ojciec w akcie wątpliwej mądrości wyznaczył na opiekuna Jona swojego szwagra, ojca Elliotta. A potem, dwa lata później, wuj umarł i Elliott przejął opiekę. I tak najlepszy przyjaciel Constantine'a został jego największym wrogiem. Ponieważ postanowił potraktować swoje obowiązki poważnie i wkroczyć tam, gdzie jego ojciec pozostawiał Constantine'owi wolną rękę. Stali się wrogami i ten stan trwał aż do dnia dzisiejszego. Ponieważ Elliott nie chciał zaufać kuzynowi, że będzie rozsądnie zarządzać majątkiem i robi to, co najlepsze dla Jona. Wtrącił się w jego sprawy i nie upłynęło dużo czasu, zanim odkrył, że pewna liczba klejnotów zniknęła, chociaż żaden z nich nie był przypisany do dziedziczonej części majątku. Elliott przyjął pierwsze wyjaśnienie, jakie mu przyszło do głowy, i oskarżył Constantine'a. Constantine wysłał go do wszystkich diabłów.

Nie wyjaśnił wszystkiego zwyczajnie, wtajemniczając Elliotta w swoje sprawy. Och, nie, to byłoby o wiele za proste. Poza tym kuzyn nie zapytał, nie

poprosił najlepszego przyjaciela o wyjaśnienia. On wiedział albo myślał, że wie. I nazwał Cona złodziejem, szubrawcem najgorszego rodzaju, okradającym upośledzonego umysłowo brata, który kocha go ogromnie i ufa mu bezgranicznie, nie potrafiąc się bronić.

I prawdę mówiąc, Constantine żywił do Elliotta żal, nawet jeszcze zanim tamten wystąpił z oskarżeniami pod jego adresem, ponieważ kuzyn, świeżo wyniesiony na pozycję hrabiego Lyngate po śmierci ojca, przypominał mu w okrutny sposób, że Con nie został hrabią Merton po śmierci swojego, chociaż obaj byli najstarszymi synami.

Jakkolwiek by jednak było, kazał się Elliottowi wynosić do diabła.

Inaczej niż kiedyś, za młodu, kiedy się poróżnili, nie mogli po prostu rozstrzygnąć sprawy na pięści, a potem śmiać się razem, przyznając, że świetnie się bawili, nawet jeśli ocierali krew z nosa czy obmacywali podbite oko.

To nie była tego rodzaju sprzeczka. Niczego nie dało się naprawić.

Zamiast uciekać się do bójki, Constantine postanowił zamienić życie Elliotta w piekło, za każdym razem kiedy ten zjawiał się w Warren Hall. A przyjeżdżał często. Constantine wykorzystał Jona, żeby ten prowadził gry z Elliottem, które tego ostatniego męczyły, a nawet upokarzały, a które niezmiernie bawiły Jona. To pogłębiało niezgodę między kuzynami. Czasami na przykład Constantine kazał się Jonowi chować, kiedy zjawiał się Elliott, i cenny czas upływał kuzynowi na poszukiwaniach. Con zwykle przyglądał się temu z boku, opierając się ramieniem o framugę drzwi i uśmiechając wyzywająco.

Kłótnie zawsze wyzwalały w ludziach to, co najgorsze. W nim w każdym razie na pewno.

Nawet teraz nie było mu tak przykro z powodu tego dziecinnego zachowania, jak być może powinno.

Bo Elliott, który znał go całe życie, uwierzył - i nadal trwał w tym przeświadczeniu - że Con był zdolny okraść własnego brata, którego łatwo było wykorzystać. Bolało go to - ta nagła utrata zaufania przyjaciela. Nadal by bolało, gdyby nie zamienił bólu w nienawiść.

Ale pod wieloma względami był równie zły jak Elliott. Nie próbował nawet temu zaprzeczyć, kiedy teraz tulił do siebie ciepłe ciało Hanny, wpatrując się w ścianę. Zamiast usiąść i porozmawiać o opiece nad Jonem jak dwaj mężczyźni - przyjaciele, którzy dawno ukończyli dwadzieścia lat, Constantine zachował chłód i rezerwę, a także sarkazm, zanim jeszcze zginęły klejnoty. A Elliott był chłodny, wyniosły i apodyktyczny.

To naprawdę była dziecinada. Z obu stron. Może doszliby do zgody, gdyby nie przekłete klejnoty.

Jednak brakowało im ponad wszelką wątpliwość, więc on i Elliott nigdy nie doszli do porozumienia.

Obaj byli winni.

Ten fakt wcale nie umniejszał nienawiści Constantine'a do Elliotta.

Zanurzył nos we włosach Hanny. Były miękkie, ciepłe i pachnące... jak ona sama. Pomyślał, że obudzi ją pocałunkami, żeby dać wytchnienie umysłowi, ale spała spokojnie.

Zeszłego wieczoru ją zranił. Dzisiaj, wcześniej tego dnia, miała jeszcze do niego żal.

I zranił zupełnie niewinną pannę Leavensworth.

Podobnie jak zranił Vanessę zaraz po jej ślubie z Elliottem.

Czy inni ludzie też tak postępowali? Czy wszyscy

chowali jakieś przekłete, wstydlive szkielety w szafie? Był potworem. Diabłem wcielonym. Ludzie mieli rację, tak go nazywając.

Być może najgorszym z jego grzechów, zupełnie niedawno popełnionym, było to, że zaprzeczył swojej znajomości natury ludzkiej. Na to, kim jest człowiek - każdy bez wyjątku - składają się jego dziedzictwo, otoczenie, wychowanie, wykształcenie i doświadczenie życiowe, jak również podstawowe cechy charakteru i osobowości, z jakimi się urodził. Każdy jest różą, ale dużo bardziej złożoną niż zwykły kwiat. Człowiek składa się z nieskończenie wielu warstw płatków. A w samym sercu swego jestestwa kryje coś nieskończenie cennego.

Nikt nie jest płytki. Żaden człowiek.

Wolał jednak wierzyć, że księżna Dunbarton różniła się od innych istot ludzkich. Wolał myśleć, że pod maską urody, próżności i arogancji nie ma nic godnego uwagi. Ze jest pustym naczyniem, a nie prawdziwym człowiekiem.

Tak właśnie patrzyli na nią inni ludzie przez całe jej życie - z wyjątkiem, jak się wydawało, zmarłego księcia, jej męża. Nie był lepszy od jej własnej rodziny, która być może kochała ją na swój sposób, ale także przyjęła, że uroda czyni ją mniej wrażliwą, a bardziej uprzywilejowaną od jej brzydszej siostry.

Ojciec współczuł siostrze, uważając, że starsze dziecko lepiej poradzi sobie z przeciwnościami losu.

Dlaczego przyjmowano, że ci spośród nas, których los obdarzył pięknym ciałem, niczego nie potrzebują do szczęścia poza własną urodą? Ze za pięknem fizycznym nie kryje się nic poza pustą, pozbawioną uczuć skorupą?

Dlaczego on sam tak myślał?

Czy nie uznał w pełni jej człowieczeństwa, bo była



piękna?

Zaczęła go boleć głowa. A ręka pod jej policzkiem prawie zdrętwiała. Musiał się podrapać w ramię.

Nie dane mu było zasnąć, co do tego nie miał wątpliwości. Ani też nie zamierzał się znowu kochać.

Nie, dopóki nie zastanowi się jeszcze nad paroma rzeczami.

Wysunął ostrożnie rękę spod policzka Hanny i wyciągnął powoli drugą spod jej głowy. Zamruczała przez sen i wtuliła głowę w poduszkę.

- Constantine - wyszeptała, ale się nie obudziła.

Wstał i poszedł do garderoby. Ubrał się, ale nie włożył kubraka ani nie wsunął koszuli w spodnie. Wrócił i stanął obok łóżka, żeby spojrzeć na Hannę. Była na pół obudzona i mrugała powiekami.

- Zostań tutaj - powiedział. - Wróć.

Schylił się i pocałował ją w usta. Oddała pocałunek z leniwą czułością.

- Dokąd idziesz? - zapytała.

- Wróć - zapewnił ponownie i udał się do kuchni na dole. Rozpalił ogień, wykorzystując żar z poprzedniej nocy, napełnił do połowy wodą ciężki żeliwny czajnik i postawił go na kuchni. Przeszukał spiżarnię i położył na talerzu trochę słodkich herbatników. Niedługo potem wspiął się po schodach z tacą, na której stały duży czajnik z herbatą, przykryty grubą ściereczką dla utrzymania ciepła, dzbanuszek z mlekiem, cukiernica oraz talerz herbatników. Zostawił tacę w salonie obok sypialni i poszedł po Hannę. Wciąż błędziła między snem a jawą. Przyniósł z garderoby obszerny wełniany szlafrok, który wkładał w chłodne wieczory, kiedy był sam w domu i chciał się tylko ułożyć nieelegancko z dobrą książką.

- Chodź - powiedział.

- Dokąd?

Usiadła jednak, przerzuciwszy nogi na podłogę i wstała, kiedy podawał jej szlafrok. Wsunęła ręce w rękawy i zawinęła się nim, po czym przewiązała szarfą. Ledwie ją było widać.

- Mmm - mruknęła, wsuwając nos w kołnierzyk. - Pachnie tobą.

- To dobrze? - zapytał.

- Mmm - powtórzyła, a jego znowu ogarnęło poczucie winy.

Chwycił świecznik i poprowadził ją do saloniku. Wszystkie meble były tam duże, celowo tak dobrane. Duże, miękkie i wygodne. W tym pokoju elegancja i piękna postawa nie miały znaczenia. To było miejsce, w którym można się było garbić, ryzykując nieodwracalną szkodę dla kręgosłupa. Tam odpoczywał. Dziwne, ale nikogo innego nie zapraszał do tego pokoju. Noga żadnej z jego dawnych kochanek w nim nie powstała. Usiadła w głębokim, skórzanym fotelu, podwijając nogi pod siebie, opierając głowę i opatulając się szlafrokiem. Przyglądała mu się spod opuszczonych powiek, kiedy nalewał herbatę, chociaż nie w taki sam sposób jak zwykle. Tym razem było to naprawdę senne spojrzenie. A także, jak się wydawało, spojrzenie pełne zadowolenia.

- Mleko? Cukier? - zapytał.

- Jedno i drugie - odparła.

Postawił obok niej filiżankę i spodek i podsunął jej talerz z herbatnikami. Wzięła jeden i zaczęła go powoli jeść.

- Piękny z ciebie gospodarz, Constantine - powiedziała. - Męski. I hojny. Napełniłeś moją filiżankę po

brzegi. Będę musiała uważać, żeby nie rozlać herbaty.

Nigdy nie widział sensu w napełnianiu filiżanki do połowy. Filiżanki i tak zwykle były za małe. Usadowił się naprzeciwko, trzymając w rękach ciastko i filiżankę. Usiadł wygodnie na krześle, zakładając kostkę jednej nogi na kolano drugiej. Udając swobodę.

- Powiedz mi zatem, księżno - odezwał się. - Co chcesz wiedzieć? I nagle potężna, ciemna, pusta otchłań wydawała się otwierać w jego duszy. Ogromna wrażliwość.

Ale tylko w ten sposób mógł zadośćuczynić.

Hanna była pod wrażeniem. Większość mężczyzn z pewnością unikałaby tematu, jak długo się dało.

Spała głęboko, kiedy wyszedł z łóżka. Prawdopodobnie przespałaby całą noc. Wolał jej jednak przypomnieć, że miała prawo zadać mu parę pytań i usłyszeć odpowiedź.

Był człowiekiem pełnym tajemnic, jak się domyślała, i wątpiła, żeby kiedykolwiek zdradzał je dobrowolnie, nawet najbliższym i najdroższym. Cenił swoją prywatność.

A kim byli najbliżsi mu ludzie? Kuzyni? Ci, którzy uzurpowali sobie to, co powinno z prawa należeć do niego? Czy był samotny? Nagle zaczęła podejrzewać, że tak.

Był także, jak się wydawało, człowiekiem honoru. Źle postąpił wobec nieszczęsnej Barbary, wiedział o tym i czuł wyrzuty sumienia. Teraz chciał zadośćuczynić złu w jedyny sposób, w jaki potrafił. Odpowie na każde z jej pytań. W tych okolicznościach byłoby okrucieństwem je zadawać, zmuszać go, żeby odsłonił tak dobrze strzeżone tajemnice. W tej chwili nie przypominał zwykłego siebie mrocznego, eleganckiego, niebezpiecznego. W istocie siedział w dość niedbałej pozie, tak jak ona.

Wyglądał wspaniale. Coś dotknęło jej serca... ale nie uzyskało do niego wstępu.

Dokończyła herbatnik.

- Powiniennem był wiedzieć - powiedział - że odpowiesz ze swoją zwykłą przemyślnością na moją propozycję.

Uniosła brwi.

- Milcząc.

A ona uświadomiła sobie, że kiedy wybrała Constantine'a Huxtable'a na swojego pierwszego kochanka, nie kierowała się tylko jego powierzchownością, jakkolwiek wspaniałą. Przyciągała ją także głębia jego osobowości, której się domyślała, a która mogła się okazać pustką, ale mogła także ukrywać bezmiar światła. Przyciągała ją jego tajemnica, choć nie było dowodów, że jakaś tajemnica w ogóle istniała.

Wiedziała oczywiście to wszystko od początku. Powiedziała mu, zanim zostali kochankami, że będzie się starała dowiedzieć o nim wszystkiego, co tylko możliwe. Ale nie rozumiała do końca swoich słów.

Wciąż wtedy sądziła, że jej zainteresowanie dotyczy głównie sfery cielesnej.

Czyżby tak nie było?

Nie miała z kim go porównać jako kochanka. Ale z pewnością nie było nikogo innego, kto mógłby w takim stopniu zaspokoić jej potrzeby... ta myśl nie wróżyła dobrze na przyszłość. Zaczęła od najlepszego i co jej pozostało?

Czy miłość cielesna nie wystarczała?

To pragnienie, żeby go poznać... czy powinna głębiej się nad tym zastanowić, zanim będzie za późno?

Za późno na co?

- Ainsley Park - odezwał się nagle, odstawiając pustą filiżankę na talerzyk. - Tak nazywa się moja posiadłość w Gloucestershire. Dom i park nie dorównują Warren Hall, ale robią wrażenie. Nawet dom w ogrodzie jest sporych rozmiarów. I gospodarstwo przy majątku jest duże. Powiększyłem je jeszcze bardziej, nie puszczając w dzierżawę dwóch małych gospodarstw, kiedy stały wolne. Wszystko kwitnie, gospodarka rozwija się jak najpomyślniej.

- Czy to majątek twojego ojca? - zapytała.

- Nie. - Pokręcił głową. - Wszystkie posiadłości ojca są związane z tytułem. Należą do Mertona.

- Jak zdołałeś go kupić?

Uśmiechnął się opieszale.

- To jest pytanie, które zadają sobie wszyscy ludzie, którzy mnie znają blisko. Zwłaszcza Moreland, który wie albo myśli, że wie.

- A więc? - zagadnęła, odstawiając filiżankę i wsunęła ręce w rękawy szlafroka.

- Nie kupiłem go. Wygrałem.

- Wygrałeś?

- Kiedy po raz pierwszy wyjechałem z domu, uprawiałem hazard jak większość młodych mężczyzn, którzy nie mają nic lepszego do roboty. Na koniec nieodmiennie traciłem wszystko z wyjątkiem koszuli na grzbiecie, choć miałem na tyle rozumu, żeby nigdy nie grać wyżej niż mogłem sobie pozwolić, a tego nie było dużo. Dostawałem roczną pensję, ale ojciec trzymał mnie krótko. To jednak zdarzyło się po jego śmierci, kiedy Jon został hrabią i tym razem celowo szukałem partii, w której, jak wiedziałem, stawki były wysokie i gdzie, że tak powiem, nie brano zakładników. Postawiłem pieniądze, które

naprawdę nie należały do mnie, tylko pochodziły ze sprzedaży pewnego klejnotu... oboje bawiliśmy się w to, księżno. Pieniądze nie były moje, więc nie wolno mi było ich przegrać i nie sądzę, żebym kiedyś bał się bardziej niż wtedy, gdy usiadłem przy stole i zgłosiłem stawkę takiej wysokości, jak oczekiwali moi partnerzy. Hanna zamknęła oczy.

- W ciągu dziesięciu minut - ciągnął - wygrałem Ainsley Park. To nie była główna siedziba człowieka, który je przegrał, i nie wydawał się szczególnie unieszczęśliwiony, straciwszy je za jednym rozdaniem kart. On i jego towarzysze nie byli jednak zadowoleni, kiedy zgarnąłem wygraną i wyszedłem. Zagrozili, że nigdy już nie przyjmą mnie do swojego czcigodnego grona. Nie wiem, czy dotrzymaliby groźby. Sądzę, że tak. Nigdy od tamtej pory nie grałem hazardowo, chyba że na małą skalę na balach i prywatnych przyjęciach. - A pieniądze ze sprzedaży klejnotu?

- Poszły tam, dokąd miały pójść - odparł.

- I nikt nie wie, w jaki sposób nabyłeś Ainsley Park?

- Niech zgadują.

- A czego zwykle się domyślają? - zapytała.

- Że kupiłem go za nie swoje pieniądze, jak sądzę - odparł, wzruszając ramionami. - Nie są dalecy od prawdy.

- Mieszkasz tam sam? - Jakie to smutne, że odciął się w ten sposób od rodziny i przyjaciół. Roześmiał się cicho.

- Niezupełnie. W gruncie rzeczy, dom, dworek, jest tak pełen ludzi, że brakuje w nim miejsca dla mnie. Mieszkam w domku w ogrodzie. A nawet ta oaza spokoju powoli, ale systematycznie ulega intruzom.

Hanna ustawiła stopy płasko na fotelu, objęła

rękoma kolana i oparła na nich brodę.

- Musisz mi teraz powiedzieć, Constantine - stwierdziła - albo nie będę spać przez tydzień z ciekawości. I jesteś mi to winien. Kim są ci wszyscy ludzie?

- Zacząłem od kobiet. Kobiet, których poczucie godności i reputacja legły w gruzach, ponieważ ich pracodawcy albo stojący wyżej od nich w hierarchii społecznej uznali, że mają od Boga dane prawo dysponować kobietami, które im wpadły w oko. Kobiet i ich nieślubnych dzieci. W Ainsley znalazły dom i uczciwą pracę w rezydencji albo w gospodarstwie. I przysposobienie do zawodu krawcowej, modystki, kucharki czy czegoś jeszcze innego, o ile udało mi się znaleźć kogoś, kto chciałby je uczyć w zamian za kwaterę, wyżywienie i skromną pensję. Wiele z nich znalazło potem pracę niezależnie od reputacji czy dzieci.

- Dlaczego? Dlaczego właśnie one? Spochmurniał.

- Powiedzmy, że znałem niektóre z tych kobiet i mężczyznę, który odebrał im wszystko poza życiem. Wiedziałem, co straciły: pracę, rodzinę, szacunek bliskich ludzi. Wiem, ile wycierpiały, jaki spotkał je ostracyzm. I wiedziałem, że skromne datki, które im czasem dawałem, nie pomagały zbyt wiele. Zawałem sobie sprawę, że nie wolno mi otwarcie okazywać im przyjaźni, bo zostałoby to źle zrozumiane i tylko pogorszyło ich sytuację. Jeśli to było możliwe. Znałem człowieka, który był odpowiedzialny za ten stan i nie czuł się w żaden sposób winny, kiedy jedną po drugiej wyrzucano ze służby i przyjmowano nowe, które spotykał podobny los. Hanna mocniej ścisnęła nogi. Och, dobry Boże. Jego ojciec? Otworzyła usta, żeby zapytać, ale nie była w stanie tego zrobić.

- Elliott, księżę Moreland, powiedziałby ci, że to ja

byłem tym mężczyzną.

- Czy cię oskarżył? - zapytała.

- Tak.

- A ty nie zaprzeczyłeś?

- Nie.

Och, Boże, wydobywanie od niego informacji przypominało czasami wyciskanie krwi z kamienia.

- Dlaczego nie? - chciała wiedzieć. Spojrzał jej w oczy.

- Był moim przyjacielem - powiedział. - Moim kuzynem, niemal bratem. Nasze matki były siostrami. Nie powinien był pytać. Ja nigdy bym jego o to nie pytał. Wiedziałbym, że odpowiedź byłaby przecząca. Szumiało nam w głowach, kiedy byliśmy młodzi, ale żaden z nas nigdy nie zniewolił żadnej kobiety.

- Ale nie zaprzeczyłeś, kiedy o to zapytał.

- Nie zapytał. Oznajmił mi. Dowiedział się jakoś o tych nieszczęsnych kobietach i ich dzieciach. I rzucił się na mnie. Oskarżenia to nie zawsze ani nawet nieczęsto uprzejme pytania, księżno.

- Niemądry człowieku - powiedziała. - I tego dotyczy wasza kłótnia?

- Między innymi. Powstrzymała się od pytania.

- A wszystko można było wyjaśnić - zauważyła - zwykłym zaprzeczeniem, na co nie pozwoliła ci twoja duma.

- Nie powinno dojść do sytuacji, w której musiałbym zaprzeczać. Moreland był i jest nadętym osłem.

- A ty upartym mułem. Sam to powiedziałaś przy innej okazji i widzę, że miałaś rację.

Wstał, zdjął serwetkę z czajniczka i ponownie napełnił obie filiżanki. Usiadł, przypomniał sobie, że



Hanna dodaje cukier i mleko, i podniósł się, żeby jej podać jedno i drugie. Filiżanka znowu była pełna po brzegi. Jeszcze kropla, a by się przelało. Zaoferował jej herbatnik, ale pokręciła głową.

- Powiedziałeś, że zacząłeś w Ainsley od kobiet - przypomniała mu wątek rozmowy.

- Tutaj, w Londynie, zobaczyłem chłopca u rzeźnika. Stałem na chodniku i przyjrzałem mu się, ponieważ zdumiewająco przypominał Jona. Miał podobne rysy twarzy i sylwetkę; domyśliłem się, że jego rodzicom także powiedziano, że chłopiec może żyć niewiele dłużej niż dwanaście lat. Poszedłbym dalej, ale nawet w ciągu minuty, kiedy tam stałem, zauważyłem dwie rzeczy: że chłopiec chciał jak najlepiej, ale jego wysiłków nie przyjmowano życzliwie. W tym krótkim czasie dwa razy go uderzono, raz zrobił to klient, za drugim razem rzeźnik za to, że rozgniewał klienta. Wszedłem i zapłaciłem rzeźnikowi cenę za czeladnika, zabrał chłopca z sierocińca, jak się domyślam, niemal za nic. Zawiozłem chłopca, Francisa, do Ainsley, dokąd wróciłem parę dni później. Przydzieliłem go do pracy w kuchni i w gospodarstwie, a on z miejsca stał się ulubieńcem wszystkich kobiet tam zatrudnionych, zwłaszcza kucharki. Umarł po upływie niewiele ponad roku od tamtego czasu w wieku około trzynastu lat... nie wiedział dokładnie, kiedy się urodził. Myślę, że przeżył szczęśliwy rok. Przerwał opowieść, żeby się napić. Patrzył w filiżankę. Hanna zajęła się własną herbatą, żeby dać mu chwilę na dojście do siebie. Wiedziała, że drzenie jego głosu i nagle lśnienie w oczach nie są wytworem jej wyobraźni.

Oplakiwał tego chłopca od rzeźnika. Francisa. Chłopca, który przypominał mu brata.

- To właśnie spotkanie z nim uświadomiło mi - powiedział - że jeśli chciałem, żeby Ainsley na siebie zarabiał zamiast pochłaniać moje skromne zasoby, muszę sprawić, żeby gospodarstwo pracowało pełną parą. Przez lata było zaniedbywane. A żeby praca znowu ruszyła i przynosiła zyski, potrzebowałem robotników, w tym mężczyzn zdolnych do ciężkiej pracy. A skoro i tak musiałem zatrudnić ludzi, to mogłem nająć takich, którzy gdzie indziej nie znaleźliby pracy. Zdumiałoby cię, księżno, ilu jest takich mężczyzn: upośledzonych fizycznie lub umysłowo, emerytowanych albo zwolnionych żołnierzy, którzy stracili kończyny, oczy albo rozum na wojnie i nikomu nie są potrzebni w czasach pokoju, włóczęgów, nawet złodziei, którzy kradną tylko dlatego, że nie mogą dostać pracy, a wciąż muszą jeść. Mógłbym wypełnić w każdej chwili dwadzieścia takich majątków jak Ainsley. Nie, to by jej nie zdumiało.

- Niektórzy ludzie - ciągnął - są zdolni do czegoś więcej niż tylko praca na polu i chcą czegoś więcej. Wtedy uczą się fachu kowala, stolarza, murarza, nawet księgowego i sekretarza. A potem znajdują pracę gdzie indziej, tak więc w Ainsley zwalnia się miejsce dla następnych. A niektórzy spośród mężczyzn i kobiet żenią się i odchodzą, żeby zacząć nowe życie.

- I nikomu o tym nie powiedziałeś? Nikomu poza mną? Pokręcił głową i się uśmiechnął.

- Ależ tak - odparł. - Powiedziałem królowi.

- Królowi?

- Właściwie to było, zanim został królem. Był jeszcze księciem Walii. Księciuniem<sup>3</sup>. Siedzieliśmy razem

---

3 Tak określano księcia Walii, późniejszego króla Jerzego IV Hanowerskiego (przyp. red.).

w tym jego dziwacznym pałacu w Brighton, późno w nocy, kiedy wszyscy już poszli spać. Jak do tego doszło, nie pamiętam. Ale obaj mieliśmy mocno w czubie i w końcu, gawędząc o tym i owym, opowiedziałem mu o Ainsley. Wydaje mi się... nie, wiem to na pewno... że objął mnie i przytulił do swojego wielkiego cielska tak mocno, że o mało nie połamał mi kości. Niemal utopiłem się w jego łzach. Oświadczył, że jestem świętym i męczennikiem... dlaczego męczennikiem, tego nie wyjaśnił, i obrzucił mnie innymi przesadnymi komplementami. Przyniósł mi pomagać, obiecał mnie nagrodzić, mówił, że zwróci na mnie uwagę całego królestwa, i inne wzruszające głupstwa. Na szczęście zapomniał o tym wszystkim i o mnie na dokładkę, gdy tylko wytrzeźwiał.

- Znam go dosyć dobrze - powiedziała. - Księżę był jego przyjacielem, mimo że następca tronu, obecnie król, doprowadzał go do rozpacz. Trudno jest nie lubić tego człowieka, choć tak często się ośmiesza. Więcej niż czegokolwiek w życiu pragnie być kochanym. Gdyby stary król i królowa go kochali, byłby może dzisiaj innym człowiekiem. Dużo pewniejszym siebie.

- I szczuplejszym? Nie potrzebowałby tyle jedzenia? Spojrzała na niego i się uśmiechnęła. Potem parsknęła śmiechem. Uśmiechnął się także, poruszając brwiami. To była dziwna chwila.

Poświęciła jedenaście lat, ucząc się mądrości i dyscypliny, dziesięć spośród nich u boku człowieka, który nabył oba te atrybuty w wyniku długiego, pełnego doświadczeń życia. Mądrość i dyscyplina. Strzec zawsze za pomocą tysiąca masek swojego prawdziwego, cennego ja” w kokonie spokoju. Samo życie stało się tajemną sprawą. Nikt nic nie wiedział o jego prywatnych sprawach. Dla

ludzi wokół pozory były wszystkim. Nie znali niczego innego. Dla niej liczyła się tylko rzeczywistość wewnętrzna.

Nagle jednak ten kokon został zagrożony. Wybrała mężczyznę wyłącznie ze względu na zmysłową przyjemność, jaką mógł jej zapewnić, a ona... Och, jakim słowem opisać to, kim się dla niej stał? Nie zakochała się w nim. Ale...

Cóż, w jakiś sposób zaangażowała się głęboko w ten związek. W związek z kochankiem, tak jest. Kochanków można jednak było porzucić, zapomnieć, wymienić. Można ich było trzymać na bezpieczną odległość od serca. Istnieli dla przyjemności, zabawy. On był kimś więcej niż kochankiem.

Założyła na początku, że ten rok przeznacza na przyjemność zamiast poszukiwanie miłości i trwałego szczęścia. Powiedziała sobie, że go porzuci i zapomni o nim, jak tylko sezon się skończy. I oczywiście zrobi to. W istocie i tak nie miała wyboru. Wiedziała doskonale, że co roku wiązał się z inną kochanką. Ale...

Ale w jakiś nieokreślony sposób to, co miało być czysto fizycznym doświadczeniem, zaczęło angażować także uczucia. Kokon wokół jej serca został naruszony.

Książę miał rację. Ostrzegł ją, że to się zdarzy pewnego dnia; mówił, że kokony strzegą jedynie kruchego, rodzącego się życia, póki nie jest gotowe rozkwitnąć w pełni.

Powinna była wybrać rozsądniej... na pewno - nie człowieka, którego tajemnica ją intrygowała.

Ponieważ okazało się, że ten człowiek kryje w sobie wiele warstw. Nie wszystkie przyjemne, na przykład te jego podstępne, wścibskie pytania, jakie zadawał Barbarze

na balu u Kitteridge'ów, albo śmieszna duma, która doprowadziła do trwającego od lat sporu z jego kuzynem i najbliższym przyjacielem. A z drugiej strony... Cóż, mogłaby pokochać człowieka, który tak głęboko współczuł tym mniej uprzywilejowanym od siebie, że otworzył przed nimi własny dom, serce swojego spokoju i prywatności. A wszystko dla zwykłego poczucia, że postępuje właściwie. Nie szukając pochwał, nie mówił nikomu o swoim domu i o tym, co tam się dzieje.

Za wyjątkiem króla, kiedy obaj się upili. I oprócz niej, ponieważ był jej to winien.

Och, była niebezpiecznie blisko popełnienia głupstwa, którego mogłaby żałować do końca życia.

Ponieważ Constantine Huxtable nie był odpowiednim mężczyzną, żeby się z nim wiązać na stałe.

Nagle odczuła straszliwą pustkę powstałą po śmierci księcia. Gdyby tak mogła wrócić do domu, zacząć się z nim przekomarzać, włożyć dłoń w jego starczą, zniekształconą przez artretyzm rękę i poczuć się znowu bezpiecznie i poprosić o radę. Albo wyjaśnienie tego, co się z nią teraz działo.

Nauczył ją jednak polegania na sobie i sądziła, że tę lekcję pojęła do końca. Nie chciałby, żeby wiecznie była od niego zależna. Ona też tego nie chciała.

Patrzyli na siebie, ona i Constantine, i - jak sobie uświadomiła - uśmiech zamierał na ich ustach.

- Prawdopodobnie moglibyśmy zawisnąć na szubienicy za mówienie takich rzeczy - stwierdziła.

- Albo stracić głowy. A tak a propos, uprzedziłem pannę Leavensworth, że zabiorę was obie do Tower, skoro jeszcze tam nie była. Pójdziesz?

- Nie byłam tam wieki. Czy przyjedziesz do

Copeland, jeśli zorganizuję krótkie przyjęcie w domu?

- Pytasz, księżno? Nie rozkazujeś?

- Cóż, ty zapytałeś o Tower, a nie mogę przecież pozwolić, żebyś mnie prześcignął w okazywaniu dobrych manier.

- Nie zamierzasz chyba zaprosić także Morelanda i jego żony?

- Nie. - Pokręciła głową. - Ale czy nie powinieneś z nim wkrótce porozmawiać?

- Pocałować się i przeprosić? Nie sądzę.

- Tak więc przejdiesz przez życie nieszczęśliwy - powiedziała - tylko z powodu niemądrej dumy.

- Czy jestem nieszczęśliwy?

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, i zaraz je zamknęła.

- A czy ty, księżno - zapytał - zamierzasz wrócić do Markle, być może na ślub panny Leavensworth i porozmawiać z ojcem, siostrą i szwagrem? Czy duma ci na to nie pozwoli?

- To zupełnie inna sprawa - odparła.

- Czyżby?

Spojrzeli - a może nawet popatrzyli z gniewem - na siebie w milczeniu, którego żadne nie chciało przerwać pierwsze. W końcu to on je przełamał.

- Tak więc przejdiesz przez życie nieszczęśliwa - powiedział - tylko z powodu niemądrej dumy. Celny strzał.

Nie miała jednak pojęcia - bladego pojęcia - do czego ją namawiał.

- Chcę wrócić do domu, do rezydencji Dunbarton - oznajmiła. - Jest późno. Albo wcześniej.

Podniósł się i podszedł do niej. Położył dłonie na poręczach fotela, schylił się i pocałował ją z otwartymi

ustami.

Był to przerażająco delikatny, a nawet czuły pocałunek.

Przerażająco, ponieważ upłynęła połowa nocy, kochała się z nim i spała obok niego, siedziała tutaj i rozmawiała, i zapomniała, jak się bronić. Gdyby wiedziała, otoczyłaby się murem i czuła znowu bezpieczna.

Ale znowu przed czym miała się bronić?

Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Jego własne były mroczne i bardzo ciemne.

- Zatem lepiej, żebyś się ubrała - zauważył. - Mój woźnica mógłby się poczuć zgorzony, gdyby zobaczył cię w takim stroju, nawet jeśli zakrywa cię od stóp po szyję.

- Gdybym wyszła tak ubrana, Constantine - odparła - ujrzałby tylko księżnę. Wierz mi. Ludzie widzą to, co chcę, żeby zobaczyli. - Czy to coś, czego nauczył cię Dunbarton?

- Tak. I nauczył mnie tego dobrze.

- Jestem tego pewien. Gdziekolwiek bym cię zobaczył w ciągu ubiegłych lat, widziałem tylko księżnę. Bardzo piękną, bardzo bogatą księżnę. Dopiero teraz zacznę sobie uświadamiać swój błąd.

- To dobrze? - zapytała. - Czy źle? Wyprostował się.

- Nie zdecydowałem jeszcze. Widziałem cię jako różę bez mnóstwa płatków. Niewłaściwie ciebie oceniłem. Masz więcej płatków niż najbardziej złożona róża. A serce róży jeszcze pozostało do odkrycia. Zacznę wierzyć, że ono istnieje. W istocie, bardziej niż wierzę. Ubierz się, księżno. Pora zabrać cię do domu.

Biorąc pod uwagę fakt, że pierwsza o tym wspomniała, nie powinna czuć się opuszczona. Ale czuła. Tak jakby nie chciał, żeby została. Wstrząsnęło nią to. Postrzegął ją jako różę i powoli, obdzierając z płatków,

szukał drogi do jej serca. Znalazłby ją, jeśliby na to pozwoliła. Jak mogła to powstrzymać? Jedenaście lat nauki i dyscypliny mogło pójść na marne po paru tygodniach jej samodzielnego życia. Nie dopuści do tego.

Ponieważ on zapewne nie mógł być tym właściwym. Tym, którego, zgodnie z obietnicą księcia, miała spotkać pewnego dnia. A musiała zachować całe serce, kiedy w końcu go pozna. Być może jednak nie należało szukać zmysłowych przygód. Wstała i odwróciła się w stronę drzwi.

- Jak dziecko, które trzeba trzymać za rękę? - odezwała się wyniosłym tonem. - Przyjechałam sama twoim powozem. Wrócę również sama. Dopilnuj, żeby stanął przed drzwiami za dziesięć minut. Jej wyjście odrobinę zepsuł tylko odgłos cichego chichotu.



Jako że następnego dnia padało, Constantine większość przedpołudnia spędził, odpisując Harveyowi Wexfordowi, swojemu zarządcy w Ainsley. Miał do niego parę pytań i chciał skomentować kilka drobnych szczegółów. Co ważniejsze - jak co tydzień - należało napisać prywatnie do różnych mieszkańców Ainsley. Zarządzanie, szkolenie i dobrobyt tychże osób mógł zostawić w kompetentnych i współczujących rękach Wexforda, mając pewność, że wszystko będzie się toczyć gładko, ale nie zapominał o tych ludziach, kiedy wyjeżdżał, i chciał, żeby o tym wiedzieli. Należało na przykład wysłać kartkę z życzeniami na piąte urodziny Megan, córeczki Phoebe Penn, i prezent w postaci książki, którą kupił przed lunchem, ponieważ dziecko, tak jak i jego matka, uczyło się czytać. A także pogratulować Winfordowi Jonesowi, młodemu ekszłodziejowi, którego uznano na tyle zręcznego w sztuce kowalskiej, żeby zatrudnić jako pomocnika kowala w jakiejś kuźni w Dorsetshire. I kolejne gratulacje dla Jonesa i Bridget Hinds, którzy mieli się pobrać, zanim wyjadą i zabiorą ze sobą małego Bernarda, syna Bridget. I kolejną książkę dla Bernarda, ponieważ chłopiec w wieku siedmiu lat potrafił już czytać. I wyrazy współczucia dla Robbiego Atkinsona, który spadł ze stogu siana i złamał kostkę. A także życzenia zdrowia dla kucharki, która zupełnie wyjątkowo postanowiła zostać dwa dni w łóżku w związku z poważnym przeziębieniem, co nie przeszkodziło jednak jej rządzić kuchnią żelazną ręką, jak to miała w zwyczaju.

Ponieważ trochę się przejaśniło, Constantine spędził popołudnie z paroma przyjaciółmi na wyścigach, a później

udał się na wieczorek wydany przez lady Carling, teściową Margaret, mieszkającą przy ulicy Curzona. To była jedna z tych okazji, kiedy musiał przebywać pod tym samym dachem z Vanessą i Elliottem, ale ponieważ lady Carling otworzyła dla gości szereg pokoi, większość czasu zdołali się nawzajem unikać i skutecznie ignorować swoją obecność.

Constantine myślał o tym, co powiedziała poprzedniego wieczoru Hanna, żeby porozmawiał z Elliottem i był mniej nieszczęśliwy. Rozbawiło go wyobrażanie sobie, jakby kuzyn zareagował, gdyby zwrócił się do niego i zasugerował, żeby tu i teraz omówili wszystko, co ich dzieli.

Nie było o czym mówić. Elliott miał o nim jak najgorsze mniemanie, a Constantine'a to nie obchodziło. Osioł i muł.

Dwie strony jednej monety. To naprawdę było takie proste. Hanna nie przyszła na wieczorek.

Constantine wyszedł wcześniej, rozważając, czyby nie pójść najpierw do White'a, ale zamiast tego wrócił do domu. Posiadanie kochanki mogło tak wpłynąć na mężczyznę, że kiedy nadarzała się sposobność - wybierał sen w nocy, zaniedbując przyjaciół.

Pojawił się w rezydencji Dunbarton następnego dnia rano. Podejrzał, że damy mogą jeszcze być w łóżku albo na zakupach. Jednak zastał je w domu. Kamerdyner księżnej, który poszedł sprawdzić, czy są na pewno, zaprowadził go do biblioteki. Było to niezwykle jak dla niego otoczenie na spotkanie z księżną, choć, jak zauważył, miała otwartą książkę na kolanach, podczas gdy przyjaciółka siedziała przy biurku, prawdopodobnie zajęta pisaniem listu do swojego pastora.

Księżna zamknęła książkę, odłożyła ją na bok i wstała.

- Constantynie - powitała go, podchodząc do niego z wyciągniętą ręką.

- Księżno. - Schylił się nad jej dłonią, którą tym razem pozwoliła mu unieść do ust. - Panno Leavensworth.

Dama odłożyła pióro i zwróciła się ku niemu; jej policzki wydawały się nienaturalnie różowe.

- Panie Huxtable - odezwała się poważnym tonem.

- Panno Leavensworth - powiedział - chciałbym, żeby pani wiedziała, że poprosiłem panią do tańca na balu u Kitteridge'ów, ponieważ pragnąłem z panią zatańczyć. Myśl, żeby w naganny sposób wydobyć od pani informacje na temat przeszłości księżnej, przysłała mi do głowy później. Proszę mi wybaczyć, że sprawiłem pani przykrość.

- Dziękuję, panie Huxtable - odparła. - Było mi przyjemnie tańczyć z panem.

- Nie zapomniałem także - ciągnął - że chciałyby pani obejrzeć Tower, zanim wróci pani do domu, do Markle, i że księżna nie była tam od bardzo dawna. Pogoda znacznie się poprawiła od wczoraj. Wierzę w istocie, że słońce przebija się przez chmury. Czy miałyby pani ochotę pójść tam dzisiaj po południu w moim towarzystwie? I może później do Guntera, na lody?

- Lody? - Panna Leavensworth otworzyła szeroko oczy. - Och, nigdy ich nie jadłam, ale słyszałam, że są po prostu pyszne.

- A zatem obowiązkowo później do Guntera - powiedział. Spojrzał na Hanneę. Powie naturalnie, że mają inne plany na popołudnie.

- Będziemy gotowe o wpół do pierwszej - odparła jednak. Miała zapewne na myśli kwadrans przed pierwszą.

- Nie będę zatem przeszkadzał dłużej w lekturze i pisaniu listów. Skłonił głowę i wyszedł. Miała na sobie prostą suknię z jasnoniebieskiej bawełny, nieco tylko jaśniejszej od barwy jej oczu, przypominał sobie, przechodząc przez plac. Żadnej biżuterii. Włosy upięte w zwykły węzeł na karku. Prosto i bez ozdób.

Wyglądała zachwycająco. Księżna, oczywiście.

Bardziej przypominała zwykłą siebie, kiedy o wpół do pierwszej stawił się pod jej drzwiami. Tym razem wziął powóz, zapewniający trójce pasażerów większą wygodę niż dwukółka, a do Tower było dość daleko.

Obie damy były gotowe. Być może księżna kazałaby mu czekać dla zasady, gdyby wybierali się dokądś tylko we dwoję, ale wyruszyli punktualnie. Panna Leavensworth wydawała się bardzo przejęta. A księżna Dunbarton, pomyślał Constantine, kochała swoją przyjaciółkę.

W Tower było mnóstwo do oglądania. Jednak żadna z dam nie życzyła sobie zwiedzać starych lochów ani izby tortur, ani też miejsca straceń. Księżna nawet zadrżała z nieudawanego przerażenia, kiedy strażnik im to proponował.

Zamiast tego poszli obejrzeć menażerię i spędzili sporo czasu, przyglądając się nieznanym, dzikim zwierzętom, zwłaszcza lwom.

- Jakież są wspaniałe - stwierdziła panna Leavensworth. - Rozumiem, dlaczego uważa się je za królów dżungli. A ty, Hanno?

Księżnej jednak nie było tak łatwo dogodzić.

- Ale gdzie ta dżungla? - zapytała. - Biedne stworzenia. Jak mogą być królami w klatce? Lepiej być skromnym królikiem, żółwiem albo kretem i przebywać na wolności.

- Sądzę jednak, że dobrze je odżywiają - powiedziała panna Leavensworth. - I mają ochronę przed najgorszymi żywiołami. I budzą powszechny podziw.

- Oczywiście - zauważyła księżna - podziw ludzi stanowi zadośćuczynienie za wszelkie zło.

- Cieszę się, że je zobaczyłam - oświadczyła stanowczo panna Leavensworth, nie przyjmując do wiadomości zastrzeżeń przyjaciółki. - Dotąd tylko o nich czytałam i widziałam rysunki. A książki nigdy nie oddają zapachu, prawda? Faj!

- Może pójdziemy obejrzeć klejnoty koronne? - zaproponował Constantine.

W panie Leavensworth wzbudziły niezwykle zainteresowanie. Tak się złożyło, że po paru minutach zjawili się tam krewni jej narzeczonego wraz z dziećmi. Rozległy się okrzyki zaskoczenia i zachwytu, wymieniono uściski i panna Leavensworth musiała przedstawić pana i panią Newcombe'ów oraz Pamelę i Petera Constantine'owi - księżna poznała ich kilka dni wcześniej, kiedy zabrali Barbarę na spacer do Kew Gardens.

- Muszę wyjść na świeże powietrze - oznajmiła wkrótce potem księżna. - Constantine zabierze mnie na mury Białej Wieży, Babs, a teraz jest najbardziej odpowiedni moment, ponieważ ty boisz się wysokości. Wrócimy za chwilę.

- Zostaniemy z Barbarą tak długo, aż nacieszy pani oczy widokiem, wasza wysokość - zapewniła pani Newcombe. - Proszę się nie śpieszyć. Zostały nam do obejrzenia tylko lochy, które dzieci chcą koniecznie zwiedzić. To może poczekać.

Księżna ujęła Constantine'a pod ramię i razem wspięli się na szczyt Białej Wieży, na najwyższe miejsce

Tower, z wyjątkiem czterech wieżyczek w rogach.

- Wieczorem? - zapytał.

- Tak - odparła. - Koniecznie. Mam uczestniczyć w kolacji i przyjęciu w pałacu St. James, a to z pewnością będzie śmiertelnie nudne. Kiedy jednak otrzymuje się królewskie zaproszenie, jak wiesz, nie można się wymówić brakiem czasu, nawet jeśli jest się księżną Dunbarton. Barbara idzie na kolację do państwa Park. Możesz przysłać powóz na jedenastą.

Weszli na szczyt wieży i stwierdzili, że wszystkie chmury odpłynęły, odsłaniając błękitne niebo i słońce. Księżna otworzyła parasolkę i wzniosła ją nad głowę. Włożyła dzisiaj budkę, bezpiecznie zawiązaną pod szyją. Ale wiał dość silny wiatr.

Obeszli dookoła blanki, podziwiając widoki miasta i wsi poza nim; zatrzymali się, kiedy stanęli naprzeciwko Tamizy.

Odchyliła parasolkę do tyłu i podniosła twarz do nieba. Jedna z wron, z których Tower słyneła, trzepotała nad nimi skrzydłami.

- Czy nie myślisz czasem, Constantinie, że cudownie byłoby latać? Być samotnym w przestrzeni, z wiatrem i niebem?

- Wymiar, którego człowiek jeszcze nie pokonał? Byłoby interesujące popatrzeć na świat z lotu ptaka. Są naturalnie balony z gorącym powietrzem.

- Ale one i tak ograniczają - stwierdziła. - Chcę skrzydeł. Ale nieważne. Jesteśmy dość wysoko. Czyż nie jest tu ślicznie?

Uśmiechnął się do niej. Nieczęsto z ust księżnej padały słowa tak pełne entuzjazmu, a jej twarz rzadko ożywiała się takim podnieceniem. Oparła się ramionami na

murze i patrzyła na rzekę. Parasolkę postawiła obok.

- Albo może pożegluję do jakiegoś odległego, egzotycznego lądu - powiedziała. - Do Egiptu, Indii, Chin. Czy miałeś kiedyś ochotę tam jechać?

- Żeby uciec od siebie? - zapytał.

- Och, nie od siebie - odrzekła. - Ze sobą. Nigdy nie opuścimy samych siebie, dokądkolwiek byśmy się udali. To była jedna z pierwszych rzeczy, jakich nauczył mnie książę, kiedy się pobraliśmy. „Nigdy nie zdołasz uciec od tej dziewczyny, którą byłaś”, powiedział. Mogłam ją tylko zamienić w kobietę, w której ciele i umyśle poczułam się szczęśliwa.

A jednak zachowywała się tak, jakby uciekła od tamtej dziewczyny. Nie chciała nawet wracać do domu i ludzi, których porzuciła, wychodząc za Dunbartona.

- Jako młody mężczyzna myślałem krótko o tym, żeby wyruszyć na morze. Ale wtedy nie byłoby mnie tutaj miesiącami albo nawet latami. Nie mogłem zostawiać Jona na tak długo.

- Brata, którego nienawidziłeś?

- Ja nie... - zaczął.

- Nie - powiedziała. - Wiem, że nie. Kochałeś go bardziej niż kogokolwiek innego w życiu. A nienawidziłeś dlatego, ponieważ nie mogłeś zachować go przy życiu.

Oparł się na murze obok niej. Płytką kobieta, doprawdy. Skąd u niej taka przenikliwość?

- Nawet teraz - odezwał się - czuję się czasami tak, jakbym go opuścił. Czasem mija dzień albo dłużej i nie myślę o nim wcale. Od czasu do czasu jadę do Warren Hall, żeby go odwiedzić. Został pochowany przy małej kaplicy w parku. To spokojne miejsce. Cieszę się z tego. Chodzę tam, żeby z nim porozmawiać.

- I słuchać go? - zapytała.

- To byłby absurd.

- Nie większy niż przemawianie do niego - zauważyła. - Myślę, że żyje w twoim sercu, Constantine, nawet kiedy świadomie o nim nie myślisz. Myślę, że zawsze tam będzie. On jest tą dobrą częścią ciebie.

Pochylił się bardziej, żeby spojrzeć w dół, a potem znowu popatrzył na rzekę.

- To szaleństwo - stwierdził. - Nigdy nie rozmawiam o Jonie. Dlaczego robisz to z tobą?

- Czy on wiedział o Ainsley?

O co chodzi? O Ainsley także nigdy nie rozmawiał. Westchnął głęboko.

- Tak. To był jego pomysł. Nie hazard oczywiście, ale zakup bezpiecznego domu dla kobiet i dzieci, których nigdzie indziej nie chciano, miejsca, gdzie mogliby pracować i przysposabiać się do stałego zajęcia w przyszłości. Tak go ta myśl podnieciła, że czasami nie mógł spać w nocy. Chciał to zobaczyć na własne oczy. Umarł jednak, zanim powstało cokolwiek godnego obejrzenia.

Uświadomił sobie, że jej dłoń - bez rękawiczki - przesunęła się i nakryła jego własną na murze.

- Czy to była trudna śmierć?

- Zasnął i więcej się nie obudził. To była noc jego szesnastych urodzin. Bawiliśmy się przedtem w chowanego przez parę godzin i śmiał się tak mocno, że pewnie osłabił sobie serce. Powiedział mi, kiedy przyszedłem zgasić świece na noc, że kocha mnie bardziej niż kogokolwiek na świecie. Powiedział, że będzie mnie kochać na wieki wieków, amen... taki żart, który zawsze go bawił. Na wieki wieków okazało się paroma godzinami.



- Nie - powiedziała. - Okazało się wiecznością. Pokochał cię na zawsze, tak jak księżę mnie. Miłość nie umiera z człowiekiem. Pomimo bólu, jaki odczuwają wtedy żyjący.

Jak, do wszystkich diabłów, do tego doszło? - zastanawiał się Constantine. Ale dzięki Bogu, że byli w miejscu publicznym, chociaż wiezę, jak się wydawało, mieli w tej chwili tylko dla siebie. Gdyby byli gdzieś w domu, może objąłby ją i zapłakał na jej ramieniu. To go odrobinę zaniepokoiło. Nie mówiąc już o tym, że mieszało.

Popatrzył na nią. Odwzajemniała spojrzenie, oczy miała szeroko otwarte, nie uśmiechała się; jej twarz nie nosiła zwykłej maski. I uświadomił sobie, że ją lubi. Nie było to wstrząsające odkrycie albo przynajmniej nie powinno. A jednak tak się stało.

Oczekiwał być może, że księżna Dunbarton jako kochanka wzbudzi w nim rozmaite uczucia. Ale nie tego, że ją po prostu polubi. Położył dłoń na jej dłoni.

- Przypuszczam - powiedział - że panna Leavensworth i krewni jej narzeczonego wyczerpali już wszelkie możliwe tematy konwersacji. Sądzę też, że młodzi ludzie gotowi są zacząć wdrapywać się na ściany skarbcza. Chodźmy lepiej i wybawmy ich z tej sytuacji, i zabierzmy twoją przyjaciółkę na jej pierwsze lody do Guntera.

- Tak - zgodziła się. - Byłoby przykro pójść tam i zastać drzwi zamknięte. Babs byłaby niepokieszona. Nie przyznałaby się do tego, oczywiście. Zapewniłaby nas oboje wesoło, że to bez znaczenia, że popołudnie i tak było cudowne bez jej pierwszych lodów. Jest taka święta.

Podał jej ramię, a ona wsunęła z powrotem rękawiczkę, włożyła wielki pierścień z brylantem - albo i

nie z brylantem - na palec wskazujący i chwyciła parasolkę.

Prawie była północ, kiedy Hanna przybyła do domu Constantine'a. Nie chciała się spóźnić - uznała, że czas gier minął. Ale nie można było wymknąć się wcześniej z pałacu St. James pod pretekstem, że obiecało się kochankowi dołączyć do niego tuż po jedenastej. Zwłaszcza nie wtedy, gdy rozmawiało się na osobności z samym królem przez całe dziesięć minut, kiedy wskazówki zegara zbliżały się powoli do tej godziny.

Constantine nie zamknął drzwi. Sam je otworzył, kiedy karetka podjechała. Służba znikła. Widocznie zwolnił ich na noc. Hanna nie wyjaśniła spóźnienia, do tego by się nie posunęła. Objęła go tylko za szyję i pocałowała, a on zaniósł ją do łóżka.

Około godziny później siedzieli w salonie, on w koszuli i pantalonach, ona w szlafroku. Na niskim stoliku pomiędzy nimi stała taca z herbatą, kromkami chleba, masłem i serem.

Pomyślała, że mogłaby do tego przywyknąć - do bycia z nim w tym przytulnym miejscu - po wysiłku i rozkoszy fizycznej miłości.

Mogła przywyknąć do niego.

O tej porze w przyszłym roku będzie miał inną kochankę, ona być może także wybierze kogoś innego, choć nie była pewna, czy ma ochotę powtarzać ten eksperyment. Ta myśl przyszła jej do głowy niespodziewanie. Inna kobieta będzie tu siedzieć, być może ubrana w ten sam szlafrok. I on będzie tutaj, patrząc na nią lekko sennymi oczami, w swobodnej pozie, ze zmierzwionymi włosami.

Zmarszczyła brwi, a potem się uśmiechnęła.

- Król nie zapomniał o Ainsley Park - oznajmiła -

ani o tobie.

- Dobry Boże. - Skrzywił się. - Chyba mu nie przypomniałaś?

- Narzekał na pałac St. James, którego serdecznie nie znosi, i zastanawiał się, czy rezydencję Buckingham można by przekształcić w bardziej imponującą, królewską siedzibę. Podpowiedziałam mu Tower i wspomniałam, że byłam tam dzisiaj z moją najbliższą przyjaciółką i tobą w charakterze eskorty. - Księżcunio jako pan Tower. Miesza mu się w głowie, nieprawdaż? Otworzyłyby zapewne znowu Bramę Zdrajców i wpakował wszystkich swoich wrogów do lochów.

- Anglia by opustoszała - stwierdziła księżna. - Nie byłoby nikogo w rządzie poza samym królem. Izby Parlamentu pozostawiono by nietoperzom i duchom. A Tower pękałaby w szwach.

Oboje zachichotali na tę myśl, a Hanna, po wypiciu herbaty i zjedzeniu chleba z serem, zanurzyła ręce w rękawy szlafroka i ścisnęła się mocno za ramiona. W żadnym ze swoich snutych zimą planów czy marzeń nie zakładała, że będą się razem śmiać z takich głupstw. Wyglądał niezwykle przystojnie, kiedy się śmiał, zwłaszcza jeszcze lekko zaspany.

- A w jaki sposób konwersacja przeszła z Tower na Ainsley? - zapytał.

- Zmarszczył brwi w zamyśleniu, kiedy wspomniałam twoje imię, a potem przypomniał sobie, kim jesteś. Jaka szkoda, powiedział, że nie mogłeś zostać hrabią Merton, chociaż ogromnie lubi obecnego hrabiego. Było coś związanego z tobą, co powinien pamiętać. Pogrzebał bardzo głęboko w pamięci, Constantine, a potem wyskoczył z nazwą Ainsley bez żadnej podpowiedzi z

mojej strony. Wydawał się taki z siebie zadowolony, jakby znalazł śliwkę w świątecznym puddingu. „Cudowny człowiek”, oświadczył, mając na myśli ciebie, Constantine, i zamierza udzielić ci pomocy w twojej działalności dobroczynnej oraz uhonorować cię osobiście w odpowiedni sposób.

Pokręcił głową.

- Czy był podchmielony? - zapytał.

- Nie do takiego stopnia, żeby zrobić z siebie durnia. Ale pił niepokojąco dużo nawet wtedy, kiedy byłem tego świadkiem. Przepuszczam, że wypił tyle samo, jeśli nie więcej, kiedy na niego nie patrzyłam.

- Można zatem mieć nadzieję - powiedział - że znowu zapomni.

- Zobaczył pulchną, krzykliwie wystrojoną matronę, kiedy skończył mówić - ciągnęła - oczy mu się zaświeciły i ruszył za nią w pogoń. O mnie zupełnie zapomniał i porzucił bez słowa. Mogłabym nie istnieć. To było bardzo upokarzające, Constantine.

- Gust króla co do kobiet zawsze był ekscentryczny, żeby ująć to delikatnie. Dziwny, jeśli chcielibyśmy być mniej delikatni. W istocie dziwaczny. Czy wszyscy inni ignorowali twoją obecność?

- Oczywiście, że nie - odparła. - Jestem księżną Dunbarton.

- Otóż to, księżno. - Uśmiechnął się do niej swoimi bardzo ciemnymi oczami.

Poczuła się zmieszana i zmiękły jej nogi w kolanach. Reszta jego twarzy się nie uśmiechała. A jednak nie miała wrażenia, że z niej kpi. Czuła, że się z nią przekomarza. Że ją lubi. Czy on ją lubił? A czy ona go lubiła? Lubiała, w odróżnieniu od „pożądała”?

- Gdybyś dzisiaj po południu wyniósł ze skarbca klejnoty koronne i dał je Babs - powiedziała - zamiast po prostu zafundować jej lody u Guntera, nie byłaby nawet w połowie tak zachwycona.

- Cieszyła się, nieprawdaż? Czy poznałaś jej pastora? Jest jej wart?

- Wśród innych, mniej znaczących zalet - dodała - posiada specjalny uśmiech przeznaczony tylko dla niej. A on przenika wprost do jej serca.

Popatrzyli na siebie poprzez niski stolik.

- Czy wierzysz w miłość? - zapytała. - To jest, taki rodzaj miłości.

- Tak - odparł. - Kiedyś, dawno, odpowiedziałbym przecząco. Łatwo jest być cynicznym, życie podsuwa wiele dowodów na to, że nie można myśleć inaczej i pozostać uczciwym. Ale mam czworo kuzynów z drugiej linii, którzy wyrosli na wsi we względnej biedzie i pojawili się na scenie dopiero po śmierci Jona. Wiejskie prostaczki. Sądziłem, że okażą się nieokrzesani, rozrzutni i wulgarni. Nienawidziłem ich już wtedy, zanim ujrzałem na oczy, zwłaszcza nowego hrabiego Merton. Okazało się, że są zupełnie inni. I jedno po drugim zawierali partie, które powinny doprowadzić do katastrofy. A jednak wszystko wskazuje na to, że małżeństwa moich kuzynów zostały zawarte z miłości. Wszystkie. To niezwykle.

- Nawet kuzynki, która poślubiła księcia Moreland? - zagadnęła.

- Tak, nawet Vanessy. I owszem, wierzę w miłość.

- Ale nie dla siebie? Wzruszył ramionami.

- Czy trzeba się starać, żeby ją znaleźć i rozwinać? - zapytał. - Doświadczenia kuzynów mówią, że tak. Nie jestem pewien, czy dojrzałem do tego wysiłku. Skąd można

wiedzieć, czy nie trudziłbym się na próżno? Jeśli miłość zjawi się pewnego dnia na mojej drodze, będę szczęśliwy. Ale nie będę nieszczęśliwy, jeśli się nie pojawi. Jestem zadowolony z mojego życia takiego, jakie jest.

A jednak Hannie wydawało się, że w jego oczach była melancholia, kiedy o tym mówił. Miał w sobie, pomyślała ze smutkiem, ogromne pokłady miłości, którą ofiaruje właściwej kobiecie. Miłości, która poruszy góry czy całe światy.

- A ty, księżno - powiedział. - Kochałaś jako dziewczyna i bardzo cię zraniono. Kochałaś Dunbartona, ale, jak myślę, nie w sposób romantyczny. Czy wierzysz w ten rodzaj miłości, jaki znalazła panna Leavensworth?

- Kiedy miałam dziewiętnaście lat - odparła - kochałam miłość, jak sądzę. I nie dano mi szansy stwierdzić, czy była głęboka, czy też nie. Nic nie zdarza się bez celu, tak uczył mnie książę, a ja mu wierzę. Być może to, że odkryłam Colina i Dawn razem, było najlepszą rzeczą, jaka mnie spotkała. Dziwne. Nigdy przedtem nie myślała o tym w ten sposób. A jeśli odkryłaby prawdę, kiedy już byłoby za późno? Jak wyglądałoby teraz jej życie? A jeśli Colin wcale by nie kochał Dawn? Czy ona wciąż by go teraz kochała? Czy byłaby szczęśliwa jako jego żona? Nie sposób było się tego dowiedzieć. Ale uświadomiła sobie, że nie czuje już bólu po jego stracie. Prawdopodobnie od długiego czasu. Tylko ból z powodu zdrady i odrzucenia. To pozostało.

- Jednak nawet nie znając Barbary, wiedziałabym, że prawdziwa miłość istnieje. Mam na myśli tę prawdziwą, zdarzającą się raz w życiu, głęboką miłość, której doświadczają niektórzy ludzie, ale nigdy wszyscy. Książę taką przeżył i opowiedział mi o niej.

- Dunbarton obnosił się przy tobie ze swoją dawną miłością? Jeśli była dawna.

- Nosił żałobę od roku, kiedy go poznałam i za niego wyszłam - odparła. - Najgorsze powinno było minąć i być może minęło. Ale nigdy nie przestał oplakiwać tego, co stracił. Ani przez chwilę. To była miłość, która przetrwała ponad pięćdziesiąt lat i ukształtowała całe jego życie. Sprawiała, że był zdolny mnie pokochać. Skrzyżował ramiona, przyglądając jej się przez chwilę.

- A jednak - powiedział - nigdy się z nią nie ożenił. I trzymał ją w takiej tajemnicy, że do uszu socjety nigdy nie dotarł najcichszy szept na jej temat.

- To był sekretarz księcia - odparła - i pozostał nim przez całe jego dorosłe życie. Tak więc mogli mieszkać razem, nie narażając się na uwagi innych. Musieli jednak zachować niezwykłą dyskrecję. Nawet służący wydawali się nie znać prawdy albo byli tak oddani księciu, że nigdy nie rozmawiali poza murami domu o tym, co wiedzieli. Byli oddani. Wciąż są.

- Dunbarton powiedział ci o czymś takim?

- Zanim się pobraliśmy, żebyśmy zrozumiała, że nie ma żadnego ukrytego motywu w poślubieniu mnie, że pragnie tylko zabrać mnie stamtąd i nauczyć, jak być księżną i dumną, niezależną piękną, w krótkim czasie, jaki mu pozostał. Nie mógł ode mnie oderwać oczu na weselu, jak mi powiedział, nie dlatego że budziłam w nim pożądanie, ale tak bardzo przypominałam anioła, że nie mogłam chyba być istotą ludzką. Ale aniołowi zwykły prostak nie powinien łamać serca, to jego słowa. Historia księcia wstrząsnęła mną do głębi. Nie wiedziałam nawet, że coś takiego istnieje. Ale uwierzyłam w jego dobroć. Może byłam szalona, z pewnością byłam. Czasami jednak dobrze

jest ulec szaleństwu. Podczas lat, jakie spędziliśmy razem, opowiadał dużo o miłości swojego życia. Myślę, że sprawiało mu ulgę to, że wreszcie mógł to zrobić, po długim okresie milczenia i ukrywania się. I obiecał, że pewnego dnia znajdzie taką miłość dla siebie, chociaż nie z osobą tej samej płci.

- I uwierzyłaś mu? - zapytał.

- Uwierzyłam w możliwość, nawet jeśli nie w prawdopodobieństwo. W moim świecie wszystko jest grą, Constantine. Nawet ja. Zwłaszcza ja. Nauczył mnie być księżną, niezdobytą fortecą, strażniczką własnego serca. Przyznał jednak, że nie potrafi mnie nauczyć, jak i kiedy dopuścić, żeby powstał wylom w fortecy, albo kiedy otworzyć serce. To się po prostu zdarzy, powiedział. Obiecał, że tak się stanie. Ale jak miłość ma mnie znaleźć, przyjmując nawet, że mnie szuka?

Uśmiechnęła się. Co za dziwna rozmowa, i to z kochankiem. Wstała i obesła stół.

- Na razie jednak - oznajmiła - nie czekam na coś, co może się nigdy nie zdarzyć. Chciałam, żebyś ty został moim kochankiem... nie, postanowiłam, że nim zostaniesz, jak tylko skończy się rok mojej żałoby. I tej wiosny to, co masz do zaoferowania, zupełnie wystarczy.

- Postanowiłaś jeszcze przed powrotem do Londynu - zapytał, unosząc brwi - że to ja nim będę?

- Tak. Czy to ci nie pochlebia?

Rozwiązała pasek jego szlafroka, rozchyliła go i wdrapała się na skórzany fotel, obejmując go nogami i schylając się, żeby go pocałować.

- A więc Dunbarton nauczył cię - powiedział, zsuwając jej szlafrok z ramion i rzucając go na podłogę - zawsze dostawać to, czego chcesz?



- Tak - odparła. - I mam ciebie.

Spojrzała mu prosto w oczy i uśmiechnęła się promiennie.

- Kukielkę na sznurkach.

- Nie. - Pokręciła głową. - Także musiałeś tego chcieć. I chcesz. Powiedz mi, że tak jest.

- Nie mogę ci po prostu pokazać? - zapytał, a w jego oczach znów błysnął uśmiech.

- Powiedz mi.

- Boisz się, księżno? - szepnął jej niemal w usta, aż zadrżała. - Chcę. Ogromnie. Chcę ciebie. Ogromnie.

Rozpiął guziki przy pasie i rozsunął górę spodni; chwycił ją za biodra, żeby unieść do góry, po czym opuścił zdecydowanie. Dla Hanny akty miłości w łóżku były niemal nieznośnie rozkoszne. Tym razem nie było „niemal”. Klęczała z nogami po bokach jego ciała i poruszała się z takim samym szaleńczym zapalem jak on, czując go w sobie głęboko, widząc jego surową twarz o ciemnej cerze, podczas gdy jego głowa spoczywała na oparciu fotela; oczy miał zamknięte, włosy rozrzucone w nieładzie. Ból nie do zniesienia przeszedł nagle w rozkosz, której nie potrafiłaby opisać słowami, nawet gdyby próbowała. Wydała tylko krzyk.

Z drzeniem opadła na jego ciało, kładąc mu głowę na ramieniu i czując ogarniający ją sen. Uniósł ją w ramionach, w jakiś sposób owinąwszy jej ciało szlafrokiem, i zaniósł do sypialni. Pocałował ją, zanim położył na łóżku.

- Powiedz, że było ci tak dobrze, jak myślę, że było - odezwał się.

- Potrzebujesz komplementów? - zapytała sennie. - Było dobrze. Och, Constantine, było dobrze.

Zaśmiał się.

Zwinęła się na łóżku i prawie zasnęła, kiedy ułożył się obok, nakrywając ich oboje kocami.

Klejnoty, pomyślała, tuż zanim przekroczyła barierę snu.

Klejnoty koronne, o których żartowała, że mógłby je ukraść dla Barbary.

Jej własne klejnoty sprzedane po to, żeby móc spełnić najgorętsze pragnienie jej serca.

Jego na wpół ukradzione klejnoty, zamienione na pieniądze, za które wygrał Ainsley Park.

Czyje to były klejnoty? Jonathana?

Sprzedane po co? Żeby otworzyć dom dla niezamężnych matek i ich dzieci, według pomysłu Jonathana?

Czy Jonathan razem z Constantine'em wpadli na to samo co ona? Może było więcej klejnotów?

Czy ona i Constantine byli do siebie aż tak podobni?

Nic nie zdarza się bez celu, zapewniał książe; uwierzyła w to w końcu.

Nie ma przypadków, powtarzał nieraz. Nigdy w to nie wierzyła.

Miłość ją spotka pewnego dnia, zanim się spostrzeże, powiedział.

Nie spodziewała się jej. Bała się na nią czekać.

Ale jej umysł nie mógł sobie poradzić z taką ilością *non sequitur*, które ją spotykały.

Zasnęła, kiedy Constantine objął ją ramionami i przyciągnął mocniej do siebie.

Hanna zdawała sobie sprawę, że socjeta już dawno doszła do wniosku, że nowym kochankiem księżnej Dunbarton jest Constantine Huxtable. Uważano by tak, nawet gdyby to była nieprawda, tak jak podejrzewano o to wielu mężczyzn, głównie jej albo księcia znajomych. Zdawała sobie również sprawę, że spodziewano się, iż znudzi się nim w ciągu tygodnia albo dwóch i porzuci go dla kogoś innego.

Reputacja jej nie obchodziła. W gruncie rzeczy niemal celowo podtrzymywała ją podczas trwania małżeństwa. To była część kokonu, w którym się ukrywało jej prawdziwe „ja”.

Nie sądziła, żeby socjeta była w całości wrogo do niej nastawiona, nawet damy. Wszędzie ją zapraszano, a jej zaproszenia prawie zawsze przyjmowano. Gdziekolwiek się znalazła, była w stanie rozmawiać z każdym i przyłączać się do każdej, zajętej rozmową, grupy gości.

Zaskoczyła ją zatem odmowa udziału w krótkim przyjęciu, jakie zamierzała wydać w rezydencji Copeland - najpierw ze strony hrabiego i hrabiny Merton, potem lorda i lady Montford, a na koniec hrabiego i hrabiny Sheringford. Jedynymi członkami tej rodziny, którzy nie zgłosili odmowy, byli książę i księżna Moreland, a to zapewne miało związek z faktem, że nie zostali zaproszeni.

„Nie wierz w zbiegi okoliczności”, powtarzał książę. Hanna musiałaby nie mieć rozumu, żeby uznać te odmowy za przypadek.

Constantine wyznał, że żywi serdeczne uczucia wobec swoich kuzynów z drugiej linii. I oni wydawali się darzyć go sympatią. Dlatego właśnie ich zaprosiła, chociaż

teraz, kiedy się zastanowiła, uznała, że nie był to chyba najlepszy pomysł, nawet gdyby przyjęli zaproszenie. A może nawet zwłaszcza gdyby je przyjęli. Nie starał się przecież ojej rękę. Byli kochankami.

Zapewne z tego właśnie powodu odmówili. Mogła ich sobie niemal wyobrazić, jak naradzają się i dochodzą do wniosku, że zaproszenie jest w złym guście. Albo że ona jest w złym guście. Być może bali się, że zepsuje Constantine'a. Albo go zrani. Albo ośmieszy.

Prawdopodobnie to ostatnie.

Hannę nauczono - i sama się nauczyła - nie dbać o to, co inni o niej myślą. Poza księciem oczywiście.

Okazał jej swoje niezadowolenie dwa albo trzy razy w trakcie dziesięciu lat ich małżeństwa, chociaż nigdy nie podniósł przy niej głosu. Za każdym razem jednak miała wrażenie, że świat się kończy. A także poza służbą w rezydencji Dunbarton oraz w innych, wiejskich siedzibach księcia. Służący zawsze potrafili ocenić prawdziwą naturę człowieka i Hannie zależało, żeby ją lubili. Sądziła, że tak było.

A teraz - ku swojej irytacji - odkryła, że nie podoba jej się odrzucenie przez trzy rodziny, które nic dla niej nie znaczyły, póki nie wzięła ich kuzyna za kochanka.

Dlaczego jej się to nie podobało, nie miała pojęcia, poza tym że sprawili jej kłopot, ponieważ musiała zaprosić innych ludzi na ich miejsce.

- Trzecia odmowa - powiedziała, podnosząc do góry przy śniadaniu list od hrabiny Sheringford. - I teraz żadne z nich nie przyjedzie do Copeland, Babs. Czuję się trochę tak, jakbym była trędowata. Czy to dlatego, że zawsze noszę się na białą? Jak sądzisz? Wyglądam na chorą?

Barbara podniosła niewidzące oczy znad listu. Był

długi, z pewnością od wielbego Newcombe'a.

- Nikt nie przyjedzie? - zapytała. - Sądziłam, że wielu gości już przyjęło zaproszenia, Hanno.

- Nikt z rodziny Constantine'a - wyjaśniła księżna. - Rodziny ze strony ojca, w każdym razie. Im wydaje się najbliższy. Ale wszyscy odmówili.

- Szkoda - odparła Barbara. - Zaprosisz kogoś innego zamiast nich? Jeszcze jest czas, nieprawdaż?

- Czy uważają, że byłoby w złym guście przyjechać do Copeland, ponieważ ja i Constantine jesteśmy kochankami? - rozważała Hanna, patrząc z gniewem na list, który trzymała w ręku. - Zawsze pomawiano mnie o kochanków, nawet jeśli to była nieprawda, ale nikt nigdy mnie nie unikał. Nawet kiedy wciąż byłam zamężna.

Barbara odłożyła list, godząc się z tym, że przeczyta go później.

- Jesteś nieszczęśliwa? - zapytała.

- Nigdy nie jestem nieszczęśliwa. - Odłożyła kartkę i uśmiechnęła się smutno do przyjaciółki. - Cóż, chyba trochę. Cieszyłam się na to, że tam będą.

- Dlaczego? Jeśli zaprasza się kochanka na prywatne przyjęcie, Hanno, po co zabierać tam także jego rodzinę?

To było dobre pytanie. Również postawiła je sobie przed paroma minutami.

- To trochę tak jakby zapraszać rodzinę na miesiąc miodowy? - skwitowała Hanna. Obie parsknęły śmiechem.

- Ale zachowamy, oczywiście, najwyższą dyskrecję - powiedziała księżna. - Mój Boże, sama myśl, że mogłoby być inaczej... Ty tam będziesz i wielu innych szanownych gości.

- Zatem kuzyni stracą kilka przyjemnych dni na wsi - stwierdziła Barbara, znowu kładąc dłoń na liście.

- Ich strata.

- Ale ja chciałam, żeby przyjechali - wyznała Hanna, w ostatniej chwili słysząc lekkie rozdrażnienie we własnym głosie. I znowu użyła tego słowa, przed którym ją ostrzegano, „chciała”, ale nie mogła mieć.

„Cóż, nie zawsze możesz dostać to, czego chcesz”, spodziewała się, że powie Barbara, zanim wróci do lektury miłosnego listu pastora. Ale ona powiedziała co innego:

- Hanno, wcale nie zachowujesz się jak zepsuta arystokratka, która ma nowego kochanka, jak sama siebie postrzegasz. Zachowujesz się jak kobieta zakochana.

- Co? - Księżna niemal krzyknęła.

- Czy to nie jest trochę dziwne - zapytała Barbara, i wyglądała wtedy jak córka pastora w każdym calu - że obchodzi cię opinia krewnych twojego kochanka?

- Nie dbam... - zaczęła Hanna i przerwała. - Nie jestem zakochana, Babs. To śmieszne. Tylko dlatego że sama jesteś, myślisz, że ja też muszę?

- Przed chwilą powiedziałaś - zauważyła Barbara - że zawsze posądzano cię o kochanków, nawet jeśli to była nieprawda. Czy to kiedykolwiek było prawdą, Hanno? Nigdy w to nie wierzyłam. Hanna, którą znałam, nigdy nie sprzeniewierzyłaby się ślubom małżeńskim, nawet jeśli okoliczności jej małżeństwa były niezwykle.

Hanna westchnęła.

- Nie, oczywiście, że nigdy nie było ani żdźbła prawdy w tych plotkach - oznajmiła.

- Zatem pan Huxtable jest twoim pierwszym kochankiem - powiedziała Barbara. To było stwierdzenie, nie pytanie. - Nie wierzę, żeby Hanna, którą znałam, czy też Hanna, którą znam teraz, mogła podchodzić do tego faktu nonszalancko. Widziałam was razem w Tower i u

Guntera. Lubisz go.

- Cóż, naturalnie, że go lubię - odparła Hanna urażonym tonem. .. Boże, kiedy to ostatni raz pozwoliła sobie poczuć się urażona? - Nie mogłabym czuć niechęci, pogardy czy nawet zachować całkowitą obojętność wobec jakiegokolwiek mężczyzny, który byłby moim kochankiem, prawda?

Ale dlaczego przynajmniej nie obojętność? Przecież tego właśnie się spodziewała, czyż nie?

- Wiem bardzo niewiele na temat dżentelmenów z eleganckiego towarzystwa, a na temat pana Huxtable'a zupełnie nic - powiedziała Barbara - poza tym, że zrobił na mnie dużo lepsze wrażenie, niż oczekiwałam, kiedy zabrał nas do Tower. Pomyślałam, że on też wydaje się ciebie lubić, Hanno. Ale nie wiem. I boję się o ciebie. Boję się, że wyjdiesz z tego zraniona. Ze złamanym sercem.

- Nigdy nie czuję się zraniona, Babs. I nigdy, przenigdy nie pozwolę sobie złamać serca.

- Nie chciałabym być tego świadkiem. Ale jeszcze bardziej nie chciałabym wierzyć, że to niemożliwe. To by znaczyło, że nie zrozumiałaś wcale, dlaczego księżę Dunbarton cię poślubił i pokochał.

Hanna utkwiała wzrok w przyjaciółce. Nagle przejął ją chłód. I bała się choćby drgnąć.

- Dlaczego? - szepnęła.

- Żebyś odzyskała równowagę - wyjaśniła Barbara. - I żebyś była gotowa do miłości, prawdziwej miłości, kiedy ta się pojawi. Księżę widział nie tylko twoją urodę, Hanno. Nazwał cię aniołem, nieprawdaż? Zobaczył całą twoją naturalną słodycz i radość, która znikła w chwili, kiedy odkryłaś prawdę o Colinie i Dawn. Nawet teraz nie wiesz, jaka jesteś niezwykła, prawda? Księżę to zobaczył. Postać

Barbary nagle się rozmyśla i Hanna uświadomiła sobie, że oczy ma pełne łez. Wstała gwałtownie, o mało nie przewracając krzesła.

- Wychodzę - rzuciła. - Idę złożyć wizytę hrabinie Sheringford. Wolałabym pójść sama. Nie masz nic przeciwko temu?

- Wczoraj nie zdążyłam napisać więcej niż parę linijek do mamy, papy i Simona - odparła Barbara. - Muszę dzisiaj napisać dłuższe listy. Zaczynam czuć się, jakbym była samolubna i zaniedbywała najbliższych.

Hanna wybiegła z pokoju.

Odwiedzić hrabinę Sheringford? Po co?

Tobias - Toby - Pennethorne, ośmioletni syn Sheringforda oraz przez adopcję również Margaret, przejawiał ogromne zainteresowanie geografią świata, a Constantine wypatrył doskonały prezent dla niego na wystawie sklepu przy Oxford Street, chociaż do urodzin było jeszcze daleko. Nieważne. I tak kupił wielki globus.

A ponieważ nie mógł faworyzować jednego dziecka, podczas gdy było ich troje, kupił pstrokatę baka dla trzyletniej Sary oraz bardzo głośną drewnianą grzechotkę dla rocznego Aleksandra.

Zaniósł prezenty do domu markiza Claverbrook przy Grosvenor Square, w którym Margaret i Sheringford zatrzymywali się, kiedy przyjeżdżali do miasta, jako że Sherry był wnukiem i dziedzicem markiza. Spędził przyjemną godzinę w pokoju dziecięcym z Margaret i dziećmi, Sherry przebywał akurat gdzieś na mieście. Zaczął żywić jednak wątpliwości co do grzechotki, kiedy Sara przywłaszczyła ją sobie i uznała, że najwspanialsza zabawa na przedpołudnie polega na sprawianiu takiego hałasu, żeby wszystkim popękały bębenki w uszach, włącznie z jej



własnymi. Bąk zafascynował najmłodsze dziecko, chociaż zawsze zatrzymywało go, zanim zabawka, wprawiona w ruch przez dorosłych, sama skończyła wirować, wydając przy tym przyjemne buczenie. Za każdym razem malec płakał rozpaczliwie na znak protestu.

Toby odnalazł każdy kontynent i kraj, rzekę, ocean i miasto w znanym świecie, nie wspominając już o biegunach, wzniesieniach oraz liniach szerokości i długości geograficznej. Nalegał przy tym, żeby matka i wuj Con przyszli i podziwiali każde odkrycie. Globus zaczął przypominać narzędzie tortur.

Podwieczorki przy herbatce w szklarni Ainsley Park wydawały się teraz niezwykle spokojne, myślał wesoło Constantine. To spostrzeżenie zdziwiło go, wzięwszy pod uwagę fakt, że lubi dzieci. Ale czyż nie bawił się w nieskończoność w chowanego z Jonem, wiecznym dzieckiem? Pukanie do drzwi, które cudem usłyszeli, poprzedziło pojawienie się lokaja. Oznajmił, że jej wysokość, księżna Dunbarton, przyszła z wizytą do lady Sheringford i że jego lordowska mość polecił ją zaprowadzić do salonu. Księżna? Tutaj?

- O Boże! - zawołała Margaret. - Dziadek nigdy nie przyjmuje gości. Och, jakie to irytujące.

- Irytujące? - Constantine uniósł brwi, a ona zaczerwieniła się, unikając jego wzroku.

- Zaprosiła nas, żebyśmy spędzili cztery dni w jej domu w Kent - powiedziała Margaret - a my odmówiliśmy... z żalem.

- Ponieważ? - zapytał Constantine, podczas gdy grzechotka, ku zachwytowi wniebowziętej Sary, wydała głośne crescendo dźwięków, Alex zawył w proteście, kiedy bąk ponownie stanął, a podniecony Toby zaczął się

domagać, żeby przyszli zobaczyć Madagaskar.

- Nie chcemy opuszczać dzieci na tak długo - wyjaśniła Margaret, znowu wprawiając bąka w ruch. Sara poszła obejrzeć Madagaskar, trzymając w pogotowiu grzechotkę u boku.

A księżna odpowiedziała na odmowę, zjawiając się tutaj osobiście? Naprawdę źle znosiła odmowę, czyż nie? I nieczęsto musiała ją znosić. Czy przekona Margaret mimo wszystko? Czy po to właśnie przyszła?

Sara obracała globus pod czujnym okiem Toby'ego, malec wypatrzył kolejną zabawkę i dreptał powoli w jej stronę, zapomniawszy o złym humorze i bąku.

- Constantinie. - Margaret w końcu spojrzała mu w oczy. - Nie możemy przeżyć za ciebie życia, nawet nie chciałabym próbować. Możemy jednak odmówić akceptacji twojego związku z kobietą, która jest całkowicie bezdusznym drapieżnikiem.

Złożył dłonie za plecami.

- To ostre słowa - powiedział.

- Tak jest - przyznała.

- Pamiętam czasy, kiedy równie ostro wypowiedano się o Sherrym. Ale to ci nie przeszkodziło związać się z nim, zaręczyć, a ostatecznie wyjść za niego.

- To co innego - odparła. - Nie był winien żadnej z tych rzeczy, o jakie go oskarżano.

- Być może - powiedział - księżna Dunbarton także nie jest winna zarzutów, jakie jej się stawia.

- Och, daj spokój.

Uświadomił sobie, że grozi mu utrata panowania nad sobą. Odwrócił od niej oczy. Najmłodsze dziecko złapało jedną z książek Toby'ego i zabierało się do tego, żeby ją zjeść. Constantine rzucił się w tamtą stronę,

uratował książkę i zapobiegł gwałtownemu protestowi, podnosząc malucha do góry i sadzając go sobie na ramieniu.

- Musisz być zadurzony, jeśli w to wierzysz - stwierdziła Margaret. - I mamy rację, martwiąc się o ciebie.

- My - podkreślił. - Czy pozostali także dostali zaproszenia do Copeland?

- Nie Nessie i Elliott. Ale inni tak.

- Powiedz mi, czy wszyscy odmówili? Ponownie odwróciła wzrok.

- Tak - odparła.

Alex ciągnął Constantine'a za włosy, piszcząc z radości.

- A teraz zastanówmy się - powiedział, wyplątując włosy z piąstki malca i stawiając go na podłodze obok pudła z drewnianymi klockami. - Monty cieszył się sławą największego hulaki w Anglii. Mogę to potwierdzić, znałem go. Katherine go poślubiła. O Sherrym już wspomnieliśmy. Wyszłaś za niego. Cassandrę podejrzewano, że zamordowała swojego pierwszego męża siekierą, mimo że znaleziono w ciele Pageta kulę, a nie ranę od ciosu siekierą. Stephen się z nią ożenił. A jednak wszyscy wierzycie plotkom o księżnej Dunbarton, nie mając żadnych dowodów?

- Skąd wiesz, że ich nie mamy?

- Bo żadnych nie ma. Kochała Dunbartona, nawet jeśli nie była to miłość romantyczna. Pozostała wierna przysiędze małżeńskiej do dnia jego śmierci i była wierną wdową przez cały rok żałoby. Ja wiem, Margaret. Miałem dowód.

Gniew sprawiał, że mówił ostrym tonem. Zagryzła górną wargę.

- Och, Constantine, tobie na niej zależy. Tego się najbardziej obawialiśmy. Ale czy jesteś pewien, że nie rzuciła na ciebie uroku?

Nie odpowiedział ani nie spuścił oczu.

- Dowód.

Zamknęła oczy, po czym otworzyła je i znowu wyglądała jak zwykle - panująca nad sytuacją najstarsza siostra, która niemal samodzielnie wychowała rodzeństwo, wywiązując się z tego zadania wspaniale, zanim zdecydowała się poszukać szczęścia dla siebie.

- Lepiej pójdę i spotkam się z nią. Och, Boże, dziadek do tej pory zapewne zjadł ją żywcem. Tego typu frywolne damy budzą w nim tylko irytację. I to także pozory? Jej frywolność?

- Sama się przekonaj.

Pociągnęła za sznur od dzwonka i niania przysłała niemal natychmiast. Toby zażądał, żeby zobaczyła Indie, Sara podniosła grzechotkę i potrząsnęła nią z rozmachem, a Alex uderzył dwoma drewnianymi klocekami o siebie i zachichotał.

Constantine wyszedł z pokoju razem z Margaret. Myślał o tym, czyby się nie pożegnać, ale nie mógł się oprzeć pokusie zobaczenia Hanny w starciu z jednym z najbardziej burkliwych i srogich starych arystokratów w całej Anglii. I do tego niemal pustelnikiem.

Miał nadzieję, że nie została pożarta żywcem. Gotów był na nią postawić.

Co ona właściwie tu robi? Hanna zadawała sobie to pytanie, kiedy lokaj wpuścił ją do rezydencji Ciaverbrook, a stary kamerdyner niemal przyłożył biedakowi łokciem w brzuch, chcąc go usunąć z drogi, kiedy usłyszał jej nazwisko. Ukłonił się przed nią i zaskrzypiał. Tylko

niemądry człowiek nosi gorset w tym wieku, a on jest z pewnością między siedemdziesiątką a setką.

Po co tu przyszła? Żeby się płaszczyć? Domagać wyjaśnień? Próbować przekonać lady Sheringford, żeby zmieniła zdanie? Nie musiała długo czekać. Lokaja, który cudem uniknął ciosu łokciem w brzuch, wysłano na górę, żeby sprawdził, czy lady Sheringford jest w domu. Wykonał zadanie z zadziwiającą szybkością. Pojawił się w chwilę po tym, jak znikł, i szeptem przekazał kamerdynerowi polecenie, żeby zaprowadzić jej wysokość do salonu.

Hanna poszła za szefem służby, posuwając się, jak oceniała, w tempie o połowę wolniejszym niż zółw. Cieszyła się, że występuje w pełnej zbroi - białej muślinowej sukni, białym spencerze i białej budce na głowie. Miała nawet kilka prawdziwych brylantów w uszach i na palcach. To wszystko służyło temu, żeby się ukryć. Choć gdyby chciała wyrzucić na hrabinie wrażenie, być może powinna ubrać się prościej, może nawet bardziej kolorowo.

Było już za późno na takie myśli.

W salonie zasiadała tylko jedna osoba, jak zauważyła, kiedy kamerdyner zaanonsował ją uroczystym, grzmiącym głosem, jakby zwracał się do tysięcy. A tą osobą nie była hrabina Sheringford.

- Tak, tak, Forbes - odezwał się niecierpliwie stary dżentelmen, który siedział w fotelu blisko kominka. - Wiem, kto to jest. Bindle mi powiedział. Gdzie ona jest?

Hanna przybrała swoją słynną wyniosłą i dumną postawę, szykując się na spotkanie z hrabiną. Na dźwięk tego głosu porzuciła jednak wszelkie maski i przeszła pośpiesznie przez pokój, żeby stanąć przed fotelem markiza

Claverbrook. Wyciągnęła do niego obie dłonie w rękawiczkach i uśmiechnęła się ciepło.

- Oto jestem - powiedziała. - I pan jest. Musiały minąć lata.

Był jednym z przyjaciół księcia. Hanna spotkała go parę razy, zanim zamknął się w domu po wielkim skandalu związanym z jego wnukiem i stał się pustelnikiem, nie przyjmując gości ani nigdzie nie bywając. Był szorstkim, często niecierpliwym mężczyzną, ale nigdy wobec niej. W jego oczach zawsze pojawiał się błysk, kiedy na nią patrzył czy z nią rozmawiał. Zawsze sądziła, że ją lubi. I ona czuła do niego sympatię.

Wypuścił z rąk srebrną gałkę laski i ujął jej dłonie. Oddała uścisk, uważając, żeby nie zrobić tego zbyt mocno. Uważała też, żeby nie urazić go którymś z pierścieni.

- Hanno - powiedział. - To naprawdę ty. I jesteś jeszcze piękniejsza niż wtedy, gdy jako dziewczynę stary Dunbarton porwał cię z jakiejś zapadłej dziury na prowincji i poślubił. Stary diabeł. Przez całe życie żadna kobieta mu nie odpowiadała, a potem ty się zjawiłaś, kiedy był już prawie zgrzybiałym starcem.

- Niektóre rzeczy - zauważyła - są nam pisane.

- Hm - mruknął, potrząsając lekko jej dłońmi. - I, jak sądzę, poślubiłaś go dla pieniędzy. Których mu nie brakowało.

- I ponieważ był księciem i mógł uczynić mnie księżną - dodała. - Nie może pan o tym zapominać.

- Zatem nie miałbym u ciebie szans, nawet gdybym zobaczył cię pierwszy. Byłem tylko markizem.

- I pewnie nie takim bogatym jak księżę.

Uśmiechnęła się. Jego siwe włosy przerzedziły się, w przeciwieństwie do siwych brwi. Między brwiami biegła

głęboka pionowa bruzda świadcząca o gwałtownym usposobieniu, jego oczy często patrzyły gniewnie, nos przypominał ptasi dziób. Wyglądał na zgryźliwego starca.

- Kochałam go - przyznała. - I wciąż go opłakuję. Gdybym kiedykolwiek знаła swojego dziadka, chciałabym, żeby był taki jak książę. Ale ponieważ nie miałam dziadka, a miałam szczęście spotkać księcia, wyszłam za niego za męża.

- Hm - mruknął znowu. - I powiodłaś go do wesołego tańca, czyż nie, Hanno?

- Och, wesołego w istocie, chociaż przestał niestety tańczyć po siedemdziesiątych ósmym urodzinach. Ale codziennie znajdowaliśmy powód do śmiechu. Śmiech jest lepszy niż leki.

- Hm. Ale w końcu umarł i tak.

- Słyszałam, że pańskie lekarstwo pojawiło się pod postacią żony pańskiego wnuka. Podobno nie słucha żadnej głupiej gadaniny i jest pana ulubienicą wśród dorosłych na tym świecie. I słyszałam także, że rozpieszcza pan swoje prawnuki, które mieszkają tutaj podczas sezonu. Co to za pustelnia? Raczej udawana, śmiem twierdzić.

- Byłaś nieśmiałą dziewczyną, Hanno, kiedy Dunbarton cię poślubił. Kiedy zrobiłaś się taka zadziorna? - Po ślubie z nim. Nauczył mnie, że ludzie tacy jak pan to w gruncie rzeczy kotki udające lwy. Zachichotał, a oczy Hanny zabłysły z rozbawienia.

- Dunbarton to był kawał szelmy za młodu - powiedział. - Mówił ci kiedyś? Nie był kotkiem, Hanno. Walsh, dawno nie żyje, uderzył go pewnego ranka rękawiczką w twarz pośrodku czytelnicy u White'a i wyzwał na pojedynek za to, że bałamuci mu żonę. Spotkali się na jakimś odludnym wrzosowisku, nie pamiętam dokładnie

gdzie. Tak wiek działa na umysł. Ale byłem tam. Walshowi ręka drżała jak liść podczas huraganu i jego strzał chybił o milę. Dunbarton wymierzył starannie, nie śpiesząc się, z ręką pewną jak skała, a potem, w ostatniej możliwej chwili, zgiął rękę w łokciu i wystrzelił w powietrze. Wszyscy bylibyśmy rozczarowani, gdyby nie przeprowadził tego tak gładko. Biedny Walsh musiał na rok wycofać się na wieś z podwiniętym ogonem. Sądzę, że byłby szczęśliwszy, gdyby Dunbarton zrobił mu dziurę w ramieniu albo odstrzelił kawałek ucha, a mógł to zrobić, na Jowisza. Był znakomitym strzelcem.

- Miał za dobre serce, żeby zabić człowieka - stwierdziła Hanna.

- Dobre serce? - Markiz prawie się rozżłościł. - Postąpił w najokrutniejszy możliwy sposób, Hanno. Okazał Walshowi pogardę. Upokorzył go. Sugerował nawet, żeby medyk położył go na trawie i zaaplikował mu sole trzeźwiące. Postąpił wspaniale. A wszyscy wiedzieli, że to Jackman cieszył się względami lady Walsh, nie Dunbarton. Nawet Walsh musiał o tym wiedzieć, ale Jackman był małym chudym mężczyzną i Walsh zrobiłby z siebie pośmiewisko, gdyby jemu rzucił rękawicę. Toteż poczekał, aż Dunbarton zatańczył pewnego wieczoru z jego żoną, i wyzwiał go następnego dnia u White'a.

Ten człowiek widocznie szukał śmierci. Albo nie miał krzty rozumu. Prawdopodobnie to ostatnie. Hanna wciąż się uśmiechała.

- Ach, wspaniałe czasy - westchnął. - Niezwykły mężczyzna, ten Dunbarton, Hanno. Diabeł wcielony. Wszystkie panny o nim marzyły... i nie tylko dlatego, że był księciem i to nieprzyzwoicie bogatym, zapewniam cię. Ale on żadnej nie chciał. Powinnaś go wtedy poznać.



- Obawiam się, że nawet mój ojciec i matka wtedy się nie znali. Znowu parsknął śmiechem.

- Dostałaś go jednak w końcu. Oswoiłaś go, Hanno. Zadurzył się w tobie.

- Tak - zgodziła się - tak było. Ale czy zapomina się o manierach tak samo jak o miejscach pojedynków, kiedy przekracza się osiemdziesiątkę? Czy nie zostanie poproszona, żebym usiadła i wypić filiżankę herbaty?

Znowu potrząsnął jej ręką.

- Możesz usiąść, gdzie ci się podoba - powiedział. - Ale najpierw musisz pociągnąć za sznur od dzwonka, jeśli chcesz herbatę. Gdybyś chciała czekać, aż ja wstanę i to zrobię, to pewnie doczekałabyś obiadu.

- Poleciałam już podać herbatę, dziadku - odezwał się głos od drzwi i lady Sheringford weszła do pokoju.

Constantine stał w progu. Hanna nie miała pojęcia, od jak dawna tu byli. Usiadła na kanapie.

- Proszę wybaczyć, że musiała pani czekać, wasza wysokość - powiedziała lady Sheringford. - Zajmowałam się dziećmi w pokoju na górze.

- Przyszłam właśnie w związku z dziećmi - odparła Hanna. - Obawiam się, że z zaproszenia, które wysłałam pani przed paroma dniami, nie wynikało jasno, że pragnę gościć również dzieci. To dotyczy wszystkich osób, które zaprosiłam. Nie chciałabym być przyczyną rozdzielenia rodziców od dzieci nawet na cztery dni. A Copeland ma długą galerię na górnym piętrze, którą z pewnością przeznaczono dla dzieci na deszczowe dni. I ogromny park, las i wodę, które czynią z niego raj dla najmłodszych, kiedy nie pada. Wielu moich sąsiadów ma pociechy, które wpadną bez wątplenia w zachwyty, kiedy w Copeland pojawiają się rówieśnicy do zabawy. W istocie, będąc w

Londynie, planowałam z zapalem przyjęcie dla dzieci. Zapewnię im dużo atrakcji. Nie proszę, aby rozważyła pani ponownie moje zaproszenie. Przypuszczam, że ma pani inne zobowiązania, których nie może pani lekceważyć. Jednakże, jeśli obawiała się pani wyjazdu głównie ze względu na dzieci, to proszę się może jeszcze zastanowić.

- Copeland - odezwał się markiz. - Nie pamiętam tej posiadłości, Hanno.

- Jest w Kent - wyjaśniła. - Książę kupił ją dla mnie, żebym miała własny dom po jego śmierci.

- Jest pani bardzo uprzejma - powiedziała lady Sheringford. - Czy mogę omówić to najpierw z moim mężem?

- Jak również być może z Katherine i Montym oraz Stephenem i Cassandrą - odezwał się Constantine, wchodząc głębiej do pokoju. Usiadł na krześle w pewnej odległości od Hanny. - Wspomniałaś, Margaret, że oni także nie chcieli rozstawać się z dziećmi.

- Zrobię to - obiecała w chwili, kiedy wniesiono tacę z herbatą. - Znasz Constantine'a, dziadku.

- Huxtable? Wnuk Mertona? Znałem twojego dziadka. Wspaniały człowiek. Jednak nie dbał zanadto o syna. To jest, twojego ojca, jak się domyślam. Szczęśliwie nie jesteś do niego podobny. Widocznie wdałeś się w matkę. Była Greczynką, nieprawdaż? Córka ambasadora?

- Tak, panie - odparł Constantine.

- Byłem w młodości w Grecji - oznajmił markiz. - I we Włoszech, i wszędzie, dokąd młodemu człowiekowi wypadało jechać, zanim wojny wszystko popsowały. Wiesz, wielka podróż. Podobał mi się Partenon. Niewiele pamiętam, poza ogromem błękitnego morza. I wina, oczywiście. I kobiet, choć nie będę rozwijał tego tematu w

obecności dam.

Gawędzili przyjaźnie przez pół godziny, po czym Hanna wstała, żeby się pożegnać.

- Musisz mnie jeszcze odwiedzić, Hanno - powiedział markiz. - Mojemu sercu dobrze robi widok twojej ślicznej twarzy. I nigdy nie pozwól temu staremu głupcowi, kamerdynerowi, wmówić sobie, że nie ma mnie w domu.

- Jeśli próbowałby czegoś tak głupiego - odparła Hanna, podchodząc do starca, żeby ująć jego dłoń w swoje obie ręce - przemknę obok niego, wbiegnę po schodach i wpadnę tutaj niezapowiedziana. A po moim wyjściu będzie pan mógł do woli na niego krzyczeć i zagrozić mu zwolnieniem.

- Nie odszedłby. Próbowałem się go pozbyć, zapewniając mu solidną rentę i do tego własny dom. Duncan próbował. Margaret próbowała. Nie ma sensu go zwalniać. Odmówiłby zwolnienia.

- Opieka nad tobą i ochrona twojego domu przed inwazją trzyma go przy życiu i w dobrej formie, dziadku - stwierdziła lady Sheringford. - Wasza wysokość, to bardzo miłe z pani strony, że przyszła tu pani dzisiaj. Przyślę pani ostateczną odpowiedź jutro rano, jeśli można. Wszyscy przyślemy. Hanna pochyliła się nad fotelem starca i pocałowała go w policzek, a potem wyprostowała się i puściła jego rękę.

- Dziękuję - zwróciła się do lady Sheringford.

- Odprowadzę panią do domu, księżno, jeśli pani pozwoli - powiedział Constantine. - Choć jestem pieszo.

Co on tu robił? Hrabina była z dziećmi w pokoju dziecięcym. Czy on też tam był? Z dziećmi?

- Dziękuję, ja także - odparła i wysunęła się z pokoju

przed nim. Ujęła go pod ramię, kiedy znaleźli się na chodniku; szli przez chwilę w milczeniu. Co za dziwny poranek, myślała. Wciąż nie była całkiem pewna, dlaczego tam poszła. Ale, och, jak cudownie zobaczyć znowu markiza Claverbrook. Jednego z rówieśników księcia.

- Markiz opowiedział mi o pojedynku, jaki książę stoczył przed wieloma laty - odezwała się - z powodu czyjejś żony. Oskarżono go o cudzołóstwo. Zabawne, czyż nie? Markiz mówił, że był z niego diabeł wcielony w tamtych czasach.

- Ale go oswoiłaś. Tyle usłyszałem.

- To zabawne. Kiedy postanowiłam, że zostaniesz moim kochankiem, pomyślałam, że oswoję diabła. Nie zdawałam sobie sprawy, że już to zrobiłam z innym mężczyzną.

Roześmiała się.

- Mnie także oswoiłaś? - zapytał.

- Och, Constantine, okazało się, że jednak wcale nie jesteś diabłem. A ja nie mogę oswoić czegoś, czego nie ma. Odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego.

- Rozczarowana?

Czy była? O ileż łatwiej by się żyło - tak jak planowała - gdyby naprawdę był bezwzględny, niebezpieczny, zmysłowym diabłem, za jakiego go brała. Wyzwaniem byłoby starcie się dwóch inteligencji, zdobycie go, zatrzymanie przy sobie. A porzucić go i zapomnieć z nadejściem lata byłoby najłatwiejszą rzeczą na świecie.

Ale czy była rozczarowana? Albo też czy stanowił wyzwanie pod innymi względami? Wyzwanie, żeby go jednak zdobyć. I żeby pokonać samą siebie i osobę, za jaką się uważała.

Nie była już pewna, kim się stała. Nie była taką dziewczyną jak dawniej, to wiedziała na pewno.

Tamta dawno odeszła. Ale nie była także osobą, którą stała się we własnym przekonaniu... nie teraz, kiedy została sama, żeby żyć na własny rachunek.

Nie była ani trochę taka twarda jak tamta kobieta. Ani taka pewna przeznaczenia i drogi, jaką musi obrać, żeby się spełniło. Książę jednak nie uczył jej nigdy, żeby była twarda czy pewna. Nauczył ją lubić siebie, kierować własnym życiem, uodpornić się na zazdrość i plotki, które miały jej towarzyszyć na każdym kroku i... I czekać na tego kogoś, kto stanie się sensem jej życia.

Czy Constantine nim był? Porzuciła tę myśl z przerażeniem. Wielkie nieba. Czy brakowało jej instynktu samozachowawczego nawet po jedenastu latach? Ale nie był diabłem.

Miała wrażenie, że puchnie jej od tych myśli głowa.

- Czy to znaczy, że tak? - nalegał.

Zapytał przedtem, czy czuła się rozczarowana.

- Wcale nie - odparła. - Obiecałam sobie najlepszego kochanka w całej Anglii i nie mam powodu przypuszczać, że go nie znalazłam. Przynajmniej w tym roku.

- Otóż to, księżno. - Jego oczy śmiały się w twarzy, która wydawała się spokojna. Bez wyrazu kpiny, pomyślała, ale raczej...

Wyrażała serdeczność? Cóż.

Ale serdeczność?

Powrócił znowu kołowrót myśli.

- A więc - zapytał - o co chodzi z tym przyjęciem dla dzieci w Copeland?

Ach, tak, jeszcze i to. Plan powzięty pod wpływem chwili, który teraz musiała wprowadzić w życie. Nigdy nie

mówiła pod wpływem impulsu. Nigdy nie podejmowała pochopnych decyzji. Z wyjątkiem wizyty u hrabiny Sheringford. I przyjęcia dla dzieci w Copeland. Constantine śmiał się cicho.

- Księżno - powiedział - gdybyś mogła teraz zobaczyć wyraz swojej twarzy.

- To będzie najwspanialsze przyjęcie, jakie można sobie wyobrazić - oświadczyła wyniośle. Roześmiał się znowu.

Hanna wyjechała do Copeland z Barbarą trzy dni przed spodziewanym przyjazdem gości. Nie żeby ich obecność była tam potrzebna. Gospodyni, niezwykle kompetentna dama, panowała w pełni nad służbą i prowadzeniem domu. Miała również tę zaletę, że dawała się lubić i cała służba była jej oddana.

Hanna zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, że będzie innym wchodzić w drogę, a pewnie także wprawiać ich w złość, kiedy przez trzy dni kręciła się niespokojnie po domu. Odkrycie, że przygotowania do mającego się wkrótce odbyć przyjęcia toczą się gładko, a jej obecność wydaje się zbędna, budziło w niej lekki niepokój. Czasami czuła, że zachwyciłoby ją, gdyby miała jakiś kawałek podłogi, który mogłaby osobiście wyszorować.

Jakże zdumiona i rozbawiona byłaby socjeta, gdyby się dowiedziano, że księżna Dunbarton odczuwa obawę.

I podniecenie.

Książę kupił dla niej Copeland, kiedy osiągnął zaiste sędziwy wiek. Przyjeżdżali tu czasem i spędzali kilka dni. Zapraszali nawet sąsiadów na herbatę. Hanna także podejmowała gości podczas roku żałoby, który tu spędziła, ale niezbyt często i nigdy na dużą skalę. Pogrążona w melancholijnym nastroju, przeważnie wolała być sama.

To miało być jej pierwsze przyjęcie w tym domu. Chciała, żeby wszystko wypadło doskonale.

Czuła zazdrość - a czasami irytację - z powodu pogodnego spokoju, jaki zachowywała Barbara.

Przechadzała się po dworze z Hanną, a nawet po domu trzeciego, deszczowego dnia, który poprzedzał

przybycie gości. Potrafiła też godzinami siedzieć, haftując, czytając albo pisząc listy.

- A co, jeśli jutro będzie padać? - zapytała Hanna, kiedy ostatniego dnia spacerowały po galerii. Deszcz stukał o szyby po obu stronach.

- Wszyscy pośpiesznie wejdą do domu, wysiadłszy z powozu - powiedziała rozsądnie Barbara. - Na pewno nie będzie padało tak mocno, żeby drogi stały się nieprzejezdne.

- Ale chciałabym, żeby wszyscy zobaczyli Copeland w najbardziej sprzyjających warunkach - stwierdziła Hanna.

- Będą zatem mile zaskoczeni, kiedy słońce wyjdzie następnego dnia po ich przyjeździe. Albo jeszcze następnego. - A jeśli będzie padać każdego dnia? - zapytała księżna. Barbara spojrzała na nią uważnie i ujęła ją pod ramię.

- Hanno - oznajmiła. - Copeland jest piękne przy każdej pogodzie. I ty jesteś piękna w każdych warunkach: śliczna, czarująca i dowcipna. Musiałaś już wiele razy urządzać takie przyjęcia.

- Ale nigdy tutaj - odparła. - I co będzie z dziećmi, Babs? Nigdy nie podejmowałam dzieci.

- Będą uszczęśliwione - zapewniła Barbara. - I ostatecznie odpowiadają za nie rodzice, nie ty.

- Ale przyjęcie... - Hanna niemal zaszlochała. - Nigdy w życiu nie wydawałam przyjęcia dla dzieci.

- Chodziłaś na nie jednak, kiedy byłyśmy dziećmi - przypomniała jej Barbara, nie po raz pierwszy. - A ja opiekowałam się kilkorgiem, kiedy papa był wciąż pastorem, a mama nie mogła się nimi zajmować. Przygotowałaś tyle atrakcji, że będą się bawić przez cały



czas.

- Kręci mi się już w głowie - powiedziała księżna.

Barbara podprowadziła ją do ławki przy oknie, posadziła i ujęła dłonie przyjaciółki.

- Przykro mi, że się niepokoisz, Hanno. Ale, choć to dziwne, cieszę się z tego. Myślę, że na moich oczach stajesz się osobą, którą zawsze miałaś się stać. Odkąd przyjechałam do Londynu, twoja cera zaczęła nabierać kolorów, oczy błyszczeć, a twarz wyraźnie ożyła. Podejmujesz całe rodziny, a nie tylko paru wybranych arystokratów, i zastanawiasz się, jak umilić im czas. Myślę...

Księżna uniosła brwi. Barbara westchnęła.

- Nie powinnam tego mówić. Będziesz się złościć. Nie jestem nawet pewna, czy chcę to powiedzieć. Myślę, że się zakochujesz. Albo już się zakochałaś.

Hanna wyrwała rękę.

- Nonsens! - oświadczyła gwałtownie. - A widzisz, Babs? Podczas gdy tu siedziałyśmy, deszcz przestał padać. Spójrz, słońce tworzy promienny krąg za chmurami. Jutro będzie jasno świecić, a trawa, drzewa i kwiaty będą wyglądały bardziej świeżo i piękniej dzięki temu, że zmoczył je deszcz. Wstała i podeszła do okna.

Miała ochotę zignorować to, co Barbara powiedziała o zmianach rzekomo w niej zachodzących, lecz znienacka przyszło jej na myśl, że księżę od początku zapowiadał moment, kiedy będzie mogła odsłonić swoje prawdziwe ja. I być sobą.

Nareszcie zdobyła się na odwagę, żeby stać się osobą, którą on chciał, żeby była; nadal ogarnięta niepokojem i trochę niepewna, ale gotowa zmagać się z życiem i nim się cieszyć, zamiast się przed nim bronić

ukryta za maską księżnej. W końcu stawała się osobą, którą sama chciała być.

- Babs - odezwała się - w co ja się jutro ubiorę? To jest, w jakie kolory? Biały? Czy coś żywszego? Dlaczego pytała? Sama musiała się zdecydować. Zastanawiała się nad tym od trzech dni, a może dłużej. Tak jakby losy świata zależały od tego, czy podejmie właściwą decyzję.

Roześmiała się.

- Nie musisz odpowiadać - oznajmiła. - Sama zdecyduję. Co ty włożysz? Jedną ze swoich nowych sukienek?

- Chcę, żeby Simon pierwszy mnie w nich zobaczył - odparła z powagą Barbara. - Choć pewnie powinnam chodzić w nich tutaj, Hanno, gdzie zjawi się tylu znakomitych gości.

- Twój pastor musi być pierwszym, który je zobaczy. - Hanna odwróciła się i spojrzała czule na przyjaciółkę. - Masz ładne stroje oprócz nich.

Nie zamierzała myśleć o tym, co Barbara niedawno powiedziała. Po prostu nie.

Ale upłynęły trzy dni i trzy noce, odkąd widziała go po raz ostatni. I wiedziała, że chociaż pragnie, żeby wszystko było doskonale dla wszystkich gości, i chce, żeby wszyscy zobaczyli Copeland od najlepszej strony, kiedy przyjadą następnego dnia, to chce jednak, żeby dla Constantine'a wszystko było trochę bardziej doskonale.

Nic nie może być doskonalsze niż doskonale.

Ale tego chciała. Dla niego.

Nie miała ochoty dociekać powodów.

- Umieram z głodu - powiedziała. - Chodźmy na herbatę.

Copeland leżało parę mil na północ od Tunbridge

Wells w Kent. Karetą przemierzała malowniczą wiejską okolicę, mijała sady, pola chmielu, pasące się bydło. Constantine rozglądał się z ciekawością, podróżując w towarzystwie Stephena i Cassandry. Dziecko mogli powierzyć niańce, która jechała innym powozem, ale wydawało się, że jest za małe i zbyt cenne, żeby stracić je z oczu na dłużej. Stephen trzymał je przez większość czasu i przemawiał do niego, jakby to był mały dorosły. Niemowlę przyglądało mu się poważnym wzrokiem, z wyjątkiem tych chwil, kiedy powieki mu zatrzepotały i zasnęło. Cassandra poprawiała kocyk i czepeczek dziecka i uśmiechała się do Stephena. To wszystko było odrobinę denerwujące. Nie z powodu nieskrywanych i krępujących objawów czułości między mężem i żoną, ale być może właśnie z powodu ich braku. Tak dobrze się ze sobą czuli, Stephen i Cassandra, było widać gołym okiem, że mały Jonathan jest dla nich całym światem. To było takie nieznośnie rodzinne. A Stephen, jak się doliczył Constantine, miał dwadzieścia sześć lat. Dziewięć lat mniej od niego. Odczuwał niejasny niepokój. I zazdrość.

Naprawdę musi się poważnie zastanowić nad znalezieniem odpowiedniej żony. Może w przyszłym roku. W tym roku był zbyt związany z księżną. Ale jeśli zamierzał mieć dzieci - a w tym roku chyba po raz pierwszy zapragnął nagle mieć własne córki i synów - to należałoby założyć rodzinę przed czterdziestką. Nawet teraz był starszy, niż powinien.

Zajął umysł rozmową i przeczytał ostatnie sprawozdanie Harveya Wexforda z Ainsley bardziej starannie, niż zdołał to zrobić przy śniadaniu.

Jedno z jagniąt zdechło... ale niedomagało od urodzenia. Pozostałe rozwijały się świetnie. Podobnie jak cieleta, z wyjątkiem dwóch, które przyszły na świat martwe. Plony zapowiadały się znakomicie, jako że przez cały miesiąc było ciepło, a deszcz spadł wtedy, kiedy był potrzebny, chociaż teraz także mogłoby popadać. Roseann Thirgood, nauczycielka, która kiedyś pracowała w londyńskim burdelu, kupiła kilkanaście nowych książek do klasy, ponieważ sporo jej uczniów, zarówno dzieci, jak i dorosłych, czytało elementarz sprowadzony w zeszłym roku z zamkniętymi oczami. Kevinowi Hurdle'owi usunięto zepsuty ząb i od tamtego czasu paradował po domu i gospodarstwie z szarzącą stopniowo chustką przewiazaną pod brodą. Dotty, córeczka Winifred Baker, do której to imię świetnie pasowało<sup>4</sup>, pewnego ranka przebyła całą drogę z kurnika do kuchni, skacząc na skakance i wywijając koszykiem z trzema jajkami; w rezultacie jajka rozlały się po całej podłodze kuchni, którą Betty Ulmer właśnie umyła, a koszyk połamał się doszczętnie. Jakiś lis odwiedzał gospodarstwo nocami, chociaż, jak dotąd, odchodził głodny. Jeden z koni pociągowych okulał, ale udało się znaleźć i wyciągnąć kolec spod podkowy i zwierzę dochodziło do siebie. Winford Jones i jego żona przekazali serdeczne podziękowanie za prezent ślubny, jaki ostatnio wysłał im pan Huxtable w osobnej paczce. Zamknął oczy i za przykładem dziecka zasnął na trochę.

A potem znaleźli się na miejscu. Kareta skręciła gwałtownie między kamiennymi słupami bramy, budząc wszystkich, jak podejrzewał Constantine, z wyjątkiem Stephena, który trzymał dziecko ze skupioną uwagą,

---

4 dotty (ang.) - postrzelony (przyp. tłum.).

podstawiając cały czas ramię pod prawy policzek Cassandry, żeby mogła się na nim opierać.

Kareta posuwała się wzdłuż biegnącego prosto podjazdu, mijając klony uszeregowane niczym żołnierze na paradzie. Droga w pewnej chwili zaczęła się podnosić, prowadząc w stronę szarego, kamiennego domu na szczycie wzgórza. Rezydencja, dworek - oba słowa pasowałyby do opisu. Dom był wielkości Ainsley. Nad umieszczonym pośrodku portykiem, ozdobionym kolumnami, wznosił się ozdobny fronton. Wzdłuż płaskiego dachu biegła kunsztownie rzeźbiona balustrada. Wysokie, wąskie okna zmniejszały się od pierwszego do trzeciego piętra. Była to dziwna i przyjemna mieszanina stylów. Ściany porastało dzikie wino.

Park, jak zauważył Constantine, rozciągał się wokół domu na wszystkie strony. Najbliżej były trawniki, potem zagajniki, w końcu gęstszy las. W oddali lśniła tafla wody. Miał wrażenie, że obsadzony klonami podjazd stanowił jedyny formalny rys parku.

Podobało mu się tutaj.

- Jak tu ślicznie - powiedziała Cassandra. - Wydaje się tak spokojnie.

- Raj dla dzieci - odezwał się Stephen. - Rozumiem, co księżna miała na myśli, kiedy rozmawiała o tym z Margaret. Raj dla dorosłych także. Kocham Londyn, ale dobrze jest od czasu do czasu uciec na wieś. Księżna miała świetny pomysł, wydając tutaj przyjęcie. Zgodzisz się ze mną, Con?

- Oczywiście. Powietrze pachnie świeżością, nawet przy zamkniętych oknach powozu. Podjazd doprowadził ich do kwadratowego, wysypanego żwirem dziedzińca, poniżej szerokich schodów i imponujących filarów. Panna

Leavensworth stała na trawniku z państwem Parkami i państwem Newcombe'ami, których Constantine poznał w londyńskiej Tower.

Katherine i Monty stali na trawniku po drugiej stronie. Hal na ramionach Monty'ego. Sherry, który był nieopodal, trzymał Alexa za ręce, podczas gdy malec dreptał po trawie, zmierzając do nieznanych celów. Margaret i parę innych osób, których nie rozpoznał - niejedną z nich była jej córka, Sara - spacerowało, wracając znad wody. Toby i starszy syn Sherry'ego siedzieli na drzewie ze starszym chłopcem - jednym z bliźniaków państwa Newcombe'ów.

Ich grupa, jak domyślił się Constantine, przyjechała jako ostatnia.

Hanna schodziła po schodach. Miała na sobie słonecznie żółtą suknię. Jej upięte wysoko włosy sprawiały wrażenie, jakby mogły rozsypać się lada moment, choć Constantine mógłby się założyć, że tak się nie stanie. Uśmiechała się, policzki miała zaróżowione, oczy jej błyszczwały.

Wciągnął powietrze. Miał nadzieję, że nikt tego nie usłyszał.

Nie widział jej przez trzy dni. Przyjechała wcześniej, żeby się przygotować na przyjęcie gości.

Constantine'owi wydawało się, że minęły co najmniej trzy tygodnie.

Wyglądała jak dziewczyna. Nie, jak bardzo młoda dama, która wchodzi w świat pełna optymizmu, nadziei i radości.

Zeszła na dziedziniec, kiedy woźnica otworzył drzwi karety, spuścił schodki i pomógł Cassandrze wysiąść.

- Lady Merton - powiedziała - witam w Copeland.

Przestałam się martwić, kiedy lady Montfbrd wyjaśniła, że musiała się pani zatrzymywać częściej po drodze ze względu na maleńkie dziecko. Cieszę się jednak, widząc, że ostatni z gości przybyli bezpiecznie.

Podawała jej prawą rękę, którą Cassandra ujęła.

- Jestem szczęśliwa, że tu jestem - odparła. - Jakie to wspaniałe, że ktoś zbudował dom właśnie w tym miejscu. Trudno sobie wyobrazić piękniejsze otoczenie.

- To prawda - zgodziła się księżna, po czym zwróciła się do Stephena: - Lordzie Merton. Witam pana. Och, maleństwo.

Podeszła bliżej, patrząc na dziecko z ciekawością.

- Och, jest piękny. - Nie była to tylko uwaga kobiety, która zachwyca się dzieckiem innej, ponieważ tak wypada.

- Jest piękniejszy, kiedy się go trzyma. - Stephen uśmiechnął się, wkładając zawinięte w kocyk niemowlę w jej ramiona.

Wydawała się przestraszona, zaniepokojona i... I nagle jej twarz przybrała wyraz, którego Constantine nie potrafiłby opisać. Nie uśmiechała się już. Nie musiała. A potem uśmiechnęła się znowu... powoli.

- Jest cudowny - oznajmiła. - Chyba się zakochałam. Jak ma na imię?

- Jonathan - powiedział Stephen.

- Och. - Spojrzała na niego, a potem na Constantine'a.

- Za pozwoleniem Cona - dodał, odbierając od niej dziecko. - Mój poprzednik, brat Cona, także nazywał się Jonathan. Mówił pani o tym?

- Tak - odparła. - Odwróciła się w końcu do niego. - Constantine. Witaj.

- Księżno. Dziękuję.

Ujął jej dłonie i pocałował ją w policzek. I się uśmiechnął. Odwzajemniła uśmiech. Boże. Och, dobry Boże. Cofnął ręce i się rozejrzył. Powoli wciągnął powietrze.

- Rozumiem, dlaczego kochasz Copeland i chcesz je pokazać - rzekł. - To cudowne miejsce.

- Tak - odparła cicho. Ze smutkiem?

Przybiegła Sara, wyprzedziwszy Margaret i całą grupę, ściskając w rączce bukiet stokrotek.

- Wujek Con! - krzyknęła. - Dla ciebie, wasza wysokość. - Wcisnęła stokrotki w rękę Hanny. - Wujek Steve. Pozwól mi zobaczyć niemowlaka.

Constantine znowu spojrział na Hannę. Uśmiechała się, patrząc na kwiaty. Z którymi było jej bardziej do twarzy niż z brylantami, jakie zwykle nosiła. Ich oczy znowu się spotkały; oboje się uśmiechnęli.

To, pomyślał, być może nie było jednak dobrym pomysłem.

Nie zadał sobie pytania, czym jest owo „to”.

Hannie wydawało się, że minęły wieki, cała wieczność, odkąd widziała Constantine'a.

A potem, kiedy go zobaczyła, uświadomiła sobie, jak inaczej z czasem zaczęła go postrzegać. Nie był już mrocznym, tajemniczym, być może niebezpiecznym, niezwykle atrakcyjnym i niemal obcym mężczyzną, który stanowił część jej otoczenia w ciągu wielu lat, mężczyzną, którego postanowiła zimą uczynić swoim pierwszym kochankiem, wyniosłym arystokratą, z którym spotkała się w Hyde Parku tej wiosny, kiedy jechał konno w towarzystwie lorda Montford i hrabiego Merton. Nie stanowił już podniecającego wyzwania, jak podczas



pierwszych spotkań, kiedy się nim bawiła, póki nie przejął panowania nad sytuacją i nie sprawił, że zaczęli romans tamtej nocy, na długo zanim ona się tego spodziewała.

Widując go dzień w dzień w Londynie, nie zdawała sobie sprawy, jak inaczej na niego patrzy od tamtej nocy. Dzisiaj obserwowwała zbliżającą się karetę hrabiego Merton, wiedząc, że on jest w środku, i czuła, jak serce zaczyna jej szybciej bić. A kiedy przywitała hrabinę, a później hrabiego, zobaczyła i pottrzymała w rękach cud ich nowo narodzonego dziecka, cały czas czuła obecność Constantine'a niczym ciepły płomyczek ogrzewający ją od środka.

A potem, nareszcie, mogła się do niego odwrócić, popatrzeć mu w oczy, wyciągnąć ku niemu obie ręce.

I był po prostu Constantine'em.

Nie mogła sobie pozwolić, żeby zbadać teraz tę mało wnikliwą myśl. W ogóle nie chciała się nad nią zastanawiać. Czuła jednak pieczenie w piersi i gardle, jakby powstrzymywała łzy.

Przywitała go, uśmiechnęła się do niego, ciesząc się, że nie zagłębiła się we własne uczucia, albo też - o zgrozo - nie uroniła paru łez, kiedy odwrócił się od niej, czyniąc uprzejmą uwagę o Copeland.

Przez chwilę żałowała, że jednak nie włożyła białej sukni i nie przystroiliła się brylantami, stając się na powrót osobą, która żyła bezpiecznie za maską księżnej Dunbarton. Ale nie, nie żałowała tego naprawdę. Ponieważ przez te cztery dni chciała być sobą, bez bezpiecznego kokonu. Dziwnie jej zależało, żeby zrobić dobre wrażenie na krewnych Constantine'a. Niejako księżna Dunbarton, ale jako Hanna. Jako ona sama.

Trudno jej było przyznać, że uraziła ją ich

początkowa odmowa, ponieważ dawno już zdecydowała, że nigdy nie dopuści, aby raniły ją opinie i zachowanie - albo odrzucenie - ze strony innych ludzi. Tym razem jednak być może poczuła się lekko urażona. Nie wiedziała dlaczego.

Zmienili zdanie i przyjechali. Czy z powodu jej wizyty w rezydencji Claverbrook? Przypuszczała, że tak. Czy różnicę sprawiła propozycja, żeby ugościć dzieci wraz z dorosłymi? Czy markiz powiedział coś po tym, jak wyszła? Czy Constantine coś mówił? Z pewnością nie. Nie lubili jej, jak podejrzewała Hanna, ponieważ pragnęli dla niego kogoś lepszego niż kobieta o wątpliwej reputacji.

Jakkolwiek by było, otrzymała drugą szansę i chciała wywrzeć na nich dobre wrażenie. Pokazać im, że jest... człowiekiem. Udowodnić, że nie jest arogancką, bezwzględną, pozbawioną serca nuworyszką, za jaką - jak wiedziała - ją uważano. Zaprezentować siebie jako ciepłą i wspaniałą gospodynię.

A tuż po przyjeździe hrabia Merton pozwolił jej potrzymać dziecko.

A córeczka lorda Sheringforda zerwała dla niej z nieskoszonej trawy przy jeziorze bukiet stokrotek, który wcisnęła jej do ręki, i pobiegła do bardziej interesującego dla niej małego kuzyna, jakby Hanna nie była osobą godną szczególnej uwagi.

Dobrze się było poczuć przez chwilę kimś przeciętnym, przed kim dziecko nie musi stać na baczność.

Wstawi stokrotki do wazonu i umieści na stoliku koło łóżka. Wydawały się cenniejsze niż róże czy brylanty.

- Każę was zaprowadzić do pokoiów - zwróciła się do hrabiego i hrabiny oraz Constantine'a. - Później spotkamy się wszyscy na zachodnim tarasie na herbacie.

Jest dość ciepło, więc dzieci mogą jeść z nami, a potem pobawić się na trawie, jeśli zechcą, zamiast tłoczyć się w pokoju dziecięcym. Przyjęła ramię Constantine'a i ruszyła po schodach do domu. Dlaczego nigdy przedtem nie pomyślała o tym, żeby zaprosić dzieci na przyjęcia w domu w mieście czy na wsi? Nie tylko pozostała bezdzietna w wieku trzydziestu lat, ale też w ogóle nie miała kontaktu z dziećmi.

Do tej chwili nie zdawała sobie nawet sprawy, jak bardzo tęskniła za dziećmi przez te wszystkie lata, nie przyznając się do tego nawet przed sobą. Po cóż zresztą miałyby się przyznawać? Wyszła za męża za starego człowieka, który miał w życiu tylko jedną miłość... innego mężczyznę.

- Mam nadzieję - zwróciła się do Constantine'a - że podróż z Londynu upłynie przyjemnie.

- Bardzo przyjemnie, dziękuję, księżno. Jakby byli uprzejmymi, obcymi sobie ludźmi.

Jak to będzie, kiedy spotkają się za rok? Pomyśli o tym, kiedy ten czas nadejdzie. Na razie liczył się ten rok.

- Miło mi to słyszeć - odparła.

Księżna wyglądała, pomyślał Constantine, jakby w ciągu tych trzech dni, kiedy jej nie widział, odmłodziła o dziesięć lat.

I pozbyła się co najmniej dziesięciu warstw masek i zbroi.

Nosiła dziś suknię barwy słońca. I uśmiechała się promiennie. A w wiejskim otoczeniu, ku jego zaskoczeniu, wydawała się bardziej u siebie niż w Londynie. Nie mogła chyba wypięknąć. A jednak tak się stało.

Goście zebrali się na tarasie przy salonie, żeby zjeść podwieczorek. Kiedy już wszyscy się nasycili, Toby, syn

Margaret, oraz Thomas Finch, średni syn Hugh Fincha i jego żony, zapragnęli zagrać w piłkę. Piłka była, przyjechała z Margaret i Duncanem.

W towarzystwie było kilkoro dzieci; najmłodszy był nowo narodzony synek Stephena i Cassandry, dwunastoletnie bliźnięta Newcombe'ów okazały się najstarsze. Dzieciom jednak nie wystarczała, rzecz jasna, zabawa we własnym gronie. Nie wówczas, gdy na dworze znalazła się pokaźna gromadka niczym niezajętych, w pełni sprawnych dorosłych, którzy tylko czekali na jakąś energiczną rozrywkę. Ojcowie przynajmniej musieli przyjść i z nimi zagrać.

A ponieważ ojcowie nie rozumieli, dlaczego mają się poświęcać tylko dlatego, że jakiś czas wcześniej, kiedy nie mieli nic lepszego do roboty, splodzili potomstwo, zażądali, żeby inni mężczyźni także przyszli i zażyli nieco gimnastyki - Constantine, sir Bradley Bentley i Lawrence Astley. W końcu wszyscy gnietli się w powozach większość dnia, a teraz znowu rozsiedli się na krzesłach, jakby nie potrafili spędzać czasu w inny sposób.

A potem kilka matek wyraziło oburzenie, że uznaje się je za niezdolne do tego, żeby rzucać piłką i nie zrobić z siebie widowiska, a panna Julianna Bentley, siostra sir Bradleya, zauważyła, że ona sama siedziała w powozie równie długo jak każdy mężczyzna. Siostra Astleya, panna Mariannę Astley, poparła przedmówczynię. Panna Leavensworth przypominała księżnej mecze krykieta, które rozgrywały na łące w dzieciństwie, i wspominała o tym, że księżnę zawsze ustawiano na drodze, kiedy przypadała kolej na ich drużynę, żeby zatrzymać piłkę, ponieważ potrafiła ją łapać i dobrze rzucała. A księżna przypominała sobie, że zawsze miała dobrą rękę, ponieważ ci wszyscy

okropni chłopcy pozwalali jej od czasu do czasu serwować.

- Tak - przyznała panna Leavensworth - umiałaś posłać tę swoją zakręconą piłkę tak, że nikt nie mógł jej trafić, Hanno. Wszyscy machaliśmy kijami w powietrzu, myśląc, że to pewna szóstka, bo piłka leciała tak wolno, ale ona przelatywała dalej i wpadała z impetem do bramki.

- Dobrze zatem - odezwała się księżna, wstając - chodźmy i zagrajmy w piłkę. Księżna Dunbarton? Grająca w piłkę?

Constantine zauważył zaskoczone spojrzenia Katherine i Sherry'ego, które posłali najpierw księżnej, a potem jemu.

Wszyscy zeszli z tarasu i doszli do miejsca, gdzie teren okazał się dostatecznie płaski do gry. Toby i Thomas, którzy pobiegli po piłkę, ruszyli za nimi, po czym wszyscy, z wyjątkiem paru osób, które upierały się, że żadna gra nie jest prawomocna, o ile nie ma widzów, utworzyli obszerny krąg wokół pustego środka, który wkrótce zajął Toby, ponieważ, ostatecznie, piłka należała do niego. Rzucali jeden do drugiego, próbując jednocześnie trafić Toby'ego w nogi. Ten, komu się udało, zajmował jego miejsce i grę podejmowano na nowo.

Prawdopodobnie, uznał Constantine, była to jedna z najbardziej bezsensownych gier, jakie wymyślono. Jednakże wywoływała mnóstwo krzyku, kpinek, śmiechu... i trochę płaczu, na przykład wtedy, gdy Sara stanęła na środku i została trafiona od razu pierwszą piłką. Łkała rozpaczliwie, póki Hanna nie podbiegła i nie chwyciła jej w ramiona.

- To był faul! - krzyknęła zupełnie niekسیażęcym głosem. - Sara dostała w kolano zamiast poniżej kolana. Teraz spróbujcie.

Poruszała się z niezwykłą zręcznością, pomimo wrzasków Sary i tego, że dziewczynka trzymała ją za szyję w śmiertelnym uścisku. Poza tym śmiała się tak mocno, że prawie nie miała czasu, żeby zaczerpnąć powietrza. Podskakiwała i robiła uniki, póki Lawrence Astley nie trafił jej piłką w kostkę. Constantine przegrałby zakład. Jeden lok wymknął się szpilkom i pozwijany w pierścienie kosmyk włosów opadł na ramię księżnej, kiedy postawiła Sarę na ziemi, na zewnątrz kręgu, a Astley wskoczył do środka. Wsunęła kosmyk we włosy, ale opadł prawie natychmiast. Miała zaróżowioną twarz. Wszyscy zaczerwienili się z wysiłku, poza widzami. Gra dobiegła końca, kiedy sir Bradley Bentley, którego właśnie trafiono, rozciągnął się na trawie pośrodku i oświadczył, że jeśli ktoś tego dnia choćby szepnie słowo „ćwiczenia”, położy się w łóżku i ruszy się stamtąd dopiero pojutrze.

Najwcześniej.

Wskoczył na niego mały Hal, syn Monty'ego. Za jego przykładem poszła pięcioletnia Valerie Finch i wkrótce Bentley zniknął pod wijącą się i wrzeszczącą masą dzieciaków.

- Myślę - powiedziała księżna - że podamy herbatę w salonie. Albo coś mocniejszego. W istocie zdecydowanie coś mocniejszego. Babs, możesz tego dopilnować, proszę? Muszę poprawić włosy. Ruszyli pod górę, do domu... wszyscy, z wyjątkiem księżnej, która stała w miejscu, zmagając się bezskutecznie z fryzurą i patrząc, jak inni odchodzą.

I z wyjątkiem Constantine'a, który także stał w miejscu, przyglądając się księżnej. Spojrzała na niego.

- Wyglądam nieporządnie - odezwała się.

- Tak jest - zgodził się. Uśmiechnęła się.

- To nie było szczególnie szarmanckie.

- To komplement - oznajmił.

- Och. - Opuściła ręce i przechyliła głowę na bok. -

Był to zatem szczyt kurtuazji. Nie sądzę, żebym była koniecznym potrzebna w salonie. Babs dopilnuje, żeby każdy dostał coś do picia, a potem wszyscy będą chcieli odpocząć, zanim się przebiorą do kolacji. Pokażę ci jezioro.

- Tęskniłem za tobą - powiedział cicho.

Zaniepokoiło go, jak bardzo.

- A ja za tobą. Nie miałam pojęcia, że posiadanie kochanka będzie takie cudowne. Czy zawsze tak jest?

Uśmiechnął się szeroko.

- Albo domagasz się kolejnych komplementów, księżno - odparł - albo właśnie zadałaś niemożliwe pytanie.

- Chodź zobaczyć jezioro. - Wzięła go pod ramię, jeszcze zanim zdążył jej je podać. Kto przy zdrowych myślach odgadłby, że księżna Dunbarton jest tak niewinna?

Nie miałam pojęcia, że posiadanie kochanka będzie takie cudowne. Czy zawsze tak jest? Było? Czy było cudowne tym razem? Nie miał zwyczaju porównywania kochanek. Ani analizowania czegoś, co sprowadzało się jedynie do doznań zmysłowych.

- Rozumiesz, co mam na myśli? - zapytała, kiedy posuwali się w stronę jeziora, omijając potężne pnie starych drzew. - Pozwoliłam drzewom, żeby mi dyktowały, co robić. Powinnam była ściąć niektóre i zaplanować w tym miejscu aleję z prawdziwego zdarzenia, prowadzącą prosto do domu. Wysadzaną krzewami rododendronu. Z domu rozciągałby się wtedy malowniczy widok. Na pomost dla łódek dokładnie naprzeciwko. I łódź kołyszącą się na wodzie, oczywiście. I na śliczną sztuczną wysepkę na środku jeziora. I na jezioro, któremu można by nadać

kształt nerkowaty, owalny albo jakiś inny dający się opisać.

- I na świątynkę albo chatkę na przeciwległym brzegu - powiedział. - Postawioną w takim miejscu, żeby z domu widać było jej odbicie w wodzie, na wprost alei.

- Tak - zgodziła się.

- Ale nie zrobiłaś tego.

- Nie - stwierdziła smętnie. - Constantine, lubię, kiedy natura narzuca mi swoje warunki. Dlaczego miałabym ścinać dąb, który rośnie od trzystu albo może czterystu lat, tylko dlatego, że zasłaniał widok na jezioro?

- Właśnie, dlaczego? Zwłaszcza że dom, jak sędzę, nie jest aż taki stary jak drzewa.

- I po co stawiać dekoracje? - zapytała. - Czemu to służy? Nigdy tego nie rozumiałam. To takie...

- Głupie? - dokończył, kiedy wolną ręką zatoczyła koło w powietrzu, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa.

- W istocie. Dekoracje są głupie. Śmiejesz się ze mnie, Constantine.

- Tak - przyznał, kiedy dotarli nad brzeg jeziora i się zatrzymali. Roześmiała się.

- Ale mam rację czy nie?

- Podoba ci się Copeland takie, jakie jest? - zapytał.

- Tak. Dzikie i niepodporządkowane, takie mi się podoba. A chociaż teren i sceneria są wprost idealne dla wycieczek, oparłam się konsekwentnie pomysłom, żeby zaprojektować szlaki. Jak może coś być jednocześnie zrobione przez człowieka i naturalne? To sprzeczność sama w sobie.

- A jeśli masz wybierać między naturą a sztuką, wybierasz naturę - powiedział.

- Tak. Czy nie mam racji?



- Czuję się zmieszany - oznajmił. - Czy księżna Dunbarton pyta kogoś... ściśle rzecz ujmując, mnie, o to, czy ma rację?

Westchnęła.

- Widzisz, Constantine, w moim życiu potrzeba elementu dzikości. Niech zatem taki będzie mój ogród. Tak postanowiłam. Nie zamierzam w Copeland zbudować alei, postawić dekoracji i zaplanować tras spacerowych z atrakcjami dla gości. Dziękuję za twoją opinię i rady.

Odwrócił ją do siebie, objął ramionami i mocno pocałował. Oplotła ręce wokół jego szyi i oddała pocałunek.

Zdumiewająco dobrze było ją znowu przytulić. Smakować. Czuć jej zapach.

- Widzisz - powiedział, podnosząc głowę - gdyby z domu prowadziła aleja, byłibyśmy doskonale widoczni, księżno, i wszyscy goście staliby w oknach salonu, podziwiając widoki.

- Tak by było. - Nagrodziła go szerokim, promiennym uśmiechem. - Ale skoro nie ma...

Pocałował ją znowu, wsuwając jej język w usta, czując, jak ona wplata palce w jego włosy i przyciska się do niego, podczas gdy jego ramię objęło ją mocno w pasie.

Ciekaw był, co by się stało, gdyby zakochał się w Hannie, księżnej Dunbarton. Naprawdę nie miał pojęcia. Mógłby wprowadzić w swoje życie chaos.

Albo raj.

Nie wspominając o tym, co by się działo z jego sercem. Z pewnością starczy mu rozumu, żeby tego nie sprawdzać.

Goście Hanny mieli spędzić u niej pełne trzy dni. Celowo nie przewidziała na ten czas zbyt wielu atrakcji. Wszyscy przecież przyjechali z Londynu, gdzie trwał sezon i nie brakowało rozrywek.

Sądziła, że ucieszą się, mogąc po prostu odpocząć w spokojnym, wiejskim otoczeniu.

Niemniej przygotowano na pierwszy dzień jakieś zajęcia - poranny spacer do wsi dla tych, którzy chcieli obejrzeć kościół i zażyć trochę ruchu, spokojny popołudniowy piknik nad jeziorem, wieczór karciany z udziałem kilku sąsiadów przy muzyce w wykonaniu gości. Mieli szczęście, że sprzyjała im pogoda.

Dzień był udany, uznała Hanna, kiedy dobiegł końca, a ostatni sąsiedzi pożegnali się i odeszli. Sir Bradley Bentley, przyjaciel i częsty towarzysz w czasach jej małżeństwa - jego dziadek przyjaźnił się z księciem - flirtował cały dzień z Marianną Astley, natomiast Julianna Bentley spędziła dużo czasu w towarzystwie Lawrence'a Astleya. Hanna miała nadzieję, że tak będzie. Nie żeby próbowała zabawiać się w swatkę, ale chciała zaprosić sir Bradleya po tym, jak razem z Barbarą wypłyły kiedyś z nim herbatę na Bond Street, i miał on siostrę, która w ubiegłym roku debiutowała w towarzystwie, lecz nadal nie miała stałego adoratora. A jej bliską przyjaciółką była Marianna Astley, która miała dwudziestoparoletniego brata.

Hanna zdecydowała, że na jej przyjęciu musi się znaleźć jakaś młodzież. To znaczy młode dorosłe osoby, które nie założyły jeszcze rodzin. Tak więc zaprosiła całą czwórkę.

Pozostali goście najwyraźniej dobrze się ze sobą

czuli, choć nie wszyscy się znali wcześniej. Byli wśród nich państwo Parke'owie, Newcombe'owie, Finchowie, którzy całe życie mieszkali po sąsiedzku z księciem - a przed nimi ich rodzice - oraz wspomniani młodzi ludzie. I oczywiście Barbara. Oraz Constantine, jego kuzyni i ich małżonkowie. I dziesięcioro dzieci.

Popołudnie ostatniego dnia pobytu przeznaczono dla najmłodszych, natomiast drugiego dnia goście mogli się zająć tym, na co mieli ochotę. Rano Hanna spacerowała wśród kwiatnych klombów z panią Finch, hrabiną Merton i raczej bladą lady Montford. Kiedy zaniepokojona księżna zapytała ją o zdrowie, kobieta roześmiała się raczej melancholijnie.

- Nie ma się czym niepokoić, wasza wysokość - odparła. - To nie choroba powoduje, że czuję się niezbyt dobrze, ale zdrowie. Spodziewam się dziecka.

- Och. - Hannę ogarnęła zazdrość.

- Zamierzaliśmy mieć drugie dziecko w ciągu dwóch lat po Halu - ciągnęła lady Montford. - Ale siła wyższa zdecydowała inaczej. Cieszę się, że się w końcu zlitowała.

- Musi pani być w moim wieku albo nawet młodsza ode mnie - zauważyła Hanna. - A jednak żałuje pani, że musiała czekać tak długo na drugie dziecko?

Powiedziała to, jak sobie z przestraczem uświadomiła, na głos.

Pani Finch pochylała się nad pękiem róży, trzymając go delikatnie w obu dłoniach. Lady Merton i lady Montford odwróciły się, żeby spojrzeć na Hannę, a na ich twarzach malowało się współczucie?

- Mam trzydzieści lat - dodała Hanna i poczuła się jeszcze bardziej niezręcznie.

- Miałam dwadzieścia osiem, kiedy wyszłam za

Stephena w zeszłym roku - powiedziała hrabina, a lady Montford ujęła Hannę pod ramię, niepomiernie ją tym zaskakując. - Też byłam wdową, wasza wysokość. I to bezdzietną, oplakującą czworo zmarłych maleństw. Zawsze będę je oplakiwać, ale teraz mam Jonathana i zamierzamy zapełnić pokój dziecięcy do granic możliwości, zanim skończę czterdzieści lat. Zawsze jest nadzieja, nawet w chwilach najczarniejszej rozpacz, kiedy jesteśmy niebezpiecznie blisko jej utraty.

Pani Finch się wyprostowała.

- Ja miałam siedemnaście lat, kiedy wyszłam za mąż - powiedziała - i osiemnaście, kiedy urodziłam Michaela. Thomas pojawił się dwa lata później, Valerie dwa lata po nim. Mam teraz zaledwie dwadzieścia siedem lat. Kocham ogromnie swoje dzieci i męża także, ale czasami przychodzą mi do głowy złe myśli, że być może zbyt szybko straciłam własną młodość. Może nie da się łatwo przejść przez życie. Każdy ma własną drogę i musi ją przejść jak najlepiej.

- Mądre słowa, doprawdy - odezwała się lady Montford, klepiąc Hannę po ramieniu.

Spacerowały dalej, ciesząc się widokiem i zapachem kwiatów. Zajęło im to całą godzinę, chociaż ogród nie był bardzo rozległy.

A Hanna czuła się... Och, jak właściwie? Błogo? Znalazła się w grupie dam, z którymi gawędziła o smutkach i radościach małżeństwa i macierzyństwa oraz o przemijaniu. Rozmawiały krótko, ale poczuła się częścią grupy. Pomyślała, że w latach swojego małżeństwa należała do socjety, zawsze otaczali ją admiratorzy, głównie mężczyźni. Nie mogła sobie jednak przypomnieć, kiedy spacerowała w kwietnym ogrodzie pod ramię z inną

kobietą niż Barbara. A dwie spośród tych dam odrzuciły początkowo jej zaproszenie.

- Mmm. - Lady Merton głośno wciągnęła powietrze, zanim weszły do domu. - Tu jest wspaniale. Nie mogę sobie wyobrazić, jak można by lepiej spędzić dni pomiędzy dwoma wielkimi balami.

- Czuje się pani lepiej? - zwróciła się Hanna do lady Montford.

- Tak. Kiedy wyszłyśmy, pomyślałam, że może to niemądrze spacerować wśród kwiatów i wdychać ich zapach. Ale powietrze dobrze mi zrobiło. Przez resztę dnia będę się świetnie czuła, aż do jutra rana. Jednak to wszystko z dobrej przyczyny. Poranne mdłości wkrótce się skończą.

Lady Sheringford schodziła ze schodów, kiedy weszły do budynku.

- Usypiałam Alexa - wyjaśniła. - Przewrócił się, obtarł kolano i bardzo się nad sobą użalał. Rana została obmyta i wycalowana, łyzy obeschły i też zostały wycalowane, i teraz mocno śpi. Masz lekkie rumieńce, Kate. Lepiej się czujesz?

- Tak - odparła lady Montford. - Jej wysokość pokazywała nam kwiaty, a ja doszłam do siebie. Lady Sheringford przeniosła wzrok na Hannę, która myślała o tym, jak musi być wspaniale całować obtarte kolana i mokre od łez policzki.

- Naprawdę powinna pani częściej występować w barwnych strojach - powiedziała. - W białym, oczywiście, wygląda pani zachwycająco. Ale teraz wydaje się pani bardziej... Hm, jak to nazwać?

- Przystępna? - podpowiedziała pani Finch, być może niezbyt taktownie. - Tak właśnie myślałam, odkąd

wczoraj zobaczyłam panią w tej żółtej sukni, wasza wysokość.

- Cóż - odezwała się ponownie lady Sheringford. - Wygląda pani bardziej „jakoś”. Na pewno dobrze. A ten szczególny odcień zieleni świetnie pasuje do pani jasnych włosów.

- Przyszliśmy na kawę - odparła Hanna z uśmiechem. - Przyłączy się pani do nas?

Uświadomiła sobie, że jest szczęśliwa. Nigdy nie przyjaźniła się z kobietami, poza Barbarą, która mieszkała daleko. Nie myślała, że tego pragnie czy potrzebuje. Dzisiaj mogła cieszyć się iluzją, że te damy są jej przyjaciółkami.

Później napłynęły chmury i nagły chłodny wiatr zapędził wszystkich do domu szybciej, niżby chcieli. Gwałtowny deszcz nie pozwolił im wyjść po lunchu, ale nikt nie wydawał się zanadto cierpieć z tego powodu. Najmłodsze dzieci zabrano do pokoju dzieciennego na drzemkę, pozostałe natomiast na galerię, żeby pobawiły się w jakąś grę wymyśloną przez pana Newcombe'a i hrabiego Sheringford. Kilkoro dorosłych siedziało w salonie, rozmawiając; niektórzy przebywali w bibliotece, czytając lub też pisząc listy. Jedna czy dwie osoby zniknęły, zapewne odpoczywając we własnych pokojach, jak podejrzewała Hanna. Największa grupa zebrała się w pokoju bilardowym. Tam właśnie udała się księżna, szukając Constantine'a. Nie grał. Stał w drzwiach, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, przyglądając się pozostałym.

- Szkoda - powiedziała - że mam tylko jeden stół do bilardu.

- Proszę się nie martwić, wasza wysokość - odezwał

się pan Park. - Jestem dużo lepszym graczem, kiedy patrzę, jak inni grają, zamiast samemu stanąć przy stole. Zawsze trafiam i wszystkie uderzenia są doskonałe.

Zgromadzeni parsknęli śmiechem.

- Przyszłam - oznajmiła lady Montford - żeby się przekonać, czy uderzenia, jakimi Jasper będzie się później przechwalać, nie są przypadkiem wytworem jego wyobraźni.

- Moja kochana! - zaprotestował lord Montford z drugiego końca pokoju, jako że nie starała się mówić cicho.

- Czyja kiedykolwiek przesadzam? Czyja się przechwalam?

- W takiej chwili, Kate - zwrócił się do siostry hrabia Merton, pocierając koniec kija kredą, a potem schylając się nad stołem, żeby się skupić na uderzeniu - milczenie jest złotem.

- Cóż, tym nie można by się przechwalać, Stephen - zauważył lord Montford, kiedy hrabia chybił. - Jeśli nie zdołam uderzyć lepiej, to zasługuję na wszystkie niepochlebne rzeczy, które Katherine o mnie powie.

Hanna dotknęła lekko dłonią rękawa Constantine'a.

- Miałbyś ochotę na przejażdżkę? - zapytała cicho.

- Teraz? Czy nie pada? - Uniósł brwi, ale zerknął w stronę okna i stwierdził, że rzeczywiście deszcz ustał. Wyszedł za nią z pokoju.

- Zawsze trzymam konie do jazdy w stajniach - powiedziała, kiedy zamknął drzwi. - Przypuszczam, że należało zapytać, czy ktoś jeszcze nie miałby ochoty do nas dołączyć, ale wydają się zadowoleni z tego, co robią, a ja chciałabym ci coś pokazać.

- Tylko mnie? - Uśmiechnął się do niej oczami.

- Poproszę Barbarę, żeby się później zajęła herbatą - rzekła, nie odpowiadając na pytanie.

- Tylko mnie - odpowiedział na własne pytanie i schylił ku niej głowę. - Mam szczęście.

- Przebiorę się - zdecydowała. - Spotkamy się w stajniach za kwadrans.

Odwróciła się i oddaliła pośpiesznie.

Włożyła jeden z najstarszych, najzwyczajniejszych strojów do konnej jazdy - w gruncie rzeczy swój ulubiony. Gdy go nabyła, był jasnoniebieski. Teraz miał nawet jaśniejszy odcień. Adele upięła jej włosy w prosty węzeł na karku, tak żeby kapelusz trzymał się na głowie. Włożyła rękawiczki do jazdy i zerknęła z pewną satysfakcją w lustro. Nie miała na sobie ani jednego klejnotu.

Było ważne, żeby tego popołudnia wyglądała zupełnie zwyczajnie, nie jak księżna Dunbarton, przed którą wszyscy kłaniali się i płaszczyli. Zaczynała tęsknić za tym, żeby znowu być zwyczajną osobą, chociaż obdarzoną pewnością siebie, wytrwałością i samoakceptacją. Nauczyła się tego od księcia.

Albo, ściśle rzecz ujmując, nauczyła ją tego miłość księcia.

Miała nadzieję, że Constantine doceni to, co miała mu pokazać, że nie poczuje się znudzony albo zmieszany, że nie zrozumie tego opatrnie i nie zacznie jej podejrzewać o cikliwość albo, co gorsza, o puste gesty.

Nie wierzyła, żeby miał tak pomyśleć. Sądziła, że akurat on zrozumie. Ale bała się bardzo. Czuła lekkie mdłości, kiedy szła przez taras, a potem żwirową alejką do stajni, i żałowała, że nie zjadła mniej na lunch.

Ponieważ to właśnie, jak przyznała przed sobą, był powód, dla którego chciała, żeby przyjechał.

Dlatego obmyśliła przyjęcie, na które mogła go zaprosić.



To było ważne. Jego reakcja miała dla niej istotne znaczenie.

Przyszedł do stajni przed nią i kulbaczył już konia, którego zwykle dosiadała ona; stajenny zakładał jej siodło innemu koniowi. Ale tylko Jet był na tyle duży, żeby go unieść. Przebrał się w brązowe bryczesy, czarny kubrak i czarne buty do konnej jazdy; włożył też wysoki kapelusz.

Prezentował się tak samo jak w Hyde Parku, kiedy zobaczyła go pierwszy raz w tym roku. Ale też wyglądał inaczej. Teraz był Constantine'em. Jej kochankiem. Chociaż, niestety, nie byli razem od tygodnia. I nie będą jeszcze przez jakiś czas, dopóki nie wrócą do Londynu, ponieważ nie pozwoliłaby sobie na to, aby obrazić gości kontynuowaniem romansu we własnym domu. Dni pełne oczekiwania wydawały się ciągnąć w nieskończoność. Jednakże okres okazał się na tyle łaskawy, żeby pojawić się w dniu jej wyjazdu z Londynu. Miała teraz spokój na cały miesiąc. - Księżno?

Odwrócił się i zlustrował całą jej postać... widziała nieskrywany podziw w jego oczach. Dziwne, wyglądała niemal na zanedbaną. Odpowiedziała takim samym spojrzeniem, a on uśmiechnął się do niej. - Hultajka - powiedział.

Parę minut później wyjechali ze stajennego dziedzińca i ruszyli przed siebie, nie bacząc na drogę, którą musieliby podążać, gdyby jechali kareta. Nie zapowiadało się na deszcz, przynajmniej na razie.

Chmury ustępowały powoli błękitowi nieba.

- Dokąd jedziemy? - zapytał. - W jakieś konkretne miejsce?

- Do Land's End. Och, nie przegalopujemy przez całą południową Anglię, Devon i Kornwalię, nie martw się.

Land's End to nazwa, którą ktoś wymyślił dla starego, zrujnowanego domu. Kupiłam go parę lat temu i przekształciłam w bardzo przyzwoitą rezydencję z francuskimi ogrodami, które mogłyby zadowolić najgorętszych zwolenników wyższości sztuki nad naturą. Pierwszym pomysłem było Life's End, ale nikomu to by się nie spodobało, a ja nalegałam, żeby wszyscy mieszkańcy, którzy się tam pierwsi wprowadzą, zgodzili się co do nazwy. Land's End spotkało się z aprobatą, kiedy ten, kto zaproponował tę nazwę, wyjaśnił, że za łądem rozciąga się odwieczna głębia wiecznego spokoju. Ja sama nie zwykłam postrzegać morza w ten sposób, nigdy nawet nie nauczyłam się pływać. Nie miałam jednak prawa głosu i tak został Land's End.

- Czy to dom starców? - zapytał. - Tak. Jechali w milczeniu przez krótką chwilę.

- To jest ten cel, dla którego sprzedałaś swoje klejnoty? - zapytał.

- W istocie.

- Kochasz starych ludzi?

Uśmiechnęła się.

- Tak. Kochałam serdecznie pewnego starszego dżentelmena. Miał wszystko, czego mu było trzeba dla zachowania fizycznego komfortu w ostatnich dniach swojego długiego życia. Tysiące ludzi nie mają.

- Szachrajka z ciebie, księżno.

- Ależ skąd - odparła żywo. - Czym były dla mnie te wszystkie klejnoty, jak nie pamiątką tego, że byłam komuś niezmiernie droga przez dziesięć lat? Te, które zostawiłam, będą mi o tym przypominać. Choć nie potrzebuję niczego poza własnymi wspomnieniami.

Zbliżali się do otwartego terenu, połąci płaskiej

ziemi, którą wyjątkowo lubiła przemierzać, jadąc do Land's End. Patrzył na nią. Nie odwzajemniła spojrzenia. Naprawdę nie była ckliwa. Kochała tych ludzi. W ciągu ostatniego roku przyjeżdżała tu co parę dni, zanim udała się do Londynu po świętach Wielkiej Nocy, a te wizyty przynosiły jej pociechę w żałobie. Była tu pięć dni temu, zaraz po przyjeździe do Copeland. Odwiedziła Land's End, ponieważ tego chciała i potrzebowała, nie oczekując poklasku i pochlebstw. Mój Boże, co za pomysł!

- Ten odcinek drogi jest nudny, kiedy się tu spaceruje - powiedziała - i ciekawy, kiedy się go przemierza galopem. Widzisz wysoką sosnę w oddali?

Wskazała biczem.

- Tę z przechylonym czubkiem?

- Ścigamy się do niej. - Ruszyła, zanim dokończyła zdanie.

Na grzbiecie Jęta miałyby szansę, nawet z damskim siodłem. Jechała jednak na Clover, która lubiła galopować, ale unikała rywalizacji. Przegrały sromotnie. Constantine uśmiechał się szeroko, kiedy się do niego zbliżyła.

- To sprawi, że zastanowisz się dwa razy, zanim wywiesz mnie na kolejny pojedynek, księżno. Nie uzgodniliśmy nawet nagrody, zanim nie ruszyłaś z kopyta, usiłując wykorzystać nieuczciwie element zaskoczenia. A to oznacza, że zgodnie z prawem międzynarodowym mogę sam wybrać nagrodę.

- Czy jest w ogóle coś takiego jak prawo międzynarodowe? - Roześmiała się. - Co byś wybrał, gdyby istotnie prawo było po twojej stronie?

- Nie ruszaj się - poprosił. - Myślę.

Podjechał do niej blisko, aż jego kolano wbiło się w jej udo, pochylił się i pocałował ją w usta. Jet parsknęła i

odskoczył.

To był pewnie najkrótszy i najmniej satysfakcjonujący z ich wszystkich pocałunków. Ale właśnie on uświadomił Hannie z całą jasnością fakt, który przeczuwała od pewnego czasu, ale nie chciała przyjąć do wiadomości. Była zakochana.

To było bardzo beztroskie i nieostrożne z jej strony. I mogło przysporzyć bólu na koniec sezonu, jeśli nie zdąży się w porę odkochać.

Nie czuła jednak takiego żalu, jaki powinna. Miała wrażenie, że jedenaście lat jej życia gdzieś się ulotniło, a ona znowu jest młoda i szczęśliwa, i zakochana. Nie zakochana w miłości tym razem, ale w prawdziwym mężczyźnie, którego lubiła i mogłaby nawet kochać, gdyby sobie na to pozwoliła. I oddać mu się całą duszą. Nie będzie taka niemądra.

Ale, och, mieć kochanka i być zakochaną całą wiosną... chętnie zeskoczyłaby z grzbietu Clover i zatańczyła na łące pod sosną, unosząc twarz i ręce do słońca.

Jak cudownie być młodym.

- Możesz się uśmiechać - powiedział. - To była najżałośniejsza nagroda przyznana kiedykolwiek zwycięzcy w wyścigach konnych, księżno. Zanim ten dzień się skończy, zażądam dużo bardziej satysfakcjonującego pocałunku niż ten.

Posłała mu wyniosłe książęce spojrzenie.

- Musisz mnie najpierw złapać, panie Huxtable - odparła. - Ale popatrz, widać stąd Land's End. Wskazała przed siebie i podążyli w tamtą stronę w spacerowym tempie. Między drzewami widać było masywną, dosyć nijaką budowlę, która była jej pod wieloma względami

równie droga jak Copeland.

- Skąd wzięłeś pieniądze na utrzymanie Ainsley? - zapytała.

- Nie jestem biedny. - Wzruszył ramionami. - Zostałem dobrze zabezpieczony.

- Mogłabym się założyć, że nie aż tak dobrze. Wiem, ile kosztuje takie przedsięwzięcie. Czy brat ci pomógł? Mówiłeś, że to był jego pomysł.

Myślała, że nie odpowie. Przez chwilę wydawał się znowu mroczny i nieprzenikniony. A potem roześmiał się cicho.

- Naprawdę zabawne jest to - ciągnął - że zrobiliśmy to dokładnie tak samo jak ty, księżno. Tylko że ty miałaś błogosławieństwo, choć niechętnie, Dunbartona, i on o wszystkim wiedział. My nie konsultowaliśmy się z opiekunem Jona, który z pewnością by nam nie pobłogosławił. Był nim nasz wuj przed śmiercią, a potem Elliott, który ma dużo surowsze poczucie obowiązku i znacznie bystrzejsze oko.

- Mówisz „my”? Sprzedaż klejnotów była pomysłem Jonathana czy twoim? Odwrócił głowę i spojrzął na nią uważnie.

- Klejnoty Huxtable'ów nie należały do mnie, żebym mógł je sprzedać, księżno, ani nawet żebym sugerował ich sprzedaż - wyznał. - Były własnością Jona, a chociaż nie byłem jego oficjalnym opiekunem, czułem się za niego odpowiedzialny. Wcale nie był głupi, ale czasami widział rzeczy inaczej niż pozostali ludzie. Kiedy odkrył prawdę o naszym oj... Ach, do diabła! Przypuszczam jednak, że i tak się domyśliłaś. Kiedy odkrył prawdę o kimś, kogo kochał za życia i opłakiwał po śmierci, stracił całą radość i apetyt. Nie mógł nawet spać. Nigdy przedtem go takim nie

widziałem. I nie chciał ze mną rozmawiać o tym, co go dręczy. Kazał mi tylko nieustannie przysięgać, że zachowam to w tajemnicy. Nikt nie może się dowiedzieć o naszym ojcu. Ale nie możemy zapomnieć o cierpieniu, jakie zadał. A Jon zdawał sobie doskonale sprawę, że teraz on jest hrabią Merton i naprawienie zła jest jego powinnością. Nie mogłem go przekonać, że jest inaczej, bo sam czułem się przez lata całkowicie bezradny.

- Żałuję, że go nie znałam - powiedziała cicho Hanna. - Mam na myśli Jonathana.

- A potem pewnego ranka - ciągnął Constantine - wpadł, podskakując, do mojej sypialni i zaczął mną potrząsać, dopóki się nie obudziłem. Był niezwykle podekscytowany, dosłownie tryskał entuzjazmem. Wpadł na świetny pomysł. I nic nie mogło go zadowolić, póki nie znalazł sposobu, żeby marzeniom nadać rzeczywisty kształt. Ja zostałem wybrany do wprowadzenia jego idei w życie. Nie było sensu kłócić się z Jonem, kiedy powziął jakieś postanowienie w ważnej dla siebie sprawie, księżno, a to było dla niego ważniejsze niż wszystko inne. Był uparty jak...

- Muł? Czy nie był przypadkiem podobny do starszego brata?

- Dziesięć razy gorszy - odparł. - Mógłbym go wtedy powstrzymać, udając się do wuja i opowiadając mu tę historię za plecami Jona. Ale widzisz, ja chciałem tego samego co Jon i nie starczyło mi sił, żeby postąpić, jak niewątpliwie należało. Przez lata męczyło mnie to, co Jon właśnie niedawno odkrył. Chyba wiedziałem o tym całe życie. Patrzyłem, jak matka marnieje z żalu, kolejno traci dzieci, a ojciec ugania się za każdą spódnicą. To nie był przyjemny człowiek, księżno. I nienawidził Jona, którego

nazywał imbecylem, czasami mówiąc mu to prosto w twarz. Wybacz, proszę. Nie powinno się źle mówić o rodzicach. W każdym razie żaden z klejnotów, które sprzedałem w porozumieniu z Jonem, nie był przypisany do tytułu. Ale wiele należało do rodziny od pokoleń i wszystkie były drogie i udokumentowane. Jon nie miał prawa dysponować nimi bez pozwolenia prawnego opiekuna. A nawet gdyby dożył pełnoletności, sądzę, że uznano by go za niezdolnego do podejmowania takich decyzji.

- A zatem sam siebie okradał?

- Wiedział, co robi. Jon nie był głupcem. Czasami myślę, że był jedynym mądrym spośród nas. Co jest ważniejsze? Stare kamienie zamknięte w sejfie w Warren Hall czy ci ludzie w Ainsley? Roześmiała się.

- Nie domyśliłbyś się mojej odpowiedzi, co?

Zbliżali się do Land's End. Dzieliły ich od niego szeroki pas łąki i trawnik przylegający do bocznej ściany domu.

- Nikomu o tym wszystkim nie opowiedziałeś? - zapytała. - Nikomu poza mną?

- Nie. Nawet królowi.

- Tak więc wszyscy myślą, że jesteś złoczyńcą, który okradł własnego bezradnego brata, żeby kupić sobie dom w Gloucestershire i opływać w luksusy.

Wzruszył ramionami.

- Sądzę, że Elliott także nie mówił nikomu, może z wyjątkiem Vanessy. Wtedy Stephen i jego siostry nie chcieliby ze mną rozmawiać, prawda?

- I nie próbowaliby chronić cię przede mną - zgodziła się. Spojrzał na nią i uśmiechnął się, po czym pochylił się, żeby otworzyć furtkę do parku. Wprowadzili

konie i zamknął bramkę.

- Być może - zasugerowała - powinieneś powtórzyć hrabiemu Merton to, co mi powiedziałeś. Wydaje się, że to szlachetna dusza.

Uniósł kpiąco brew i rzucił jej badawcze spojrzenie.

- Wierzysz, że by mi przebaczył? - zagadnął.

- Sądzę, że mógłby cię zapewnić, iż wybaczenie nie jest potrzebne. To raczej Jonathanowi musi wybaczyć, a nie tobie, nieprawdaż?

Ponaglił lekko konia, wysuwając się naprzód, i jechał przed nią, póki się z nim nie zrównała.

- Tego się boisz najbardziej? - zapytała. - Że nikt nie będzie mógł wybaczyć twojemu bratu? Może powinieneś bardziej im zaufać?

Spojrzał na nią ponownie; twarz miał napiętą, a oczy bardzo ciemne.

- A czy ty powiedziałaś komuś o tym? - odezwał się, wskazując ruchem głowy dom. - Komuś poza mną?

- Nie - odparła.

- Dlaczego nie? Dlaczego nie zaprosiłaś wszystkich gości, żeby tu dzisiaj przyjechali?

- Muszę strzec swojej reputacji, Constantine.

- No właśnie. Ja też. Diabeł i księżna. Jesteśmy sobie wari. W oczach świata? A może naprawdę? Nie zadała tego pytania.

- Gdybyśmy nie byli tak blisko domu - powiedział - mógłbym zacząć wymieniać wszystkie powody, dla których powinnaś wrócić do domu, księżno. Myślę o Markle.

Pochyliła się, żeby poklepać Clover po szyi, kiedy zatrzymali się przed stajnią i stajenny wybiegł, żeby się nimi zająć.



- Celny strzał - zauważyła.

Przyglądając się Hannie przez następne półtorej godziny, Constantine usiłował rozpoznać w niej księżną Dunbarton, którą spotkał wcześniej wiosną w Hyde Parku, potem na balu Merriwetherów, na koncercie Heatona, na przyjęciu w ogrodzie u Fonteynów. Nie był w stanie tego zrobić i to go lekko zaniepokoiło. Nie widział w niej tej samej osoby.

Nie dlatego że nosiła wyblakły, niemal sfatygowany strój dojazdy konnej. Powodem nie była też prosta fryzura, nawet trochę nieporządna, po tym, jak zdjęła kapelusz, wszedłszy do domu. Nawet fakt, że włożyła obszerny biały fartuch, który wisiał z tyłu na drzwiach w biurze zarządcy, nie miał znaczenia. To nie było związane z jej wyglądem.

Przyczyna tkwiła w jej głęboko ukrytym w zewnętrznej skorupie wnętrzu, którego nie dostrzegał, dopóki nie zostali kochankami, a i wtedy nie widział wszystkiego. W Land's End ta kobieta ujawniła się w pełni, niczym barwny motyl uwolniony z kokonu - kobieta piękna, pełna energii, tryskająca radością i przekazująca tę radość innym.

Był po prostu olśniony.

I niepokojąco zakochany.

Nie na nim skupiała swoje piękno, energię i radość, choć posyłała mu uśmiech za każdym razem, kiedy spojrzała w jego stronę. Był oczarowany.

Przedstawiła go pani Broome, zarządczyni, damie w średnim wieku o miłej powierzchowności i łagodnym usposobieniu, i razem udali się na obchód domu. Ale nie trwał on długo. Siedzący w salonie stary człowiek chwycił księżnę za ramię - zwracał się do niej „panno Hanno”, jak

wszyscy - i zaczął jej rozwlekle opowiadać o ostatnich wyczynach swoich wnuków. Istnieli w jego wyobraźni, ale sprawiało mu przyjemność opowiadanie o nich temu, kto zechciał słuchać, wyjaśniła pani Broome, idąc dalej z Constantine'em i zostawiając z tyłu księżnę. A potem przedstawiono mu dwie starsze damy, siedzące w szerokim holu na piętrze, które chciały się koniecznie dowiedzieć, czy pan Huxtable przyjechał z panną Hanną, ponieważ słyszały, że ona tu jest. Kiedy potwierdził, zapytały, czy zamierza się z nią ożenić. Zasługiwała na kogoś młodego i szatańsko przystojnego jak on. Zachichotały radośnie, kiedy uśmiechnął się do nich szeroko, mrugnął okiem i oznajmił, że o to muszą zapytać Hannę. Panią Broome wezwano w tym czasie w związku z jakąś nagłą sprawą.

Constantine chodził sam, trzymając się głównie dolnego piętra, na którym większość pomieszczeń udostępniono wszystkim mieszkańcom. Pani Broome wyjaśniła jednak, że każdy z nich miał pokój dla siebie - mógł tam pobyc na osobności i nie można było wejść do niego bez pukania. To była jedna z zasad obowiązujących w domu. - To jest dom - dodała. - Nie instytucja, panie Huxtable. Jest bardzo niewiele przepisów i wszystkie muszą być najpierw zgłoszone i poddane pod głosowanie rezydentów. Może się wydawać, że taka praktyka prowadzi do zamieszania, i przyznaję, miałam pewne wątpliwości, kiedy jej wysokość na nią nalegała, ale z jakiegoś powodu się świetnie sprawdza. Ludzie są mniej skłonni łamać reguły, które sami przyjęli, aniżeli te, które zostały im narzucone z zewnątrz. Zatrzymywał się parę razy, żeby porozmawiać z mieszkańcami oraz kilkoma osobami zatrudnionymi do opieki nad nimi. Kiedy zszedł na dół, Hanna wciąż słuchała starszego dżentelmena, który

opowiadał o nieistniejących wnukach. Trzymała go za rękę i skupiała na nim całą swoją uwagę. Następnym razem, kiedy Constantine ją zobaczył, była w pełnej roślin oranżerii i cierpliwie karmiła staruszkę, która wpatrywała się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Tym razem księżna mówiła, uśmiechała się i gestykulowała, tak jakby kobieta mogła ją zrozumieć i odpowiedzieć. A kto wie? Może naprawdę rozumiała. Wkrótce potem Constantine zobaczył Hannę na tarasie przy oranżerii, spacerującą pod ramię z wychudzonym starcem, który się na niej wspierał. Patrzyła na niego i się śmiała. Przystanął, żeby na nią spojrzeć, i także się roześmiał.

Im człowiek jest starszy, pomyślał Constantine, tym łatwiej przychodzi mu wiara w to, że życie toczy się według określonego planu, a nic nie dzieje się bez przyczyny. To nie był los. On sprawiał, że wolna wola nie miała znaczenia, a życie traciło sens. Ale jakaś niewidzialna siła pchała każdego człowieka tam, gdzie mógł dostać lekcję, jakiej potrzebował, przeżyć życie, jakie powinien przeżyć, osiągnąć spełnienie. I być może najwyższe szczęście. Porażki i katastrofy z perspektywy czasu okazywały się często błogosławieństwem.

Serce Hanny złamano w wyjątkowo okrutny sposób, kiedy miała dziewiętnaście lat. Straciła mężczyznę, którego kochała, przyszłość, jaką z nim planowała, i zaufanie do jedynej siostry. Ponadto ojciec zawiódł ją, nawet jeśli była to dla niego trudna sytuacja. A potem poślubiła starego człowieka, który mógłby być jej dziadkiem, i żyła z nim dziesięć lat, poświęcając mu lata młodości. Ale w trakcie tego wszystkiego nauczyła się nie tylko, jak strzec się przed ludźmi, którzy chcieliby ją wykorzystać albo zazdrościli jej urody, nie widząc w niej prawdziwego człowieka, ale także

jak zachować kontrolę nad własnym życiem, zamiast pozostawać na łasce tych, którzy zrobiliby to za nią, a potem mieli do niej pretensję o to, że jest piękna i nazbyt wrażliwa. Odkryła również być może prawdziwy cel swojego życia - głęboką miłość słabszych od siebie, zwłaszcza starych ludzi. I to odkrycie uwolniło tę część jej osobowości, którą na zawsze mogłoby przesłonić piękno Hanny i jego wpływ na otoczenie, gdyby Young się z nią ożenił. Constantine założyłby się o to, że obecna księżna była dużo cieplejszą i ciekawszą osobą niż dawna narzeczona sir Colina Younga.

Ostatnie jedenaście lat jej życia układało się w określony sposób, jakiego nie mogła przewidzieć czy zaplanować dwanaście lat wcześniej. Ten czas nie stanowił przerwy, nie był straconą młodością, a istotną, dobrze i mądrze spędzoną częścią życia.

Nie przez przypadek poznała prawdę o narzeczonym i swojej siostrze akurat na tym weselu, w którym uczestniczył Dunbarton. Książę schował się właśnie tam, gdzie pożaliła się swojemu ojcu. Tak toczyło się przedstawienie, którego tematem było życie. Scenę zapewniono na ziemi, a scenariusza nie napisano.

Nawet teraz odczuwała strach. Ukryła się za syrenią maską księżnej Dunbarton. Ale także tędy prowadziła ścieżka jej życia. Hanna wciąż była krucha. Jak ktoś, kto został uwięziony w płonącym budynku i trzyma się rozpaczliwie parapetu na górnym piętrze, bojąc się skoczyć na koc rozpostarty na dole. Potrzebowała czasu, żeby to zrobić na swój sposób, kiedy będzie gotowa.

Kim był, żeby ją osądzać?

Poza tym byłoby szkoda, gdyby księżna Dunbarton - wspaniała, fascynująca istota - całkiem znikła.

Wchodziła do środka ze starszym panem i uśmiechnęła się ciepło do Constantine'a, kiedy go zauważyła.

- Czy posiedzi pan na słońcu w oranżerii, panie Ward? - zaproponowała.

- Pójdę do pokoju trochę odpocząć - odparł. - Wyczerpała mnie pani, panno Hanno. Zasnę i będę śnić o pani i o tym, że jestem znowu młody, jak ten tutaj.

- Poznał pan pana Huxtable'a? - zapytała. - Przyjechał tu dzisiaj ze mną. To mój przyjaciel.

- Panie. - Constantine skłonił głowę. - Czy pomóc panu wejść na górę?

- Dojdę tam o własnych siłach, młody człowieku - powiedział Ward - jeśli poda mi pan laskę opartą o krzesło. Dziękuję za uprzejmość, ale dopóki mogę, będę sobie radzić sam. Mogłem pospacerować po dworze z laską, ale nie odmówiłbym przecież młodej damie, która proponuje mi spacer. Właśnie mnie, zwykłemu robotnikowi z doków.

Mężczyzna zachichotał, a Constantine się uśmiechnął.

- Pora wracać - zdecydowała księżna, kiedy stary człowiek powoli odszedł. - Mam nadzieję, że się nie nudziłeś.

- Wcale - zapewnił Huxtable.

Dziesięć minut później jechali konno w stronę Copeland. Zaczęli rozmowę dopiero wtedy, gdy wjechali na łąkę za trawnikiem i Constantine zamknął za nimi furtkę.

- Myślę, księżno - odezwał się - że ten dom jest pełen szczęśliwych ludzi. Uśmiechnęła się.

- Pani Broome świetnie nim zarządza. I ma wspaniałą personel. I Hanna była szczęśliwa, przebywając

w tym miejscu, pomyślał.

To małżeństwo ze starym księciem ją tutaj doprowadziło. Ścieżka życia.

A ścieżka życia Jona wiodła do Ainsley, choć umarł, nie zdążywszy go zobaczyć.

A jego własna? Czy urodził się dwa dni wcześniej - to znaczy dwa dni przed ślubem rodziców - po to, żeby jako nieślubne dziecko nie móc przejąć tytułu? Czy znalazł lepszy, ważniejszy cel w życiu niż ten, jaki obrałby jako hrabia Merton? Czy był dzięki temu bogatszy, szczęśliwszy? Myśli, od których kręciło mu się w głowie. Może jednak okoliczności narodzin nie rzuciły cienia na resztę jego życia.

Może sekret związany z marzeniem Jona był mu pisany.

Może wyniósł z Ainsley tyle samo dobrego, co ludzie, którzy się przez nie przewinęli.

- Rozmyślasz nad czymś.

- Wcale nie. To tylko moja śródziemnomorska uroda.

- Która jest wspaniała, rzecz jasna - powiedziała, bardziej w tonie dawnej księżnej. - Żaden mężczyzna jej pozbawiony nie byłby w stanie rozmyślać w połowie tak dobrze.

Roześmiał się.

Jechali w niekrępującym milczeniu, aż znaleźli się blisko Copeland.

- Wrócimy inną drogą - postanowiła. - Chcę, żebyś coś zobaczył.

- Kolejny cel? - zapytał.

- Ależ nie. Wprost przeciwnie. Dogadzanie sobie.

Zamiast wjechać do parku i go przeciąć,

poprowadziła konia wzdłuż zewnętrznej krawędzi lasu. Według Constantine'a znacznie oddalili się od domu. Zatrzymała się.

- Stąd najlepiej iść pieszo, prowadząc konie.

Zanim zdążył zsiąść z konia i pomóc jej zejść, zeskoczyła na ziemię. Poklepała Clover po łbie, owinęła sobie lejce wokół dłoni i ruszyła między drzewami. Constantine szedł za nią. Wkrótce można było odnieść wrażenie, że znajdują się wśród dzikiej natury, daleko od cywilizacji.

Zatrzymała się w końcu i podniosła głowę ku wysokim gałęziom. Nie odzywali się przez pięć minut albo dłużej.

- Posłuchaj - poprosiła - i powiedz mi, co słyszysz.

- Ciszę? - odezwał się po chwili.

- Och, nie - odparła. - Prawie nigdy nie ma prawdziwej ciszy, Constantine, i większość z nas nie przyjęłaby jej dobrze. Myślę, że byłaby dość przerażająca, jak prawdziwa ciemność. Albo pustka. Posłuchaj znowu. Tym razem jego uszu dobiegły wszelkiego rodzaju dźwięki - oddech koni, śpiew ptaków, bzyczenie owadów, szelest liści na wietrze, odległe muczenie krowy, a także inne, niezidentyfikowane odgłosy natury. - Tak - oznajmiła nieco później cichym głosem - brzmi spokój.

- Chyba masz rację.

- Trasa spacerowa, gdyby jakaś była, z pewnością przechodziłaby tędy. To doskonałe miejsce. Stałyby tu ławki i dekoracje, rosłyby barwne rośliny i Bóg wie co jeszcze. Szlak byłby łatwo dostępny i bajecznie malowniczy. Ale nie spokojny. Nie tak jak teraz. Kiedy tu stoimy, Constantine, stanowimy część tej przyrody. Nie jesteśmy dominującym gatunkiem. Nie sprawujemy nad



tym wszystkim kontroli. W moim życiu jest dość kontroli. Tutaj przychodzę, aby znaleźć spokój.

Zawinał luźno wodze konia na niskiej gałęzi drzewa, wyjął lejce z jej dłoni i przymocował je w tym samym miejscu. Ujął ją za ramię, odwrócił, tak że opierała się plecami o pień innego drzewa, i pochylił się nad nią. Objął dłońmi jej twarz i pocałował ją w usta.

Niech to diabli, był zakochany.

Myślał, że będzie z nią bezpieczny. Bezpieczniejszy niż z każdą inną ze swoich kochanek. Sądził, że jest próżna, płytka. Spodziewał się tylko prymitywnego pożądanego.

Pożądanie było, owszem. I było wściekle prymitywne. Ale był zagrożony.

Ponieważ było coś więcej poza pożądanym.

Bał się przyznać, że mogło być znacznie więcej.

Oddała pocałunek, otaczając jego szyję ramionami, odsunęła się od drzewa i znalazła w jego ramionach. Ich pieszczoty stały się namiętne i gorączkowe. Zerknął na poszycie i stwierdził, że tworzyłoby zdecydowanie niewygodny materac. Przyciągnął ją do siebie. Westchnęła i odchyliła głowę do tyłu.

- Constantine - powiedziała - nie znieważę moich gości, kochając się z tobą na ziemi Copeland.

- Kochać się? - odparł, patrząc znacząco w dół. - Na tym materacu? Myślę, że nie, w istocie. Ja tylko domagałem się reszty nagrody, jaką zdobyłem wcześniej. I była to hojna nagroda, przyznaję. Mogę się z tobą ścigać każdego dnia w tygodniu, księżno.

- Następnym razem - oznajmiła - ja będę dosiadać Jęta, a ty możesz jechać na Clover. Wtedy zwycięzcą okaże się ktoś inny.

- Nigdy, nawet za milion lat. A jeśli byś ty wygrała, gdybym ci na to pozwolił, jakiej nagrody byś zażądała? Uśmiechnął się leniwie.

- Gdybyś pozwolił mi wygrać? - Nagle zamieniła się w wyniosłą księżnę. - Gdybyś na to pozwolił, Constantine? - Zapomnij, że to powiedziałem. Jakiej nagrody byś się domagała?

- Kazałabym ci zamieścić we wszystkich londyńskich gazetach ogłoszenie - rzekła - informujące socjetę, że zostałeś pokonany w wyścigach konnych przez księżnę Dunbarton, a nie pozwoliłeś jej wygrać.

- Uczyniła byś ze mnie pośmiewisko?

- Mężczyzna, który boi się raz na jakiś czas zostać pokonanym przez kobietę, nie jest jej w ogóle wart. Nie zasługuje nawet na to, aby zostać kochankiem.

- Przyznaję się pokornie do błędu. Czy mi wybaczysz? Roześmiała się, objęła go za szyję i pocałowała.

- Cieszę się, że tu jesteśmy - powiedziała. - Coraz bardziej się przekonuję, że jestem szczęśliwsza na wsi niż w Londynie. Tak mi się tu teraz podoba. A tobie?

- Cóż - odparł - te dni są rozpaczliwie pozbawione erotycznych doznań, księżno. Ale i tak jest mi dobrze.

Chwycił ją mocniej w pasie, podniósł do góry i zakreślił dwa razy, zanim znowu postawił na ziemi, uśmiechając się do jej oczu.

Nie kochali się ze sobą. Dlaczego więc czuł się taki rozradowany? Taki szczęśliwy?

Spojrzeni na siebie i nagle powietrze wokół zaczęło drżeć od niewypowiedzianych słów. Słów, które obawiał się wymówić na głos, żeby później, wieczorem, nie stwierdzić, że się pośpieszył. Słów, które mogła

wypowiedzieć głośno, ale tego nie zrobiła. Czy on właśnie wyobrażał sobie, że Hanna ma mu coś do przekazania? Czy to mogło oznaczać więcej niż zwykłą euforię zakochanych?

Nie miał pojęcia. Nigdy przedtem nikogo nie kochał.

Z pewnością nie znał uczucia, które następowało po pierwszym zauroczeniu. Nie doświadczył miłości, tego „długo i szczęśliwie”.

Skąd można było wiedzieć?

Tak więc słowa pozostały niewypowiedziane. Z jego strony na pewno. Z jej być może także.

Zabrali konie i ruszyli między drzewami, aż wyszli na otwarty teren nad jeziorem. Szli obok siebie, choć łatwiej byłoby jedno za drugim. Trzymali się za ręce. Spletli palce swoich dłoni.

To było bardziej intymne niż pocałunek.

Hanna nie zaplanowała niczego szczególnego na wieczór. Uznała, że goście docenią spokój i czas, w którym będą mogli się zająć tym, czym zechcą. Jednak Marianna Astley zaproponowała zabawę w kalambury, gdy tylko dżentelmeni dołączyli do dam w salonie po kolacji. Wszyscy przystali na to z ochotą. Zabawa trwała kilka godzin, póki nie znudziła się niektórym osobom, które oznajmiły, że będą się jedynie przyglądać.

Lady Merton odciągnęła Hannę na bok.

- Chciałabym wyjść na taras, na świeże powietrze - powiedziała, wskazując otwarte drzwi balkonowe.

- Przyłączy się pani do mnie?

Księżna się rozejrzała. Nie była w tej chwili nikomu potrzebna. Barbara, zaczerwieniona i ożywiona, pokazywała gestami zdanie. Jej drużyna wykrzykiwała odpowiedzi budzące śmiech i kpinki przeciwników.

- Ciepło tutaj - stwierdziła Hanna.

Na zewnątrz panował chłód, ale nie na tyle dotkliwy, żeby musiały zakryć obnażone ramiona szalami. Lady Merton ujęła ją pod rękę i obie przeszły przez taras, a potem na trawnik. Cały czas znajdowały się w obrębie światła padającego z okien salonu.

- Panna Leavensworth to urocza dama - odezwała się lady Merton. - Powiedziała nam wcześniej, że przyjaźnicie się od zawsze. - Tak - odparła Hanna. - Miałam ogromne szczęście.

- Jednak większość czasu przebywa z dala od pani. To źle się składa. Mam serdeczną przyjaciółkę, która niegdyś była moją guwernantką, a później towarzyszką. Ale zawsze darzyła mnie przyjaźnią i mogłam jej powiedzieć wszystko. Wyszła za mąż w zeszłym roku, tuż przed moim ślubem ze Stephenem. Mogę z radością stwierdzić, że jest szczęśliwą mężatką i większość roku spędza w Londynie z panem Goldingiem, swoim mężem. Mimo to za nią tęsknię. Bliscy przyjaciele powinni być blisko siebie.

- Zawsze odczuwam wdzięczność - odrzekła Hanna - że ktoś wymyślił papier i atrament, i pismo.

- Tak - zgodziła się hrabina. - Ale bez Alicji, która była przy mnie niemal cały czas zeszłej wiosny, czułabym się straszliwie samotna. Zostałam wdową, powszechnie posądzano mnie o zabicie męża, opuściła mnie jego rodzina, a na jakiś czas także mój własny brat.

Hanna uświadomiła sobie, że to nie była tylko uprzejma konwersacja.

- Nawet mając Alicję przy boku, często bywałam samotna - ciągnęła hrabina. - Póki nie spotkałam Stephena i nie zostałam przyjęta przez jego rodzinę. Nie przyszło im to z łatwością, jak może sobie pani wyobrazić. Ale to

niezwykle damy, jego siostry. Wyrosły w skromnych warunkach, niemal w biedzie, i wydają się często spostrzegać więcej niż reszta *beau monde*. I są dużo bardziej zdolne do współczucia, zrozumienia i prawdziwej przyjaźni.

- Istotnie miała pani szczęście, lady Merton - zauważyła Hanna.

- Możesz zwracać się do mnie po imieniu, jeśli chcesz - odparła hrabina.

- Cassandra. To piękne imię. Jestem Hanna.

Przystanąły i obie podniosły głowy, żeby spojrzeć na księżyc, który właśnie wyłonił się zza chmur. Minęła pełnia i był trochę nieforemny.

- Hanno, popełniliśmy błąd - wyznała Cassandra.

- My? - zapytała księżna.

- Stephen i jego siostry nie mieli nawet pojęcia o istnieniu Constantine'a, póki nie przyjechali do Warren Hall i go nie poznali - wyjaśniła lady Merton. - Pokochali go natychmiast i oczywiście bardzo mu współczuli z powodu niedawnej straty brata. Rozumieli, że trudno jest mu patrzeć, jak przejmują jego dom, a Stephen dziedziczy tytuł, który tak niedawno należał dojona. No i naturalnie cała ta historia z jego urodzinami dwa dni za wcześnie, żeby zostać legalnym spadkobiercą. Constantine to bardzo skryty mężczyzna i od dawna zwaśniony z Elliottem, a teraz także z Vanessą. Jednak pozostali lubią go ogromnie i nade wszystko pragną, żeby był szczęśliwy.

- Nie zamierzam go poślubić - powiedziała Hanna, nie odrywając oczu od księżyca. - Ani łamać mu serca. Łączy nas romans, Cassandro, z czego wszyscy z pewnością zdajecie sobie sprawę, ale nie miłość. Nie była wcale przekonana, że mówi prawdę, ale z jego punktu

widzenia prawdopodobnie tak rzecz się miała, a tylko to się liczyło dla jego rodziny. Chociaż tego popołudnia...

- Ale w tym właśnie rzecz - stwierdziła hrabina z westchnieniem. - Martwiliśmy się, Hanno. Chociaż Constantine jest po trzydziestce i potrafi sam dbać o swoje sprawy, ty jednak różnisz się od innych kobiet. Sądziliśmy, że będziesz się może bawić jego uczuciami, upokorzysz go, a nawet zranisz. Nie uważaliśmy, że musimy go przed tobą chronić, to byłby absurd, ale uznaliśmy, że powinniśmy okazać dezaprobatę, kiedy mieliśmy taką możliwość.

- I tak odrzuciliście moje zaproszenie, żeby tu przyjechać. Mieliście prawo. Nikt nie musi przyjmować zaproszeń, które mu nie odpowiadają. Nigdy tego nie robię. Książę nauczył mnie okazywać w takich sytuacjach pewność siebie. Nauczył mnie, żeby nie narażać się niepotrzebnie na nudę i nie znosić głupców w imię obowiązku, kiedy żadnego obowiązku nie ma. Nie jesteście mi winni wyjaśnień, dlaczego odmówiliście ani z jakiego powodu zmieniliście zdanie i przyjechaliście.

- Hanno, straszliwie się pomyłono co do mnie, kiedy przyjechałam do Londynu. Spotkał mnie ostracyzm. Nie ma nic gorszego, choćby człowiek próbował sobie wmawiać, że go to nie obchodzi. Ciebie społeczeństwo nie odrzuca. W gruncie rzeczy jest wprost przeciwnie. Ale jesteś błędnie osądzana.

- Być może - odparła księżna, prowadząc lady Merton w stronę ławki pod pobliskim dębem - wolę, żeby mnie tak osądzano. Świadomość, że nawet w najbardziej publicznej sytuacji zachowuje się pewną prywatność, że można się skutecznie ukryć w pełnym świetle, daje poczucie komfortu. Usiadły i Cassandra roześmiała się cicho.

- Nie miałam ani pensa, nie mówiąc już o niczym innym, kiedy w zeszłym roku przyjechałam do Londynu - powiedziała - a musiałam poza sobą utrzymywać drogie mi osoby. Uznałam, że jedynym sposobem będzie znalezienie zamożnego opiekuna. I tak poszłam na bal, żeby uwieść Stephena, który sprawiał wrażenie anioła. Popełniłam błąd, sądząc, że anioły są koniecznie słabe i dają sobą łatwo powodować, ale to inna historia. Pamiętam, jak stałam w tamtej sali balowej, pustka wokół mnie, wszyscy zaszokowani, że odważyłam się przyjść bez zaproszenia, a ja marzę o tym, żeby zwinąć się w maleńki kłębuszek i zniknąć. Podtrzymało mnie przekonanie, że nikt mnie nie zna, a moje prawdziwe ja jest bezpiecznie ukryte wewnątrz zuchwałej rudowłosej morderczyni, którą wszyscy widzieli.

- Ale hrabia Merton z tobą zatańczył - przypomniała Hanna.

- To także inna historia. Kto jak kto, ale ja powinnam była zrozumieć, kiedy zobaczyłam cię wcześniej tej wiosny, że osoba, którą poznałam, nie jest prawdziwą księżną Dunbarton.

- Och, jest bardzo prawdziwa. Jestem księżną Dunbarton. Poślubiłam księcia w wieku dziewiętnastu lat, a chociaż w oczach świata ożenił się ze mną, bo byłam młoda i piękna, a ja wyszłam za niego dla tytułu i bogactwa, to jednak byłam jego żoną. A teraz jestem wdową po nim. Nauczył mnie, jak być księżną, jak trzymać głowę wysoko, kontrolować swoje życie i nie pozwalać się wykorzystywać z powodu urody czy czegokolwiek innego. Podoba mi się osoba, którą pomógł mi się stać, Cassandro. Dobrze się czuję jako księżna Dunbarton.

- Wyrażam się niezręcznie. Miałam na myśli to, że powinnam była wiedzieć, iż patrząc na ciebie, nie widzę w

pełni twojej osoby. Nawet teraz nie twierdzę, że cię znam. Ale Margaret opowiedziała nam, jaka byłaś serdeczna wobec dziadka Duncana, kiedy odwiedziłaś ją w rezydencji Claverbrook, i słyszałam, że pocałowałaś go w policzek przed wyjściem. Wiem, że przysłałaś, żeby zaprosić nasze dzieci po tym, jak wszyscy odrzuciliśmy twoje zaproszenie. A przez ostatnie dwa dni widziałam ciebie taką, jaką nie pozwalasz się widzieć nikomu, kiedy jesteś w mieście. Jesteś ciepłą, gościnną, hojną, lubiącą zabawę osobą, Hanno, i chciałam, żebyś wiedziała, że cię źle oceniłam. Wszyscy chcemy, żebyś o tym wiedziała. - Ciebie wybrano, żebyś ze mną porozmawiała? - zapytała księżna, nie wiedząc, czy powinna czuć rozbawienie, czy urazę.

- Wcale nie - zapewniła Cassandra. - Ale długo rozmawialiśmy tego popołudnia, kiedy pojechaliście gdzieś z Constantine'em, a dzieci spały albo bawiły się same. I zgodziliśmy się, że trzeba znaleźć jakiś sposób, żeby ci uświadomić, jak nam przykro, że odrzuciliśmy cię, sądząc tylko po pozorach. - Nie jesteście mi nic winni - powtórzyła Hanna.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się Cassandra. - Jednak wszyscy chcemy ofiarować ci naszą przyjaźń, jeśli ją przyjmiesz po tak mało obiecującym początku.

- Pod warunkiem że nie zranię Constantine'a? - rzekła księżna.

- On nie ma z tym nic wspólnego. Doskonale daje sobie radę sam. A teraz przekonaliśmy się, że nie jesteś tego typu kobietą, która chciałaby go w sobie rozkochać, a potem upokorzyć. Jeśli z końcem sezonu uzna romans za skończony albo jeśli ty zechcesz go zakończyć, albo jeśli rozstaniecie się, bo oboje będziecie sobie tego życzyć, jest to sprawa wyłącznie między wami. Myślę jednak, że



chciałabym mieć w tobie przyjaciółkę, Hanno, a Margaret i Katherine myślą tak samo. Jeśli to coś dla ciebie znaczy, Vanessa powiedziała nam w zeszłym tygodniu, że zawsze cię lubiła i podziwiała, i jesteś za dobra dla Constantine'a. Hrabina roześmiała się cicho.

To musi się skończyć, pomyślała Hanna, ta głupia kłótnia. Książę Moreland z pewnością nie miał racji, wyciągając pochopne wnioski i oskarżając kuzyna i najlepszego przyjaciela o wstrętne zbrodnie.

Ale Constantine postąpił równie niewłaściwie, obrażając się do tego stopnia, że nie próbował nawet wyjaśnić, jak źle został osądzony.

Źle osądzony. Znowu to samo.

Ofiarowały jej przyjaźń trzy damy, o których sądziła, że mogłaby je szczerze polubić, gdyby miała taką możliwość. Być może cztery. Księżna Moreland wspomniała, że ją lubi i podziwia.

I jak się wydawało, była to przyjaźń bez żadnych warunków.

- Odkryto nas - powiedziała Cassandra, a Hanna uniosła głowę i zobaczyła, że hrabia Merton i Constantine idą przez trawnik w ich stronę. - Anioł i diabeł. Takie było moje pierwsze wrażenie, kiedy spotkałam ich w zeszłym roku pewnego popołudnia w Hyde Parku. A Stephen naprawdę jest aniołem.

Serce Hanny zadrżało, mimo że przed kwadransem widziała Constantine'a w salonie. Celibat źle wpływał na jej samopoczucie. Nie tylko dlatego że tęskniła za jego ciałem... choć tak też było. Przede wszystkim jednak ta rozłąka zmuszała ją do myślenia o tym związku. A nie podobał jej się kierunek, w jakim zmierzały te myśli. A właściwie podobał, ale...

Co on takiego chciał powiedzieć dzisiaj w lesie, kiedy jednak zdecydował, że to przemilczy? Słowa, które miał na końcu języka. Tak samo jak ona.

A jednak źle się to dla niej skończy. Nie powinna była wierzyć, że może igrać z ogniem i się nie poparzyć.

Ale może nie zostanie zraniona. Być może...

- Przyszliśmy, żebyście pogratulowały nam wygranej! - zawołał hrabia, kiedy mężczyźni podeszli bliżej. - Nie zostałyście, żeby być tego świadkami.

- Oczywiście - odezwał się Constantine - druga strona oskarżyła nas, że wygraliśmy wyłącznie dzięki panie Leavensworth. Ale sędzę, że to zwykła zawiść.

- Druga strona była moją stroną - stwierdziła Cassandra. - Nie sędzę, żeby ktoś z mojej drużyny był zdolny do zazdrości, Constantine. Każda drużyna, która miałaby pannę Leavensworth w swoich szeregach, uzyskałaby przewagę.

- Cóż, Cass - odparł hrabia. - Jesteś stronnicza. Może lepiej zmieńmy temat, zanim przejdziemy do walki na pięści.

Postawił stopę na ławce obok żony i położył rękę na kolanie. Constantine oparł się ramieniem o pień drzewa nieopodal Hanny i skrzyżował ramiona na piersi.

- Jak tu cudownie cicho - zauważył hrabia po chwili.

- Niezupełnie - odezwał się Constantine. - Jeśli naprawdę się wsłuchasz, Stephenie, usłyszysz wiatr w drzewach, śpiew słowika, śmiech z salonu i inne dźwięki. A to wszystko daje poczucie spokojnego szczęścia. Hanna mnie tego nauczyła dzisiaj po południu, kiedy spacerowaliśmy razem po lesie. Wszyscy skupili się na dźwiękach. Z wyjątkiem Hanny.

Przed chwilą nazwał ją po imieniu. Po raz pierwszy.

Oto była tu, w grupie ludzi, otoczona ciepłem i życzliwością. Nie w centrum uwagi niczym królowa w tłumie dworzan, jak zwykle się działo, kiedy znajdowała się wśród ludzi. Była częścią grupy.

Gdyby miała pozbyć się całkowicie swoich masek, uwierzyłyby, że jest częścią grupy złożonej z dwóch par.

Zacisnęła mocno dłonie na kolanach. Nie odsłoni się. Ból niespełnionej miłości, nie mówiąc już o złamanym sercu, byłyby dla niej nie do zniesienia. Druga para była małżeństwem. Ich maleńkie dziecko spało na górze w pokoju dziecięcym. Kiedy przyjęcie się skończy, wrócą razem do Londynu.

Z końcem wiosny wrócą razem do domu. Nawet dziś w nocy będą leżeć wtuleni jedno w drugie.

- Masz całkowitą rację, Con - odezwał się po kilku minutach hrabia zdumionym głosem. Constantine położył delikatnie dłoń na ramieniu Hanny. Miała ochotę płakać. Albo zerwać się na nogi i zatańczyć w świetle księżyca.

Następnego ranka wszyscy - nawet ci goście, którzy nie mieli potomstwa - wydawali się podnieceni przyjęciem dla dzieci, które miało się odbyć po południu. Po śniadaniu kilku mężczyzn, pod przewodnictwem pana Parka, poszło wyznaczyć boisko do krykieta w pobliżu jeziora. Julianna Bentley i Marianna Astley wyruszyły z Katherine, która wydawała się tylko odrobinę blada, żeby znaleźć kawałek równego terenu pod rozmaite wyścigi. Barbara Leavensworth stanęła na czele samowolnego komitetu organizującego poszukiwanie skarbu. Lawrence Astley i sir Bradley Bentley ofiarowali się sprawdzić łódź, którą w zeszłym roku naprawiono i pomalowano, ale nigdy nie spuszczone na wodę. Jasper, lord Montford, zabrał starsze dzieci na konną przejażdżkę, żeby nie przeszkadzały w przygotowaniach. Kilka matek oraz Stephen i pan Finch zostali w pokoju dziecięcym, aby zabawiać maluchy.

Wkrótce po lunchu spodziewano się przybycia dwadzieścioro dwojga dzieci z sąsiedztwa. Ich rodziców zaproszono na piknik nad jeziorem.

Hanna przebywała w kuchni, rozmawiając, zdaniem Constantine'a niepotrzebnie, z kucharką. Księżna była niezwykle podniecona. Przy śniadaniu po prostu promieniała. Miała zaróżowione policzki i błyszczące oczy.

Wychodził właśnie, żeby przyjrzeć się łodzi z Bentleyem i Astleyem, kiedy dostarczono mu list od Harveya Wexforda z Ainsley. Został przesłany z Londynu. Mógłby go odłożyć na później, tylko że sprawozdanie otrzymał parę dni wcześniej i nie spodziewał się następnego tak szybko. Ciekawość zwyciężyła i został na tarasie, żeby zapoznać się z treścią.

Hanna znalazła go, kiedy wyszedłszy z salonu przez drzwi balkonowe, przemierzała taras, żeby sprawdzić, jak się wiedzie innym przy jeziorze. Constantine uśmiechnął się i złożył list.

- Kucharka panuje nad wszystkim? - zagadnął.

- Oczywiście - odparła. - Przyjęto mnie bardzo serdecznie jako gościa, z zastrzeżeniem, że nie będę wnikać zbyt głęboko w sprawy królestwa i przeszkadzać.

Roześmiała się i spozrzała na niego, a potem na gromadki gości uwijające się nad jeziorem. Zerknęła na list.

- Czy coś się stało? - zapytała.

- Nie, nic. - Uśmiechnął się znowu. Usiadła na ławce obok niego.

- Constantine, co się stało? Nalegam stanowczo, żebyś mi powiedział.

- Czy tak, księżno? - Zmrużył oczy. Czekwała.

- Nie może być takiego związku - powiedziała w końcu.

- Jest jakiś związek? - zdziwił się. - Śpimy ze sobą, księżno. Czerpiemy z tego przyjemność. To się nie kwalifikuje na „związek”.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę oczami bez wyrazu.

- Spaliśmy razem - rzekła w końcu. - Czerpaliśmy z tego przyjemność. Czas przeszły, Constantine. Podniosła się i ruszyła w stronę jeziora, nie mówiąc więcej ani słowa, nie oglądając się za siebie. Miał to głęboko zakorzenione, czyż nie? Tę głęboką potrzebę zapewniania sobie ochrony przez zwracanie się w głąb siebie. Jak sięgał pamięcią, ta ochrona nie była wystarczająca. Opuścił łono matki zbyt szybko, dwa tygodnie przed spodziewanym terminem, dwa

dni wcześniej, zanim jego ojciec zdołał uzyskać specjalne pozwolenie i poślubić jego matkę. Matka żaliła mu się, sądząc zapewne, że jest zbyt młody, żeby to zrozumieć, że jej coroczne ciążę i poronienia nie miałyby miejsca, gdyby tylko poczekał i urodził się we właściwym czasie. Ojciec skarżył się przed nim, nawet wówczas, kiedy musiało być oczywiste, że jest dostatecznie duży, żeby to zrozumieć, że nieszczęśliwe ciążę żony nie byłyby takie męczące, gdyby poczekał parę dni, aby urodzić się w legalnym związku. Nawet jego dobre zdrowie było mankamentem. Stawiało w dziwnym świetle wysiłki rodziców, aby wydać na świat innego, zdrowego i prawowitego dziedzica.

I Jon, którego Constantine nienawidził, ponieważ on sam mógłby pełnić tę funkcję dużo lepiej, gdyby uzyskał tytuł hrabiego Merton ze śmiercią ojca. I jego pełna bólu miłość dojona. Poczucie winy, ponieważ nienawidził, kiedy pragnął jedynie kochać. Kiedy tylko kochał.

A potem potrzeba chronienia wspaniałego pomysłu Jona co do Ainsley upewnienia się, że nic ani nikt mu nie przeszkodzi, tylko dlatego że w oczach świata uchodzi za imbecyla. I odmowa dopuszczenia do tajemnicy nawet Elliotta, ponieważ kuzyn, zaskoczony niespodziewanym przejściem tytułu i obowiązków, z pewnością zechciałby bronić Jona przed sobą samym.

I straszliwa zdrada Elliotta, który wolał wystąpić z oskarżeniami zamiast zadawać pytania.

Czy jednak Constantine odpowiedziałby szczerze na pytania, nawet gdyby padły? Być może nie.

Prawdopodobnie nie, ponieważ Elliott i tak uważałby za swój obowiązek powstrzymanie Jona przed tym, co chciał zrobić. Uznałby za konieczne bronić nienaruszalności majątku. To należało do obowiązków

opiekuna. Moreland nie był człowiekiem pozbawionym serca, ale po śmierci ojca górę wzięło poczucie obowiązku. W każdym razie w tamtym czasie. Wydawało się, że odzyskał serce, kiedy poślubił Vanesę, ale szkoda już się dokonała. Jon nie żył, a przyjaźń łącząca ich od lat zakończyła się bezpowrotnie.

Tak więc skrytość, ukrywanie się wewnątrz siebie leży w naturze Constantine'a. A teraz okazał okrucieństwo wobec kogoś, kto na to nie zasługiwał.

Dobry Boże, on ją kochał!

Piękny sposób wybrał, żeby okazać uczucie. Czy okrucieństwo i chłód także były częścią jego natury?

Czy był aż tak podobny do ojca?

Podniósł się szybko, żeby ją dogonić. Nie zauważył jednak, że zawróciła. Stała naprzeciwko niego.

- Przepraszam - powiedział.

- My nie tylko śpimy ze sobą - oznajmiła. - Nie tylko czerpiemy z tego przyjemność. Jest coś więcej, czy chcesz to uznać, czy nie. Nie nazwę tego. Nie jestem pewna, czy mogę. Ale jest coś więcej, Constantine, i nie mogę pozwolić, żebyś nie dopuszczał mnie do tego, co dla ciebie najbardziej bolesne. Znasz mój ból. Albo, jeśli nie wyraziłam się jasno, teraz to wyjaśnię. Wyrosłam, nienawidząc swojej urody, ponieważ dzieliła mnie od ludzi. Chciałam po prostu kochać. Moja siostra była o mnie zazdrosna, chociaż starałam się ze wszystkich sił nie dawać jej powodu. W końcu zraniła mnie straszliwie, być może dlatego, że ja ją przedtem zraniłam. Być może zawsze kochała Colina. Albo może pokochała go, ponieważ ja go kochałam i zdobyłam. Mój ojciec nie poradził sobie z tą sytuacją po śmierci matki i zawiódł mnie karygodnie, biorąc stronę Dawn, kiedy powinno być oczywiste, że źle

postąpiła i złamała mi serce. Och, dobrze, może żadne z nich, nawet Colin, nie było czarnym charakterem. Może czuli się usprawiedliwieni w tym, co robili i mówili. Kto wie? Ale powinni byli wiedzieć, że ja mam uczucia, że można mnie zranić tak samo jak najbrzydszą dziewczynę na świecie, że uroda nie chroni przed bólem i rozpaczą. Dzięki Bogu... nie bluźnię... dzięki Bogu za Barbarę, która znała i kochała mnie całe życie, i za księcia, który potrafił zajrzeć w głąb mojej duszy i dostrzec zrozpaczone, przerażone dziecko, kiedy zakłóciłam jego spokój, płacząc w tamtym pokoju głośno i bez godności.

- Księżno - rzekł.

- Nauczył mnie, jak uratować i wzmocnić tę skrzywdzoną osobę wewnątrz mnie - ciągnęła - tak żeby znowu była silna. Sprawił, że znowu pokochałam siebie, bez próżności, ale akceptując siebie taką, jaką jestem, niezależnie od wyglądu, który przyciągał tak wielu w tak powierzchowny sposób. Nauczył mnie, że mogę znowu kochać, kochałam go, i że mogę ufać miłości, ufałam mu. Zostawił mnie wciąż nieco kruchą, ale gotową wypróbować skrzydła. To był mój ból, Constantine. Wciąż jest moim bólem. Poruszam się niezbyt pewnie pod zbroją księżnej Dunbarton.

Przełknął z trudem ślinę.

- Marzenie Jona grozi zamianą w koszmar - powiedział. Podniósł list, który wciąż trzymał w dłoni. - Jess Barnes, jeden z umysłowo upośledzonych robotników w Ainsley, nie zamknął na noc kurnika, lis dostał się do środka i zagryzł kilka kurczaków. Zarządca zarzeka się, że wcale nie skrzyczał go zbyt ostro... Jess tak bardzo się stara i jest jednym z najciężej pracujących robotników w gospodarstwie. Ale Wexford powiedział mu, że będę



rozczarowany. Jess wyszedł następnej nocy i zabrał czternaście kurcząt z kurnika najbliższego sąsiada. A teraz siedzi w areszcie, mimo że kurczęta zostały zwrócone i zapłacono za nie, a Jess przeproszał z płaczem. Ten akurat sąsiad nigdy nie aprobował ani mnie, ani tego, co robię. Skarży się przy lada okazji. Teraz zdobył dowód, że Ainsley to chybione przedsięwzięcie, które nie może się powieść.

Wzięła od niego list i położyła na stole, po czym ujęła go za obie ręce. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jego dłonie były zimne, póki nie poczuł jej ciepła.

- Co się stanie z biednym chłopcem? - zapytała.

- Biedny chłopiec ma czterdzieści lat albo mniej więcej tyle - odparł. - Wexford to załatwi. Jest oczywiste, że Jess nie zamierzał ukraść, tylko chciał mnie zadowolić, naprawiając błąd. A Kincaid otrzymał sowitą rekompensatę, choć trudno go winić za to, że jest zły. Moi sąsiedzi zawsze bali się o swoje bezpieczeństwo w związku z tym, że obok zamieszkało tyle dziwacznych w ich odczuciu osób. Po prostu źle się czuję, wiedząc, że biedny Jess siedzi w areszcie, i nie bardzo rozumiem, dlaczego tam się znalazł. Powinienem pojechać do Ainsley w przyszłym tygodniu, po powrocie do Londynu.

- Czy chcesz jechać dzisiaj? - zapytała. Spojrzał jej w oczy.

- To by wymagało zbyt wielu wyjaśnień z mojej strony. I resztę dnia chcę spędzić z tobą, nawet jeśli upierasz się, żebyśmy odmówili sobie przyjemności.

Uśmiechnął się szeroko. Nie odwzajemniła uśmiechu.

- Dziękuję, Constantine - odezwała się. - Dziękuję, że mi powiedziałeś.

Dobry Boże, niech to diabli, poczuł, jak łyzy zbierają mu się pod powiekami. Pośpiesznie cofnął dłonie i odwrócił się, żeby wziąć list Wexforda. Miał nadzieję, że nie zauważyła. Tak się kończy, jak człowiek traci kontrolę i zwierza się komuś innemu. Nie powinien obciążać jej swoimi kłopotami. Przygotowywała się do przyjęcia dla dzieci.

- Kocham cię - wyznała.

Odwrócił gwałtownie głowę, nie bacząc na łyzy, i spojrzął na nią przestraszony.

- Kocham - powtórzyła cicho. - Nie musisz się czuć w związku z tym zagrożony. Miłość nie zakuwa ukochanego w kajdany. Ona po prostu jest.

Zakręciła się na pięcie i znowu ruszyła przez trawnik. Tym razem nie zawróciła.

Niech to diabli!

On, głupiec, czuł się zagrożony. Czy socjeta nie byłaby wstrząśnięta, dowiedziawszy się, że sam diabeł boi się miłości? Chociaż z teologicznego punktu widzenia to się wydawało logiczne, zakpił w myślach.

„Kocham cię, Con. Kocham cię bardziej niż kogokolwiek na całym wielkim świecie. Kocham cię na wieki wieków. Amen”. Tak powiedział Jon w noc swoich szesnastych urodzin. Następnego ranka nie żył. „Kocham cię”, właśnie usłyszał od Hanny.

Zamknął oczy. W Bogu nadzieja, że Wexford wyciągnął już Jessa z więzienia. Modlił się. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna.

Przyjęcie dla dzieci było długie, chaotyczne i przeraźliwie hałaśliwe. Dzieci bawiły się znakomicie, z wyjątkiem może niemowlęcia w ramionach Cassandry i innego maleństwa, które większość zabawy przespały,

jakby nie działało się nic godnego uwagi.

Dorośli wydawali się już mocno znużeni, gdy sąsiedzi zgonili swoje pociechy i poprowadzili gromadnie do domu, a goście domowi pozbierali wszystkie przedmioty tudzież ich szczątki i powędrowali do domu z pozostałymi dziećmi.

- Zawsze wiadomo, że przyjęcie dla dzieci udało się nadspodziewanie dobrze - stwierdził pan Finch - kiedy jesteśmy tak zmęczeni, że nawet stawianie stopy za stopą wymaga świadomego wysiłku. Pani przyjęcie było jednym z najlepszych, wasza wysokość.

Wszyscy się roześmieli - choć bez specjalnego ożywienia - i przyznali mu rację.

Hanna, ubierając się około godziny później na kolację, czuła się szczęśliwa i dumna. Zajmowała się dziećmi całe popołudnie, zamiast stać z boku, choć mogła tak zrobić, odgrywając rolę łaskawej gospodyni. Wzięła nawet udział w wyścigach na trzech nogach z dziesięcioletnią dziewczynką, która krzyczała przez całą drogę, powodując, że Hanna lekko ogłuchła na jedno ucho, nie mówiąc już o tym, że poobijała się w różnych miejscach na skutek licznych upadków. Czuła się szczęśliwa.

Powiedziała Constantine'owi, że go kocha, i nie żałowała tych słów. Kochała go i musiała mu o tym powiedzieć. Nie oczekiwała niczego w zamian, tak siebie przynajmniej przekonywała. Ale zbyt wiele rzeczy w życiu pozostało niedopowiedzianych i ich przemilczenie mogło poważnie wpłynąć na resztę jej życia.

Powiedziała mu, że go kocha.

Prawie nie rozmawiali ze sobą całe popołudnie. Nie żeby się unikali. Ale oboje bawili się z dziećmi i

konwersowali z sąsiadami, i ich ścieżki rzadko się krzyżowały.

Oczywiście, nie starała się specjalnie, żeby się na niego natknąć. W istocie czuła się zakłopotana.

Wiedziała, że jej nie wyśmiejże, kiedy mu to powie, ale...

A gdyby tak się stało?

Nie zamierzała się martwić. Został jej jeden cały wieczór z gośćmi i choć wszyscy z pewnością będą zmęczeni, sądziła, że chętnie odpoczną w salonie. Miała ogromną ochotę odpoczywać w ich towarzystwie.

Wierzyła też, że zyskała przyjaciółki, które pozostaną nimi po powrocie do Londynu. Inne przyjaciółki, poza Barbarą. Tego popołudnia czuła przyjaźń ze strony Cassandry i jej szwagierek, nawet pani Park i pani Finch. Lady Montford i lady Sheringford znalazły chwilę, żeby zaproponować jej zwracanie się do siebie po imieniu, Katherine i Margaret.

Gdyby tylko w Londynie zdobyła się na odwagę, żeby być prawdziwą sobą, nie tylko księżną Dunbarton.

Zycie było skomplikowane. I podniecające. I niepewne. I... Cóż, i zdecydowanie warte, żeby je przeżyć.

- Tak będzie dobrze, Adele - powiedziała, obracając głowę na boki i oglądając fryzurę w lustrze. Była piękna, ale nie przesadnie wyszukana.

Miała na sobie ciemnoróżową suknię. Nie zamierzała wkładać biżuterii, ale niski dekolt wydawał się zbyt nagi. Założyła jeden brylant - prawdziwy - na srebrnym łańcuszku. A na lewą dłoń najcenniejszy z pierścieni, prezent ślubny, wraz z obrączką.

- To wszystko, dziękuję. - Po wyjściu pokojówki wpatrywała się przez chwilę w swoje odbicie. Starła się,

jak zwykła czasem robić, spojrzeć na siebie oczami innych. W Londynie, rzecz jasna, zawsze pilnowała, żeby postrzegano ją w określony sposób. Ale tutaj? W ostatnich dniach doświadczyła przyjaźni. Poza tym że była gospodynią, nie miała wrażenia, iż ktoś traktuje ją inaczej niż pozostałe damy. Czy z powodu stroju? Ani razu nie ubrała się na białe. Albo włosów? Dzisiaj miała bardziej formalną fryzurę niż wcześniej, odkąd przyjechała na wieś, ale nawet teraz nie była tak misterna jak zwykle w mieście. Czy też dlatego, że nie obwieszała się biżuterią? Czy też z jakiejś innej przyczyny? Czyjej goście widzieli to, co ona w tej chwili? Po prostu samą?

Czy była w stanie wzbudzić w kimś miłość, a przynajmniej sympatię i szacunek, będąc po prostu sobą? Ostatecznie, na świecie nie brakowało pięknych kobiet. Nawet tutaj. Cassandra i jej szwagierki odznaczały się uderzającą urodą. Pani Finch była ładna. Podobnie jak Marianna Astley i Julianna Bentley. A także Barbara. Hanna wstała z westchnieniem. Tak się cieszyła z tego przyjęcia. Podobało jej się bardziej niż cokolwiek od dawna. I został jeszcze ten wieczór. Jutro wróci do Londynu. Będzie mogła spędzić noc z Constantine'em. Chyba że pojedzie on jednak do Ainsley, żeby sprawdzić, czyjego robotnikowi nic się nie stało.

Miała nadzieję, że względu na tamtego człowieka i Constantine'a, że sytuacja wkrótce rozwiąże się sama.

- Jutro w nocy - powiedział, spoglądając na niebo usiane gwiazdami. - Moja karetka o jedenastej. U mnie kwadrans po... ani sekundy później. W moim łóżku dwadzieścia po jedenastej. Nie żeby spać. Przygotuj się na nieustającą orgię.

Zaśmiała się cicho, kładąc głowę na jego ramieniu.

Leżeli na brzegu jeziora. Wszyscy odczuwali przyjemne znużenie po przyjęciu dla dzieci i pikniku, z chęcią udali się po kolacji do salonu, żeby posiedzieć, porozmawiać albo posłuchać, jeśli ktoś był na tyle ambitny, żeby grać na fortepianie czy śpiewać. Cztery osoby zajęły się grą w karty. Księżna nie miała wyrzutów sumienia, zostawiając gości samym sobie, kiedy Constantine zaprosił ją na przechadzkę po dworze. Jego kuzyni wymienili między sobą pełne wyrozumiałości uśmiechy. Jego kuzynki i Cassandra zwracały się do niej po imieniu, jak zauważył.

- Nie będę się z tobą teraz spierać - oświadczyła. - Ale po takich przechwałkach, Constantine, musisz spełnić oczekiwania. Domagam się tego.

- Wyruszam do Ainsley następnego dnia - odparł. - Muszę jechać. Wszystko zapewne zostało do tej pory szczęśliwie załatwione, ale powinienem się zjawić osobiście, żeby załagodzić sprawę z Kincaidem i innymi sąsiadami. I podziękować Wexfordowi, że się tym zajął w moim imieniu. I zapewnić Jessa, że wcale nie jestem nim rozczarowany. Być może nie zobaczę cię przez tydzień czy dwa.

- To będzie męczące. Ale sądzę, że przeżyję. Podejrzewam, że ty także. Musisz jechać. Nagle koniec sezonu zaczął się wydawać bardzo bliski. W istocie, gdyby nie romans z księżną, uznałby pewnie, że w tym roku nie warto już wracać do Londynu. Nie mógł się jednak zdobyć na zerwanie już w tej chwili. A być może...

Cóż, pomyśli o tym innym razem.

Wyznała mu rano, że go kocha. Co dokładnie miała na myśli? To nie było pytanie, które mógłby zadać głośno, choć bardzo pragnął poznać odpowiedź.

- A na razie... - Wsunął ramię pod głowę Hanny,

uniósł się na łokciu i spojrzał jej w twarz. - Jutrzejsza noc wydaje się bardzo odległa.

Schylił głowę i pocałował ją leniwie, najpierw wargami, potem wsuwając język w usta.

- Masz rację - przyznała z westchnieniem, kiedy podniósł głowę. Potarł nosem o jej nos.

- Uszanuję twoje życzenie, księżno - powiedział - chociaż twoi goście pewnie i tak mają swoje zdanie na temat tego, co się tutaj między nami dzieje. Pozwól, że będę cię kochać, nie narzucając ci niczego.

- W jaki sposób? - Uniosła dłoń i położyła palec wskazujący na jego lekko zakrzywionym nosie.

- Do niczego nie dojdzie - odparł. - Przyrzekam.

- I tak zasady godnego zachowania zostaną zachowane. Wszystko, tylko nie to, co podejrzewają nasi goście. Oto historia mojego życia.

Podniósł się na kolana i usiadł na niej okrakiem. Zsunął suknię z jej ramion, poniżej piersi, i zaczął je pieścić. Całował ją i bawił się jej włosami. Wsunęła mu rękę pod koszulę.

Była pełna namiętności.

Pragnął jej gorąco.

To jednak nie był dobry pomysł. I co za różnica, jeśli by to jednak zrobił? Oboje chcieli. Obywali się bez tego o wiele za długo.

Ułożył się u jej boku, z ustami wciąż na jej ustach, i wsunął dłoń pod spódnicę, przesuwał ją po gładkim jedwabiu pończoch, dotykając ciepłego ciała i...

- Nie.

Zdumiewające, ale to był jego głos.

Cofnął rękę, opuścił spódnicę i podniósł głowę.

- Niech cię diabli, Constantine - powiedziała,

wprawiając go niemal w osłupienie. - I dziękuję.

Objęła go ramionami i przyciągnęła do siebie jego głowę. Pocałowała go ciepło i serdecznie. Wyczuwał szybkie bicie jej serca, podniecenie kochanki i wysiłek, jaki podejmowała, żeby utrzymać się w narzuconych granicach. - Dziękuję - powtórzyła minutę czy dwie później, mocno go przytulając.

- Dziękuję ci, Constantine. Nie jestem pewna, czy byłabym w stanie się oprzeć. Jesteś taki cudowny. Miałam co do ciebie całkowitą rację od samego początku.

Czy to znaczyło, że mógł...?

Był zadowolony, że tego nie zrobił.

Ale niech to, zasłużył doprawdy na medal.

W salonie prawdopodobnie nie było nikogo, kto by wierzył, że nie zażywa z nią tutaj wszelkiej możliwej przyjemności.

Miała niezwykle - i wzruszająco cudowne - poczucie honoru.

Wrócili pod ramię do domu i przypomniał sobie znowu, co mu powiedziała rano, a później już nie powtórzyła. Ponieważ nie odpowiedział tym samym? Czy mógł to powiedzieć? Powiedziałby?

To były najbardziej niebezpieczne słowa w języku angielskim. Nie można ich było odwołać.

Będzie musiał to przemyśleć. Może powie jutro w nocy.

Albo kiedy wróci z Ainsley.

Albo nigdy.

Tchórz.

Albo mędrzec.

- Muszę wrócić do sypialni, zanim zejdę na dół i zaordynuję podanie herbaty - powiedziała. -



Prawdopodobnie jestem oblepiona trawą od stóp do głów. A włosy pewnie przypominają ptasie gniazdo. Z pewnością wyglądam niechlujnie.

- Żałuję, że nie z innej przyczyny - westchnął głośno. Roześmiała się.

- Jutro w nocy - odezwała się. - Przyrzekłeś orgię. Odprowadził ją na górę do pokoju i wrócił do siebie, żeby się uczesać i upewnić, czy nie wygląda tak, jakby się tarzał gdzieś na sianie.

Hanna otrzepała sukienkę, poprawiają na biuście, umyła ręce i podreperowała fryzurę na tyle, na ile dało się to zrobić, nie rozpuszczając najpierw włosów, po czym zerknęła niepewnie w lustro nad toaletką. Czy jej policzki były takie zaróżowione, jak myślała? A oczy błyszczące?

Żałowała na przekór sobie, że dotrzymał słowa. Gdyby tego nie zrobił, doznałaby rozkoszy bez poczucia winy. Mogłaby nawet później poczynić mu wyrzuty.

Ale to naprawdę byłoby niecne. Była zadowolona - w istocie, bardzo zadowolona - że dotrzymał obietnicy. Och, jakże go kochała!

Przebiegła przez garderobę i wyciągnęła rękę, żeby otworzyć drzwi. Ktoś zapukał z drugiej strony i otworzył je, zanim zdążyła to zrobić. Ach, niecierpliwy mężczyzna!

Uśmiechnęła się, zanim dotarły do niej dwie rzeczy. Constantine był błądliwy jak duch. I zmienił się w ciągu tych kilku minut, odkąd ją zostawił pod drzwiami. Miał na sobie strój podróżny - długi płaszcz i wysokie buty. W jednej ręce trzymał wysoki kapelusz.

- Muszę cię prosić o przysługę, księżno - oznajmił, wchodząc do pokoju i zamykając drzwi. - Nie przyjechałem własnym powozem. Podróżowałem ze Stephenem i Cassandrą. Muszę prosić o pożyczenie konia,

Jęta, jeśli to możliwe, żeby wrócić do Londynu. Tam wezmę powóz i pojedę dalej.

- Do Gloucestershire? - zdziwiła się. - Już? Teraz? Wszystko co jej niemądrze przychodziło do głowy, wiązało się z myślą, że on jednak chce uniknąć obiecaney orgii.

- W pokoju czekał na mnie drugi list - wyjaśnił. - Zamierzają go powiesić.

- Co? - Otworzyła usta ze zdumienia.

- Za kradzież. Jako przykład dla innych złodziei. Muszę jechać.

- Co chcesz zrobić? - zapytała.

- Uratować go. Przemówić komuś do rozsądku. Dobry Boże, Hanno, nie wiem, co zrobię. Muszę jechać. Czy mogę wziąć Jęta?

Miał obłęd w swoich czarnych oczach, kiedy palcami jednej dłoni przeczesywał włosy.

- Pojadę z tobą.

- Ależ nie pojedziesz w żadnym razie. Co z koniem?

- Powóz - powiedziała, otwierając drzwi i wychodząc przed nim z pokoju. - Wydam polecenia. Weź mój powóz i jedź wprost do Ainsley Park. To ci oszczędzi co najmniej pół dnia.

Sama udała się do stajni i powozowni, tak jakby dzięki jej obecności mógł szybciej wyruszyć w drogę.

Konie i powóz przygotowano w wielkim pośpiechu, choć dla Hanny i Constantine'a, który chodził tam i z powrotem jak zwierzę w klatce, trwało to rozpaczliwie długo.

Wzięła jego ręce w swoje dłonie, kiedy powóz był już prawie gotowy do drogi, a woźnica w liberii zbliżał się szybkim krokiem.

Nie wiedziała jednak, jakie dobrać słowa. Co

wypadało powiedzieć w takich okolicznościach?

Bezpiecznej podróży?

Mam nadzieję, że zdążysz na czas?

Ale na czas czego?

Mam nadzieję, że zdołasz ich przekonać, żeby nie wieszali biednego Jessa.

Prawdopodobnie ci się to nie uda.

Przyciągnęła jego ręce do policzków i przytrzymała je tam. Ucałowała jedną dłoń, potem drugą.

Drapało ją w gardle, ale powstrzymała łzy.

Spojrzała mu w twarz. Patrzył pustym wzrokiem.

Nie była nawet pewna, czyją widzi.

- Kocham cię - szepnęła. Skupił na niej wzrok.

- Hanno - powiedział.

Jej imię. To brzmiało niemal jak deklaracja miłości.

Nie żeby świadomie myślała o takich drobiazgach. Odwrócił się, wsiadł do powozu i zamknął drzwi. Powóz ruszył od razu.

Hanna podniosła rękę, ale nie wyrżała na zewnątrz.

Jego obecność w Ainsley niczego nie zmieni, pomyślała Hanna z bólem serca, patrząc, jak jej powóz znika na podjeździe.

Nieszczęsny człowiek miał zawisnąć za kradzież. A Constantine nigdy sobie nie wybaczy, że zabrał go do Ainsley, a potem nie zdołał uchronić przed krzywdą. Po czymś takim nigdy już nie dojdzie do siebie, chociaż nie było w tym jego winy.

Musi być jakiś sposób, żeby uratować Jessa Barnes'a. Zabrał czternaście kurcząt z kurnika sąsiada, a potem oddał je i przeprosił. Zarządca Constantine'a zapłacił równowartość ukradzionego drobiu, choć kurczęta wróciły do właściciela. I za to wszystko człowiek miał stracić życie

- jako przykład dla innych.

System sądowy dopuszczał się czasem potwornej, bezmyślnej niesprawiedliwości.

Przyszło jej do głowy stare powiedzenie: „Można wisieć równie dobrze za owcę, jak i za jagnię”. Albo za parę kurczaków.

Ktoś musi być w stanie pomóc. Ktoś wpływowy. Constantine, mimo pochodzenia, nie mógł się wykazać tytułem. To musi być...

Spojrzała w stronę domu i ruszyła pośpiesznie, podnosząc spódnicę, niemal biegnąc. Byłoby szybciej, pomyślała, wchodząc szybko po schodach poniżej portyku i przez drzwi frontowe, obejść dom i wejść z boku do salonu przez okno tarasowe.

Na Boga, musi być już bardzo późno. Pewnie się zastanawiają, gdzie ona się podziała i dlaczego nie podają herbaty. Goście byli zmęczeni.

Wszyscy siedzieli ciągle w salonie, kiedy wpadła do pokoju po tym, jak lokaj pośpiesznie otworzył przed nią drzwi. Goście odwrócili się, patrząc na nią pytająco. Poniewczasie uświadomiła sobie, że musi być zaczerwieniona i rozczochrana... znowu. Kilka osób wstało z krzeseł. Barbara pospieszyła ku niej. - Hanno? - zapytała. - Czy coś się stało? Słyszeliśmy powóz. Wzięła księżnę za rękę, a ona ścisnęła je mocno. Rozejrzała się za hrabią Merton.

- Lordzie Merton - powiedziała. - Proszę o słowo na osobności. Och, proszę. Proszę się pospieszyć.

Dobrze się złożyło, że stało za nią krzesło. Opadła na nie, wysuwając dłonie z rąk Barbary. Drżała na całym ciele. Szczękała zębami.

W głowie kłębiły jej się myśli. Stwierdziła z

przestrachem, że traci nad sobą panowanie. A potem hrabia Merton przykląkł przed nią na jedno kolano i ujął jej ręce.

- Wasza wysokość, proszę mi powiedzieć, co się stało. Chodzi o Cona? Miał jakiś wypadek?

- Wy-wyjechał - odparła. Zamknęła na chwilę oczy, usiłując się pozbierać. - Tak mi przykro, że nie podano jeszcze herbaty. Polecisz wnieść tace, Babs, proszę? Czy możemy porozmawiać na zewnątrz, lordzie Merton? - Zacisnęła dłonie na jego rękach.

Nikt się nie poruszył.

- Hanno - odezwała się Barbara - powiedz nam, co się stało. Wszyscy jesteśmy zaniepokojeni. Pokłóciłaś się z panem Huxtable'em? Ale nie, chodzi o coś więcej.

Ręce hrabiego wciąż były ciepłe i emanowały spokojem. Hanna spojrzała w jego niebieskie oczy.

- Co mogę dla pani uczynić? - zapytał.

Nie wiedział. Żadne z nich nie miało pojęcia. Och, szalony Constantine, żeby dusić w sobie tajemnicę przez wszystkie te lata. To nie była jej tajemnica, żeby mogła ją zdradzić. Ale pora sekretów minęła.

- Pojechał do Ainsley Park - powiedziała - do swojego domu w Gloucestershire. Oraz domu wielu niezamężnych matek, upośledzonych ludzi, nawróconych przestępców i innych osób odrzuconych przez społeczeństwo. Jeden z niepełnosprawnych... myślę, że musi trochę przypominać brata Constantine'a... dopuścił, żeby lis zakradł się do kurnika i porwał kurczęta, a potem próbował wynagrodzić stratę, biorąc kurczaki od sąsiada. Zwrócił je i przeprosił, a zarządca zapłacił dodatkowo za drób, ale i tak biednego Jessa skazano na powieszenie.

Zabrakło jej tchu. Nie była pewna, czy zaczerpnęła oddech choć raz, opowiadając to wszystko. W pokoju

rozległy się inne westchnienia. Kilka dam zakryło usta dłońmi i zamknęło oczy. Hanna niewiele jednak widziała poza uważnymi oczami Stephena.

- A więc tym się zajmuje Constantine w Gloucestershire - szepnęła lady Sheringford. Hanna pochyliła się ku hrabiemu.

- Wziął moją karetę - oznajmiła. - Myśli, że zdoła uratować tego biedaka, ale prawdopodobnie mu się to nie uda. Czy pozwoli mi pan wziąć swój powóz? I odwiezie mnie pan do Londynu?

- Sam pojedę do Ainsley Park, jeśli dowiem się, gdzie go szukać w Gloucestershire - zadeklarował. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy...

- Pomyślałam, że księżę Moreland...

- Elliott? - Spojrzał jej w oczy.

- Och. - Ten dźwięk był niemal jękiem. - Chciałabym, żeby mój księżę był wciąż wśród żywych. Uratowałby Jessa jednym spojrzeniem we właściwym kierunku. Ale on nie żyje. Słowo księcia Moreland ma wielką wagę.

- Elliott i Con byli zawziętymi wrogami, jeszcze zanim ich poznałem.

- To dlatego że Constantine sprzedawał klejnoty Mertonów, żeby sfinansować przedsięwzięcie na życzenie brata - wyjaśniła. - To był pomysł Jonathana, choć Constantine przejął się nim do głębi serca. Jednak księżę Moreland oskarżył go o okradanie własnego brata, a nawet uprawianie rozpusty z nieszczęsnymi niezamężnymi matkami w sąsiedztwie. Constantine nie zaprzeczył z dwóch powodów: po pierwsze, księżę mógł zniweczyć marzenie jego brata, po drugie, był zbyt dumny. Księżę oskarżał, zamiast zadawać pytania.

Patrzyła, jak Stephen wolno wciąga powietrze, a potem powoli wypuszcza.

- Nie jestem pewien, czy Elliott zechce pomóc, wasza wysokość - powiedział. - Proszę mi pozwolić... Ale lady Sheringford szła już w ich stronę.

- Oczywiście, że pomoże, Stephenie - stwierdziła z ożywieniem. - Oczywiście, że tak. Nie żywiłby tak głębokiej urazy do Constantine'a przez te wszystkie lata, gdyby mu na nim nie zależało. A nawet gdyby się wahał, Nessie go przekona. Ją łatwo pozyskać. Ona lubi widzieć w ludziach to, co najlepsze. Zawsze podejrzewałam, że wybaczyłaby Constantine'owi w mgnieniu oka, gdyby tylko poprosił ją o wybaczenie za to, że ją zranił.

- Muszę jechać. - Hanna wstała i wyjęła dłonie z uścisku hrabiego. - Nawet teraz może być za późno. Zakryła dłońmi policzki. - Ale mam dom pełen gości.

Nagle została zwolniona ze wszystkiego. Goście mogą wyjechać, do Londynu albo do Ainsley Park, powiedział ktoś... bodajże lord Montford. Ale tylko by przeszkadzali. Zostaną zatem, a Stephen pojedzie z jej wysokością. Przyjęcie w Copeland zostało starannie przygotowane, stwierdziła lady Sheringford, tak więc obecność księżnej nie jest konieczna, póki wszyscy nie wyjadą następnego dnia rano. A panna Leavensworth świetnie zastąpiła gospodynię wczoraj podczas podwieczorku i zrobi to znowu jutro przy śniadaniu. Będzie im niezmiernie miło zabrać pannę Leavensworth swoim powozem do miasta, dodała lady Montford. To bardzo uprzejmie z jej strony, oznajmiła pani Newcombe, ponieważ oni, rzecz jasna, wzięliby Barbarę ze sobą, ale wtedy musiałyby, biedactwo, znosić ciasnotę w ich towarzystwie, razem z bliźniętami. Oczywiście, Hanna

może wyjechać, nie martwiąc się niczym, dopowiedziała Barbara. Musi jechać.

A pan Newcombe wiedział, gdzie leży Ainsley. Chociaż nigdy tam nie był, słyszał, że znajduje się nie dalej niż dwadzieścia mil od jego własnego domu. Słyszał nawet coś dobrego o tamtejszej szkole przysposabiania do zawodów. Nie zdawał sobie sprawy, że właściciel Ainsley i pan Huxtable, który tu gościł, to jedna i ta sama osoba. Gdyby wiedział, chętnie by z nim o tym porozmawiał.

Cassandra wyszła pośpiesznie. Ona także miała wyjechać i poszła, żeby przygotować niańkę i dziecko do natychmiastowej podróży.

- Chodź, Hanno - powiedziała Barbara, jak zwykle opanowana i praktyczna. - Musisz się przebrać i spakować rzeczy. Zajmę się całą resztą.

Lord Sheringford poszedł, żeby dopilnować przygotowania powozu Mertonów.

Godzinę później księżna była już w drodze do Londynu. Naprzeciwko niej siedzieli hrabia Merton z Cassandrą. Trzymał głęboko uśpione dziecko. Cassandra widocznie nakarmiła je przed wyjazdem.

Gdzie znajdował się teraz Constantine? Jak daleko zajechał? Czy zdąży na czas?

Czy to ma jakieś znaczenie, nawet jeśli zdąży? Czy księżę Moreland pojedzie? Czy zdąży na czas?

Czyjego wpływ wystarczy, żeby zapobiec szaleństwu powieszenia upośledzonego umysłowo człowieka, którego jedyną zbrodnią było to, że usiłował naprawić szkodę, jaka wynikła z jego niedbałości?

Gdyby tak żył jej księżę. Nikt by mu się nie sprzeciwił. Nigdy nie spotkała nikogo, kto miałby większą władzę niż stary księżę Dunbarton. Z wyjątkiem króla, być



może.

Król.

Tak, król.

Hanna wtuliła się w róg karety i zacisnęła mocno powieki. Czy mogła?

Jak to, mogła? Była księżną Dunbarton, czyż nie?

Księżę Moreland spożywał śniadanie w swojej londyńskiej siedzibie przy Cavendish Square, kiedy mu doniesiono, że w salonie czekają jej wysokość księżna Dunbarton oraz hrabia Merton, prosząc o chwilę rozmowy w pilnej sprawie. Jego żona przyłączyła się do niego zaledwie przed kilkoma minutami.

Było wcześnie. Księżę miał się później udać do Izby Lordów i chętnie spędziłby przed wyjściem godzinę ze swoim sekretarzem, omawiając ważne sprawy. Księżnę wciąż wyciągał z łóżka o bezwstydnie wczesnej porze czarnowłosego ośmiomiesięczny synek, który nie nauczył się jeszcze, że śniadania można się domagać w bardziej cywilizowanych porach.

Oboje pojawili się w salonie dużo wcześniej, nim Hanna zdążyła wydeptać ścieżkę na dywanie.

Przebrała się, przybywszy do Londynu parę godzin wcześniej, ale nie zdążyła się wyspać. Przyszłaby i zastukała do drzwi księcia już dawno, gdyby nie powstrzymała ją przyzwoitość. Hrabia Merton okazał się na tyle miły, że wrócił do rezydencji Dunbarton dziesięć minut wcześniej, niż obiecał.

- Stephenie - powiedziała księżna, obejmując brata serdecznie. Spojrzała na niego, a potem zerknęła z zainteresowaniem na Hannę.

- Księżno. Stephenie. Dzień dobry. - Księżę popatrzył na nich z ciekawością, przenosząc wzrok z jednej osoby na drugą. Hanna nie czekała na dalsze uprzejmości.

- Musi pan pomóc Constantine'owi - oznajmiła, robiąc parę kroków w stronę księcia. - Proszę. Musi pan. - Conowi? - Oczy księcia skupiły się wyłącznie na niej,

błękitne oczy w wąskiej twarzy o ciemnej cerze, twarzy o surowym, władczym wyrazie. Takiej podobnej do twarzy Constantine'a, a jednak tak niepodobnej. - Muszę, pani? - Constantine'owi? - zapytała księżna w tym samym czasie. Czy ma jakieś kłopoty? - Mają powiesić człowieka w Gloucestershire - wyjaśniła Hanna. Brakowało jej tchu, tak jakby biegła całą drogę zamiast jechać karetą hrabiego. - Constantine pojechał, żeby go uratować. Ale nie zdoła tego zrobić. Nie ma władzy. Pan ją ma. Jest pan księciem Moreland. Musi pan także pojechać tam bezzwłocznie i mu pomóc. Och, proszę. To wszystko wydawało jej się zupełnie jasne.

- Elliotcie - zaczął hrabia Merton, ale księżę powstrzymał go gestem dłoni.

- Vanesso - powiedział, nie odrywając wzroku od Hanny - czy zechciałabyś polecić, żeby przyniesiono kawę dla księżnej? Dla Stephena również, ukochana. Oboje wyglądają, jakby właśnie wrócili z Kent i nie jedli śniadania.

- Każę też przynieść jakieś tosty - odparła księżna, wychodząc z pokoju. Księżę ujął Hannę za łokieć i wskazał jej pobliskie krzesło. Opadła na nie ciężko.

- Proszę mi opowiedzieć o człowieku, którego mają powiesić, pani - poprosił. - I jego związku z Conem.

Co zdążyła już powiedzieć? Prawdopodobnie o wiele za mało. Chciała mówić możliwie najkrócej, tak żeby bez zwłoki mógł wyruszyć w drogę do Ainsley Park.

- Ukradł parę kurczaków - odparła - ponieważ bał się, że Constantine rozczaruje się co do niego, bo nie zamknął drzwi kurnika i dopuścił, że lis się tam zakradł, ale nie rozumiał, że kradnie, póki mu tego nie wyjaśniono, a wtedy przeprosił i oddał kurczaki, i jeszcze za nie

zapłacono, ale jakiś głupi sędzia uznał, że ukarze go dla przykładu, i skazał na powieszenie. Och, czy pojedzie pan tam i to powstrzyma? Gdzie się podziała opanowana, elokwentna księżna Dunbarton, kiedy była najbardziej potrzebna? Wzrok księcia przeniósł się na hrabiego w tej samej chwili, kiedy zaskoczył ją, biorąc jej dłoń w swoją i ściskając.

- Stephenie? - odezwał się. Księżna wróciła do pokoju.

- Majątek, który Con kupił w Gloucestershire - powiedział hrabia - został, jak się wydaje, nabyty na życzenie Jonathana, Elliotcie, żeby dać schronienie niezamężnym matkom i ich dzieciom. Potem przedsięwzięcie rozwinęło się, obejmując także ludzi upośledzonych, zarówno fizycznie, jak i umysłowo, oraz innych, których społeczeństwo odrzuca. Jak rozumiem, ci ludzie są tam przysposobiani do pracy gdzie indziej. Człowiek, o którym mowa, jest upośledzony umysłowo i bardzo przywiązany do Cona. Z jego winy lis zagryzł parę kurczaków, więc zabrał kilka od sąsiada, żeby je zastąpić. Prawdopodobnie wydawało mu się to logiczne. Został jednak aresztowany i nawet zwrot kurczaków, a także zapłata za nie oraz pokorne przeprosiny nie zdołały uratować go przed wyrokiem śmierci.

- Czy to możliwe? - zapytała księżna Moreland, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. - Czy można powiesić człowieka z tak trywialnego powodu?

- Prawa często nie stosuje się z całą surowością - odparł książę. - Czasami jednak tak, i leży to w kompetencji sędziego.

Dlaczego oni wszyscy tracili czas na rozmowę? Hanna zebrała resztki godności, żałując, że jest taka

zmęczona i jej umysł nie działa należycie.

- Constantine kocha tych ludzi - powiedziała. - Poświęcił im bardzo wiele w swoim dorosłym życiu. Jeśli tego człowieka powiesz, pana kuzyn się załamie. Znajdzie jakiś sposób, żeby siebie oskarżyć. Wiem, że tak będzie. Chociaż z pewnością powie, że on się nie liczy, tylko ten biedny skazaniec. Pokłóciliście się. Ale w takich okolicznościach kłótnie nie są ważne. Chodzi o ludzkie życie. Pańskie wpływy mogą je ocalić. Jestem o tym przekonana. Wiem, że wpływy mojego księcia by je uratowały, a pan mi go przypomina pod wieloma względami. Ma pan majestat, tak jak on. Czy pojedzie pan, proszę, och, proszę, do Ainsley Park?

Spojrzał na nią z powagą.

- Nie jestem władny tworzyć ani zmieniać praw królestwa, pani - odparł.

- Ale wyrok za takie przestępstwo jest kwestią uznania. Sam pan to przed chwilą powiedział w tyłu słowach. Wyrok można zmienić. Nie musi umierać za to, że wziął kilka kurcząt, zwłaszcza że nie zdawał sobie nawet w pełni sprawy z tego, co robi.

- Mogę sobie wyobrazić argumenty sędziego - powiedział - a mianowicie, że człowiek, który kradnie, nie zdając sobie z tego sprawy, jest niebezpieczny i może znowu ukraść, i jeszcze kogoś przy tym zranić. - On to zrobił, ponieważ kocha Constantine'a - mówiła dalej Hanna - ponieważ nie mógł znieść, że go rozczaruje z powodu tego incydentu z lisem. Może mi pan powiedzieć, że zasłużył na śmierć? - Jestem przekonany, że nie, pani. Ale...

- Nie pojedzie pan ze względu na Constantine'a? - zapytała. - To pański kuzyn. Był pańskim przyjacielem,

dopóki, jak to ujął, pan nie zachował się jak nadęty osioł, a on jak uparty muł. Uniósł brwi.

- Powinienem być wdzięczny, że odmalował siebie w równie niepochlebnych barwach, jak mnie.

- Elliotcie - wtrąciła się księżna Moreland, przechodząc przez pokój, żeby położyć rękę na jego ramieniu - musisz jechać. Wiesz, że musisz. Jeśli tego nie zrobisz, wtedy ja pojedę, a wiesz bardzo dobrze, że jeśli pojedę, to zabiorę ze sobą Richarda, żeby nie umarł z głodu, biedne dziecko, a Belle i Sam pojedą, żeby nie czuli się porzuceni przez własną matkę. Poza tym moje wpływy nie będą warte więcej od wpływów księżnej Dunbarton. W istocie znaczą mniej. Księżna ma o wiele bardziej stanowczy charakter ode mnie.

- Ukochana - powiedział książę, podnosząc jej rękę do ust - mówisz głupstwa. Ale przekonałaś mnie. Con w końcu mnie potrzebuję i pojedę do niego. Bez wątplenia przyłoży mi w nos za moje trudy i staniemy się bardziej do siebie podobni.

- Pojadę z tobą, Elliotcie - oznajmił hrabia Merton. Hanna spojrzała na niego zaskoczona.

- Cass nalegała na to, zanim nawet miałem okazję zapytać, czy nie miałyby mi bardzo za złe, gdybym pojechał - wyjaśnił.

Hanna zerwała się na nogi, kiedy do pokoju wszedł lokaj z wielką tacą. Och, proszę, tylko nie śniadanie.

- Wrócę prosto do domu - postanowił hrabia - i spakuję torbę.

- Przyjadę po ciebie za godzinę - odparł książę. Obaj wyszli z pokoju.

- Spożycie czegoś to pewnie ostatnia rzecz na świecie, na którą ma pani ochotę - odezwała się księżna

Moreland. - Ale proszę wziąć tost, tak czy inaczej. Ja coś zjem. Ledwie siadłam do śniadania, kiedy pani przyszła.

Mówiąc to, naląła kawy do dwóch filiżanek.

- Tak mi przykro - rzekła Hanna - że wywołałam tyle zamieszania.

- Nie pani je wywołała. - Księżna postawiła filiżankę na spodeczku obok Hanny i wróciła do tacy, żeby przynieść talerz z tostem posmarowanym masłem. - Kocha pani Constantine'a?

- Ja - To było niegrzeczne pytanie. - Księżna się uśmiechnęła. - Zamienię je na stwierdzenie. Pani kocha Constantine'a. Obserwowałam to przez cały sezon. Nawet było mi pani trochę żal. Hanna spojrzała na nią, skubiąc grzanekę.

- Kocham go - przyznała w końcu. - Przykro mi, że nie podziela pani tego uczucia. Mówił, że zranił panią wkrótce po tym, jak panią poznał.

- Tak było. I to w bardzo nieprzyjemny sposób. Chciał postawić w kłopotliwej sytuacji Elliotta, a zamiast tego upokorzył mnie. Postąpił w gruncie rzeczy jak dziecko, ale mężczyźni bywają dziecinni. Och, sądzę, że kobiety także. Nie przyjąłem jego przeprosin. Uznałam, że zachował się w sposób niewybaczalny, i od tamtej pory mam poczucie winy. Ale do czasu, kiedy przeprosił, zdążyłam uwierzyć, że dopuścił się dużo gorszych rzeczy niż złośliwość, od której ucierpiałam. Elliott mylił się co do tego, nieprawdaż?

- Tak - odparła Hanna. - Ale tylko dlatego, że Constantine był zbyt dumny i uparty, żeby wszystko wyjaśnić.

- Mężczyźni rzadko przyjmują łatwe rozwiązania - powiedziała księżna. - Chociaż czasami to robią, kiedy

używają pięści, rozbijają sobie nosy i podbijają oczy, zamiast porozmawiać jak cywilizowani ludzie. Odnoszę nieraz wrażenie, że słowa do mężczyzn nie trafiają. Och, mój Boże, nie zawsze oceniam ich tak nisko, zapewniam panią. Czy mogę nalać pani jeszcze kawy?

Hanna uświadomiła sobie, że jej filiżanka jest pusta. Czowała smak kawy, ale nie pamiętała, żeby ją piła.

- Nie. - Podniosła się z krzesła. - Dziękuję, ale muszę już iść. Mam inne pilne sprawy do załatwienia i nie mogę pani przeszkadzać teraz, kiedy pani mąż wkrótce wyjedzie. Och, jakże bym chciała pojechać z nim i hrabią Merton. Ale tylko bym ich opóźniała.

- Tak. - Księżna się uśmiechnęła. - I to nie byłoby właściwe, nawet dla księżnej Dunbarton. Elliott potrafi być bardzo autokratyczny, kiedy chce, księżno. Nie przyjmie łatwo odmownej odpowiedzi w Gloucestershire. Ani Stephen. Czasami biorą go za słabeusza, ponieważ jest tak ujmująco miły i przypomina anioła, ale potrafi być aniołem zemsty, jeśli trzeba. Zrobi to dla Constantine'a.

- Dziękuję - szepnęła Hanna.

Księżna Moreland odprowadziła ją do drzwi, a potem przypomniała sobie, że brat zabrał jej karetę. Hanna jednak nie pozwoliła wezwać innego powozu.

- Pójdę - oznajmiła. - Świeże powietrze dobrze mi zrobi, a jest przyjemny wiaterek.

Księżna zaskoczyła ją, obejmując mocno na pożegnanie.

- Musi pani przyjść i napić się ze mną herbaty któregoś popołudnia. Przyślę zaproszenie. Przyjdzie pani? Zawsze chciałam poznać panią bliżej.

- Dziękuję - odparła. - Z przyjemnością.

Gdzie on teraz jest, zastanawiała się, idąc w stronę



domu. Nie wątpiła, że podróżował nocą, zatrzymując się tylko, żeby zapłacić myto i zmienić konie. Uprzedziła woźnicę, że to będzie podróż bez postojów. Czy dotarli już na miejsce? Czy też był ciągle w drodze, zastanawiając się, czy zdąży na czas i zdoła uratować protegowanego?

A jak długo zajmą jej przygotowania do wizyty w pałacu St. James, do którego uda się, by poprosić o audiencję u króla? Przyjmie ją?

Czy zawiadomią go w ogóle, że przyszła?

Ależ oczywiście, że udzieli jej posłuchania. Jest księżną Dunbarton, wdową po księciu Dunbarton.

„Spodziewaj się czegoś - uczył ją - a będzie twoje”.

Spodziewała się zobaczyć króla w ciągu następnych kilku godzin. Ale najpierw musiała wrócić do domu i przywdziać najwspanialszą zbroję.

Żadnych fałszywych brylantów. I ani śladu żadnego koloru poza białym.

Constantine przybył do Ainsley Park w połowie deszczowego popołudnia, zmęczony do nieprzytomności i nieogolony. Zastał wszystkich w rozpacz, od Harveya Wexforda po Millie Carver, dwunastoletnią pomocnicę kuchenną, którą prawie dwa lata wcześniej uratował z londyńskiego burdelu, zanim zdążono zapłacić najwyższą stawkę za pozbawienie jej dziewictwa.

Jess Barnes miał przed sobą jeszcze tydzień życia.

Constantine wykapał się, ogolił i zmienił ubranie - nie miał czasu na sen - po czym pojechał do odległego o cztery mile miejskiego więzienia. Jess wydawał się brudny, ale poza tym dobrze o niego dbano. Rozpłakał się na widok Constantine'a, nie dlatego że miał umrzeć, ale uważał, że zawiódł swojego dobroczyńcę i spodziewał się wyrzutów.

Constantine wziął go w ramiona, nie zważając na

brud i wszy, i zapewnił, że kocha go bez względu na wszystko.

Jess uśmiechnął się promiennie, wyraźnie podniesiony na duchu.

- Wszyscy ślą ci słowa miłości - powiedział Constantine. - A kucharka przysłała tyle twoich ulubionych dań, że utyjesz, jeśli zjesz wszystko. Zamierzam cię stąd wyciągnąć, Jess, i zabrać do domu. Ale nie dzisiaj. Musisz być cierpliwy. Czy będziesz w stanie to wytrzymać?

Jess mógł, jak się wydawało, skoro pan Huxtable powiedział, że powinien.

I tak nie miał wyboru.

Constantine spędził kolejny dzień na bezowocnych wysiłkach w celu wycofania oskarżenia przeciwko Jessowi, zmiany decyzji sędziego, złagodzenia kary, uznania Jessa za niewinnego w związku z upośledzeniem umysłowym... Zrobił wszystko, co mógł, żeby uratować Jessowi życie i zabrać go do Ainsley. Kincaid, pokrzywdzony sąsiad, który dostał i kurczaki, i ich równowartość w pieniądzu, nie patrzył Constantine'owi w oczy, ale twierdził stanowczo, że surowa kara jest niezbędna, żeby pozbyć się złooczyńcy z sąsiedztwa i zniechęcić pozostałych, potencjalnych przestępców z Ainsley Park do czynów zagrażających spokojowi i bezpieczeństwu wszystkich w okolicy. Gdyby mógł pozwać samego Huxtable'a za narażanie sąsiadów na podobne incydenty, byłby to zrobił. Nadal konsultuje się w tej sprawie z prawnikami.

Większość pozostałych sąsiadów przyjęła Constantine'a uprzejmie, nawet okazując współczucie, ale żaden z nich nie chciał stawiać czoła Kincaidowi. Niektórzy, jak podejrzewał Constantine, po cichu mu sprzyjali. W profesjonalnej opinii prawnika argument

choroby umysłowej niczego by nie zmienił, ponieważ Jess Barnes nie zdradzał objawów szaleństwa, a tylko lekkiego upośledzenia. Nigdy nie zaprzeczył, że ukradł. Nigdy nie twierdził, że nie wie, iż kradzież jest złem. Nie było żadnej możliwości obrony, pozostawało więc jedynie błaganie o łaskę.

Sam sędzia przyjął Constantine'a uprzejmie, okazując nawet poczucie humoru. Jednak w sprawie Jessa Barnesa był niewzruszony.

Ów człowiek stanowił zagrożenie dla społeczeństwa. Hrabstwo - w istocie, cały kraj - odetchnie z ulgą, kiedy się go pozbędzie. Sędzia mógłby skazać mężczyznę na kilka lat ciężkich robót, gdyby winowajca był zdrowy na umyśle, ale w tych okolicznościach...

Cóż, pan Huxtable postąpił sprytnie, zatrudniając w gospodarstwie tanich robotników i kobiety lekkich obyczajów, żeby sobie i mężczyznom zapewnić przyjemność, ale powinien był przewidzieć, że takie wypadki będą się zdarzały od czasu do czasu. Ostatecznie obaj znali życie i rozumieli to doskonale.

W domu Wexford nie był w stanie zająć się żadną sensowną pracą. Gdyby mógł zamienić się z Jessem miejscami, oznajmił Constantine'owi, że chętnie by to zrobił. Wziął na siebie całą winę. Powiedział Jessowi, że pan Huxtable będzie rozczarowany, sądząc, że tymi słowami odczyta Jessa niedbalstwa na przyszłość. Ale z tego powodu stało się to wszystko, a przecież nawet nie mówił prawdy. Pan Huxtable nigdy się nikim nie rozczarował w Ainsley, z wyjątkiem kilku osób, które odeszły z własnej woli, nie chcąc pracować na swoje utrzymanie albo przestrzegać nielicznych zasad, niezbędnych do funkcjonowania małej społeczności bez

zakłóceń.

Constantine ścisnął jego ramię, ale nie potrafił pocieszyć go w inny sposób.

Wszyscy inni byli niemal tak samo zrozpaczeni. Jess cieszył się powszechną sympatią.

Następnego ranka Constantine wpadł w czarną rozpacz. Nie pamiętał, kiedy ostatnio spał czy jadł.

Pogalopował, żeby znowu zobaczyć się z Jessem, a potem wrócił do domu. Nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby zrobić. Nie pamiętał, kiedy czuł się taki bezradny.

Musi być jakieś wyjście.

Został na dziedzińcu stajni, żeby wyszczotkować konia. Usłyszał zbliżający się powóz, zanim go zobaczył. Bolesna nadzieja sprawiła, że ścisnął mu się żołądek. Może to Kincaid? Zmienił zdanie?

Czy to wystarczy, żeby przekonać sędziego?

Podszedł do bramy i wyjrzał, kiedy powóz był już blisko. Starał się stłumić nadzieję.

Tej karety nie dałoby się pomylić z żadną inną. Na obu bokach widniał książęcy herb. Woźnica i lokaj na koźle nosili książęcą liberię. Pojazd musiał wywołać poruszenie na drodze, kiedy mijał wieś.

Powóz księcia Moreland.

Kareta Elliotta.

Constantine był zbyt zmęczony, żeby odczuwać wielkie zaskoczenie. Czuł tylko dławiący gniew.

Elliott przybył, żeby się napawać jego klęską.

Jednak nad tym, dlaczego miałyby w tym celu przebyć tak długą drogę, nie próbował się zastanawiać.

Poszedł w stronę domu, tuż za powozem, którego koła zachręściły na żwirze. Kareta stanęła przed frontowymi drzwiami. Lokaj zeskoczył zręcznie z kozła i

skierował się ku schodom, które prowadziły do drzwi. - Nie ma takiej potrzeby! - zawołał Constantine. - Jestem tutaj. Lokaj odwrócił się i skłonił, a potem wrócił do powozu, żeby otworzyć drzwi i rozstawić schodki.

Elliott stanął na ziemi, a Constantine'a ogarnęła wściekłość.

- Zgubiłeś się - oświadczył szorstko. - Woźnica gdzieś źle skręcił. Powinien zapytać o drogę w wiejskiej gospodzie.

Księżę odwrócił się ku niemu i obaj popatrzyli na siebie.

- Szukam Cona Huxtable'a - odezwał się Elliott. - Wyglądasz jak jego rozczochrana, zaniedbana wersja.

Ktoś jeszcze wyszedł z karety. Stephen. Constantine zwrócił wzrok na niego.

- A zatem nie zdołała trzymać buzi na kłódkę? - zapytał z goryczą.

- Ona to księżna Dunbarton? - odparł Merton. - Nie posiadała się z niepokoju, Con, nie tylko ze względu na ciebie, ale także tego biednego skazańca. Błagała mnie, żebym ją zawiózł do Londynu, żeby mogła prosić Elliotta o pomoc. Wierzyła, że on może temu zaradzić. Czy wciąż jesteśmy potrzebni? A może poradziłeś sobie sam z tym szaleństwem?

- Nie - powiedział Constantine. - Ale nie potrzebuję pomocy, Stephenie. Ani twojej, ani Morelanda. Dom jest pełen. Nie ma wolnych pokoi. Sugerowałbym, żebyście nie zatrzymywali się w wiejskiej gospodzie, ale pojechali dalej i znaleźli przyzwoity nocleg w karczmie pocztowej.

Źle się zachowywał. Wiedział o tym, ale nie był w stanie się powstrzymać. Czuł wielkie zmęczenie. I złość. I przerażenie.

- Uparty muł - podsumował Elliott. - Dobrze siebie nazwał, Stephenie, nie sądzisz? Ale nadęty osioł nie przebył całej drogi z Londynu tylko po to, żeby zostać odesłanym do najbliższej karczmę pocztowej. Zamierza użyć swoich wpływów i zobaczyć, ile są warte.

„Uparty muł. Nadęty osioł”. Naprawdę się rozgadała.

- Nie potrzebuję cię, Moreland - oświadczył Constantine. - A to jest moja posiadłość. Wynoś się.

- Wiem, że mnie nie potrzebujesz, Con - odrzekł Elliott. - Ale może przydam się Jessowi Barnesowi. I tak nie mogę obiecać, że rzeczywiście pomogę. Ale przyjechałem, żeby spróbować, i dlatego zostanę, póki tego nie zrobię, choćbym miał spać w powozie za bramą twojej posiadłości.

- Con - włączył się Stephen - to dla nas ważne. Wiele osób jest tym przejętych. I dlaczego, do diabła, nie powiedziałaś nam o Ainsley, kiedy po raz pierwszy zjawiałem się w Warren Hall? Po co robić z tego taką tajemnicę?

- Twoje klejnoty albo potencjalnie twoje - odparł Constantine - przyczyniły się do powstania tego miejsca, Stephenie. Jeśli teraz jesteś bogaty jak monarcha, to byłbyś bogaty jak Krezus, gdyby klejnotów nie przeznaczono na inny cel.

- Myślisz, że dbałbym o to? - zapytał Stephen. - Naprawdę tak myślisz, Con? Albo że dla Meg to by miało znaczenie? Albo dla Nessie czy Kate? Czy nie byłeś tego winien pamięci brata, żeby nam powiedzieć?

- Nie. Jon nie zrobił tego, żeby na kimś wyrzucić wrazenie. Zrobił to, ponieważ chciał, ponieważ to było właściwe. A gdybym powiedział tobie, Elliott też by się o

tym dowiedział i uczyniłby wszystko, co w jego mocy, żeby temu przeszkodzić. Przedsięwzięcie było wówczas w powijakach.

- Z pewnością nie zrobiłby tego, gdybyś mu wyjaśnił - powiedział Stephen. - Prawda, Elliotcie? Obaj na niego popatrzyli. Książę wpatrywał się w ziemię, twarz miał surową. Cisza się przeciągała. Jego kuzyn, pomyślał Constantine. Najlepszy przyjaciel przez większość życia. Towarzysz łotrostw, jakich się dopuszczali za młodu w Londynie, kiedy szumiało im w głowach.

A potem ojciec Elliotta nagle umarł, niedługo po tym, jak Jon dokonał ponurego odkrycia dotyczącego ich własnego, zmarłego ojca, jak zaczął marzyć o Ainsley i kazał Constantine'owi obiecać, że nikomu nie powie. Klejnoty sprzedano, Elliott zauważył ich brak i niemal w tym samym czasie dowiedział się o tych wszystkich kobietach i ich dzieciach w sąsiedztwie. I to wszystko niespodziewanie spadło na Elliotta i Cona.

Ośla i muła.

Constantine czuł ciężar w piersi, kiedy czekał, aż kuzyn odpowie na pytanie Stephena.

- Kochałem Jonathana - powiedział w końcu, nie podnosząc wzroku. - To było bolesne, ta miłość. A potem mój ojciec umarł i stałem się za Jona odpowiedzialny. Wiedziałem, że jesteś w stanie się nim opiekować i dbać o jego sprawy, Con. Ale byłem młody i przytłoczony nowymi obowiązkami, czułem się zobowiązany postępować jak najwłaściwiej i wszystko zrozumieć, jeśli chodzi o sprawy majątkowe, zanim się wycofam, zostawiając resztę tobie, tak jak poprzednio mój ojciec. Ale odkryłem, że brakuje wielu klejnotów, a ty odmówiłaś wyjaśnień, tylko wysłałaś mnie do wszystkich diabłów,

kiedy zapytałem, i...

- Nie zapytałeś - stwierdził Constantine bezbarwnym głosem. Książkę podniósł głowę, marszcząc niecierpliwie brwi.

- Oczywiście, że zapytałem. Nie mogłem tak po prostu tego zostawić, Con.

- Nie zapytałeś - powtórzył Constantine. - Powiedziałeś mi, że jestem złodziejem.

- Nie - sprzeciwił się Elliott.

- Tak. - Constantine uśmiechnął się niewesoło. - Tak, nie, tak, nie. Brzmi znajomo, nieprawdaż, Elliottcie? Z pewnością połowa dzieciństwa upłynęła nam na powtarzaniu tych dwóch słów. Często sprawa kończyła się bójką i śmiechem. Ale nie wtedy. To i tak bez znaczenia. Nawet gdybyś zapytał, a ja bym odpowiedział i ty byś mi uwierzył, nie pozwoliłbyś, żeby rozwinąć przedsięwzięcie. Powstrzymałbyś Jona i zniszczył dzieło jego życia. Jego dziedzictwo.

- Z pewnością nie... - zaczął Stephen.

Ale Elliott wpatrywał się w Constantine'a nieprzeniknionymi oczami.

- Pewnie tak - przyznał. - Uważałem za słuszne bronić Jonathana, nawet przed nim samym. Zawsze mnie zastanawiało, że traktowałeś go jak każdego innego człowieka, Con, ale porozumiewałeś się z nim na jego własnym poziomie. Zawsze zdumiewało mnie, że potrafiłeś się z nim bawić godzinami, nawet kiedy nie był już dzieckiem. Sądziłem, że muszę swoje obowiązki względem niego traktować poważnie. Ale ty nawet z tego robiłeś zabawę i doprowadzałeś mnie do wściekłości. I robiłeś to celowo. Nie masz pojęcia, jak...

Przerwał raptownie i pokręcił głową, zaciskając i



rozwierając pięści u boków.

- Masz rację - powiedział. - Powstrzymałbym go. Uznałbym, że nie wie, co robi. Ale on wiedział, nieprawdaż? Zawsze mówiłeś, Con, że Jonathan jest miłością. Nie tylko kocha, ale jest miłością. Co do tego także miałaś rację. I słusznie postąpiłeś, nie odpowiadając na moje pytania, jeśli je faktycznie zadałem, o czym jestem przekonany. Miałaś rację, ukrywając swoje tajemnice. Miałaś rację, będąc upartym mułem. - Nie odsyłaj nas, Con - odezwał się Stephen. - Może Elliott zdoła pomóc. Może ja pomogę. A może nie. Ale nie każ nam jechać. Jesteśmy twoją rodziną i potrzebujesz nas, nawet jeśli nie zdajesz sobie z tego sprawy. Poza tym to księżna Dunbarton nas przysłała, a sądzę, że złamałbyś jej serce, gdybyś odrzucił naszą pomoc, nie pozwalając nam nawet spróbować.

Constantine spojrział na niego mrocznym wzrokiem.

Hanna ich przysłała.

Hanna.

Ból w piersi jeszcze się zwiększył.

- Są wolne pokoje w domku w ogrodzie - powiedział, wskazując ku wschodowi, gdzie widać było dom wśród drzew, w pobliżu sztucznego jeziora, które powstało za poprzedniego właściciela. - Tam mieszkam. Jeśli nie jest to zbyt skromne miejsce jak na wasz gust, możecie się u mnie zatrzymać.

To było dość gderliwe zaproszenie. Nie był pewien, czy cieszy się, że ich widzi, czy nie. Jednak uczucia nie miały w tej chwili znaczenia. On się nie liczył, ważny był Jess. Czy kuzyn mógł pomóc? Elliott ze swoim przeklętym księstwem i arystokratyczną pewnością siebie? A jego uczciwość?

- Proszę, zatrzymajcie się u mnie - dodał, zanim

zdążyli odpowiedzieć. - Potrzebujecie przede wszystkim kąpieli, odpoczynku i dobrego posiłku. Chodźcie.

- Kiedy... - zaczął Elliott.

- Za cztery dni - odparł szorstko Constantine. - Mamy dużo czasu.

Ruszył pierwszy różnym krokiem żwirową ścieżką, która prowadziła do domu. Cztery dni. Słyszał z tyłu ich kroki.

Następnego dnia rano Elliott i Stephen pojechali złożyć wizytę sędziemu, obaj ubrani z nienaganną elegancją. Moreland nie zgodził się, żeby Constantine im towarzyszył. Nie żeby księżę czy Stephen mogli powstrzymać Huxtable'a, gdyby się uparł jechać. Con przyznał jednak niechętnie, że prawdopodobnie lepiej będzie, jeśli zostanie.

Elliott spotkał się z nim sam na sam, zanim ruszyli w drogę.

- Rozglądałem się - powiedział - i rozmawiałem z kilkoma osobami. Robisz tutaj wiele dobrego.

Zajmowałeś się tym od pewnego czasu.

Constantine spojrział na niego, zaciskając wargi.

- Czy to zabrzmiało protekcyjnie? - zapytał księżę z westchnieniem. - Nie miało tak być. Jestem pełen podziwu. I skruchy. I wstydu. To nie ty byłeś z tymi wszystkimi kobietami, prawda? To był... mój wuj? Twój ojciec? Constantine milczał.

- Mój nie był lepszy - stwierdził Elliott. - Dorastałem, uważając go za wzór wszelkich cnót, człowieka oddanego matce, siostrom i mnie. Dopiero kiedy umarł, dowiedziałem się o jego długotrwałym związku z kochanką i raczej licznej rodzinie, jakiej się z nią dorobił. Wiedziałaś o nich? Reszta świata, jak się wydaje, wiedziała, włącznie z moją matką.

- Nie - odparł Constantine.

- Przez kilka wcześniejszych lat prowadziłem dość szalone życie - ciągnął księżę. - Nagle przeraziłem się, że będę taki jak on, że stanę się nicponiem, zawiodę matkę i siostry, tak jak on. W ten sposób straciłem wszelką radość i

poczucie proporcji. A kiedy miałeś mi za złe wtrącanie się, jak to widziałeś, w sprawy Jona, i robiłeś, co mogłeś, żeby mi dokuczyć, tylko bardziej się irytowałem. Zwłaszcza kiedy przekonałem się, że w Warren Hall nie wszystko jest, jak powinno, że mój ojciec zaniedbał obowiązków w jeszcze jednej dziedzinie życia.

To była, jak uznał Constantine, próba przeprosin.

- Jonathan dowiedział się prawdy o ojcu? - zapytał Elliott.

- Tak. Dwie spośród kobiet, siostry, przysły z nim porozmawiać, kiedy akurat wyjechałem. Nigdy nie widziałem go takiego zmartwionego i rozczarowanego. Ani takiego podnieconego jak w dniu, kiedy obmyślił swój wielki plan. Wątpię, żebym odmówił mu pomocy we wprowadzaniu go w życie, nawet gdybym się z nim nie zgadzał. Ale tak nie było. Znałem prawdę od dawna. Dręczyło mnie to latami. A drobna pomoc, jakiej byłem w stanie udzielić, działała jak mały opatrunek na poważnej ranie.

- Con - książkę przerwał krótką chwilę ciszy. - W tym, co zaszło między nami, było też trochę twojej winy. Jestem prawie pewien, że zapytałem. Ale nawet jeśli tego nie zrobiłem, mogłeś zaprzeczyć zarzutom, zmusić mnie, żebym wysłuchał prawdy. Uwierzyłbym ci.

Dobry Boże, byłeś moim przyjacielem. Byliśmy niemal jak bracia. Ale ty nie chciałeś, żebym o tym wiedział. Przyznałeś to wczoraj. Ponieważ, oczywiście, jako nowy opiekun Jonathana, nie pozwoliłbym mu ogałacać własnego majątku na rzecz czegoś, co w owym momencie musiało się wydawać szalonym przedsięwzięciem. I miałbym rację. Nie wolno mu było pozwolić na taką rozrzutność. A także nie miałbym racji.

Popełniłbym kolosalny błąd. Ale żaden z nas nie mógłby tego wówczas przewidzieć. To nie byłoby dla mnie łatwe, Con. Zatajając prawdę, umożliwiłeś Jonathanowi i sobie zrobienie czegoś, co było słuszne. Ale sprzeniewierzyłeś się naszej przyjaźni i uczyniłeś ze mnie czarny charakter. I nadętego osła.

- Byłeś nim.

- A ty byłeś upartym mułem.

Patrzyli sobie w oczy. Te spojrzenia stałyby się być może złowrogie, gdyby usta Elliotta nie zaczęły drżeć - Powinno się nas namalować - zauważył. - To byłaby świetna karykatura.

- Robisz to wszystko dla Jessa? - zapytał Huxtable.

- I dla księżnej Dunbarton - powiedział Moreland. - I dla Vanessy. Pragnę ci wybaczyć i uzyskać twoje przebaczenie, Con. - Moje przebaczenie? - Constantine zmarszczył brwi. - To ja ją skrzywdziłem. Haniebnie. - Ale przeprosiłeś, a ona ci nie wybaczyła. Wiem, że od tamtego czasu miała wyrzuty sumienia. Kiedy księżna przyszła do nas ze Stephenem, Vanessa uznała, że to szansa na odkupienie. Być może dla nas wszystkich. Jeśli dla kogoś tu przyjechałem, to dla niej. Kocham ją.

- Wiem.

- I przybyłem także dla ciebie. - Elliott odwrócił wzrok. - Jesteś mimo wszystko kimś, kogo kiedyś kochałem. Być może kimś, kogo nadal kocham. Dobry Boże, Con, tęskniłem za tobą. Możesz to sobie wyobrazić? Wierzyłem w te wszystkie rzeczy o tobie i tęskniłem za tobą?

- To robi się coraz bardziej żenujące - stwierdził Constantine.

- W istocie - zgodził się książę. - A Stephen pewnie

na mnie czeka. Zanim odejdę, Con, podasz mi rękę?

- Pocałujemy się i przeprosimy?

- Pomiąłbym całowanie, jeśli ci nie zależy - odparł Elliott, wyciągając prawą dłoń. Constantine spojrział na nią i podał kuzynowi rękę.

- O ile pamiętam - powiedział - nie zapytałeś, Elliotcie. Przyjąłeś, że wiesz. Ale ty zapamiętałeś, że zapytałeś, a ja cię odesłałem do wszystkich diabłów. Nigdy się nie dowiemy, kto ma rację. Może tak jest lepiej. Straciłeś właśnie wtedy zaufanie do ojca, a ja rozpaczliwie chciałem ocalić marzenie Jona. Nigdy nie szła nam za dobrze rozmowa o tym, co bolesne, prawda?

- Dżentelmen nigdy nie przyznaje się do bólu - podsumował Moreland, podczas gdy mocno ścisnęli sobie dłonie. - Muszę teraz rzucić na szalę całą swoją napuszczoną dumę. Ale spróbuję nie być osłem, Con. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby uwolnić Barnes'a. Mam nadzieję, że to wystarczy.

- Ja też - odparł żywo Constantine.

Wciąż czuł się źle z tym, że zostanie w Ainsley, beczynny i bezradny. Na razie jednak najlepsze, co mógł uczynić, to pozwolić kuzynom jechać i zrobić to, czego sam nie był w stanie. Albo przynajmniej spróbować.

A jeśli im się nie powiedzie?

Zajmie się tym, kiedy nadejdzie właściwy czas.

Kiedy? Nie: jeśli?

Poszedł w stronę gospodarstwa, mając nadzieję, że znajdzie jakąś ciężką fizyczną pracę, która zajmie jego myśli.

Przez następne trzy i pół godziny, jak zauważył wkrótce Constantine, wszyscy w Ainsley bacznie go obserwowali. Rąbał drewno obok stajni. Obnażony do

pasa, wkładał w tę pracę całą uwagę, siłę i energię, na jaką mógł się zdobyć. Nic na świecie nie miało takiego znaczenia, jak to, żeby zgromadzić dość drewna na tę zimę... a może nawet na następną.

Stajenni i ich pomocnicy pracowali akurat w stajniach. Żaden nie zrobił sobie przerwy, nawet kiedy nadeszło i minęło południe. Ale każdy z nich z zastanawiającą regularnością zjawiał się w drzwiach stajni pod różnymi wiarygodnymi pretekstami. Nie mniej niż trzy kobiety peły warzywniak przy kuchni, choć Constantine dwa dni wcześniej zauważył, że nie było tam ani jednego chwastu. Pewnie poszukiwanie nowych zajmowało im tak dużo czasu. Dwóch chłopców podawało mu drwa do porąbania, podczas gdy jeden zupełnie by wystarczył. Millie dwukrotnie przyniosła tacę z napojami i owsianymi ciasteczkami, za drugim razem została, żeby pomóc jednemu z chłopców układać drewno pod zewnętrzną ścianą stajni. Kucharka stanęła w drzwiach, zapewne po to, żeby sprawdzić, co się dzieje z Millie. Zamiast jednak zawołać ją albo wrócić do kuchni po tym, jak przekonała się, że dziewczynka jest zajęta, nie ruszała się z miejsca przez pewien czas, wycierając ręce o fartuch. Na koniec musiała mieć najsuchsze ręce w Anglii. Roseann Thirgood udzielała grupce uczniów lekcji na dworze, może dlatego że było ciepło, a wiatr na tyle łagodny, że wystarczyły dwie ręce, żeby trzymać książkę otwartą. Inna z kobiet uważała za stosowne trzepać ściereczkę przez boczne okno, a następnie wychylać się, żeby sprawdzić, gdzie wylądował kurz.

Wiedzieli oczywiście, że Elliott i Stephen pojechali porozmawiać z sędzią, chociaż Constantine nikomu tego nie mówił. Wszyscy też zdawali sobie sprawę, dlaczego

rabie drewno z takim zapalem. Nikt się do niego nie odzywał. Ani też nie mówili do siebie nawzajem. Z wyjątkiem Roseann, która musiała chyba wydawać polecenia uczniom. Jednak żadnego z nich nie słyszał.

A potem wszyscy, którzy zniknęli na chwilę, pojawili się z powrotem. Wszyscy zajęci pracą albo udający, że pracują, oderwali się od swoich zajęć. Kobiety pielęgnujące warzywniak wyprostowały się, a Millie wypadły z rąk dwa drewnianki, które niosła. Kucharka opuściła fartuch. Constantine zamarł z siekierą wzniesioną ponad ramieniem. Konie. Skrzywienie kół powozu.

Opuścił wolno siekierę i się odwrócił.

Ta sama książęca karoca co wczoraj. Ten sam woźnica i lokaj, których liberie wyczyszczono, by odzyskały swój sznyt.

Constantine zapomniał nawet na chwilę o oddychaniu. Gdyby o tym pomyślał, mógłby się założyć, że wszyscy inni również wstrzymali oddech.

Powóz nie podjechał pod same drzwi. Zatrzymał się przed stajnią. Być może pasażerowie zauważyli tłum ludzi i stojącego wśród nich Constantine'a.

Stephen wyskoczył pierwszy, zanim rozstawiono schodki. Rozejrzał się, a potem spojrzał na Huxtable'a, który stał nieruchomo, jakby mu nogi wrosły w ziemię. Nie ruszył w stronę powozu.

- Decyzja zawisła w próżni - zawołał Stephen tak, żeby wszyscy usłyszeli. Niezbyt szczęśliwe sformułowanie.

Elliott także wysiadł, nie czekając na schodki.

- Sędzia ma przemyśleć sprawę - powiedział, również głośno. - Ostateczny werdykt nie jest wcale pewny, ale jeśli zwolni Jessa Barnesę, to tylko na moją odpowiedzialność i pod warunkiem, że zabiorę go stąd i nie



pozwolę, żeby kiedykolwiek pojawił się w Gloucestershire.

Constantine był niemal pewien, że usłyszał zbiorowe westchnienie ulgi. A może usłyszał tylko własne.

Oparł siekiere o stos nieporąbanego drewna i ruszył w stronę kuzynów, którzy też zmierali w jego kierunku.

- Elliott był absolutnie wspaniały, Con! - zawołał Stephen. - Sam się prawie trząsałem ze strachu.

- Wcale nie - sprzeciwił się Moreland. - Byłeś zbyt zajęty rozsiewaniem swojego legendarnego czaru, Stephenie. Sam się niemal poczułem olśniony.

- Ale sędzia nie był całkiem przekonany - stwierdził Huxtable.

- Żeby oddać mu sprawiedliwość - odparł Elliott - należy powiedzieć, że ten człowiek ma kręgosłup, Con. Miałem wrażenie, że im bardziej zbliża się data wyroku, tym mocniej żałuje jego surowości, ale nie widział sposobu, żeby wycofać się z tego z godnością. Musiałeś go zmiękczyć. Chce nam dać to, o co prosimy, ale nie sprawić wrażenia, że robi tak pod wpływem dwóch utytułowanych mężczyzn, którzy nie mają nad nim w gruncie rzeczy żadnej władzy.

- Myślisz zatem, że wypuści Jessa? - zapytał Constantine.

- Czy myślę, że go wypuści? Tak. Czy jestem tego pewien? Nie.

- Czy powiedział, kiedy podejmie decyzję? - chciał wiedzieć Constantine.

- Jutro - odezwał się Stephen.

- Ale tak czy inaczej, Con - ciągnął Elliott - Jess tu nie wróci. Przykro mi. Przyrzeczenie, że wezmę go ze sobą, to najlepsze, co mogłem zrobić.

Constantine skinął głową. Jego oczy powędrowały

za ramię księcia, za powóz stojący na podjeździe. Jeździec na koniu zbliżał się cwałem. Wszyscy inni także go usłyszeli. Sędzia podjął decyzję? Czy to przypadkowy gość?

Wszyscy jednak zobaczyli, kiedy koń był blisko, że mężczyzna w siodle ma na sobie lśniąca liberię, która wyglądała na odrobinę sfatygowaną. Musiał przebyć długą drogę, zapewne zatrzymując się tylko po to, żeby zmienić konia i coś zjeść.

- Na Boga - zauważył Stephen - to królewska liberia.

Nie było co do tego wątpliwości. Jeździec był posłańcem króla. Zatrzymał konia za powozem i rozejrzał się wokół z raczej wyniosłą miną, po czym skupił uwagę na Elliotcie.

- Rozkazano mi przekazać wiadomość panu Constantine'owi Huxtable'owi - oświadczył.

- Ja nim jestem. - Con uniósł ramię... nagie ramię obsypane drewnianymi wiórami, i wysunął się naprzód.

Posłaniec spojrzał jeszcze bardziej wyniosle.

- Mogę poręczyć za jego tożsamość! - zawołał Stephen rozbawionym głosem. - Jestem Merton. Mężczyzna sięgnął do sakwy podróżnej i wyciągnął dwa zwoje opatrzone królewską pieczęcią.

- Najpierw miałem wręczyć to, panie - rzekł - na osobisty rozkaz Jego Królewskiej Mości.

Podał jeden ze zwojów Constantine'owi, który spojrzał na niego tak, jakby był w stanie w ten sposób przejrzeć jego treść. Wymienił spojrzenia z Elliottem i Stephenem, przełamał pieczęć i rozwinął pergamin.

Poczuł, jak krew odpływa mu z głowy. Oblizął wargi. Pergamin zdrzął mu w dłoniach. Podniósł wzrok.

- Ułaskawienie - powiedział niemal szeptem. A

potem wyprostował się, rozejrzał dookoła i nabrał powietrza w płuca. Uniósł pergamin wyżej. - Ułaskawienie. Królewskie ułaskawienie dla Jessa. Król odwołał wyrok.

- Jeśli wskaże mi pan drogę do sędziego - oznajmił posłaniec - bezzwłocznie przekażę duplikat dokumentu w jego ręce.

Nikt go nie słyszał. Rozległy się krzyk, śmiech, oklaski. Wszyscy mówili naraz, coraz bardziej podnosząc głos, ponieważ nikt nikogo nie słuchał, jako że wszyscy mieli wiele do powiedzenia. Prawie wszyscy. Dwie kobiety w warzywniaku tańczyły w kółko, pokrzykując. Kucharka zakryła twarz fartuchem. Millie łkała głośno, łzy spływały jej po policzkach strumieniami. Constantine zacisnęła powieki i wzniosł twarz ku niebu.

- Hultajka - szepnął z czułością.

- Cóż - odezwał się Elliott. - To tyle, jeśli chodzi o moją pomoc, Con.

Ale uśmiechał się, kiedy Huxtable na niego spojrział, podszedł do niego i objął go w niedźwiedzim uścisku. - Byłeś potrzebny - odparł Constantine. - Byłeś potrzebny, Elliottcie. Zawsze jesteś. A potem postawił się w straszliwie kłopotliwej sytuacji, ponieważ rozplakał się, kładąc głowę na ramieniu księcia. Poczul rękę Elliotta na swojej głowie.

- Niech to diabli - powiedział, cofając się o krok i ocierając mokrą twarz wierzchem dłoni. - Niech to diabli. Moreland wcisnął mu w rękę lnianą chustkę.

- Wolno kochać, Con - zwrócił się do niego. Stephen wycierał nos we własną chusteczkę. Królewski posłaniec odchrząknął. - Rozkazano mi to wręczyć w drugiej kolejności, panie - oznajmił, podając Constantine'owi kolejny zwój.

Huxtable popatrzył najeźdźca z zaskoczeniem.

Człowiek ów jednak nie był wiadomością, tylko posłańcem.

Co jeszcze król miał do powiedzenia? „Cha, cha, wcale nie miałem tego na myśli... Jess Barnes ma jednak umrzeć?”

Constantine złamał pieczęć, rozwinął pergamin i zaczął czytać. A potem zrobił to jeszcze raz. A potem zachichotał. A potem roześmiał się głośno, wręczając pismo kuzynowi. Elliott przeczytał je - również dwa razy - i podał Stephenowi, spoglądając na Constantine'a i śmiejąc się razem z nim.

- A niech to - odezwał się Stephen po chwili. - A niech to. Wszyscy trzej ryczeli ze śmiechu, a pozostali patrzyli na nich, zastanawiając się, na czym polega dowcip.

- Co się dzieje z czasem, Babs? - zapytała Hanna ze swojej ulubionej ławeczki pod oknem w swoim prywatnym saloniku. - Kiedy jesteśmy szczęśliwi, leci jak ptak, który zmierza do gniazda po długiej zimie, i tak samo, jak tego ptaka, nie można go zatrzymać. A kiedy indziej czołga się jak otumaniony laudanum żółw. Barbara pracowała nad robótką.

- Nie ma czegoś takiego jak czas - odparła. - To tylko nasza reakcja na nieubłagany upływ życia. Hanna zerknęła na czubek jej głowy.

- Gdybym zatem udawała, że się cieszę, nie wiedząc, co się dzieje - powiedziała - natychmiast dostałabym wiadomość, Babs? Czy to może być takie proste? Proszę, powiedz, że tak. Barbara uniosła głowę i się uśmiechnęła.

- Obawiam się, że nie. Ponieważ iluzja czasu tworzy sam czas. Nasze reakcje są zbyt silne, żeby to zatrzymać. Jesteśmy żałośnie ludzcy. A także cudownie ludzcy.

- Nie nauczyłaś się tego wszystkiego przypadkiem

od swojego pastora? - zapytała podejrzliwie księżna.

- Z dyskusji z nim, owszem - przyznała Barbara. - I doszłam do tego na podstawie przemyśleń i lektury, jaką podsunął mi Simon.

- Jeśli nie mogę powstrzymać iluzji, tak samo jak nie mogę zmienić rzeczywistości - stwierdziła Hanna - to świadomość istnienia iluzji niczemu nie służy, prawda? Ani też uznanie, że iluzja jest rzeczywistością. Czy w mojej głowie się kręci, czy to też tylko iluzja?

Barbara roześmiała się i zajęła z powrotem robótką.

- Król obiecał pomóc, Hanno.

- Ale powszechnie wiadomo, że na pamięci króla nie można polegać. Ma dobre chęci, ale łatwo odciągnąć jego uwagę. Nie byłam ani pierwszą, ani ostatnią osobą, która tego dnia przyszła do niego z prośbą. To że płakał, słuchając mojej historii, niewiele znaczy. Płacze nad wszystkim, co jest choć odrobinę sentymentalne.

- Musisz mu zaufać - powiedziała Barbara. - I księciu Moreland, i hrabiemu Merton. I panu Huxtable'owi.

Księżna westchnęła i przycisnęła poduszkę do piersi.

- Tak trudno jest zaufać komukolwiek poza sobą.

- Zrobiłaś wszystko, co mogłaś - zauważyła Barbara.

- A nawet więcej.

Hanna ponownie spojrzała na czubek jej głowy. Zastanawiała się, czyby nie wstać z ławeczki i nie pochodzić po pokoju... jak przedtem. Rozważała wyjście na szybki spacer, ale padało i wiał silny wiatr, a Barbara nalegałaby, żeby z nią pójść. Pewnie by się przeziębiła i przez następny tydzień walczyła ze śmiercią. Czasami miała z Barbarą istne utrapienie.

- Miałaś wrócić do domu, jak tylko przyjedziemy z Kent - przypomniwała. - Marzyłaś o tym, chociaż byłaś zbyt

uprzejma, żeby to powiedzieć. A jednak siedzisz tutaj, spokojna i cierpliwa, Babs. Ja na twoim miejscu byłabym wściekła. - Nie, z pewnością nie. - Barbara spojrzała na nią ponownie. - Jesteś o wiele lepszym człowiekiem, niż pozwalasz wierzyć innym, Hanno. Gdybyś to była ty, zostałabyś ze mną tak długo, jak by było trzeba. Jesteśmy przyjaciółkami. Kochamy się.

Księżna usłyszała dziwny dźwięk we własnym gardle i przełknęła ślinę. Otworzyła szerzej oczy, żeby nie wypełniły się łzami. Ostatnio groziło jej, że zamieni się w konewkę. A od swojej wizyty w pałacu St. James stała się prawdziwą pustelnicą. Chociaż nowe przyjaciółki były tak miłe, że odwiedziły ją poprzedniego dnia po południu. Przyszły wszystkie razem - trzy siostry Huxtable oraz ich szwagierka - i zostały na półtorej godziny, znacznie dłużej, niż wymagała zwykła grzecznościowa wizyta. Równie niecierpliwie jak ona czekały na jakieś wieści.

- Kochasz swojego pastora, Babs - powiedziała. - Powinnaś być teraz z nim.

- Będę. Weźmiemy ślub w sierpniu i będziemy razem do końca życia. Z pewnością uzna, że postąpiłam słusznie, zostając z tobą. Myślałam, że dzisiaj dostanę list. Przyjdzie bez wątpienia jutro. Wróciła do pracy, a Hanna westchnęła głęboko.

A potem wstrzymała oddech, a igła Barbary zawisała nad serwetką. Z dołu dobiegł ich dźwięk kołatki uderzanej o frontowe drzwi.

- Goście - odezwała się księżna, siląc się na nonszalancję. - Powiedz im, że nie ma mnie w domu. Nasłuchiwała jednak kroków za drzwiami, a kiedy drzwi skrzypnęły, zeszytniała, przyciskając poduszkę do siebie, jakby musiała jej bronić za cenę swojego życia.

- Dżentelmen do panny Leavensworth, wasza wysokość - oznajmił lokaj, wchodząc do salonu.

- Powiedz mu... Do Barbary? - spytała Hanna.

- Wielebny Newcombe, wasza wysokość - wyjaśnił, zerkając na Barbarę. - Czy mam mu powiedzieć, że pań nie ma w domu?

- Simon? - odezwała się cicho Barbara. Jej igła wciąż wisiała nieruchomo nad haftem. Nagle, pomyślała Hanna, stała się niewiarygodnie piękna.

- Wprowadź go tutaj, proszę - poleciła.

Nigdy nie przyjmowała gości w prywatnym salonie.

Przerzuciła nogi na podłogę, kiedy lokaj wyszedł, i odłożyła poduszkę. W pierwszym odruchu miała ochotę wybiec z pokoju, aby nie przeszkadzać w spotkaniu zakochanych. Nie mogła się jednak oprzeć chęci zobaczenia tego na własne oczy i poznania narzeczonego Barbary.

Przyjaciółka odłożyła starannie i powoli robótkę na bok, a potem sprawdziła, czy jej włosy nie są rozczochrane i czy jakieś okruszki z podwieczorku nie zostały na spódnicy. Spojrzała na Hannę.

- To dlatego nie było dzisiaj od niego listu - powiedziała. - Przyjechał osobiście.

Wciąż promieniała urodą. Oczy miała wielkie i pełne światła. To spojrzenie miłości, pomyślała księżna. Widziała je ostatnio we własnym lustrze. I na dobre jej się to zdało. Drzwi się otworzyły.

- Wielebny Newcombe do panny Leavensworth - oznajmił głośno lokaj.

Do środka wkroczył najzwyczajniejszy młody dżentelmen, jakiego Hanna mogła sobie wyobrazić. Był dokładnie taki, jakim go opisała Barbara. Ani wysoki, ani

mocno zbudowany, ani przystojny. Ubrany skromnie i bez fantazji. Ale uśmiechnął się na widok Barbary i księżna zrozumiała od razu, dlaczego jej przyjaciółka, która przez lata rutynowo odrzucała wszelkich możliwych, całkiem dorzeczných, starających się, oddała w końcu serce temu człowiekowi. Barbara odwzajemniła się promiennym uśmiechem.

Boże, pomyślała Hanna, gdyby to była ona, pobiegłaby przez pokój z mrozącym krew w żyłach okrzykiem i rzuciła się w ramiona przybyłego.

- Barb - powiedział.

- Simonie.

Po tymże miłosnym wybuchu oboje przypomnieli sobie o manierach i zwrócili uwagę na księżnę.

- Hanno - odezwała się Barbara - czy pozwolisz, że przedstawię ci wielebne Newcombe'a? Księżna Dunbarton, Simonie.

Pastor się skłonił. Hanna skinęła głową.

- Przybył pan osobiście, żeby zabrać Barbarę do domu - stwierdziła. - Nie winię pana za to, panie Newcombe. Okazałam się bardzo samolubna.

- Przyjechałem, wasza wysokość - odparł - ponieważ mój przyszły teść bardzo uprzejmie ofiarował, że odprawi za mnie niedzielne nabożeństwo i pozwoli mi na krótkie wakacje w Londynie, mimo że będę miał następne po ślubie. Przyjechałem, ponieważ wydawało mi się, że minęły lata, a nie zaledwie tygodnie, odkąd ostatnio widziałem Barbarę. I przyjechałem, ponieważ jest pani w rozpacz, i pomyślałem, że może będę mógł udzielić pani duchowego wsparcia.

Hanna zagryzła dolną wargę. Śmiech byłby nie na miejscu. A w istocie, chociaż miała ochotę zachichotać,



szlachetniejsza część jej duszy poczuła się głęboko wzruszona.

- Dziękuję, panie - powiedziała. - Przeżywam trudny okres. Chodzi o życie człowieka i obchodzi mnie ono mocno, mimo że nigdy tego mężczyzny nie spotkałam i prawdopodobnie nigdy nie spotkam. Ktoś, kogo znam, jest uczuciowo zaangażowany w tę sprawę, a ja żywię głębokie uczucia wobec niego.

Nie zamierzała wcale tak tego przedstawić. Ale słowa padły i były prawdziwe. Należy mówić prawdę duchownemu.

- Rozumiem, wasza wysokość - rzekł, a Hanna miała wrażenie, że naprawdę tak było.

- Muszę coś pilnie załatwić w innej części domu - oświadczyła - i obawiam się, że okażę się niedoskonałą gospodynią, panie Newcombe, i opuszczę salon. Zostawię panu jednak Barbarę. Sądzę, że zajmie się panem jak najlepiej podczas mojej nieobecności.

- Sądzę, że tak, wasza wysokość - zgodził się.

Hanna uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił uśmiech z taką słodyczą, że zakochałaby się w nim, gdyby jej serce było puste.

Uśmiechnęła się i mrugnęła do Barbary, tak aby wolebny Simon Newcombe nie widział, i wybiegła z pokoju, jakby istotnie czekało na nią tysiąc i jedno zadanie.

Co się działo w Gloucestershire? I dlaczego nikomu nie przyszło do głowy, żeby do niej napisać?

Wielebny Newcombe przebył całą drogę do Londynu i pierwsze, co zapragnął zrobić i co uznał za najbardziej interesujące zajęcie pierwszego, pełnego dnia pobytu w mieście, to udać się do księgarni przy Oxford Street, którą pamiętał z czasów studenckich.

Przyszedł do rezydencji Dunbarton i poprosił Barbarę i Hannę, żeby mu towarzyszyły. Barbara zapłonęła entuzjazmem.

Księżna przyglądała im się ciekawie, kiedy siedzieli w salonie, pijąc kawę. To było naprawdę zdumiewające. W tym sklepie nie sprzedawano nawet nowych książek. Zalegały tam pewnie masy kurzu. A także stare tomiska, tak wysuszone, że rozsypywały się w rękach, tworząc więcej kurzu.

- Musisz pójść z nami, Hanno - poprosiła Barbara. - Od paru dni prawie nie wychodzisz za próg, a dzisiaj znowu świeci słońce. Nie obawiaj się, że będziesz nam przeszkadzać. - Zaczerwieniła się.

- Nie mam takich obaw. Jesteście oboje zbyt uprzejmi, żeby przyznać nawet przed sobą, że jestem zbędna. Po południu pójde na spacer do Hyde Parku i dowiem się wszystkich plotek, którymi uraczę was przy kolacji. Zje pan z nami kolację, panie Newcombe?

- Dziękuję, wasza wysokość. - Skłonił głowę. - Ja... Przerwało mu pukanie do drzwi.

- Hrabia i hrabina Merton pragną zapytać, czy zastali panią w domu, wasza wysokość - oznajmił lokaj, wchodząc do pokoju.

Hanna zerwała się na równe nogi. Cassandra? I hrabia także?

- Wprowadź ich.

Powstrzymała się z trudem, żeby za nim nie pobiec, nie prześcignąć go na schodach i nie wpaść pierwszej do holu, aby dowiedzieć się, co się stało.

- Hrabia Merton - wyjaśniła Barbara pastorowi - pojechał do Ainsley Park z księciem Moreland, żeby sprawdzić, co można zrobić, aby uratować skazanego człowieka.

- Tak - odparł wielebny Newcombe - pamiętam te nazwiska z twoich listów, Barb. A teraz hrabia wrócił, być może z wieściami. Miejmy nadzieję, że to dobre nowiny. Pani troska, wasza wysokość, o tego nieszczęsnego człowieka, który pobłądził, przynosi pani zaszczyt. Ale to mnie nie dziwi. Barbara mówiła...

Hanna przestała słuchać. Nie dlatego że chciała być nieuprzejma, ale straciła kontrolę nad myślami. Podeszła tak blisko drzwi, jak się dało, nie narażając się, że zostanie przewrócona, kiedy je otworzą. Zaciśnęła dłonie. Usiłowała zachować godność. Księżę Moreland nie wrócił z hrabią? Constantine też nie wrócił?

Rozległo się pukanie i drzwi otworzyły się ponownie.

- Hrabia i hrabina Merton, wasza wysokość - zaanonsował lokaj. Hrabia wydawał się wyczerpany podróżą. Chociaż strój nie był wygnieciony, a twarz zarośnięta, oczy miał zmęczone i Hanna pomyślała, że wrócił do rezydencji Merton tylko na chwilę, żeby zobaczyć się z żoną. A Cassandra... promieniała radością.

- Wszystko dobrze - oznajmiła, podbiegając, żeby chwycić księżnę w ramiona. - Wszystko dobrze. Hanna odetchnęła z ulgą, poddając się uściskowi.

- Sądzę, że wie pani o tym, wasza wysokość -

odezwał się hrabia. - To z pewnością pani namówiła króla do interwencji. Myślę jednak, że niepokoiła się pani, nie mając pewności, czy ułaskawienie dotrze na czas. Dotarło. Trzy dni wcześniej, w gruncie rzeczy.

Tylko trzy dni?

- To było całkowite ułaskawienie - dodał. - Jess Barnes jest wolny. Wyjeżdżając, przyrzekłem Constantine'owi, że zawiadomię panią w ciągu godziny po przyjeździe do Londynu. I pozwoliłem sobie przyjechać pani powozem, wasza wysokość. Con z Elliottem przyjadą później.

- Z księciem Moreland? - Hanna uniosła brwi. - Obaj w jednym powozie? Uśmiechnął się.

- I prawdopodobnie nawet się nie pobiją - odparł. - Ani nie będą milczeć jak kamienie.

- A zatem wyjaśnili tę głupią kłótnię? - zapytała.

- Tak jest. Po raz pierwszy widziałem ich razem, tak jak musiało być wcześniej, zanim ich poznałem. Rozmawiają bez przerwy i żartują. .. nawet się kłócą. A na wypadek gdyby potrzebowała pani więcej zapewnień, dodam, że to na ramieniu Elliotta Con zapłakał, kiedy przeczytał pismo króla, chociaż moje ramię było równie bliskie i równie gotowe do usług.

- Och. - Hanna złożyła dłonie i oparła usta na opuszkach palców. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, jak Constantine płacze. Jakże musiał być zakłopotany. I jaki byłby wściekły, gdyby wiedział, że kuzyn jej o tym opowiada.

Mężczyźni bywają tacy niemądrzy.

Jakie to dziwne, że można się tak pomylić co do drugiego człowieka. W myślach zawsze nazywała go diabłem. Wydawał się mroczny i niebezpieczny,

usprawiedliwiając to określenie. Tymczasem okazał się kimś zupełnie innym. Był światłem, miłością i współczuciem. Och, może bywał też odrobinę mroczny i niebezpieczny. Stanowił oszałamiającą mieszaninę różnych cech, jak większość ludzi.

Kochała go aż do bólu, niemądra kobieta - oto kim się stała.

A to w tej chwili wydawało się niestosowne. Uniosła głowę, uśmiechnęła się i odwróciła, żeby przedstawić gości wielebnemu Newcombe'owi.

Oboje z Barbarą podnieśli się z krzeseł. W oczach przyjaciółki lśniły łzy. Podeszła szybko, żeby uściskać Hannę.

- Wiedziałam, że król nie zapomni - powiedziała.

Czy to koniec? - zastanawiała się księżna. Hrabia powiedział właśnie, że Constantine przyjedzie do miasta z księciem Moreland. Ale czy nie zmieni zdania i nie zostanie w Ainsley, skoro sezon prawie się skończył? A może będzie musiał zostać, jak i tak zamierzał, żeby pomóc wrócić do siebie biednemu Jessowi i ułagodzić sąsiadów? Teraz, kiedy znalazł się daleko od niej, czy nie uzna czasem, że to dogodny moment, żeby zakończyć romans?

Powiedziała mu, że go kocha. Dlatego może trzymać się od niej z daleka przez rok czy dwa lata.

Czy też wróci? Czy podejmą romans na nowo, jakby nic się nie stało?

Czy ona tego chce?

Nie myślała o tym wcześniej. A teraz nie był najodpowiedniejszy moment. Podejmowała gości, chociaż Cassandra wyjaśniała właśnie, że nie zostaną, ponieważ muszą zawiadomić Vanesę, jak sprawy się potoczyły i kiedy może się spodziewać powrotu księcia.

Czy nadal będzie tu mieszkać za dnia, a nocą jeździć do Constantine'a, żeby się z nim kochać?

Tęskniła za miłością. Za tym, żeby być kochaną.

Była jego metresą.

On był jej kochankiem. Czy to dość?

Tak się umówili. Tego chciała w pierwszym roku swojej wolności. W istocie, ona to wszystko zaaranżowała. Czy zmieniła tak szybko zdanie?

Nie mogłaby znieść tego, że przestaliby być kochankami.

Nie mogłaby znieść tego także, że byłiby nimi dalej.

Naprawdę go kochała. Wyznała mu to szczerze... co, być może, nie było rozsądne.

Dlaczego miłość do niego i bycie jego kochanką wydawały się nawzajem wykluczać?

Ach, pomyślała, życząc hrabiemu i Cassandrze miłego dnia i dziękując za przyjście, nie jest teraz wcale spokojniejsza i nie panuje nad uczuciami w większym stopniu niż wtedy, kiedy poznała księcia.

Tak jakby nigdy nie było ubiegłych jedenastu lat.

Jednak obecnie zdawała sobie sprawę, że stoi przed wyborem, którego sama musi dokonać. Spokojnie i rozsądnie. O ile Constantine nie podjął decyzji za nią, zostając w Ainsley.

Czy zostaną kochankami na resztę sezonu?

A może nie?

Wybór nie mógł być prostszy.

Dokonanie go to już, oczywiście, zupełnie inna sprawa.

- Wybierzesz się z nami, Hanno? - zapytała Barbara, kiedy zostali we troje w salonie. - Nie musisz już czekać w domu na wieści, prawda? Nadeszły i są najlepsze, jakich

można się było spodziewać.

- Czemu nie? - odparła księżna, spoglądając na przyjaciółkę, a potem na pastora. - Świętujmy, oglądając stare książki.

Wielebny Newcombe się rozpromienił.

Constantine został w Ainsley Park jeszcze cztery dni po uwolnieniu Jessa, a Stephen wrócił do Londynu kareta księżnej.

Odczuwał potrzebę bycia blisko swoich ludzi przez jakiś czas, kiedy wszyscy dochodzili do siebie po straszliwym niepokoju, wracając do codziennego życia. Uznał także za konieczne złożenie wizyt sąsiadom i porozmawianie z nimi otwarcie o Ainsley. Nie mógł obiecać, że podobnie kłopotliwe sytuacje nigdy się nie powtórzą w przyszłości, ale przypomniał im, że incydent z Jessem był pierwszym tego rodzaju wypadkiem, odkąd się tu sprowadził. Wyjaśnił, że mieszkańcy Ainsley doceniają szansę, jaką otrzymali na nowe życie, i pragną gorąco stać się ponownie szanowanymi i pożytecznymi członkami społeczeństwa. Nie dawał schronienia bandzie złodziei ani nie prowadził domu publicznego. Nawet Jess nie był złodziejem z natury, ale człowiekiem, który usiłował naprawić zło, nie myśląc o tym, co robi. I Jess miał wyjechać. I nigdy nie wrócić do Ainsley.

Większość sąsiadów przyjęła go uprzejmie. Kilku serdecznie i ciepło. Niektórzy zachowali swoje opinie dla siebie. Kincaid okazywał jawny sceptycyzm, ale nie wyraźną wrogość. Constantine wierzył i miał nadzieję, że mężczyzna z czasem zmieni zdanie.

Został w Ainsley cztery dni, żeby Jess mógł dojść do siebie po strasznych przeżyciach i przywyknąć do myśli, że jego nauka w Ainsley Park dobiegła końca i awansował na

stanowisko, o którym zawsze marzył, a mianowicie pomocnika stajennego. Książę Moreland ofiarował mu taką posiadłość w Rigby Abbey, we własnym majątku. Ciężko im będzie się z nim żegnać, wyjaśnił Constantine, ale książę jest jego kuzynem i jeśli już musi pozwolić Jessowi zająć lepsze stanowisko, to woli, aby ten trafił do jego kuzyna niż kogoś obcego. I będzie mógł widywać Jessa od czasu do czasu, kiedy odwiedzi księcia. Będzie mu przekazywał nowiny od wszystkich przyjaciół w Ainsley. Sam nigdy nie był w Rigby Abbey.

Zaskoczyło go, że Elliott także postanowił zostać w Ainsley, chociaż wyraźnie cierpiał z powodu rozłąki z żoną i dziećmi. Został, żeby odnowić ich przyjaźń. Nie mogło być innego powodu. I tak się stało; najpierw szło im to z trudem, ale w miarę upływu czasu czuli się ze sobą coraz swobodniej. To było jak dar, jak balsam dla duszy mieć Elliotta przy sobie. Constantine nie zdawał sobie sprawy, że tak bardzo mu go brakowało. Strata przyjaciela, a później strata Jona zostały w jego sercu straszliwą pustką.

Teraz odzyskał Elliotta. Rozmawiali o Jonie. Dzielili się wspomnieniami - nie tymi, które sprawiały ból, ale tymi z wcześniejszych piętnastu lat jego życia.

Constantine podczas tych czterech dni odpoczął i doszedł do siebie, chociaż w głębi duszy czekał z niecierpliwością na powrót do Londynu. Starał się jednak jak najrzadziej myśleć o Hannie. Nie był jeszcze gotów, żeby myśleć.

Powiedziała mu, że go kocha.

Gdy wrócił do Londynu luksusową kareta Elliottą, z Jessem na koźle obok woźnicy i lokajem jadącym konno z przodu, minęły niemal dwa tygodnie, odkąd Constantine



opuścił miasto.

Musiał złożyć księżnej wizytę, żeby podziękować za interwencję - nie mógłby nazwać tego przecież ingerencją - w sprawie Jessa i za pożyczenie karety.

Dziwnie trudno było mu się na to zdobyć. Co się teraz stanie? Powrót do status quo? Znowu będzie jego metresą? A on jej kochankiem?

Tęsknił za nią. Uplynęły prawie trzy tygodnie, odkąd spędzili razem noc.

Łączył ich romans. Cieleśna przyjemność. Krótka przygoda mająca trwać do końca sezonu.

Dobry Boże, czy tak właśnie było?

To brzmiało okropnie. Jakiego słowa mu zabrakło? Tandetnie? Wstrętne? Niezadowolająco?

Zdecydowanie tego ostatniego. Prawdopodobnie dwóch pierwszych również. Ale to było dziwne.

Poprzednich romansów nigdy nie odbierał w ten sposób. Cieszył się nimi, kiedy trwały, kończył je we właściwym momencie, a potem o nich zapominał.

Romans z Hanną mu nie wystarczał.

Kochał ją.

Prawie o niej nie myślał przez ubiegłe półtora tygodnia. W każdym razie nie świadomie. A jednak była tu w każdej chwili każdego dnia. Jako część jego samego.

To było straszliwie niepokojące.

Czy tak?

Powiedziała mu, że go kocha, zanim wyjechał z Copeland. Czy mówiła poważnie? W takim sensie?

Niech to diabli, miał tak niewiele doświadczenia w miłości. Z tym rodzajem miłości, w każdym razie.

Ale może tak było ze wszystkimi, póki miłość nie przychodziła i nie uderzała ich pięścią między oczy.

Co mówiły jej czyny? Potwierdzały słowa? Co zrobiła potem, kiedy wyjechał jej karetą?

Ściągnęła Stephena do Londynu, zaskoczyła Elliotta w jego kryjówce, wysłała obu do Gloucestershire, a potem pobięła do króla.

Dla upośledzonego umysłowo obcego człowieka?

Raczej nie, chociaż była pełna współczucia.

Elliott, siedzący na ławce naprzeciwko, ziewnął.

- Wpatrywałeś się pustym wzrokiem w przestrzeń, kiedy się zdrzemnąłem, Con - powiedział - i nadal to robisz, kiedy się obudziłem. Martwisz się o Jessa, czy tak? Dobrze zrobiłeś, przekonując go, że zakończył edukację w Ainsley z wyróżnieniem i awansował na lepsze stanowisko w Rigby. A ja potrafię być całkiem miły dla podwładnych, kiedy zapominam, że jestem władcym księciem. Constantine skierował na niego wzrok.

- Jestem twoim dłużnikiem - powiedział. - Za wszystko. Elliott się uśmiechnął.

- Czy wyobrażałeś sobie choć przez chwilę - odparł - że pozwolę ci o tym zapomnieć? Constantine się śmiał.

- Nie. Znam cię od dawna.

- Czy ożenisz się z nią? - zapytał Elliott.

No i proszę. Myśl, którą jego umysł nie chciał się świadomie zająć od wielu dni.

Chciał się ożenić. Mieć dzieci. Chciał tego wszystkiego, czego unikał przez lata. Chciał się ustatkować. Ale z księżną Dunbarton? Z Hanną?

To było, jak myślenie o dwóch różnych osobach. Ale ona była jedną i tą samą osobą. Była zarazem księżną, którą znał zawsze, i Hanną, którą odkrył, kiedy zostali kochankami. Nie można jej było zamknąć w jednym słowie czy zdaniu. Nawet w jednym akapicie. Nawet w jednej

książce czy bibliotece. Była wielobarwną, złożoną postacią i kochał ją.

- To mi nie przyszło do głowy - powiedział.

- Kłamca! - Elliott wciąż się uśmiechał.

- Co sprawiło, że bez cienia wątpliwości wiedziałeś, iż chcesz poślubić Vanesę? - zapytał Constantine.

- Nie wiedziałem. Oświadczyła mi się, a ja byłem tak zaszokowany, że powiedziałem: tak, zanim zrozumiałem, co robię, i zostałem z tą decyzją na wieki wieków.

- Jeśli nie chcesz o tym mówić - zauważył Constantine - możesz mi to po prostu powiedzieć. Książę uniósł prawą rękę.

- Jestem szczery - odparł. - Do czasu, kiedy pokochałem ją ponad życie, byłem już z nią żonaty i nie musiałem podejmować żadnych męczących decyzji w jaki sposób, gdzie, kiedy i czy w ogóle składać taką propozycję. - Może się ze mnie śmiać - powiedział Constantine.

- Istnieje taka możliwość - zgodził się Elliott po chwili zastanowienia. - To groźna dama, nieprawdaż? Nie wspominając już o tym, że piękna. Mogłaby pewnie mieć każdego mężczyznę w królestwie, na którego raczyłaby spojrzeć. Może się z ciebie śmiać, Con. Może także zapłakać. To byłoby bardziej obiecujące. - Księżna Dunbarton, Elliottcie. Musiałbym być szalony.

- Dlaczego? Masz wiele do zaoferowania, Con, a teraz jesteś znacznie lepszą partią, niż byłeś tydzień temu. - Uśmiechnął się znowu.

Constantine wzruszył ramionami.

- Vanessa klnie się - odezwał się znowu Elliott - że pod całym tym lśniącem lodem kryje się namiętność, Con, a kiedy księżna znajdzie cel, na którym skupi uwagę, okaże

się stała jak Gwiazda Polarna. Vanessa zwykle wie takie rzeczy. Nie przyszłoby mi do głowy spierać się z nią w tej materii. Okazałoby się, że nie mam racji, ona szlachetnie powstrzymałaby się od stwierdzenia: „A nie mówiłam”, a ja czułbym się jak ostatni dureń.

- Hm - mruknął Constantine.

- Dla poprawienia twojego samopoczucia - dodał Elliott - ona twierdzi, że ty się stałeś tym celem, Con. Nawiasem mówiąc, lepiej pojedź ze mną do rezydencji Moreland, jak tylko wrócimy do miasta, i pogódź się z Vanessą, zanim pójdziesz do rezydencji Dunbarton.

- Dobrze - powiedział Huxtable, po czym położył głowę na oparciu i udawał, że śpi, żeby uniknąć dalszej rozmowy.

Drzemał, zastanawiając się, czy Hanna będzie się śmiać, czy płakać, kiedy jej się oświadczy. A także czy da jej możliwość, żeby uczyniła jedno albo drugie.

Hanna myślała, że widocznie miała rację, obawiając się, że Constantine zostanie w Ainsley, unikając w ten sposób rozstrzygnięcia sprawy ich romansu i wyznania, które tak nierozważnie uczyniła w Copeland. Nie wrócił ani następnego dnia po lordzie Merton, ani nawet kolejnego.

Ale, jak odkryła po trzech dniach, ksiązę Moreland także nie wrócił. Obaj wciąż przebywali poza miastem. Hanna dowiedziała się o tym, kiedy spotkała księżnę pewnego popołudnia. Obie udały się z wizytą do Katherine, aby sprawdzić, czy wciąż cierpi na poranne mdłości.

Więc może jednak wróci. Ksiązę wróci z pewnością.

W tym czasie Hanna odkryła także, że zmęczyła się nowym faworytem niemal tak szybko, jak przewidywano. Odrzuciła go bez litości, a on wyjechał na wieś, żeby lizać rany. Rozglądała się za nowym kochankiem, który będzie miał swoją chwilę w blasku słońcu, zanim księżna pozbędzie się i jego. Zastanawiano się, kogo wybierze. Nie brakowało chętnych kandydatów.

Takie przynajmniej plotki krążyły w londyńskich klubach i salonach. Bawiłyby ją, gdyby się nie bała, że to ona może okazać się tą porzuconą.

Nie mogła jednak nic zrobić, poza tym że starała się sprostać oczekiwaniom, czekając na rozwój wydarzeń. Nie zamierzała zamykać się w domu jak pustelnica. Pewnego pięknego, słonecznego popołudnia włożyła najbardziej olśniewającą białą muślinową suknię i kapelusz, dodała do stroju ostentacyjnie wielkie brylantowe kolczyki i pierścionie, nie zapominając o bransoletce, wzniosła nad głowę białą koronkową parasolkę i ruszyła na spacer do

Hyde Parku w takiej porze, kiedy zbierało się tam eleganckie towarzystwo.

Towarzyszyli jej Barbara i wielbny Newcombe. To był ich ostatni dzień w Londynie. Nazajutrz wracali do Markle, Babs w powozie z pokojówką, pastor na koniu obok, aby uczynić zadość wymogom przyzwoitości. Hanna chciała, by ostatnie popołudnie w mieście spędzili gdzieś razem, bez niej, na przykład w Richmond Park. Oni jednak uparli się, żeby z nią zostać.

Wkrótce otoczyli ich ludzie, głównie mężczyźni, choć nie tylko. Margaret i Katherine jechały razem w otwartym powozie i zatrzymały się, żeby chwilę porozmawiać. Lady Montford, dowiedziawszy się, że Barbara wyjeżdża następnego dnia, zaprosiła Hannę na kolację. A Margaret zaprosiła ją do opery kolejnego wieczoru.

- Prawie namówiliśmy dziadka Duncana, żeby z nami poszedł, choć ciągle się waha - powiedziała. - Kiedy usłyszysz, że też się z nami wybierasz, Hanno, na pewno się zdecyduje.

- A zatem powiedz mu, że przyjęłam zaproszenie jedynie pod warunkiem, że on również pójdzie - odparła. - Przekaż mu, że jeśli nie przyjdzie, następnego dnia rano zjawię się w rezydencji Claverbrook i zażądam wyjaśnień.

Barbara i wielbny Newcombe rozmawiali z państwem Parkami i jeszcze jednym małżeństwem. Otwarty powóz odjechał, a Hannę otoczyła grupa jej dawnych przyjaciół, w tym kilku chętnych, aby nawiązać z nią romans, oraz nowi wielbiciele. Jakie to wygodne, pomyślała, przywdziać starą zbroję i odgrywać rolę księżnej Dunbarton, ukrywając pod nią bardziej wrażliwą i kruchą Hannę Reid. A jednak nie mogła tej roli odgrywać

wiecznie. Nie zdawała sobie z tego sprawy aż do tej chwili. Z pewnością nie uświadamiała sobie tego na początku sezonu. Łatwo było, a nawet zabawnie, grać, kiedy żył książe. Wtedy miała jego towarzystwo, przyjaźń i - tak - miłość, którą czuła, kiedy nie występowała publicznie. Ale teraz? W domu czekała ją tylko samotność. A Babs wyjeżdżała nazajutrz.

Czy nowi i starzy przyjaciele wystarczą w kolejnych dniach, miesiącach i latach?

Och, Constantinie, gdzie jesteś? Czy będziesz mnie unikać, jeśli i kiedy wrócisz?

Śmiała się z czegoś, co właśnie powiedział lord Moodie, klepiąc go po rękawie płaszcza, kiedy jej dwór rozstał się, przepuszczając konia. Zapadła dziwna cisza.

Był to czarny koń.

Należał do Constantine'a.

Hanna uniosła głowę i zakreśliła energicznie parasolką, wywołując gwałtowny podmuch powietrza.

Constantine. Cały w czerni, z wyjątkiem koszuli. O pociągłej twarzy. I czarnych oczach. Bez uśmiechu. Niemal ponury. Prawie diaboliczny.

Jej umiłowany.

Boże, skąd się wzięło to dziwne słowo? Z mszy ślubnej?

- Panie Huxtable. - Jej brwi wygięły się w łuki.

- Księżno.

Dwór słuchał z uwagą, jakby każde z nich wygłosiło dłuższy monolog.

- A więc raczyłeś ponownie zaszczyścić Londyn swoją obecnością? - zapytała.

Dwór westchnął, niemal bezgłośnie, a próbując jej pogardę dla człowieka, który wrócił po tym, jak go

odrzuciła. Jego czas minął, mówiło to ledwie słyszalne westchnienie. Im szybciej odjedzie, żeby leczyć swoje złamane serce i zachować resztę godności, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych. W odpowiedzi wyciągnął rękę w czarnej, skórzanej, ściśle przylegającej do dłoni rękawicze. Wpatrywał się w oczy Hanny tak intensywnie, że nie mogła odwrócić wzroku.

- Postaw stopę na moim bucie - powiedział. Co?

- Och, proszę - zaprotestował któryś z dżentelmenów. - Czy nie widzi pan, panie Huxtable, że jej wysokość...

Hanna nie słuchała. Toczyła walkę woli z oczami Constantine'a. Miała na sobie strój zupełnie nieodpowiedni do konnej jazdy. Jeśli chciał z nią porozmawiać, byłoby dużo łatwiej i zdecydowanie uprzejmiej, gdyby zszedł z konia. Ale chciał zobaczyć - i chciał, żeby socjeta zobaczyła - jak ona robi z siebie widowisko. Chciał dostarczyć towarzystwu skandalicznych plotek na co najmniej miesiąc.

Pokazać światu, kto jest panem, i wystarczy, że pstryknie palcami, a ona przybiegnie.

Zakręciła parasolką, patrząc kpiąco.

Rozległo się kolejne niemal niesłyszalne westchnienie aprobaty. Gdyby Hanna się rozejrzała, stwierdziłaby, że dwór się powiększył, gdyż dołączyły do niego także kobiety. Plotek już mogło wystarczyć na dwa tygodnie.

Hanna powoli i spokojnie opuściła i złożyła parasolkę, wręczając ją bez słowa czy spojrzenia lordowi Hardingraye, który stał obok. Zrobiła dwa kroki do przodu, uniosła suknię jedną ręką, żeby postawić swój niezwykle delikatny biały pantofelek na lśniącym czarnym skórzanym



bucie do konnej jazdy Constantine'a, i wyciągnęła drugą rękę, żeby włożyć ją w jego dłoń... biały jedwab na czarnej skórze.

W następnej chwili, bez żadnego wysiłku z jej strony, siedziała już bokiem na koniu, przed siodłem, a jego ramiona otaczały ją, tak że gdyby należała do strachliwych, nie musiałaby się bać.

Nie należała do strachliwych.

Odwróciła głowę i spojrzała w bardzo ciemne oczy, które teraz znajdowały się prawie na tym samym poziomie, co jej własne.

Zawracał konia i tłum ustępował mu z drogi. Świadkowie tego wydarzenia także mieli mnóstwo do powiedzenia... jej, jemu, sobie nawzajem. Hanna nawet nie próbowała słuchać. Nie obchodziło jej, co mówią. Przyjechał.

Przyjechał po nią.

Czy tak?

- To - odezwała się - było bardzo dramatyczne.

- Tak, nieprawdą? Dowiedziałem się po powrocie, a to było zaledwie kilka godzin temu, że jestem rozżalonym, porzuconym przez ciebie wielbicielem, kmiotkiem z prowincji. Żeby ratować dumę, musiałem wykonać jakiś niezwykle gest.

- Z pewnością był niezwykle - odparła, podczas gdy zręcznie torował sobie drogę wśród powozów i koni, które prawie uniemożliwiały przejazd.

- Czy jestem? - zapytał.

- Rozżalony?

- Odrzucony.

- I kmiotek - powiedziała. - To mi się szczególnie podoba. Moja suknia będzie zrujnowana, Constantine.

Będzie od niej już zawsze zalatywać koniem.

Jeszcze nie całkiem wyjechali z tłumu. Doskonale ich było widać z każdego miejsca. A zapewne bardzo nieliczni spośród obecnych nie korzystali z tego w pełni.

I tak ją pocałował... prosto w usta. I nie był to taki sobie pośpieszny pocałunek. Musiał trwać pełne piętnaście albo dwadzieścia sekund, co w tych okolicznościach wydawało się wiecznością.

A ponieważ musiała to znieść tak czy inaczej, jako że nie była w stanie z nim walczyć, oddała pocałunek, przeciągając go co najmniej o kolejnych dziesięć sekund.

- No i proszę - rzekł, podnosząc głowę. Patrzył jej głęboko w oczy. Nie mogła odwrócić wzroku. Trzymał jej duszę na uwięzi. A ona jego. - Zostałaś dokumentnie skompromitowana, księżno.

- Tak - przyznała z westchnieniem. - I co zamierzasz z tym zrobić, panie? Żałowała, że te słowa padły. Zanim przypominały ultimatum.

- Jestem dżentelmenem, księżno - odparł. - Zamierzam się z tobą ożenić.

W odpowiedzi przełknęła ślinę, niemal się przy tym krztusząc. Popatrzyła dookoła, zauważyła, że tłum pozostał z tyłu i że są prawie sami na ścieżce, w otoczeniu parku, i próbowała ponownie przywdziać zbroję, w której tak jej było wygodnie jeszcze kilka minut wcześniej.

- Czyżby? - zapytała chłodno. - A zamierzałeś mnie o to zapytać, Constantine? Czy też skoro dosłownie mnie porwałeś, przyjąłeś, że to niepotrzebne?

- Miałem nadzieję, że nie będzie. Przypuszczam, że każdy mężczyzna myśli z przerażeniem o scenie oświadczyn we własnej historii miłosnej. Widzę jednak, że ciebie nie da się oszukać ani niczego pozbawić, księżno.

Będę zatem musiał uklęknąć, czego w tej akurat chwili zrobić nie mogę. Nie wątpię, że chociaż wyjechaliśmy z tłumu, wszyscy zbiegliby się zewsząd, gdybym zszedł z konia, postawił cię na ziemi i przystąpił do owej sceny. Musimy to zatem odłożyć na następną okazję. Hanna śmiała się wbrew woli.

- Wydajesz się bardzo pewny powodzenia - zauważyła.

- Niewiele o mnie wiesz, księżno - stwierdził. - Gdybyś mnie znała lepiej, zrozumiałabyś, że plotę, a moje serce bije w sposób oszalały. Zmieńmy temat. Jess jest wolny, szczęśliwy i pęka z dumy, a wszystko, jak sądzę, dzięki tobie. Nie przypuszczam, żeby król dowiedział się o jego nieszczęściu przypadkiem.

Zmieniał temat? Powiadomiwszy ją, że zamierza się z nią ożenić, chciał teraz mówić o Jessie Barnesie i królu? Cóż.

Rozejrzała się nonszalancko wokół siebie.

- Przypadkiem go spotkałam - oznajmiła - i przypadkiem wspomniałam o tej sprawie. Zapłakał. Zalały się łzami, gdybym mu powiedziała, że podarłam swoją ulubioną koronkową chusteczkę. Roześmiał się.

- Przypadkiem go spotkałaś. Spacerując po Bond Street, jak przypuszczam.

- Constantine. - Zamknęła na chwilę oczy. - Czy Jess Barnes jest naprawdę bezpieczny? Czy twoi sąsiedzi nie będą próbowali dochodzić sprawiedliwości na własną rękę?

- Jest teraz w drodze do Rigby Abbey - wyjaśnił. - To wiejska siedziba Elliotta. Awansował z robotnika rolnego na stajennego. Jest najszcześniejszym i najbardziej dumnym człowiekiem w Anglii.

- Elliotta - powiedziała. - Księcia. A więc

pogodziliście się?

- Obaj doszliśmy do wniosku, że zachowywaliśmy się jak skończone osły. I obaj przyznaliśmy, że może tak musiało być, żeby marzenie Jona mogło się urzeczywistnić. Dla tego celu trzeba było na jakiś czas poświęcić naszą przyjaźń... i zrobiłbym to jeszcze raz, gdybym musiał. Tak samo Elliott próbowałby bronić Jona przed sobą samym, a dziedzictwo Stephena przed roztrwonieniem. Ale znowu jesteście przyjaciółmi. I kuzynami.

- I prawie braćmi?

- To też. Tak. To też.

Uśmiechnęła się, a on odpowiedział tym samym. Jej serce stopniało.

Otworzył usta, żeby znowu przemówić.

Trzech jeźdźcy jadący naprzeciwko nich zagwizdali, zbliżając się, i pozwolili sobie później na dobroduszne, ale rubaszne żarty. Hanna uniosła podbródek, żałując, że nie może zakręcić parasolką.

Constantine uśmiechnął się do młodzieńców, których ona także rozpoznała.

- Lepiej zabiorę cię do domu, księżno - powiedział. - Muszę odwiedzić Vanessę i sprawdzić, czy jest chętna się ze mną pogodzić. Elliott chciał, żebym najpierw tam pojechał, ale usłyszałem przypadkiem, jak się powszechnie interpretuje mój wyjazd z Londynu w środku sezonu, i uznałem za stosowne tę sprawę wyjaśnić, zwłaszcza kiedy dowiedziałem się od twojego lokaja, że spacerujesz w parku.

- A więc nie możesz pozwolić jej dłużej czekać. Zaprzyjaźniłyśmy się w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

Pojechali do rezydencji Dunbarton ku zdumieniu i zachwytowi przechodniów, z których kilku poczyniło

rozmaite uwagi. Constantine postawił Hannę przed drzwiami, poczekał, aż wejdzie po schodach, popatrzył, jak znika wewnątrz, i odjechał. Bez jednego słowa więcej.

Gdyby miała przy sobie parasolkę, pomyślała, wchodząc na górę do swojego pokoju, przyłożyłaby mu nią po głowie.

Nie oznajmia się kobiecie, że chce się z nią ożenić, a potem nie pyta jej o zdanie.

Nie, chyba że jest się Constantine'em Huxtable'em.

„Przypuszczam, że każdy mężczyzna myśli z przerażeniem o scenie oświadczyn we własnej historii miłosnej”.

Te słowa zadźwięczały jej w uszach i przebiegła ostatnich parę stopni.

Swojej własnej historii miłosnej.

Zatrzymała się gwałtownie. Scena, którą odegrał w parku, była z pewnością najbardziej szokującym, romantycznym wydarzeniem w jej życiu. Nie mógł zrobić tego tylko po to, żeby pokazać, kto tu jest panem.

Kochał ją.

Roześmiała się głośno.

To nie był koniec romantycznych gestów. Następnego ranka, w niecałą godzinę po wyjeździe Barbary, kiedy Hanna poczuła się trochę opuszczona, do rezydencji Dunbarton dostarczono pojedynczą białą różę. Bez karteczki. Jednocześnie przyniesiono ogromny, wielobarwny bukiet, ozdobiony lśniąco złotymi wstążkami, wraz z parasolką i kwiecistym, zabawnym liścikiem od lorda Hardingraye, który mógł sobie pozwolić na to, żeby ją uwodzić bez obawy, że potraktuje go poważnie, ponieważ wiedziała - a on wiedział, że ona wie - iż pod pewnym względem był dokładnie taki sam jak jej

książę.

Bukiet ustawiono na stole na środku salonu, żeby można na niego patrzeć z każdego miejsca w pokoju. Róża zawędrowała do jej sypialni, gdzie tylko ona mogła się nią cieszyć.

Godzinę później lokaj przyniósł jej kolejny liścik na srebrnej tacy. Był krótki i nie zawierał podpisu.

*Pożądaj cię.*

Niezbyt romantyczny być może, ale Hanna uśmiechnęła się, czytając liścik po raz dziesiąty, upewniwszy się najpierw, że autor nie przyniósł go osobiście i nie czeka w holu na dole.

Rozpoznała początek gry.

Zjadła kolację z Montfordami, ciesząc się ich towarzystwem i rozmową, na której byli również państwo Goodingowie oraz hrabia i hrabina Lanting - obie damy były siostrami lorda Montford.

Następnego dnia do rezydencji Dunbarton przyniesiono tuzin białych róż, znowu bez karteczki.

Zabrano je do salonu Hanny.

Godzinę później lokaj przyniósł list na tacy. Znowu bez podpisu.

*Zakochałem się w tobie.*

Hanna przycisnęła go do warg, zamknęła oczy i się uśmiechnęła.

Łajdak. Skończony łajdak. Czy nie potrafił uszanować jej nerwów? Dlaczego po prostu nie przyszedł?

Znała jednak odpowiedź. Mówił prawdę w Hyde Parku... gdybyś mnie znała lepiej, zrozumiałabyś, że plotę, a moje serce bije w sposób oszalały.

Szaleniec się bał.

Mogło to trwać w nieskończoność. Strach czynił go

niezwykle romantycznym.

Wieczorem poszła do opery z Sheringfordami oraz markizem Claverbrook, obok którego usiadła, trzymając dłoń na jego rękawie przez większość czasu i wymieniając z nim uwagi. Tenor wywołał łzy w jej oczach pięknym swego głosu. Sopran wywołał łzy w oczach markiza swoją urodą. Zachichotał cicho, a Hanna się roześmiała.

- A jej głos? - zapytała.

- Od tego - odparł - tylko boli mnie głowa, Hanno.

Uwaga publiczności w dużym stopniu skupiała się na ich łoży i księżna zastanawiała się, czy jutrzejsza plotka będzie głosić, że zagięła parol na kolejnego starego zamożnego arystokratę. Ta myśl ją rozbawiła.

Następnego dnia przyniesiono dwa tuziny róż... krwawoczerwonych. Bez listu, rzecz jasna. Ten przyszedł godzinę później. *Kocham cię, moja różo o wielu płatkach.* Bez podpisu.

Hanna zapłakała, ciesząc się ogromnie każdą łzą.

Miała pójść po południu na weneckie śniadanie do lorda i lady Carpenter. Wbrew nazwie tego rodzaju spotkania nie odbywały się rano. To i tak nie miało znaczenia. Nie poszła.

Włożyła suknię, którą miała na sobie tylko raz, jakieś trzy lata wcześniej. Nie włożyła jej nigdy potem, ponieważ czuła się w niej szkarłatna wewnątrz, tak samo jak na zewnątrz, i było to zbyt krzykliwe przebranie, nawet jak na nią. Lubiła ją jednak, a dzisiaj suknia pasowała do kwiatów. Założyła jeden brylant na srebrnym łańcuszku - łażkę, która nie mogła wyschnąć ani stracić blasku - i żadnej innej biżuterii.

Czekała.

Po dwóch tuzinach czerwonych róż już nic nie

przyszło.

Nie było nic więcej do powiedzenia także na papierze. Napisał nawet dwa pierwsze słowa ostatniego listu wielkimi literami. Resztę należało powiedzieć głośno, twarzą w twarz.

Jeśli zdobędzie się na odwagę.

Ach, ten jej biedny, kochany diabeł. Oswojony przez miłość. Znajdzie w sobie odwagę, oczywiście. I będzie wspaniały... kiedy się zjawi. Czekwała.



Te wszystkie miłosne sprawy, jak odkrył Constantine w ciągu ubiegłych dni, mogły doprowadzić człowieka do rozpacz. Nabrał szacunku dla żonatych mężczyzn, z których wszyscy zapewne przeszli przez mękę, jaka była teraz jego udziałem. Z wyjątkiem Elliotta, rzecz jasna, któremu się oświadczone, szczęśliwca!

Pogodzenie się z Vanessą przebiegło łatwo.

- Nic nie mów - powiedziała, spiesząc ku niemu przez salon rezydencji Moreland, jak tylko postawił w nim stopę, podczas gdy księżę stał przy kominku, opierając się łokciem o gzyms, z brwią uniesioną z rozbawienia. - Ani słowa. Wybaczmy sobie i zapomnijmy, i postarajmy się nadrobić stracony czas. Opowiedz mi o swoich prostytutkach. Elliott głośno zachichotał.

- Byłych prostytutkach - dodała. - I nie waz się teraz ze mnie śmiać, Constantine, kiedy na nowo zostaliśmy przyjaciółmi. Opowiedz mi o nich, a także o złodziejach, włóczęgach i niezamężnych matkach. Ujęła go pod ramię i pociągnęła za sobą na kanapę, podczas gdy Elliott patrzył na nich z radością w oczach.

- Jeśli masz, Vanesso, godzinę, a może sześć - odparł Constantine.

- Siedem, jeśli trzeba. Zostajesz na kolacji - oświadczyła. - To już ustalone. Chyba że jesteś zajęty z Hanną. Niefortunny dobór słów. Zajęty z Hanną?

- Nie - powiedział. - Muszę dojrzeć do tego, żeby uklęknąć na jedno kolano i wygłosić namiętną mowę, a to zabierze trochę czasu. Nie wspominając o odwadze.

Elliott znowu zachichotał.

- Och, ale nie pożałujesz ani jednej chwili -

oznajmiła Vanessa z błyszczącymi oczami i rumieńcem na policzkach. - Elliott wyglądał doprawdy wspaniale, kiedy to zrobił. W dodatku na mokrej trawie. Constantine spojrział z wyrzutem na uśmiechniętego kuzyna.

- To było po tym, jak Vanessa mi się oświadczyła - sprostował, podnosząc prawą rękę. - Nie mogłem pozwolić, żeby do niej należało ostatnie słowo, prawda? Powiedziała tak, zanim ja zdążyłem to zrobić. Warto by poznać ich historię, pomyślał Constantine.

Udając się prawie natychmiast po powrocie do miasta do rezydencji Dunbarton, miał nadzieję wyjaśnić sprawę z Hanną. A potem, kiedy nie zastał jej w domu i dowiedział się, że jest w Hyde Parku, udał się w ślad za nią i znalazł - nie zastanawiając się wiele - doskonały sposób, żeby się oświadczyć.

Nie przyszło mu do głowy, że mogłaby odmówić i nie wsiąść z nim na konia. I rzeczywiście nie odmówiła.

Nie wydawało mu się, żeby po tym, jak usiadła przed nim, a on pocałował ją namiętnie na oczach wszystkich, a ona ów pocałunek odwzajemniła, mogła odrzucić jego oświadczenia.

Nie żeby odrzuciła. Po prostu nie zapytał.

I nie uświadomił sobie tego, póki nie zwróciła mu uwagi. A niech to, prosić i oznajmiać to dwie różne rzeczy, a on tylko oznajmił. Jak niezręczny uczeń.

Dlaczego nie było studiów uniwersyteckich poświęconych oświadczeniu się wybrankom serca? Czy wszyscy mężczyźni się z tym tak samo jak on?

Tak więc spędził trzy dni, naprawiając to, co zostało zepsute. Albo też odwołując decyzję. W zależności od tego, na ile był wobec siebie uczciwy.

Kiedy jednak zaczął, musiał pozwolić owym trzem

dniom upłynąć. Nie mógł przecież pobiec z oświadczyniami, wysławszy zaledwie jedną różę i zapewnienie, że jej pożąda, prawda?

Jeśli w istocie zamierzała odmówić, to robił z siebie w tym czasie skończonego osła. Nie było jednak sensu o tym myśleć, uświadomił sobie, przebierając się trzeciego dnia przed popołudniową wizytą w rezydencji Dunbarton. Nie mógł teraz nie pójść i nie przekonać się, jaki skutek przyniosła jego żalosna katorga.

A jeśli nie było jej w domu? Musi być tysiące przyczyn, dla których mogło jej nie być - pikniki, przyjęcia w ogrodzie, spacer w Kew Gardens albo Richmond Park, zakupy, przechadzka w pobliskim parku, żeby wymienić zaledwie kilka z nieskończonej liczby możliwości. Doprawdy, myślał, pukając do drzwi, byłoby dziwne, gdyby ją zastał.

Mniej szlachetna część jego natury miała nadzieję, że księżna jest na spacerze.

Tyle że owa część nie zdołałaby przejść przez to jeszcze raz.

Lokaj, jak zwykle, nie miał pojęcia, co się dzieje w domu. Musiał się udać na górę, jakby nikomu się nie śpieszyło, i sprawdzić, czy księżna Dunbarton jest w domu.

Była w domu. I wydawało się, że miała ochotę go przyjąć. Poproszono go, aby poszedł na górę za lokajem.

Czy była z nią panna Leavensworth?

Minęli drzwi salonu i wspięli się na wyższe piętro. Zatrzymali się przed pojedynczymi drzwiami i lokaj zapukał dyskretnie, zanim je otworzył i zaanonsował Constantine'a.

To był salonik, nie sypialnia. Była sama.

Na stoliku przy drzwiach stał kryształowy wazon z

tuzinem białych róż. Na niskim stole pośrodku pokoju stała srebrna misa z dwoma tuzinami pąsowych róż. Ich słodki zapach unosił się w powietrzu.

Księżna siedziała bokiem na ławeczce pod oknem, z nogami podciągniętymi do góry i rękami skrzyżowanymi w pasie. Wyglądała oszaleńczo pięknie w szkarłatnej sukni, której kolor niemal dokładnie odpowiadał barwie róż. Lśniące włosy gładko okalały jej głowę, miękkie loki spływały na szyję, na skroniach i uszach układały się pasemka i misterne pierścienie włosów. Odwróciła się i spojrzała na niego rozmarzonymi błękitnymi oczami.

Przypomniała mu się scena w jego własnej sypialni tej nocy, kiedy zostali kochankami. Tyle że wtedy on był w samej koszuli, a ona miała rozpuszczone włosy.

Lokaj zamknął drzwi i odszedł.

- Księżno - powiedział.

- Constantine.

Uśmiechnęła się - także z rozmarzeniem - kiedy nie odezwał się natychmiast.

- Potrzebuję twojej ochrony. Dostaję anonimowe listy - oznajmiła.

- Doprawdy?

- Ktoś - zaczęła - mnie pożąda.

- O świcie wyzwę go na pistolety.

- Twierdzi także, że się zakochał.

- Łatwo powiedzieć. Taka romantyczna euforia nie kryje głębi uczuć, prawda?

- Ale to jedno z najcudowniejszych uczuć na świecie - powiedziała. - Może najcudowniejsze. Ja też go kocham.

- Szczęśliwy człowiek. Zdecydowanie go wyzwę.

- Mówi, że mnie kocha. - Jej oczy zmieniły się niemal niezauważalnie, ale znacząco, z sennie

rozmarzonych na świetliście promienne.

- A cóż to ma znaczyć? - zapytał.

- Jeden umysł - odparła. - Jedno serce. Jedną duszę.

- I jedno ciało?

- Och, tak - szepnęła cicho. - To także.

- Żadnych barier. Żadnych masek czy przebrań.

Żadnego strachu.

- Żadnego. - Pokręciła głową. - Żadnych tajemnic.

Dwoje stanie się jednym, niepodzielnym istnieniem.

- I to właśnie mówi ci twój anonimowy korespondent?

- Wielkimi literami - oznajmiła.

- Robi to ostentacyjnie, ten śmiałek.

- Zdecydowanie - przyznała. - Tylko popatrz na róże, które mi przysłał.

- Hanno - powiedział.

- Tak.

Wciąż stał tuż przy drzwiach. Podszedł do niej, a ona wyciągnęła prawą rękę. Wziął ją w obie dłonie i podniósł do ust.

- Kocham cię - wyznał. - Wielkimi literami i w każdy inny sposób, jaki mi przychodzi do głowy. I każdy, jaki mi nie przychodzi, prawdę mówiąc.

Usłyszał, jak oddycha głęboko.

Nadszedł czas. Już się nie bał. Opadł na jedno kolano, nie puszczać jej dłoni. Twarz Hanny znalazła się na wysokości jego twarzy. Zauważył rumieniec na jej policzkach. Lekko rozchyliła wargi. Jej oczy wciąż lśniły i były bardzo błękitne... jak niebo za oknem.

- Hanno, wyjdiesz za mnie?

Przez trzy długie dni ćwiczył przemowę. Nie pamiętał ani słowa.

- Tak - odparła.

Sądził, że z niego zakpi, że będzie odgrywać jeszcze przynajmniej przez jakiś czas rolę księżnej Dunbarton, zanim skapitułuje... jeśli w ogóle skapitułuje. Tak był o tym przekonany, że niemal umknęła mu jej odpowiedź.

Niemal umknęła jego uszom.

Ale sercu?

- Tak - odparła, i naprawdę nie było nic więcej do powiedzenia. Popatrzyli na siebie i znowu przycisnęła jej dłoń do ust.

- Mówił mi o tym - odezwała się ponownie. - O miłości. I obiecywał, że poznam ją pewnego dnia. Ufałam mu i wierzyłam każdemu jego słowu od naszego pierwszego spotkania po jego ostatnie tchnienie, Constantine, ale w to do końca nie wierzyłam. Wiedziałam, że on przeżywał niezwykłą miłość przez ponad pięćdziesiąt lat. Ale bałam się uznać, że kiedyś mnie to spotka. Niepotrzebnie się bałam, a on miał rację, wierząc we mnie. Kocham cię.

- I będziesz mnie kochać przez ponad pięćdziesiąt lat?

- Mówił, że to będzie na wieczność. Wierzę mu. Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała tym samym, póki nie przysunął bliżej głowy i jej nie pocałował.

Minęło prawie trzy tygodnie, odkąd się ostatnio kochali, i wydawało mu się, że tęsknił za nią bez przerwy każdego dnia. Nie pocałowali się jednak z pożądaniem, ale...

Cóż, zawsze całował, czując pożądanie, i na to, co się działo teraz, zabrakło mu słów.

Z czułością? Zbyt łagodne określenie. Miłością?

Mocno nadużywane słowo.

Cokolwiek to było, wyrazili pocałunkiem.

A potem, kiedy objęli się ramionami, a on podniósł ją z parapetu i stanął wraz z nią, tak żeby móc się odwrócić, usiąść na parapecie i posadzić ją sobie na kolanach, zrozumiał, co to za słowo. Było w każdym razie najlepsze, jakie udało mu się wymyślić.

Pocałowali się z radością.

A potem uśmiechnęli się do siebie, patrząc sobie w oczy, tak jakby to właśnie oni ją odkryli. Radość.

Miłość na wieki wieków.

- Czy jesteś całkiem pewna - zapytał - że chcesz poświęcić tytuł dla samej przyjemności poślubienia mnie, księżno?

- I być po prostu panią Huxtable? Przynajmniej będziesz się musiał zwracać do mnie „Hanno” przez cały czas, a to mi się podoba.

- Albo „hrabino”.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

- To by było trochę niemądre - stwierdziła.

- Niezupełnie. Wiesz, król po twojej wizycie przysłał dwie proklamacje. Albo może nie wiesz. Jedna z nich dotyczyła ułaskawienia Jessa.

Wyprostowała się, siedząc na jego kolanach, kiedy Constantine zamilkł, i zmarszczyła brwi.

- A druga? - zapytała.

- Właśnie zgodziłaś się wyjść za Constantine'a Huxtable'a, pierwszego hrabiego Ainsley - oznajmił. - Tytuł przyznano za nadzwyczajne zasługi na rzecz najbiedniejszych i najdroższych spośród lojalnych poddanych Jego Królewskiej Mości. Chyba zacytowałem mniej więcej dokładnie.

Otworzyła usta.

A potem odrzuciła głowę do tyłu i parsknęła śmiechem. Nowy hrabia Ainsley śmiał się razem z nią.

Hrabia i hrabina Merton wydawali następnego dnia bal w rezydencji Merton z okazji swojego balu zaręczynowego, który odbył się tam rok wcześniej.

Zaprosili na kolację przed balem członków rodziny - trzy siostry Stephen'a z mężami, brata Cassandry, sir Wesleya Younga oraz jego narzeczoną, pannę Julię Winsmore. Zaprosili także Constantine'a, jako że był kuzynem Stephen'a. Oraz księżnę Dunbarton, która nie należała do rodziny.

- Naprawdę miałam nadzieję - powiedziała Cassandra, kiedy z mężem czekała w salonie na przybycie gości - że dzisiaj już wcale nie będzie się wydawało dziwne, że ją zaprosiliśmy, Stephenie. Con jest w Londynie od prawie tygodnia, a Hanna, odkąd przywieźliśmy ją z Copeland. I to ona namówiła Elliotta, żeby pojechał do Ainsley Park, a potem rozmawiała z samym królem. Rozwiązała tę sytuację niemal samodzielnie. Ale jak dotąd nic się nie wydarzyło. Czy nie będziemy się czuli niezręcznie przy kolacji?

- Dlaczego? Księżna została twoją przyjaciółką, a jest ogólnie przyjęte zapraszać przyjaciół na kolację. Zamierzamy obwieścić na balu nowy tytuł Constantine'a, a ona odegrała w jego nadaniu znaczącą rolę. Z pewnością domyśli się, że zaprosiliśmy Cona i nie przyjdzie, jeśli uzna, że czułaby się niezręcznie. Nie sądzę jednak, żeby księżna łatwo wpadała w zakłopotanie.

- Ta scena w parku - odparła Cassandra. - Meg opisała ją tak zabawnie, a Kate tak romantycznie. Wszyscy mówią o tym do znudzenia. A jednak... nic się nie stało.

- Tego nie wiemy. Niczego nie obwieszczono. Nie



wiem, czy nic się nie zdarzyło. Mają prawo do pewnej prywatności, jeśli chodzi o swoje sprawy, Cass.

Westchnęła.

- Tak się przestraszyliśmy - powiedziała - kiedy Con wdał się z nią w romans. Oczywiście udawaliśmy, że nic nie wiemy. Takie sprawy zawsze są trzymane w sekrecie. Wydawała się taka dla niego nieodpowiednia. Taka...

- Arogancka? - odpowiedział. Zmarszczyła brwi.

- Cóż, tak. Ale ludzie nie zawsze są tacy, jacy się wydają, prawda? Ja powinnam o tym wiedzieć lepiej niż pozostali. Być może zawsze była... cóż, kimś serdecznym i lubiącym zabawę, kimś, z kim bardzo chcę się przyjaźnić. Kimś dobrym. Dlaczego ona i Con jeszcze się nie zaręczyli?

Stephen podszedł bliżej i pocałował ją w usta.

- Może zapytasz ich samych, jak tylko przyjdą. Może porozmawiamy o tym przy kolacji. Moje siostry z pewnością będą miały na ten temat coś do powiedzenia. Wydaje się, że wzięły księżnę pod swoje skrzydła, tak samo jak ty. A nawet Nessie.

Roześmiała się, uderzając go lekko w ramię.

- To byłoby świetne powitanie - zauważyła - jak tylko by przyszli... Dlaczego się nie zaręczyliście? Nie jestem swatką, Stephenie, ale Con jest taki samotny, Hanna tak samo.

- Tak więc muszą być razem.

- Tak więc nic takiego - odparła cierpko. - Oni są razem. Każdy, kto był w Copeland z nimi obojgiem, musiałby być ślepy i głupi, żeby tego nie widzieć.

Od dalszej rozmowy na ten temat uratowało ich prawie jednoczesne przybycie Vanessy i Elliotta oraz Wesleya i Julii. Chwilę potem zjawili się Katherine z

Jasperem, a po nich Margaret i Duncan.

- Czy Con przyjdzie? - zapytał Moreland, kiedy podano napoje.

- Powiedział, że tak - odparł Stephen.

- A Hanna? - chciała wiedzieć Margaret. I temat powrócił.

- Mama twierdzi, że nie mają innego wyjścia, jak tylko się pobrać - odezwała się Julia Winsmore - po tym pocałunku w parku. Widziałam to na własne oczy. Doprawdy szokujące.

Zaczerwieniła się. - A także bardzo romantyczne, Julio - zauważył sir Wesley. - W każdym razie tak właśnie wtedy powiedziałaś.

- Nie wierzę - wtrącił się Elliott - żeby księżnę wzruszył argument, że nie ma wyboru i musi postąpić w taki czy inny sposób.

- Niewątpliwie kocha Constantine'a - odezwała się Katherine. - Podda go torturom, zanim się zgodzi. Ten świetny przykład kobiecej logiki spowodował wymianę bolesnych spojrzeń między jej mężem a Duncanem.

- Albo nie - powiedziała Margaret.

- Con nie jest pajacem - oświadczył Stephen. - Nie będzie tańczył, jak ktoś mu zagra.

- Ale jest zakochany - stwierdziła Cassandra.

Po tej uwadze rozmowa zamarła. Przez kilka chwil panowała cisza.

Zjawił się lokaj i zawiadomił Cassandrę po cichu, że kolacja jest gotowa. Musi jeszcze chwilę poczekać, odszepnęła. Wyobrażała sobie komentarze, jakie jej odpowiedź wywoła w kuchni.

A potem przybyło pozostałych dwoje gości... razem i trochę więcej niż pięć minut po czasie.

Oboje promienieli, wzniecając nadzieję, zwłaszcza wśród pań zgromadzonych w bawialni. Cassandra wybaczyła im natychmiast, że z ich powodu naraziła się kucharce.

Księżna Dunbarton prezentowała się wspaniale w turkusowej sukni i bardzo skromnej biżuterii. Nie była jej potrzebna. I tak przyciągnie tego wieczoru spojrzenia wszystkich gości. Blask, który zwykle opromieniał ją z zewnątrz, teraz bił z jej wnętrza.

- Jeśli się spóźniłszy - powiedziała, zanim wymieniono przywitania - to wyłącznie z mojej winy. Byłam gotowa na długo, zanim Constantine miał przyjść, ale kiedy zapukał do drzwi, uznałam, że jednak nie włożę swojej ulubionej białej balowej sukni ani brylantów, które zwykle do niej noszę. Przebrałam się więc, podczas gdy on zgrzytał zębami w holu.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Nigdy nie zgrzytam zębami - oświadczył spokojnie Constantine. - Starłbym je do korzeni, gdybym tak robił za każdym razem, kiedy się spóźniasz, Hanno. Zamierzam kultywować cnotę cierpliwości. Nauczę się cieszyć czekaniem. Lepiej jednak, żebyś się nie spóźniła na nasz ślub. To podobno przynosi pecha.

Tak więc padła odpowiedź na wszystkie pytania, których wcale nie zadano.

A kolacja musiała poczekać kolejny kwadrans, gdy w tym czasie wymieniano pocałunki i uściski, a Hanna oświadczyła, że jej zgoda na to, żeby z księżnej stać się hrabiną, jest niezwykłym poświęceniem.

- Chociaż zwykły pan Huxtable także by mi wystarczył doskonale - dodała z kolejnym olśniewającym uśmiechem.

Jej oczy zaszkliły się od łez i zagryzła wargę, a Constantine otoczył ją ramieniem... a Cassandra zaproponowała, żeby przeszli do jadalni, zanim kucharka porzuci posadę.

Kłócili się od poprzedniego dnia, gdzie wezmą ślub. Choć „kłócili” nie jest może najlepszym słowem, jako że żadne z nich nie chciało się okazać samolubne w tej kwestii.

Constantine uważał, że powinni wziąć ślub w Copeland, ponieważ był domem Hanny, a ona bez wątpienia kochała to miejsce. Kobieta powinna wychodzić za mąż blisko domu.

Miał na tyle rozumu, żeby nie wspomnieć Markle.

Hanna sądziła, że powinni wziąć ślub w Ainsley, ponieważ był domem Constantine'a, a on bez wątpienia kochał to miejsce. Poza tym wydawało się właściwe, żeby nowy hrabia Ainsley żenił się w Ainsley Park.

Zgodzili się, że St. George to najlepszy i najwygodniejszy kompromis. Znajdował się przy Hanover Square, nieopodal rezydencji Dunbarton. Panna młoda mogłaby udać się tam pieszo. Można się było spodziewać, że stawi się cała socjeta. Być może nawet sam król. Zawieranie ślubów w St. George było w modzie. Żadne z nich nie miało ochoty się tam pobierać, ale żadne nie chciało się do tego przyznać.

To musiało być Copeland. Albo Ainsley.

Albo może St. George.

- Proszę nam opowiedzieć o swoim ślubie, wasza wysokość - poprosiła panna Winsmore, gdy tylko usiedli przy kolacji w rezydencji Mertonów. - Gdzie i kiedy ma się odbyć?

- Tak szybko, jak to tylko możliwe, odpowiadając na drugie pytanie - odparła Hanna. - Wciąż nie podjęliśmy decyzji co do miejsca.

Wciągnęła powietrze, chcąc oznajmić, że to powinno być Ainsley Park, ale hrabia Merton odezwał się pierwszy. - Ależ musisz wziąć ślub w Warren Hall, Con - powiedział. - To wciąż i na zawsze twój dom. Tam się urodziłeś, tam dorosłeś. Rodzinne śluby, chrzty i... pogrzeby - dodał ciszej - zawsze się odbywały w prywatnej kaplicy.

- Och, to byłoby cudowne! - zawołała Cassandra, kiedy lokaj podawał pierwsze danie. - Hanna jednak może mieć inny pomysł, Stephenie. To jest jej ślub, tak samo jak Cona.

Posłała księżnej rzewne spojrzenie.

- Elliott i ja tam się pobraliśmy - wtrąciła Vanessa - tak samo jak Cassandra i Stephen w zeszłym roku. To najpiękniejsze miejsce na ślub. Kaplica stoi w cichym zakątku parku, wśród drzew, i wypełnia się po brzegi zaledwie kilkoma osobami. Czuje się tam historię, zwłaszcza na dziedzińcu wokół. Historię rodziny. Tam widocznie pochowano Jonathana, pomyślała Hanna. I nagle zrozumiała, że właśnie w tym miejscu muszą wziąć ślub. Nabrała całkowitej pewności co do tego, zanim jeszcze spojrzała przez stół na Constantine'a i zauważyła jego intensywny, zamyślony wzrok.

- To ładnie z twojej strony, Stephenie, że jesteś gotów użyczyć nam kaplicy - powiedział. - Sądzę jednak, że należy Hannie pozwolić...

- Samej dokonać wyboru? - wpadła mu w słowo. - Zrobię to zatem. Dziękuję. Dokonam wyboru. Wiedziała, że uśmiech wiele go kosztuje.

- Wybieram Warren Hall - oznajmiła, patrząc mu w oczy.

I niemal w nich zatoneła, podczas gdy uśmiech

znikał powoli z jego twarzy.

- Jesteś pewna? - zapytał.

- Jestem całkowicie pewna - odparła, i tak było. - To ma być Warren Hall. Dziękuję, lordzie Merton. Jest pan bardzo uprzejmy.

- Myślę, że lepiej, abym był Stephenem - stwierdził - jeśli ma pani poślubić Cona. Sądzę, że wszyscy powinniśmy zwracać się do siebie po imieniu.

I nagle podniósł się gwar i wszyscy zabrali się do obiadu z wielkim apetytem. Margaret, Vanessa i Katherine zaplanowały dekorację sali balowej w Warren Hall oraz kaplicy na ślub i wesele, zanim usunięto talerze po drugim daniu, a Cassandra sporządziła menu na weselne śniadanie, zanim podano deser. - Możesz, Con, spokojnie odpocząć i pozwolić, aby wszystko biegło swoim torem - poradził mu Elliott. - Zrobiłeś, co do ciebie należało. Oświadczyłeś się Hannie i zostałeś przyjęty. Reszta spoczywa w rękach dam.

Przez dzień czy dwa przed ślubem, jak oznajmiono Hannie, miała przebywać w Finchley Park, jednym z majątków księcia Moreland przylegających do Warren Hall, w którym się wychował. Dotyczyło to również wielu innych osób, w tym Vanessy i Elliotta, ich dzieci, matki Elliotta i jego siostr oraz osobistych gości, których Hanna miałaby ochotę zaprosić. Nie ma się czym martwić, zapewniła ją Vanessa. Nad jeziorem w Finchley stoi malowniczy i położony nieco na uboczu dom, w którym ona i Elliott spędzili miesiąc miodowy. Hanna i Constantine muszą zrobić tak samo. A jeśli było gdzieś bardziej romantyczne otoczenie na początek małżeństwa, to Vanessa nie miała pojęcia gdzie.

- Czy pamiętasz żonkile? - zapytała męża.

Zauważono, że raczej surowy książe Moreland

puścił do żony oczko.

Hanna napotkała ponad stołem wzrok Constantine'a; wymienili uśmiechy, dla pozostałych zapewne niezauważalne. Ostrzegł ją po drodze, że kuzynki ze strony ojca to groźne trio, a Cassandra dowiodła, że im dorównuje. Przejmą sprawy związane ze ślubem, zanim się Hanna spostrzeże.

I to jeszcze zanim się dowiedział, że ślub odbędzie się na ich terenie, w Warren Hall.

- Och, Boże - odezwała się nagle Katherine, a ton jej głosu spowodował, że rozmowy przycichły. - Znowu do tego wracamy. Wyrośliśmy w małej wsi jako dzieci pastora. Zawsze trzeba było coś zrobić i coś zorganizować. A my zawsze byliśmy pierwsi, żeby to robić i to organizować. O ile ktoś czegoś nie zrobi, nic nie zostaje zrobione, jak wiesz, i życie na wsi staje się nieznośnie nudne. Chociaż tamte czasy należą do przeszłości, nawyk organizowania nam pozostał.

- To prawda - zgodziła się Margaret z westchnieniem. - Nigdy nie uchodziłaś za bezradną, niezdecydowaną kobietę, Hanno. Przypuszczam, że siedziałaś tutaj, śmiejąc się z nas w duchu. Pewnie zaplanowałaś już ślub bez naszej pomocy.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na nią, jak zauważyła księżna, oczy dam raczej smutne, oczy dżentelmenów lekko rozbawione.

- Nie śmiałam się - odparła. - Przeciwnie. - I naturalnie musiała zamrugać powiekami, powstrzymując łzy. - I nigdy nie planowałam ślubu... ani też nikt go dla mnie nie planował. Wczoraj zgodziłam się wyjść za Constantine'a, a dziś widzę, że poślubię całą jego rodzinę i jestem z tego powodu szczęśliwsza, niż potrafię wyrazić.



Księżę zapewnił ją, że kiedy znajdzie miłość, znajdzie jednocześnie grupę ludzi, która ją przyjmie i otoczy serdeczną przyjaźnią.

Zbliżała się pora rozpoczęcia balu. Panowie nie zostali w jadalni po tym, jak wyszły panie. Udali się wraz z nimi do sali balowej, żeby czekać na przybycie pierwszych gości.

Hanna wiedziała, że nowy tytuł Constantine'a miał zostać ogłoszony przy kolacji. Podobnie jak ich zaręczyny. Zaczynała się nowa era. Zerknęła na śliczną turkusową suknię i była zadowolona, że włożyła ją zamiast białej, mimo że z tego powodu się spóźniła. Nie musiała się dłużej ukrywać. Nie musiała przywdziewać zbroi z lodu i brylantów.

Była księżną Dunbarton, która wkrótce miała zostać hrabiną Ainsley. Najważniejsze jednak, że była Hanną. Była sobą... taką, jaką uczyniło ją życie, jej charakter i doświadczenia. Podobała się sobie. I czuła miłość.

Była szczęśliwa.

Gdy goście zaczęli napływać, Constantine ujął jej dłoń i położył na swoim rękawie. Spacerowali po sali, przystając na krótko, żeby wymienić parę zdań ze znajomymi. Uśmiechali się oboje.

- Czy zauważyłaś - zagadnął Constantine - że każdy, kto wchodzi, patrzy na ciebie dwa razy? Najpierw zachwyca się twoją urodą, a następnie rozpoznaje ciebie ze zdumieniem.

- Myślę, że to ty przyciągasz spojrzenia - odparła. - Wyglądasz wspaniale, kiedy się uśmiechasz.

- Cieszysz się, że to będzie Warren Hall? - zapytał.

- Tak. Będziesz miał przy sobie całą rodzinę, Constantine. Włącznie z Jonathanem.

- Tak. A ty, Hanno? Spojrzała na niego, poważniejąc.

- Czy będziesz miała swoją rodzinę przy sobie?

- Zaproszę Barbarę i pana Newcombe'a - powiedziała. - Być może zechcą przyjechać.

- Podczas gdy ty nie pojedziesz na ich ślub? Czy to jest prawdziwa przyjaźń?

Dlaczego teraz o tym mówił? Sala się zappełniała. Robiło się dusznowo. Panował coraz większy gwar. Orkiestra stroiła instrumenty.

- Doskonale. - Uniosła podbródek i wachlarz, stając się na chwilę księżną Dunbarton. - Zaproszę ojca, siostrę i szwagra, a także siostrzeńców i siostrzenice. Zaproszę nawet wielebnego i panią Leavensworth. I pojedę na ślub Barbary. Oboje pojedziemy. Zadowolony?

- Tak, ukochana.

Przez krótką, skandaliczną chwilę, zwłaszcza że nie ogłoszono jeszcze tego, co miało zostać ogłoszone, dotknął ustami jej warg.

- Będziesz mnie, panie, musiał jednak poślubić - powiedziała.

- A niech to - odparł z uśmiechem. - Tak właśnie zrobię.

- Żadne z nich nie przyjedzie - ostrzegła. - Z wyjątkiem być może Barbary. Ale nawet jej pewnie nie będzie. - Wystarczy wyciągnąć rękę, ukochana. To wszystko, co możesz zrobić. To wszystko, co każdy z nas może zrobić. Chodź i tańcz ze mną. A potem niechętnie podporządkuję się wszelkim nakazom i zakazom i zatańczę z tobą tylko jeszcze jeden raz, po kolacji i ogłoszeniach. To będzie walc. Przyduśłem Stephena do podłogi i trzymałem go, póki nie się nie zgodził, że to ma być walc. Roześmiała

się.

- A jeśli mam wypełniony karnet?

- To rzucę twojego partnera na ziemię i przytrzymam tak długo, aż przypomni sobie, że włożył nowe buty do tańca, które straszliwie obcierają mu stopy - zagroził.

- Co za absurd. - Wciąż się śmiała.

Temat, nad którym dyskutowali zarówno wczoraj, jak i dzisiaj, dotyczył miejsca, w którym zamieszkają po ślubie. W tej kwestii łatwiej im było dojść do porozumienia.

W Ainsley Park Constantine wyprowadził się z rezydencji, żeby pomieścić więcej mieszkańców. Dom w ogrodzie w pełni wystarczał jak na jego kawalerskie potrzeby, ale mógł się okazać za mały dla małżeństwa i dzieci, których pragnęli. Gdyby rzadziej tam przebywał, wyjaśnił Hannie, wtedy niektóre pokoje w domu można by także oddać, na przykład zarządcy i nauczycielom. Oni sami potrzebowali jedynie skromnego apartamentu, kiedy przyjadą z wizytą.

Będzie tam oczywiście jeździł kilka razy do roku. Ci ludzie byli mu drodzy i wierzył, że on także jest dla nich ważny.

W Copeland Hanna miałaby blisko Land's End i starszych ludzi, których tak lubiła. Ale sam majątek byłby ich prywatną siedzibą, z pięknym parkiem oraz domem na wzgórzu, z którego rozciągały się prześliczne widoki na wszystkie strony. W przyszłości stałby się rajem dla dzieci. I leżał niedaleko Londynu.

Wiosnę, naturalnie, będą spędzać w Londynie. W przyszłym roku Constantine zajmie miejsce w Izbie Lordów. Zamieszkają w jego domu, chociaż nie znajdował

się w najmłodniejszej części miasta. Nie potrzebowali przepychu. Tak więc Copeland miało się stać ich właściwym domem.

Constantine cieszył się z tego, tańcząc i obserwując Hannę w tańcu. Byłby szczęśliwy, mieszkając z nią w jakiejś norze, choć może lepiej, że nie musiał tej teorii sprawdzać w praktyce.

A potem nadeszła pora kolacji i Stephen obwieścił, że jego kuzyn, Constantine Huxtable, zostanie przed końcem sezonu uhonorowany przez jego królewską mość tytułem hrabiego Ainsley. Oraz że hrabia Ainsley poślubi wkrótce potem w Warren Hall księżnę Dunbarton.

Ile upłynęło tygodni, zastanawiał się Constantine, odkąd jeździł konno po Hyde Parku z Montym i Stephenem i zobaczył Hannę po raz pierwszy od dwóch lat, patrząc na nią z dezaprobatą? Niewiele, a prawie nie pamiętał, jaka mu się wtedy wydała. Dziwne, jak inaczej kogoś postrzegamy, kiedy wiemy, co kryje w głębi swojej duszy. Już wtedy myślał o małżeństwie. Choć nie zdawał sobie sprawy, wtedy w parku, że to właśnie ona. Ta kobieta.

Jego jedyna miłość.

Wszyscy pragnęli złożyć im gratulacje i życzyć szczęścia. Wielu mężczyzn poprzysięgło, że będą przez cały rok nosić czarną opaskę, począwszy od jutra.

A potem miał być walc.

Constantine zawsze lubił ten taniec, pod warunkiem że mógł wybrać partnerkę. Na szczęście jako mężczyzna miał w tym względzie większą swobodę. Hanna jednak nie wyglądała na pokrzywdzoną, kiedy prowadził ją na parkiet.

- Szczęśliwa? - zapytał, otaczając kibić narzeczonej prawą ręką i ujmując jej prawą dłoń w swoją lewą.

- Och, tak - odparła w westchnieniu. - Nie jestem

jednak pewna, czy dobrze zniosę to całe zamieszanie związane z przygotowaniem do ślubu. Może powinniśmy byli uciec.

- Kuzynki nigdy by nam nie wybaczyły. -  
Uśmiechnął się wesoło.

- Wiem. Aleja po prostu chcę być z tobą. Próbował usilnie stłumić w sobie podobne uczucia.

- Czy chcesz przyjść dzisiaj po balu?

Patrzyła mu przez chwilę w oczy, po czym westchnęła ponownie.

- Nie - oświadczyła w końcu. - Nie jestem już twoją kochanką, Constantine. Jestem twoją narzeczoną. To różnica. Czuł rozczarowanie i ulgę. To naprawdę była różnica.

- A więc będziemy grzeczni i poczekamy na noc poślubną.

- Tak. Ale to nie tylko to. Chcę... Och, nie wiem, czego chcę. Chcę być twoją żoną.

Uśmiechnął się. - Właśnie sobie coś przypomniałam.

- Ożywiła się wyraźnie. - Księżę nauczył mnie, że bym nigdy nie mówiła „chcę”, bo to oznacza brak i powoduje stały niedosyt. Nie chcę być twoją żoną. Będę twoją żoną i zajmę się przygotowaniem razem z Margaret i innymi, żeby czas szybciej płynął. Och, Constantine, cudownie mieć rodzinę, która przejmuje się ślubem, nawet jeśli jakaś część mnie wolałaby uciec.

Zabrzmiała muzyka.

Tańczyli w blasku świec, wśród kwiatów i paproci, i innych tancerzy, i tancerek, w satynie i jedwabkach iskrzących się klejnotami... i widzieli tylko siebie.

Zawsze miał wrażenie, że żyje na obrzeżach życia, obserwując innych, czasami im pomagając. Tak bardzo

dotknęła go śmierć brata, ponieważ próbował żyć jego życiem i odkrył na koniec, że to niemożliwe. Jon musiał umrzeć sam. I tak właśnie musiało być. Jon żył własnym życiem, żył pełnią, a potem umarł, kiedy nadszedł czas.

A teraz przyszła kolej na niego, Constantine'a. Nagle, po raz pierwszy, znalazł się w centrum własnego życia, przeżywając je i kochając.

I kochał kobietę, która była w centrum jego życia wraz z nim.

Kochał Hannę.

Uśmiechała się do niego.

Zakręcił nią w tańcu i także się uśmiechnął.

Ślub Hanny Reid, księżny Dunbarton, z Constantine'em Huxtable'em, hrabią Ainsley był - według norm eleganckiego towarzystwa - wyjątkowo skromny. Jeszcze bardziej zdumiewające, przynajmniej dla Hanny, było to, że ślub okazał się spotkaniem rodzinnym, z mnóstwem dzieci, które uczestniczyły najpierw w ceremonii w małej kaplicy w parku Warren Hall, a potem w weselnym śniadaniu w domu. Zdumiewające także, że nie była to tylko rodzina Constantine'a. Przyjechał ojciec Hanny. Podobnie jak Dawn i Colin, jej siostra i szwagier z pięciorgiem dzieci - dziesięcioletnią Louisą, ośmioletnią Mary, siedmioletnim Andrew, pięcioletnim Frederickiem oraz trzyletnim Thomasem. Przyjechała też Barbara z rodzicami - wielbny Newcombe nie zdołał się tak szybko wyrwać po swoim ostatnim wyjeździe do Londynu, przed własnym ślubem i miesiącem miodowym.

Ojciec prawie się nie zmienił, stwierdziła Hanna, kiedy przyjechał do Finchley Park na dzień przed ślubem. Nie dało się tego samego powiedzieć o Colinie czy Dawn. Oboje przybrali na wadze i wydawali się znacznie starsi. Colin stracił sporo włosów i młodzieńczą urodę. Za to rumiana, pulchna Dawn sprawiała wrażenie zadowolonej z życia, chociaż nie w chwili przyjazdu. Hanna domyśliła się, że wymagało to od nich pewnej odwagi.

Zawczasu postanowiła, że będzie się zachowywać tak, jakby nigdy ich nic nie podzieliło, a i oni, jak się wydawało, podjęli taką decyzję. Wymienili uściski i słowa powitania, uśmiechając się do siebie.

Ukryli zmieszanie, zwracając się ku dzieciom, które wysypywały się z innego powozu.

Miała dwie siostrzenice i trzech siostrzeńców, o których dosłownie nic nie wiedziała, myślała Hanna, patrząc na każde z dzieci po kolei, podczas gdy one kłaniały się bądź dygały. Nigdy nie pozwalała Barbarze mówić o swojej rodzinie.

W nieco odmiennych okolicznościach Colin mógłby być jej mężem od dziesięciu czy więcej lat. Był teraz dla niej obcym człowiekiem, którego spotkała kiedyś, dawno temu.

- Wejdźcie do środka - powiedziała. - Są herbata i ciastka.

- Ciociu Hanno - odezwał się Frederick, wsuwając dłoń w jej rękę, kiedy ruszyła w stronę domu. - Dostałem na ślub nowe buty. Są o cały rozmiar większe niż poprzednie.

- Moje też - oznajmił Thomas, drepcząc obok nich, kiedy wchodzili do budynku.

- A zatem bardzo się cieszę, że wychodzę za mąż - odparła. - Wszyscy potrzebujemy dobrego powodu, żeby od czasu do czasu sprawić sobie nowe buty. Serce jej się ścisnęło.

Dopiero po pewnym czasie miała okazję porozmawiać z ojcem na osobności. Po herbacie przechadzał się samotnie po trawniku obok domu, podczas gdy Hanna spodziewała się, że będzie odpoczywać w pokoju jak prawie wszyscy pozostali.

Zawahała się, zanim wyszła, żeby się do niego przyłączyć. Posunęła się jednak tak daleko, żeby doprowadzić do zgody. Dlaczego miałyby teraz się zatrzymać?

Podniósł głowę, kiedy wyszła, i się zatrzymał. Złożył ręce za plecami.



- Dobrze wyglądasz, Hanno - stwierdził.

- Czuję się cudownie - przyznała.

- Tak więc poślubisz innego arystokratę. Ale młodszego tym razem. Czy to ktoś, kto da ci choć odrobinę szczęścia?

Czy tak opatrzenie rozumiał te wszystkie lata?

- Kocham go - oznajmiła - i on mnie kocha. Spodziewam się, że będę ogromnie szczęśliwa jako żona Constantine'a. Poznasz go później. Przyjdzie na kolację. Ale ojciec, w moim pierwszym małżeństwie byłem także szczęśliwa. Księżę był dla mnie dobry... więcej niż dobry. A ja go uwielbiałam.

- Był stary. Mógłby być moim ojcem. Nigdy sobie nie wybaczyłem roli, jaką odegrałem, popychając cię do tak impulsywnego kroku jak wyjście za niego za mąż, Hanno. I nic nie zrobiłem, żeby cię powstrzymać. Przypuszczam, że wówczas to wydawało się łatwym rozwiązaniem nieprzyjemnego problemu. Moje córki kochały jednego mężczyznę, a ja chciałem, żeby obie były szczęśliwe. Myślałem, że ty łatwiej dojdiesz do siebie i znajdziesz szczęście u boku innego mężczyzny, skoro wszyscy młodzieńcy patrzyli w ciebie jak w obraz, tak więc stanąłem po stronie Dawn. To było krótkowzroczne z mojej strony, nieprawdaż? Poślubiłaś starca, którego nawet nie znałaś, wyjechałaś i nigdy nie wróciłaś, i nie pisałaś, i... Cóż. A mnie nigdy nie starczyło odwagi, żeby napisać, prawda?

- Małżeństwo z księciem to najlepsza rzecz, jaka mnie spotkała. A jeśli wyciągnęłam właściwe wnioski podczas podwieczorku, małżeństwo Dawn z Colinem to najlepsza rzecz, jaką spotkała.

- Wydają się dość szczęśliwi razem - przyznał. - A

wnuki są światłem mojego życia. Być może... Przerwał.

- Tak, być może - zgodziła się. - Mam tylko trzydzieści lat, papo. A dziecko to wszystko, czego potrzebuję do pełni szczęścia.

- Dziękuję - powiedział zmieszany - że zaprosiłaś nas na ślub, Hanno.

- Constantine nie ma rodzeństwa, ale ma kuzynów ze strony matki i ojca. I wszyscy są sobie bardzo bliscy. Co więcej, są uczuciowi i życzliwi. Otworzyli przede mną serca i przyjęli mnie do swojego grona. Widziałeś chyba przy herbacie Elliotta i Vanesę, księcia i księżną Moreland oraz jego matkę i siostry? Sprawili, że zrozumiałam, jak ważna jest rodzina. A Constantine namówił mnie, żebym odnalazła na nowo własną. Nie wiedziałam, czy przyjedziecie. Spodziewałam się raczej, że nie.

Westchnął głęboko.

- Płakałem, kiedy dostałem twój list. No tak. Nie sądziłem, że kiedykolwiek się do tego przyznam. Czułem, że uzyskałem przebaczenie.

Podeszła i oparła czoło na jego ramieniu. Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.

Rozmowa z Dawn nastąpiła dopiero nazajutrz, w dniu ślubu. Hanna siedziała w garderobie, trzymając sztywno głowę, podczas gdy Adele usiłowała ułożyć uparty kosmyk na jej prawej skroni.

Miała na sobie bladoróżową suknię; nigdy by nie przypuszczała, że zdecyduje się na ten kolor na swój ślub. Kiedy jednak wybierała materiał, zakochała się w tym odcieniu. Do tego dobrała słomkowy kapelusz ozdobiony pączkami róż, zielonymi listkami oraz jedwabnymi różowymi wstążkami o nieco ciemniejszym odcieniu niż suknia.

Niebo, jak widziała przez okno, było przezroczyście niebieskie. Nie dostrzegła ani jednej chmurki.

A potem wszyscy, przed pójściem do kościoła, wstępowali, żeby ją zobaczyć. Vanessa, Averil i Jessica, siostry Elliotta, krzyknęły z zachwytu na jej widok; obiecały, że nie będą jej ścisnąć, żeby nie pognieść sukni i nie naruszyć fryzury. Wszystkie zgodziły się, że Cecily, najmłodsza siostra Elliotta, która spodziewała się wkrótce radosnego wydarzenia, musi cierpieć, żałując, że jej tu nie ma. Pani Leavensworth przycisnęła ręce do piersi, oświadczając, że nigdy nie była taka szczęśliwa... choć sądzi, że będzie jeszcze szczęśliwsza za trzy tygodnie, kiedy nadejdzie kolej jej córki.

Barbara nie przejmowała się, czy coś pogniecie. Trzymała Hannę w mocnym uścisku, w milczeniu, przez całą minutę. Potem odstała do tyłu i przyjrzała się przyjaciółce.

- Nie traciłam nadziei, że tak się stanie, Hanno. Nawet się o to modliłam. Śmiej się, jak chcesz. Za wiele w tobie miłości, żeby ją trwonić na byle flirty. A pan Huxtable, czy też raczej hrabia Ainsley, jest właściwym mężczyzną. Tak myślałam, kiedy byliśmy w Copeland. Byłam prawie pewna, kiedy porwał cię na konia w Hyde Parku. A kiedy zobaczyłam was oboje wczoraj przy kolacji, cóż, rozwiąła się resztką moich wątpliwości. A teraz, kiedy wygłosiłam to ostatnie kazanie, lepiej chyba żebym poszła do kościoła z mamą i papą, zanim panna młoda się tam zjawi. - Roześmiała się.

- Babs. - Hanna objęła ją ponownie. - Jak ja bym sobie dała radę bez ciebie przez te wszystkie lata?

- Nie lepiej niż ja bez ciebie - odparła Barbara. - Och, jesteś, Dawn. Mama i ja wychodzimy właśnie, więc

zostawię was same. Wyszły i została tylko Dawn, stojąc niepewnie tuż za progiem.

- Jestem gotowa, Adele - oświadczyła Hanna. - Założę kapelusz przed wyjściem. Pokojówka wyśliznęła się z pokoju.

- Nie wiem, jak ty to robisz, Hanno - powiedziała Dawn niemal z żalem - ale teraz jesteś jeszcze piękniejsza niż jedenaście lat temu.

- Jestem zakochana - odparła z uśmiechem - i to jest dzień mojego ślubu. Łatwo jest być pięknym w takich okolicznościach.

- Mam na myśli nie tylko urodę - stwierdziła Dawn. - Kiedyś myślałam, że to tylko twój wygląd. Ale zawsze było także coś w środku. A teraz to jest nawet wyraźniejsze. Hrabia Ainsley jest niezwykle przystojny, chociaż szkoda jego nosa. Przypuszczam, że powinnam się do niego zwracać po imieniu, o co prosił mnie zeszłego wieczoru, ale to mi się wydaje zbyt poufałe. Dobrze ci się powiodło, chociaż mogło się wydawać, że księżę będzie żyć wiecznie. Musiało ci być ciężko.

- Cały świat pewnie tak uważa. To nieprawda, ale nie ma znaczenia, nawet jeśli nikt o tym nie wie poza mną... i Constantine'em. A teraz poślubię człowieka, którego kocham całym sercem. Jeśli kiedyś zaczniesz wspominać i poczujesz się winna, Dawn, zapomnij o tym. Nic nie zdarza się bez celu. Czasami cel jest większy, niż jesteśmy to w stanie dostrzec w danym czasie. Tamten incydent dał mi księcia i dziesięć lat zaskakującego szczęścia. A małżeństwo z księciem doprowadziło mnie powoli do dnia ślubu z Constantine'em.

- Nie czuję się winna - zapewniła Dawn. - Mogłaś mieć każdego, gdybyś zechciała. Wybrałaś Colina, a on był

ołsniony przez chwilę, jak wszyscy mężczyźni, którzy cię widzą. Ale naprawdę kochał mnie, a ja kochałam jego. Jesteśmy dobrym małżeństwem i mamy udane, zdrowe dzieci, a to jest więcej, niż ty masz. Nie czuję się winna. Hanna się uśmiechnęła.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwa. - Podeszła o krok bliżej do siostry. - A twoje dzieci naprawdę są rozkoszne, Dawn. Nie mogę się doczekać, kiedy je lepiej poznam. Przyjadę do Markle na ślub Barbary. Zatrzymamy się u papy.

- Barbara będzie dumna - stwierdziła Dawn - mając hrabiego i hrabinę na liście gości. Wszyscy będą o tym mówić przez miesiąc albo dłużej.

Hanna podeszła jeszcze o krok bliżej i przytuliła siostrę. Pogodziłyśmy się w pewien sposób, pomyślała, kiedy się obejmowały. Zapewne nigdy nie staną się sobie tak bliskie, jak powinny być siostry. Być może Dawn zawsze będzie miała do niej żal, mimo że zdobyła Colina, którego wydawała się szczerze kochać. I wychowywała pięcioro dzieci, pogodnych i ułożonych.

Ale przynajmniej teraz odzyskały siebie nawzajem. Przynajmniej teraz mogły zacząć budować swoją relację. Rozciągała się przed nimi długa przyszłość. Zawsze istniała nadzieja.

- Lepiej już pójdę - powiedziała Dawn. - Colin i dzieci na mnie czekają.

Hanna patrzyła za siostrą, po czym zamknęła drzwi garderoby. Pozostało jej jeszcze tylko jedno do zrobienia, zanim założy kapelusz i zejdzie na dół do ojca. Sięgnęła do kufra i wydobyla małe kwadratowe pudełeczko. Otworzyła je i postawiła na toaletce. Spojrzała na swoją obrączkę ślubną i powoli zsunęła ją z palca. Trzymała ją chwilę, a

potem podniosła do ust.

- Żegnaj, najdroższy książę - szepnęła. - Byłbyś dzisiaj szczęśliwy z mojego powodu, prawda? Przewidziałeś, że to się stanie. I byłbyś może trochę smutny? Ja jestem szczęśliwa. I trochę smutna. Ale ty jesteś ze swoją miłością, a ja będę ze swoją. I zawsze jakaś część nas samych będzie należeć do siebie nawzajem.

Włożyła starannie obrączkę do środka, zawahała się, a potem zdecydowanie zamknęła wieczko i umieściła pudełko w kufrze.

Wzięła kapelusz.

Nagle ogarnęła ją taka fala podniecenia, że palce prawie odmówiły jej posłuszeństwa, gdy zawiązała kokardę pod prawym uchem.

Kaplica była wypełniona po brzegi, jak przewidział Constantine, chociaż zaproszono bardzo niewielu gości spoza rodziny. Słyszał za plecami gwar przyciszonych rozmów i nieco głośniejsze, piskliwe głosy dzieci.

Tyle ich było. Rodzina się powiększała. I to ciągle. Katherine i Monty mieli wkrótce podwoić liczbę swoich dzieci. Cecily spodziewała się rozwiązania lada dzień.

To samo dotyczyło nie tylko rodziny. Żona Phillipa Grangera nosiła dziecko pod sercem, a dwoje innych siedziało obok niej w ławce. Phillip, jeden ze starych przyjaciół Constantine'a, występował jako jego drużba. Czuł się dzięki temu w jakiś sposób podniesiony na duchu. Rodzina. A tego dnia sam miał się stać żonatym mężczyzną. Człowiekiem oddanym rodzinie. Och, miał nadzieję, że zostanie ojcem. Ale jeszcze się nawet nie ożenił.

Czy Hanna się spóźni? Byłoby dziwne, gdyby przyszła na czas.

Zostało pięć ciągnących się w nieskończoność minut, zanim można by uznać, że się spóźnia. Czy on coś mówił o kultywowaniu cnoty cierpliwości?

Żałował, że nie zjadł śniadania.

Cieszył się, że tego nie zrobił.

A niech to, zaczynał się denerwować.

A jeśli się rozmyśliła?

Co, jeśli stary książę wyskoczył z głębokiego fotela gdzieś w Finchley i z nią uciekł?

A potem rozległo się skrzypienie kół powozu - po tym, jak wszyscy goście już zajęli swoje miejsca.

Zostały tylko trzy minuty do jedenastej.

Powóz się zatrzymał. Oczywiście. Droga urywała się przy kaplicy. Gwar przycichł. Wszyscy usłyszeli to, co on usłyszał.

A potem w drzwiach stanął pastor i poprosił kongregację o powstanie. Ruszył nawą w stronę ołtarza, zostawiając wolne przejście dla Delmonta, ojca Hanny oraz dla niej samej.

Zjawiskowo pięknej w łagodnym różu.

Jego panna młoda.

Och, Boże. Jego panna młoda.

Postąpił ku niej pół kroku i stanął. Miał pozostać tam, gdzie był. To ona miała do niego podejść.

Tak też uczyniła, póki nie stanęła u jego boku, z ręką wciąż przełożoną przez ramię ojca, choć uśmiechała się do niego, do pana młodego, przez chmurkę różowego welonu przypiętego do słomkowego kapelusza. Odwzajemnił uśmiech.

Naprawdę nie rozumiał, po co spędzili tyle czasu, dyskutując, gdzie się pobiorą i ilu ludzi zaproszą.

Miejsce nie miało znaczenia. I w tej chwili nie

liczyło się także, w czyjej obecności złożą przysięgę, która na zawsze zwiąże ich wobec prawa.

To nie było istotne.

- Tak - powiedział, kiedy pastor zapytał go, czy bierze Hannę za żonę na całe życie.

- Tak - rzekła następnie ona.

Wyrecytował przysięgę, powtarzając słowa za pastorem, a potem przyszła jej kolej. A Phillip wręczył mu lśniący złoty krążek - ślubną obrączkę - którą wsunął na palec Hanny. I nagle...

Ach, nagle już było po wszystkim, po całym oczekiwaniu, podnieceniu, bezsensownych obawach.

Byli mężem i żoną.

A co Bóg złączył, tego żadna siła na ziemi nie rozłączy.

- Hanno. - Uniósł welon i spojrzał jej w oczy. Szczerze i pełne ufności. Jego żona.

Naraz do jego uszu dotarł odgłos szurania nogami, szepty, cienki dziecienny głosik, czyjeś pokasływanie. I uświadomił sobie ponownie, gdzie są i jacy ludzie ich otaczają. Ucieszył się, że rodzina i przyjaciele świętują razem z nimi.

Poczuł się szczęśliwy.

Hanna - jego żona - uśmiechnęła się do niego, a kiedy chciał także się uśmiechnąć, stwierdził, że już to robi.

Obok kaplicy nie czekały żadne powozy. Wszyscy mieli wrócić do Warren Hall pieszo, z parą młodą na czele. Jednak nie natychmiast.

Kiedy wyszli z kościoła, Hanna spojrzała na swojego świeżo poślubionego męża i wysunęła rękę spod jego ramienia, żeby ująć go za dłoń.

- Tak - odezwała się cicho, jakby coś powiedział. Jej



mąż. Och, był jej mężem.

Skęcili oboje, jakby wcześniej się tak umówili, kierując się na dziedziniec kościelny. Zatrzymali się przed małym, porośniętym trawą wzgórkim. Na kamiennej płycie widniał napis: „Jonathan Huxtable, hrabia Merton, zmarły 8 listopada 1812 roku w wieku szesnastu lat. Niech spoczywa w pokoju”. Stali obok siebie, patrząc na grób, trzymając się mocno za ręce.

- Jonathanie - powiedziała cicho Hanno - dziękuję ci za twoje życie tak pełne miłości. Dziękuję, że żyjesz w sercu Constantine'a i swoich marzeniach w Ainsley Park.

Uścisk ręki Constantine'a był niemal bolesny.

- Jon - odezwał się ledwie słyszalnie - byłbyś dzisiaj szczęśliwy. Ale ty zawsze byłeś szczęśliwy. Spoczywaj w pokoju, bracie. Zatrzymywałem cię zbyt długo. Zawsze byłem samolubny. Odejdź w pokoju. Z podbródka Hanny skapnęła łza na jej ślubną sukienkę. Otarła oczy rękawiczką wolnej dłoni.

- Kocham cię, Hanno - wyszeptał Constantine niemal równie cicho.

- Ja także cię kocham - odparła.

Odwrócili się do gości weselnych, którzy rozmawiali i śmiali się przed drzwiami kościoła. Dzieci biegały dookoła, popiskując wesoło.

Constantine splótł palce ich dłoni i poprowadził ją ku rodzinie i przyjaciółom, uśmiechając się z radością.

W powietrzu wirowały płatki róż.

Epilog To był piękny jesienny dzień. Może nie taki piękny dla niańki dziecka, która chętnie trzymałaby je w domu przynajmniej do pierwszych urodzin. Zrobiłaby z niego cieplarnianą roślinkę, gdyby postawiła na swoim - w wielu innych kwestiach jej się to udało, ponieważ miała

doświadczenie i wyraźnie kochała dziecko całym swoim babcinym sercem.

Hanna znalazła ją, kiedy poprzednia „rodzina” przestała jej potrzebować; zaczęła się wtedy starać o posadę w Land's End, choć w rozmowie przyznała, że lepiej sobie radzi z dziećmi niż ze starszymi ludźmi. Zebracy jednak nie grymaszą.

Dzień naprawdę był piękny. Minęły letnie upały, ale chłody zimy jeszcze nie nadeszły. Nie było śladu deszczowych chmur ani też w ogóle żadnych innych. A wiatr zrobił sobie wolne. Podobnie jak lekka bryza z poprzedniego dnia. Niebo mieniło się barwami. Nie samo niebo, oczywiście, które było błękitne jak zwykle, ale gałęzie drzew w górze. Czerwień mieszała się z żółcią oraz różnymi odcieniami pomarańczy i brązu, jak również nieustępliwą zielenią. Na ziemię spadło do tej pory bardzo mało liści.

Piękny dzień na konną przejażdżkę, na galop przez łąki i wyzwanie do wyścigów. Hanna wciąż miała nadzieję, że któregoś dnia pokona Constantine'a. Oczywiście, nie jeździła często w ciągu ostatnich kilku miesięcy, nawet w powolnym tempie. Nie pozwoliłby na to, nawet gdyby chciała zaryzykować.

Jednak nie chciała.

Jechali powoli powozem - należy dodać, że krytym. Nie mogli się tak całkiem sprzeciwiać niani.

Miała doświadczenie, którego im brakowało.

Tę drogę odbywali zwykle podczas spaceru z psami. Spory, przytulny kąt w stajniach przydzielono psom wkrótce po ślubie, kiedy Constantine wpadł na pomysł, że starszym ludziom w Land's End przyda się więcej rozrywki niż ta, jaką znajdują we własnym towarzystwie i którą im

dają rzadkie wizyty kilku osób. Rzecz jasna, psie odwiedziny stały się dla pensjonariuszy źródłem szczególnej przyjemności. Czasami przyprawiała je Hanna z Constantine'em. Częściej robił to Cyril Williams.

Był to dziesięcioletni kieszonkowiec, który próbował okraść Constantine'a, kiedy ten pojechał na krótko wraz z Hanną do Londynu, zaraz po ślubie Barbary z wielebnym Newcombe'em. Brudny, przerażony obdartus przed paroma miesiącami stracił matkę i ostatniego żyjącego krewnego, a jego pełne rozpaczy życie zamieniło się w zwierzęcą walkę o przetrwanie.

Cyryl i psy okazali się dla siebie stworzeni. Karcił je i cesał, tresował i ćwiczył; kochał je - czasami wpuszczał potajemnie do swojego pokoju w domu, podczas gdy służba oraz państwo w niewytłumaczalny sposób tracili słuch i wzrok. Psy uwielbiały go i towarzyszyły mu jak cień. Były przy nim łagodne, a kiedy znikał, żeby niechętnie pójść do wiejskiej szkoły, stawały się osowiałe i włóczyły się bez celu po stajniach.

Dzisiaj to nie psy zabierano, żeby sprawić starszym ludziom radość.

Tym razem był to czteromiesięczny Matthew Huxtable, w zrozumiałe stronnicej opinii rodziców najpiękniejsze dziecko na świecie. Po ojcu odziedziczył czarne włosy i śniadą cerę, po matce - niebieskie oczy i promienny uśmiech.

Dzisiaj w istocie mieszkańcom Land's End zapewniono królewską rozrywkę, kiedy pozwalano im brać go po kolei w ramiona, a malec, łaskotany niekiedy w brzuszki przez ojca, obdarowywał ich bezzębnym uśmiechem.

Hanna mówiła w tym czasie do kilku osób, które nie

mogły potrzymać dziecka ani nawet odpowiadać i reagować na to, co się działo wokół. Rozmawiała z nimi tak czy inaczej, opowiadając o trzech tygodniach, które jej dwie siostrzenice i siostrzeńiec spędzili latem w Copeland po tym, jak ich matka wróciła do Lincolnshire z dwojgiem najmłodszych. Przyjechała, żeby wesprzeć Hannę w jej stanie. Mówiła także o córce lady i lorda Montford, którą mieli nadzieję zobaczyć nie później niż na święta, przed jej pierwszymi urodzinami, a także o nowym miocie szczeniąt, dla których Cyril usiłował znaleźć domy.

Wizyta dobiegła końca i Hanna usiadła w powozie obok Constantine'a, przyglądając się mu, kiedy trzymał dziecko na kolanach, podtrzymując jego główkę dłońmi, robił do niego miny i mówił głupstwa.

Powieki dziecka opadły. Nie miało ochoty na zabawę.

Kto mógłby się spodziewać, że Constantine Huxtable stanie się takim czułym, oddanym ojcem?

Oswojony diabeł. Tyle że nigdy nie był diabłem. Ani trochę.

Był mężczyzną pełnym tajemnic. I pełnym miłości.

Oparła policzek na jego ramieniu, a on odwrócił do niej głowę.

- Próbowałem właśnie przywołać w wyobraźni obraz księżnej Dunbarton - powiedział. - Ale wciąż staje mi przed oczami twarz Hanny.

- Księżna oddała mi ogromną przysługę - stwierdziła.

- Cieszę się, że już jej nie potrzebujesz. Westchnęła zadowolona.

- Ja też się cieszę. Matthew śpi. Daj mi go potrzymać. Położył dziecko w jej ramionach, nie budząc

go; wciąż zwrócony w jej stronę, nie spuszczał oczu z dziecka i z żony.

- Mówiłem ci, że cię kocham? - zapytał.

- Tak - odparła.

Pogładził główkę malca i wygodnie usiadł na swoim miejscu.

- Możesz to jednak powtórzyć - zażądała. - W istocie, nalegam stanowczo, żebyś to zrobił. Roześmiał się cicho.

## **Z okładki**

Przez dziesięć lat piękna księżna Dunbarton wiodła - jak głośzą plotki - nader swobodne życie, zmieniając kochanków jak rękawiczki. Teraz zamierza zdobyć najbardziej pociągającego mężczyznę w całej Anglii.

Constantin Huxtable nie spotkał jeszcze kobiety, która nie uległaby jego zniewalającemu urokowi. Tym razem jednak największy uwodziciel trafia na godną siebie przeciwniczkę. I odkrywa, jak potężny i jak groźny może być ogień pożądania...